

LOUIS DE WÖHL



ZŁOTA
N·I·Ć



BookMaster.pl

Louis de Wohl

Złota nić

Przekład Piotr Budkiewicz

KSIĘGA PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Jesteśmy wolni – oznajmiła doña Mercedes triumfalnie. – Bóg wysłuchał modlitw Nawarry. To najwspanialszy dzień w moim życiu. Ana, otwórz wszystkie okna. Chcę obejrzeć nasze zwycięskie wojska.

Stara, cierpliwa Ana posłusznie uchyliła najbliższe okno. Nie musiała otwierać następnego. Po co miałyby to robić, skoro za minutę doña Mercedes z pewnością zapomni o wydanym poleceniu?

– Zwycięskie wojska – zaskrzeczała pogardliwie. – Nie stoczyły nawet bitwy, czy choćby potyczki. A jeśli mam wysłuchiwać tej kociej muzyki...

– Te dźwięki milsze są memu uchu niż śpiew chóru w Niedzielę Wielkanocną! – krzyknęła jej pani i podeszła do okna. Wyglądała jak wielka, czarna chmura jedwabiu z tęgą kobietą po czterdziestce w centrum nawałnicy. – Oto idą, nasi wybawcy. Co za dzień! Juanita, Juanitaaa! Gdzie się podziała ta niesforna dziewczyna?

– Tu jestem, doña Mercedes – oświadczyła szesnastolatka, wchodząc do pokoju. Jej szlachetna twarz nie pasowała do prostego stroju. – Nie słyszałam, by ciocia dzwoniła.

– Nie dzwoniłam. Wołałam. Krzyczałam. Wrzeszczałam. Spójrz na tych chłopców. Dlaczego nie biją dzwony? Skoro w kościele dzwonią po śmierci każdego biednego grzesznika, to powinni też uczyć

oswobodzenie Nawarry.

– Francuzi – skrzywiła się Ana. – Co w nich ciekawego? Poza tym Silvio mówi, że cytadela się nie poddała.

– Ana! Zawsze podejrzewałam, że swoje sympatie lokujesz nie tam, gdzie należy. Gdybyś nie służyła w tym domu od trzydziestu lat...

– Od trzydziestu dwóch – poprawiła ją Ana. – Dobry Pan Bóg odejmie je od czasu, który przyjdzie mi spędzić w czyścicu.

– Co ta niewdzięcznica opowiada? Ana, jesteś utajoną Hiszpanką, przyznaj się.

Stara służąca wyprostowała się dumnie.

– Nie jestem ani utajoną Hiszpanką, ani Francuzką, zapewniam panią, doña Mercedes. Pochodzę z Nawarry.

– A jak myślisz, kim ja jestem, głupia kobieto? Wszyscy zacni Nawarryjczycy powinni dzisiaj świętować.

Młoda Juanita obserwowała obie kobiety. Pomyślała, że Ana przypomina bardzo dojrzałą, starą oliwkę, a doña Mercedes wielką, tustą ćmę, taką jak jedna z tych, które wiosną ubiegłego roku rozbijały się o okno. Och, będę musiała się z tego wypowiedzieć, przemknęło jej przez myśl. Nie godzi się nazywać ciotki ćmą z rozbitą głową. Ale ojciec Gomez znowu zacznie chichotać, jak ostatnim razem, kiedy powiedziałam mu, że starego Silvia nazwałam mułem z czerwonym nosem. Czy rozbawienie księdza jest grzechem?

Doña Mercedes mówiła teraz jak najgłośniejszy, aby

zagłuszyć niektóre słowa z lubieżnej piosenki, wyśpiewywanej przez wojsko. Juanita nie powinna słuchać tego typu pień, ani tym bardziej ich śpiewać. Doña Mercedes musiała przyznać, że całkowicie niesłusznie przyrównała te wrzaski do chóralnych śpiewów w Niedzielę Wielkanocną. Uchroniła przed demoralizacją także Anę, gdyż specjalnie dla niej wygłosiła wykład o politycznej sytuacji, poruszając sprawy najwyższej wagi i kluczowego znaczenia. Dowódca wyzwoleńczych wojsk był Francuzem, to prawda, podobnie jak wielu jego podkomendnych, niemniej przybył po to, aby przywrócić do władzy w Nawarze starą dynastię d'Alberts. To oznaczało, że kraina przestanie być uciemienioną prowincją Hiszpanii.

– Będziemy wolni, niezależni, rządzeni przez własnych panów. Nasza ukochana Pampeluna ponownie zostanie stolicą. Śmiem sądzić, że dla ciebie to nic nie znaczy, Ana, ale nie potrafię opisać, co czułam, kiedy Cuellarowie z Madrytu zawitali tu kilka miesięcy temu, i wszyscy byliśmy obrzucani najgorszymi wyzwiskami. „Wy tutaj, w kresowych prowincjach.” Byłam gotowa rzucić zupę w głupią twarz Concepcion Cuellar. Kresowe prowincje, też coś! Szkoda, że nie ma jej tu teraz! *Santissima madre*, chyba płaczę. Juanita, podaj mi chustkę. Och, to wielki dzień, wspaniały dzień. Szkoda, że mój biedny Jose nie dożył tej chwili. Nie, Juanita, nie z tych dobrych, szkoda takiej ładnej koronki. Daj mi prostą, chcę wydmuchać nos.

– Czy pani zdaniem don Francisco wstąpił do armii, doña Mercedes? – zapytała Juanita po powrocie.

Ogarnięta patriotycznym uniesieniem dama solidnie wydmuchała nos.

– Don Francisco? Absurd, ma zaledwie czternaście lat, to jeszcze chłopiec. Co innego jego bracia, Juan i Miguel, rzecz jasna. Oni na pewno się zaciągnęli, aby pomścić śmierć ojca, który zmarł na wygnaniu, bo pozostał wierny królowi.

– Don Francisco ma ponad piętnaście lat, doña Mercedes.

Korpulentna dama posłała jej badawcze spojrzenie.

– Od kiedy jesteśmy zainteresowane, czy jakiś chłopiec ma czternaście, czy piętnaście lat? Czyżbyś ostrzyła sobie pazurki na don Francisco Xaviera? Nic ci z tego nie przyjdzie, maleńka. Xavierowie pochodzą ze starego rodu, to nie jest rynsztokowa arystokracja, której ledwie wysechł atrament na akcie nadania szlachectwa. Są właścicielami dwóch zamków, które pamiętają czasy przed Karolem Wielkim. Lepiej byś zrobiła, znajdując sobie poczciwego młodzieńca z własnych kręgów, bo twój wybranek może przeżyć przykre rozczarowanie, kiedy pozna twą rodzinę. Nie pojmuję, jakie myśli przychodzą do głowy dzisiejszym dziewczętom.

– Nie ostrzę sobie pazurków, bo je starannie przycinam – oświadczyła Juanita i dumnie potrząsnęła głową. Długie czarne włosy rozsypały się jej po plecach. Zawsze były dla niej utrapieniem, bo nie chciały się

kręcić, a mimo to niezmiennie wyglądały na zmierzwione. Mama dziewczyny zwykła powtarzać, że jeśli Juanita chce wyglądać porządnie, to musi ogolić sobie głowę i na łysy czerep włożyć kornet zakonniczy.

– To i tak bez znaczenia, bo wyglądasz jak Cyganka. Jeśli nie będziesz ostrożna i zaczniesz się nieodpowiednio zachowywać, w końcu wezmą cię za Maurkę.

U siebie w domu, w Barcelonie, Juanita bawiła się ze wszystkimi okolicznymi dziećmi, bez względu na to, czy były Maurami, Cyganami, czy „starymi chrześcijanami”. W portach morskich zwykle nie spotykało się uprzedzeń rasowych, obecnych w miastach w głębi lądu. Z tego powodu słowa ciotki Mercedes nie zraniły jej tak bardzo, jak mogłyby skrzywdzić inną dziewczynę. Juanita wiedziała jednak, że powinna poczuć się urażona, więc sumiennie pociągnęła nosem i potrząsnęła głową.

Doña Mercedes zauważyła to nie bez satysfakcji. Dziewczyna nie była zła, biorąc pod uwagę niefortunny związek Marii z człowiekiem o nazwisku Perez. „Człowiek o nazwisku Perez” – tylko takimi słowami doña Mercedes określała szwagra. Nie tylko go nie aprobowała – otwarcie sprzeciwiała się ślubowi siostry z mężczyzną bez odpowiedniej pozycji społecznej, z wątpliwym pochodzeniem, poetą, który nie opływał w zaszczyty, ani nawet nie był bogaty. Nie była w stanie pogodzić się z tym mezaliansem, głośno przeciwko niemu protestowała i jednoznacznie odmówiła przybycia na ślub. Nedorzeczny związek zakończył się dwa lata temu, kiedy

poeta zmarł, pozostawiając Marii tylko stertę papierów i Juanitę. Jak się rzekło, dziewczyna nie była zła. Loki nie musiały dowodzić czystości krwi, a trójkącik włosów na czole mógł całkiem ładnie wyglądać pod welonem z bardzo delikatnej koronki, prosto z Walencji. Miała cudowne oczy, przede wszystkim dlatego, że były lekko skośne. Święci Pańscy wiedzieli skąd wzięła taki kształt oczu – a może święci byli ostatnimi ludźmi, którzy mieliby o tym pojęcie. Najciekawsze jednak, że dziewczyna miała jej figurę, a raczej zanosilo się na to, że pewnego dnia będzie miała jej figurę, bo póki co była jeszcze nieco niezgrabna, zbyt wąska w biodrach. Z biodrami tak bywa: albo są zbyt szczupłe, albo zbyt obfite, nim dojrzeją. Potem zresztą sytuacja się powtarza. Co zrobić, kobieta musi korzystać z tych kilku szybko przemijających lat swojego życia, kiedy prezentuje się najlepiej.

Doña Mercedes zamierzała dopilnować, aby mała Juanita nie zaprzepaściła życiowej szansy, gdy nadejdzie stosowna pora. Częścią przemyślanego planu było tłumienie w zarodku wszelkiego typu fascynacji mogących prowadzić wyłącznie do rozczarowań i załamania. Don Francisco! Równie dobrze mogłaby zażyczyć sobie ślubu z grandem. Najmądrzejszą rzeczą, jaką w życiu uczyniła biedna Maria, było odesłanie dziecka z Barcelony, gdzie wszyscy wiedzieli o niedorzecznym ojcu Juanity. Dziewczynka miała szansę wyjść na ludzi wyłącznie u boku zamożnej damy w

odpowiednio kierowanym gospodarstwie. Doña Mercedes napisała do Marii i mogła tylko mieć nadzieję, że jej siostra okaże należną wdzięczność. Po Marii można było spodziewać się wszystkiego. Zawsze postępowała nieco niekonsekwentnie, a człowiek o nazwisku Perez rozbudzał w niej najgorsze instynkty. Swoje piętno odcisnął także na Juanicie. Była zbyt impulsywna, niekiedy nieprzewidywalna i miała wyjątkowo niestosowny zwyczaj wygłaszania komentarzy dotyczących osób lepszych od niej. Jej uwagi były bez wątpienia dowcipne, a nawet przenikliwe, lecz fatalnie brzmiały w ustach dobrze wychowanej dziewczyny. Stara Ana – jakże by inaczej – rozpieszczała Juanitę na wszelkie możliwe sposoby.

Czy naprawdę zakochała się w don Franciscu? Nie mogła go widzieć więcej niż dwa lub trzy razy, i to tylko przez chwilę. Sprawa wyglądała zupełnie absurdalnie, a zresztą szkoda było czasu na przejmowanie się mrzonkami młodej dziewczyny, choćby nawet siostrzenicy.

– Ana, dzisiaj na stole chcę widzieć najlepsze srebra, świeże kwiaty oraz dzban wina z Jerez. Mój biedny mąż wysoko sobie cenił ten trunek.

– Tak jest, doña Mercedes.

Juanita pomogła służącej nakryć do stołu. Niewątpliwie wszyscy trzej bracia Xavierowie byli z oswobodzicielami. Przypomniała sobie, jak mówili o nadchodzących dniach wolności, kiedy widziała ich po raz

ostatni: doña Mercedes zabrała ją wówczas na przyjęcie u burmistrza. Ze względu na obecność hiszpańskiego dowódcy, eleganckiego *caballero* w czarnych aksamitach i złotych koronkach, wszyscy zachowywali się bardzo cicho i z szacunkiem, lecz gdy wyszedł, nastrój momentalnie się zmienił. Zdawało się, że ludzie odetchnęli z ulgą. Goście zaczęli przekazywać sobie z ust do ust informację o tym, że wielki dzień jest już bardzo bliski, a Juan Xavier oświadczył! zwięźle: „My, Xavierowie, jesteśmy gotowi”.

Wszyscy za to wypili, nawet damy. Najwyraźniej nikt nie przejmował się już zbyt hiszpańskim dowódcą. Miguel zasugerował, że można by spróbować traktować go po przyjacielsku.

– Herrera nie jest taki nieprzystępny – oświadczył z błyskiem w oku. – Można przynajmniej mieć nadzieję, że nie okaże się zbyt szorstki w obliczu dostatecznej przewagi liczebnej.

– Jedno jest pewne – powiedział mały Francisco. – Nie dam się wykluczyć z tego, co się będzie działo.

Duży Juan poklepał go po plecach.

Juanita pomyślała, że mężczyźni mają dobrze. Tyle mogą osiągnąć. Nawet mały Francisco.

A tymczasem ciotka Mercedes sądziła, że... Jak ona to ujęła? Ostrzę sobie pazurki na don Francisca. Nawet jeśli kiedyś się zakocham, dołożę wszelkich starań, aby ona się o tym nie dowiedziała, bez względu na to, czy moim wybrankiem będzie grand czy szewc, albo nawet

Maur. Ojciec zawsze powtarzał, że nie ma znaczenia, kim jest mężczyzna, tylko jakim jest człowiekiem i czy naprawdę go kocham. Nie liczył przodków, starych zamków, ani żadnych dóbr. Rzecz jasna, ciotka Mercedes powiedziałaaby, że nie miał co liczyć, chyba że coś sobie wyobraził. Co za nonsens. Każdy miał przodków. A ojciec bywał zapraszany do domów grandów, ale także do prostych ludzi, i wszystkich ich lubił, i oni go lubili, bo był poetą. Wcale tego nie krył.

– Poeci są jak wróble – powiadał. – Wszędzie znajdują jedzenie. Poetom i wróblom obojętna jest ranga ludzi, ich majątek. Podobnie jak Bogu. Dobrze jest mieć coś wspólnego z Bogiem.

Właśnie za takie słowa ksiądz Gonzalez w Barcelonie czasami beształ ojca, a potem wiedli gorącą dyskusję, która zawsze kończyła się tym, że ksiądz Gonzalez śmiał się tak serdecznie, że aż purpurowiał na twarzy, klepał ojca po ramieniu i mówił, że ojciec z pewnością na długo trafi do czyścica, ale to dobrze zrobi nie tylko jemu, lecz również pozostałym biednym duszyczkom, które tam wtrącono, bo przynajmniej będą miały się z czego pośmiać. Kiedyś ojciec odparł, że sądził, iż dusze w czyścicu i tak się śmieją. Ksiądz Gonzalez popatrzył na niego wstrząśnięty, lecz ojciec odważnie odwzajemnił spojrzenie.

– Jestem o tym całkowicie przekonany, proszę księdza – oznajmił. – A ksiądz by się nie śmiał wiedząc, że teraz na pewno pójdzie do nieba? Nie jest ksiądz tego

pewny, prawda?

Ksiądz Gonzalez pośpiesznie przyznał, że faktycznie, i po chwili powiedział, że teoria ojca w sumie nie jest taka zła i może choć część biednych duszyczek czyścicowych się śmieje, i jaka to szkoda, że ojciec nie został teologiem.

Mama zabroniła Juanicie mówić o ojcu w domu ciotki Mercedes, a ona się nie sprzeciwiała – przynajmniej jak dotąd. W rezultacie jednak jeszcze częściej wracała myślami do ojca i zastanawiała się, co powiedziałby o tym domu, w którym wszystko jest takie porządne i najwyraźniej nic się nie marnuje.

Ciotka Mercedes zdawała się być wszędzie jednocześnie i najwyraźniej miała oczy dookoła głowy. Stary Silvio uskarżał się, że ona zawsze dobrze wie, ile wina zostało w beczce albo w dzbanie.

– Ana – odezwała się ciotka Mercedes głosem nie znoszącym sprzeciwu. – Zanim wrócisz do kuchni, weź kieliszek i wypij z nami za zdrowie najjaśniejszego pana. – Posunęła się do tego, że samodzielnie napełniła naczynie starej służącej cennym winem z Jerez. – Za króla Henryka – obwieściła. – Niech wszyscy jego wrogowie zostaną zdziesiątkowani.

Wypili.

Jakby w odpowiedzi na toast, na ulicy ponownie rozległy się śpiewy, których nawet patriotycznie usposobiona doña Mercedes nie mogła potraktować przychylnie. Odgłosy wydawane przez ludzi za oknami bardziej przypominały wycie niż śpiew. W pewnej chwili

rozległ się wrzask – ostry, przenikliwy wrzask kobiety, a po nim salwa chrapliwego śmiechu.

– Francuzi – zauważyła stara Ana. – Wiedziałam, że ich przybycie nie wróży nic dobrego.

Doña Mercedes pobladła. Odstawiła kieliszek, wstała i podeszła do okna. Widok na ulicy sprawił, że przeszył ją dreszcz.

– Ana! Każ Silvio natychmiast zablokować drzwi. Juanita, nie podchodź do okna. Zostań tam, gdzie stoisz. Albo nie: biegnij do tylnych drzwi i sprawdź, czy są zamknięte na klucz.

– Ależ ciociu, z całą pewnością...

– Bez dyskusji – warknęła ciotka. Juanita nieznacznie wzruszyła ramionami i wyszła, darowując sobie dalsze protesty.

Do tylnych drzwi prowadził dość długi, kręty korytarz o grubych ścianach. Dziewczyna nie słyszała gniewnych łomotów do frontowych drzwi, przyciszonych pomruków Silvia, zdenerwowanego skrzeczenia starej Any.

Silvio dotarł do drzwi sekundę za późno.

ROZDZIAŁ DRUGI

Drzwi były otwarte – żadne zamki nie wytrzymałyby potężnego ciosu, wymierzonego opancerzonym ramieniem przez sierżanta Jeana Garroux. Połączony wysiłek dwojga starych służących z pewnością nie mógł wystarczyć do ponownego ich zamknięcia, zwłaszcza że Garroux postawił nogę na progu.

Wielki mężczyzna o byczym karku niemal pogardliwie pchnął drzwi, które otworzyły się na całą szerokość. Uderzenie sprawiło, że Silvio padł na podłogę, a Ana uderzyła całym ciałem o ścianę.

– Jazda do środka, hołoto – warknął sierżant Garroux.

Czterech mężczyzn za jego plecami chwiejnym krokiem władowało się do domu. Należeli do gaskońskiej piechoty, pośpiesznie skompletowanej przez czcigodnego biskupa Couserans, Charlesa de Gramonta. Rekrutacja przebiegła w takim tempie, że zabrakło czasu na wyposażenie świeżo upieczonych żołdaków w mundury. Nieżyczliwi zarzucali czcigodnemu biskupowi, że przeprowadził pobór w ostatniej chwili, aby zaoszczędzić na wyposażeniu dla wojska, lecz lepiej poinformowani utrzymywali, iż wedle prawa, poborowi powinni sami płacić za rynsztunek, więc dobry biskup celowo powołał ich późno, by nie musieli ponosić kosztów, którym z całą pewnością nie zdołaliby podołać. Tylko nieliczni

Gaskończycy nie klepali biedy.

Przyzwoicie przeprowadzona kampania sama na siebie zarabiała, więc jeszcze parę godzin temu Gaskończycy, a także większość armii, nie posiadała się z radości. Potem jednak stało się jasne, że Pampeluna złoży broń bez jednego gestu oporu. Zlany potem burmistrz odwiedził głównodowodzącego, powitał go z najwyższą pokorą i wręczył mu klucze do miasta. Wśród żołnierzy gruchnęła wiadomość, że hiszpański garnizon w twierdzy zamierza się poddać bez jednego wystrzału.

Nie ma walki – nie ma łupów.

Wojacy nie kryli niezadowolenia oraz irytacji, zwłaszcza że hiszpański garnizon był zbyt nieliczny, aby stanowić realne zagrożenie. W takiej sytuacji żołnierzom pozostało jedynie wydać własne pieniądze w gospodach i lupanarach, a w kieszeniach mieli głównie dziury.

Nie tylko oni byli wściekli. Właściciele gospód, sklepów i lupanarów całkowicie podzielali ich odczucia. Oczekiwali rozkwitu interesów, a tymczasem rozzłoszczeni wyzwoliciele albo wcale nie przyszli, albo przyszli, lecz bez płacenia brali, co chcieli.

Część przedsiębiorców zasugerowała, że miejscowi bogacze najwyraźniej nie rozumieją, co zawdzięczają wyzwolicielom i dobrze byłoby im to uświadomić, zwłaszcza że oswobodzicielskie wojsko jest gotowe wydać pieniądze w mieście, które w ten sposób nie utraci ani odrobiny swego bogactwa.

Pomysł został przyjęty z entuzjazmem, nie tylko

przez Gaskończyków jego lordowskiej mości z Couserans, lecz także przez regularną piechotę, pozostającą pod rozkazami lorda Elgobarraque'a, burmistrza Bajony. Ten pomysł, podobnie jak każda dobra myśl, błyskawicznie dotarł do wszystkich żołnierzy. Ogołococono gospody i *posadas*. Wojsko przetrząsnęło miasto i znalazło stosowne cele. Wkrótce w wielu domach przy eleganckich ulicach Pampeluny zabrzmiały wrzaski kobiet i dziewcząt.

Doña Mercedes Olveron y Fuentes nie wrzeszczała.

Pobiegła do drzwi wejściowych i ujrzała tam starego Silvia, który jęczał na podłodze; z rany na jego czole sączyła się krew. Stara Ana nadal stała przyciśnięta do ściany przez otwarte drzwi, a w pomieszczeniu znajdowała się jeszcze grupka rozrośniętych, spoconych i niewątpliwie pijanych mężczyzn w obszarpanych ubraniach. Wszyscy wbili w doinę Mercedes uważne, niepokojące spojrzenie.

– Jak śmiecie pakować się bez pozwolenia do cudzego domu? – warknęła. – Zachowujecie się tak, jakby to nie była królewska stolica. Powinniście się wstydzić.

Sierżant Jean Garroux uśmiechnął się szeroko, prezentując mocne, choć żółte i krzywe zęby.

– Bernac, ty chyba takie lubisz – mruknął. – Dla mnie jest za tłusta.

– Nienajgorsza – ocenił Bernac. – I niebrzydkie kolczyki.

Zbliżył się do dom Mercedes o krok.

– Ani się waż! – krzyknęła dama. – Porozmawiam o tym z waszym dowódcą. Hańba!

– To kiepska myśl – westchnął sierżant Jean Garroux.
– On także nie przepada za grubymi. Proszę o wybaczenie...

Minął gospodynię i przy okazji pchnął ją całkiem mocno, prosto w ramiona Bernaca. Dopiero teraz wrzasnęła, lecz jej okrzyk utonął w donośnym rechocie mężczyzn. Krótkie, brudne paluchy Bernaca zahaczyły o górną krawędź jej sukni i szarpnęły.

Kwiczy jak maciora, pomyślał Garroux, idąc w głąb domu. Uznał, że z pewnością nie ma tu mężczyzny, jeśli nie liczyć tego zgrzybiałego starucha przy drzwiach. Gdyby był, z pewnością już by dał o sobie znać. Gdzie ona mogła schować szkatułę z biżuterią? W sypialni, rzecz jasna. Kobiety zawsze trzymają klejnoty. Srebrne naczynia? Niebrzydkie. Ale biżuteria jest lepsza. Cenniejsza i łatwiej ją ukryć.

Nagle stanął jak wryty.

Ujrzał przed sobą wyprostowaną, niespokojną, bardzo młodą i szczupłą dziewczynę o szeroko otwartych, przestraszonych oczach.

– Ładna – mruknął Garroux. – Nawet nie marzyłem, że znajdę taką śliczną szkatuleczkę. No to pora wyjąć klejnocik.

Dziewczyna odskoczyła, gdy wyciągnął ku niej łapy.

– Coś ty za jeden? – spytała drżącym głosem. – Co oni robią ciotce Mercedes? Dlaczego...?

Tym razem chwycił ją zanim znowu zdążyła mu umknąć.

– Niewiele cię jeszcze nauczyli, co, kociaku? – wysapał. – Już dobrze, ja cię wszystkiego nauczę. Pierwsza lekcja. Ładna dziewczyna nie używa buzi do gadania, tylko do... Nie wyrywaj się bez sensu i tak nie uciekniesz. Lepiej zdaj się na Jeana Garroux, dobrze ci radzę. W całej cholерnej armii nie znajdziesz lepszego nauczyciela. Au – oj – ty... ty... Czekaj, ja ci dam drapanie...

Juanita jednak nie czekała. Gdy Garroux na moment osłabił uścisk, aby zasłonić oczy przed pstrymi paznokciami, wyrwała mu się z rąk i pognąła korytarzem w kierunku tylnych drzwi.

Wszystko rozgrywało się jak w koszmarnym śnie, w którym odrażający potwór ścigał ją po bezkresnym korytarzu. Słyszała za plecami ciężkie odgłosy stąpania, do jej uszu docierał jego śmiech, szyderczy i chrapliwy, jakby żołdak był pewien, że ofiara mu nie umknie.

Drzwi... Zamknęła je tylko na zasuwę. Gwałtownie odepchnęła sztabę, pchnęła drzwi i wypadła na ulicę. Słońce oślepiło ją swymi promieniami. Zatoczyła się i z pewnością by upadła, gdyby ktoś jej nie podtrzymał w ostatniej chwili.

– Mała dama w wielkim pośpiechu – zauważył niski głos, który zdawał się dobiegać z bardzo wysoka.

Zaczęła odzyskiwać wzrok. Jej oczom ukazała się szczupła, spalona słońcem twarz o pogodnych, błękitnych

oczach. Gdyby dziewczyna była spokojniejsza, dostrzegłaby kurze łapki w kącikach nieznajomych oczu, a nad prawą brwią długą bliznę, sięgającą do ronda kapelusza. Rozgorączkowana Juanita nie zauważyła, że mężczyzna ma dwadzieścia kilka lat, nosi kamizelę z brązowej skóry oraz niespotykane długi, dwuręczny miecz o głównej szerokości dłoni. Obcy trzymał także ciężką włócznię, na której swobodnie zwisało kilka przedmiotów, między innymi żelazny hełm oraz skórzany tobołek.

Zwróciła za to uwagę, że z twarzy mężczyzny przebija dobroć, lecz zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, poczuła, że ktoś ją chwytą i odciąga na bok.

– W tym mieście jest mnóstwo dziewczyn – wycharczał wrogi, pełen nienawiści głos. – Idź polować gdzie indziej, ty szwajcarski mule. Ta jest moja.

Cuchnący wojak uniósł ją bez trudu i ruszył do domu. Jedyne, co jej pozostało, to wyciągnąć rękę w bezsilnym geście i krzyknąć:

– Pomóż, w imię Panny Maryi, pomóż!

Chwilę później zamknęły się za nią drzwi.

Mężczyzna z blizną się zawahał.

Młoda dama najwyraźniej nie miała ochoty na to, co chciał jej zaoferować żołdak. Ale tak samo niechętnie były liczne inne mieszkanki Pampeluny, a także cała armia dziewcząt ze wszystkich chrześcijańskich krajów. W tym czasie toczyło się kilkanaście pomniejszych wojenek i kilka średnich.

Mała dama wzywała Maryję, ale co z tego, skoro wszyscy przywoływali jej imię, kiedy sprawy przybierały niewłaściwy obrót, i zwykle tylko wtedy.

Nieznajoma dziewczyna była ładna, ale nie ładniejsza od wielu innych.

Dlaczego miałby pakować się dla niej w tarapaty?

Nie istniał żaden powód. Ani jeden.

Podszedł do tylnych drzwi. Były zamknięte. Ten fakt go zirytował i dodatkowo pogłębił jego fatalny humor. Samym swoim istnieniem dziewczyna sprawiała mu kłopoty.

Ulric von der Flue, zwany Długim, piechur w Wolnym Korpusie jego lordowskiej mości Charlesa de Gramont, biskupa Couserans, otworzył drzwi i ruszył przed siebie krętym korytarzem, by wkrótce dotrzeć do pandemonium.

Dwóch gaskońskich żołnierzy w pośpiechu pakowało kosztowności. Jakiś mężczyzna w podeszłym wieku skrzekliwie błagał o litość, na co trzeci Gaskończyk uderzył go w głowę. Starzec osunął się na nieruchome ciało bardzo starej kobiety w sukience służącej. Potężnie zbudowany mężczyzna, który złapał dziewczynę, przed momentem obalił ją na ziemię, i teraz przez ramię obserwował intruza.

– W dodatku sierżant – mruknął Ulric von der Flue z goryczą. – Ktoś taki powinien mieć więcej rozumu.

Nalane oblicze Garroux nabiegło krwią, gdy wstawał, prezentując swoją blisko dwumetrową sylwetkę w pełnej

krasie. Głowa dziewczyny z głuchym łomotem opadła na posadzkę. Ulric przelotnie zerknął na nieznajomą i pomyślał, że pewnie straciła przytomność.

Garroux nie odrywał od niego swoich świńskich oczu. Ze zdumiewającą lekkością, jak na mężczyznę tej wagi, skoczył ku ciężkiemu fotelowi i chwycił oparty o niego, swój własny miecz.

Ulric uśmiechnął się szeroko. Ani jednym ruchem nie przeszkodził sierżantowi sięgnąć po broń.

– Powiedziałem ci, żebyś się trzymał z daleka – warknął Garroux chrapliwie.

– A jakże. Poza tym jesteś sierżantem, nie moim, chwała Bogu. Mój dowódca mnie nie wyzywa i nie ma potrzeby zmuszać kobiet do uległości, bo nie przypomina tępego wołu.

Z ust Garroux posypał się stek wyzwisk tak ohydnych, że wstrząsnęłyby nawet najbardziej wulgarną i kłótniową jędzą.

– Cahors! Bernac! Varel! Beauxregard! – ryknął na koniec.

Ulric pokręcił głową.

– Jeśli chcesz się nauczyć przeklinania, powinieneś odwiedzić Węgry – zauważył. – Mieszkańcy tego kraju zapożyczyli część niezrównanych przekleństw od Turków. Czy to cała twoja armia? Ty i czterech mężczyzn?

– A niech mnie, jeśli to nie Długi Uli – oświadczył Varel z uśmiechem. Usta miał zapchane winogronami. –

Czego on od ciebie chce, sierzancie? – Dokończył winogrona i wytarł dłoń o tylną część spodni. – Chyba nie szuka guza, co, sierzancie?

– On już jest trupem – orzekł Garroux. – Tylko jeszcze o tym nie wie.

Uli zmarszczył czoło.

– Posłuchajcie – zaczął. – Wiecie równie dobrze jak ja, że nie tak należy się zachowywać. Ten starzec nie żyje, staruszka pewnie też. Nie jesteśmy na terytorium wroga. Jeśli profos się o tym dowie...

– Profos ma teraz co innego na głowie – przerwał mu Garroux. – Nie zamierzałem zawracać mu głowy. Teraz jednak będę musiał, bo zacząłeś wtykać nos w cudze sprawy. Myślisz, że przywołałem swoich ludzi, żeby mi pomogli rozprawić się z tobą? Skąd, w pojedynkę poradziłbym sobie z trzema takimi jak ty. Potrzeba mi świadków. Czterech zacnych, wiarygodnych, odpowiedzialnych żołnierzy, którzy dadzą świadectwo prawdzie i potwierdzą, kto zakłócił spokój. Dobrze mówię, Bernac? Beauxregard? Varel? Cahors? Oddawaj miecz, szwajcarski mule. Do niczego ci się już nie przyda. Jesteś aresztowany.

Uli pokiwał głową. Zamierzali zrobić z niego kozła ofiarnego, obarczając go winą za to, co sami uczynili. Chcieli także wykończyć dziewczynę, aby nie świadczyła przeciwko nim. Właśnie takiego planu należało się spodziewać po Garroux, znanego z całkowitego braku skrupułów. Tylko niesłychana sprawność bojowa nie raz i

nie dwa ocaliła go przed stryczkiem. Uli znowu pomyślał, że przez tę dziewczynę wpakował się w kłopoty.

Blizna nad jego lewym okiem pociemniała i zdawała się pulsować, ale jego głos zabrzmiał nieoczekiwanie łagodnie.

– Jeśli chcesz mieć Małego Hansa, to musisz podejść i go wziąć – oświadczył.

Upuścił włócznię, hełm i tobołek, a następnie wydobył Małego Hansa z pochwy. Jednocześnie wprawnym okiem ocenił rozmiary pomieszczenia. Dwuręczny miecz liczył ponad metr pięćdziesiąt długości, czyli niecałe czterdzieści centymetrów mniej niż jego właściciel.

– Na dodatek stawia czynny opór – warknął Garroux.
– Brać go.

Czterej mężczyźni stanęli jednak jak wryci, kiedy dwuręczny miecz nagle zaświstał w powietrzu, a Cahors ryknął z bólu: broń wypadła mu z dłoni nagle uboższej o dwa palce.

– To jeden – oznajmił Uli. W starciu ucierpiała prawa ręka Cahorsa, zatem raczej nie należało oczekiwać, że lewą ciśnie nożem, który trzymał za pasem, zwłaszcza, że musiał potwornie cierpieć. – Kto następny?

– Ty! – ryknął Garroux. Podniósł ciężkie krzesło i cisnął nim w Szwajcara, a następnie błyskawicznie dobył miecza i ruszył na wroga.

Uli uchylił się przed krzesłem, które z wielką siłą uderzyło o ścianę, odbiło się od niej i rykoszetem trafiło

go w plecy. Szwajcar zachwiał się pod wpływem ciosu, dwuręczny miecz zmienił kierunek i straszliwe ostrze wbiło się w drewniany stół. Uli musiał puścić rękojęść. Tylko szybki unik uchronił go przed agresywnym atakiem Garroux. Szwajcar skoczył prosto na Beauxregarda, powalił go na ziemię, lecz sam jednocześnie upadł u stóp Bernaca. Chwycił go za stopę i pociągnął z całej mocy. Bernac upadł z łoskotem, a Garroux, który ponownie szarżował, musiał skręcić, aby uniknąć zderzenia.

Uli miał szczęście, że nie nosił zbroi. Jego ciężki pancerz był starannie poskładany w skórzanym tobołku i zawieszony na włóczni. Gdyby miał go na sobie, nie mógłby poruszać się z taką zwinnością i szybkością. Walczył instynktownie. W pewnej chwili wykorzystał całą energię do tego, by skoczyć w kierunku stołu, gdzie nadal tkwił miecz. Wydawało się, że potężna broń cały czas się pograża w drewnie, wyłącznie pod wpływem własnego ciężaru. Uli chciwie pochwycił rękojęść, szarpnął, oswobodził broń i zamachnął się nią wokół głowy, jakby pragnął wznieść magiczną barierę pomiędzy sobą a prześladowcami.

Jego plan częściowo się powiódł, chociaż miecz zakreślił w powietrzu wyłącznie półkole i zatrzymał się na czymś niebywale twardym i ciężkim. Zderzenie okazało się tak gwałtowne, że Uli niemal ponownie zgubił Małego Hansa.

Sierżant Garroux wykonał w powietrzu figurę taneczną, jakby zaproszony do tańca przez groźną broń

przeciwnika. Zatoczywszy półkole upadł z łoskotem na podłogę, a wokół niego rozsypały się resztki pierwszorzędnej jakości naramiennika. Kawałki metalu zadźwięczały na ziemi i stopniowo znieruchomiały.

– To dwa – oświadczył Uli zadyszany. – Kto następny?

Następnego jednak nie było. Wiedział o tym dobrze. Chociaż czerwona mgła cały czas przyćmiewała mu wzrok, zauważył, jak cała czwórka łotrów skwapliwie umyka.

Po zakończonej potyczce przede wszystkim przeprowadził uważną inspekcję Małego Hansa. Miecz nie był wyszczerbiony. Szwajcar przesunął kciukiem po całej długości główki, najpierw z jednej strony, potem z drugiej. Nie musiał jej nawet ostrzyć. Wzniósł broń i popatrzył na ostrze, a na koniec postukał w nie zgiętym palcem i znieruchomiał, zasłuchany w dźwięk wibrującej stali. Z satysfakcją pokiwał głową. Mały Hans miewał się doskonale.

Także Długi Uli był w dobrej formie, jeśli nie liczyć kilku siniaków.

Poza tym jednak sytuacja wyglądała fatalnie.

Zbliżył się do ciał dwojga starych ludzi.

Byli martwi, tak jak podejrzewał.

Wrócił do dziewczyny. Nie odzyskała przytomności, więc wsunął jej poduszkę pod głowę.

Pomyślał, że przynajmniej dla niej nie przybył za późno. Następnie przystąpił do przeszukiwania innych

pokoi.

W pomieszczeniu obok zauważył osobę leżącą na łóżku, niską, tęgą kobietę, o twarzy potwornie wykrzywionej przez ból i strach. Nieznajoma patrzyła w przestrzeń oczyma, w których nie tliło się już życie. Całe łóżko było uwalane krwią, pokój przypominał pogrążoną w chaosie rzeźnię.

Najwyraźniej kobieta nie uległa bez walki, po której jeden z ludzi Garroux, albo oni wszyscy, przetrząsnęli pomieszczenie, zapewne w poszukiwaniu klejnotów zamordowanej nieznajomej. Szafki były otwarte, a ich zawartość porozrzucana.

Uli służył w armii od ośmiu lat i w tym czasie wielokrotnie już widywał martwe kobiety i zrujnowane domy. Ten widok już nim nie wstrząsał tak bardzo, jak dawniej. Postanowił przeszukać dom do końca – budynek był duży.

ROZDZIAŁ TRZECI

Juanita odzyskała przytomność. Wokoło panowała cisza. Martwa cisza.

Przyśnił się jej koszmar. Przyśnił się jej koszmar, bo zapomniała odmówić modlitwy. Mama zawsze powtarzała...

Nie była w łóżku. Leżała na podłodze. Bolały ją ręce, zupełnie jakby ktoś...

Przez jej umysł przetoczyła się fala wspomnień. Dziewczyna jęknęła i gwałtownie usiadła. Ten mężczyzna... Ten odrażający mężczyzna... Na szczęście ktoś go od niej odciągnął. To ten drugi, z ogromnym mieczem, obronił ją przed napastnikiem.

Gdzie był jej wybawiciel? Co się stało z ciotką Mercedes?

Rozległ się cichy hałas, jakby ktoś ciągnął po podłodze jakiś ciężki przedmiot. Odwróciła głowę, jej oczy się rozszerzyły. Chciała wrzeszczeć, lecz ze ściśniętego gardła nie była w stanie wydobyć ani jednego dźwięku.

Koszmar trwał. Napastnik nadal tu był, na podłodze. Przykucnął na czworakach, jak zwierzę. Z jego ręki ściekała krew, miał pokrwawioną twarz, ale się ruszał, cały czas się ruszał. Czyżby kierował się ku niej?

Chciała wstać, jak najszybciej, i uciec. Nie mogła jednak się poruszyć. Czuła się tak, jakby była odlana z

ołowiu, jak to zwykle bywa w koszmarach, gdy nadchodzi potwór gotowy do uczyty.

I wtedy monstrum ją ujrzało.

Mężczyzna miał przekrwione oczy, zaślinione usta. Wcielony diabeł. Matko Boska, diabeł, ruszył ku niej, pełzał, centymetr po centymetrze, prosto w jej kierunku. Widziała na jego policzkach i nosie drobne, fioletowe żyłki, sztywne włoski, wyrastające z uszu. Przez cały czas obserwował ją małymi, czerwonymi od krwi, zapuchniętymi ślepiami. Wyciągnął rękę...

Nie ku niej, chciał chwycić stół. Wsparł się na blacie i powoli podźwignął. Po chwili stał wyprostowany, niewiarygodnie wielki. Swoim cielskiem wypełniał całą przestrzeń...

Już nie patrzył na dziewczynę. Może ani przez chwilę go nie interesowała. Chciał wstać i potrzebował do tego stołu. Teraz szedł, chwiejnie, posuwając nogami. Minął ją i znikł na korytarzu. Po chwili trzasnęły zamykane drzwi.

Odszedł. Wreszcie.

Juanita poczuła, jak do jej zmartwiałych kończyn wraca życie. Zerwała się na równe nogi i pognąła przed siebie.

– Ciociu Mercedes! Ciociu Mercedes...

Znieruchomiała na progu drzwi do pokoju ciotki.

Koszmar trwał.

Tym razem nie wytrzymała i wrzasnęła.

Zaniepokojony Uli natychmiast przybiegł jej na pomoc.

– Stój! – krzyknął. – Odsuń się, nie wchodź tam.
Ani drgnęła.

Podszedł bliżej, położył dłoń na jej ramieniu.

– Lepiej stąd odejdz, mała damo – powiedział cicho.

– To nie jest widok dla ciebie.

Nadal się nie poruszyła. Wtedy zauważył, że jej oczy są puste, całkowicie pozbawione wyrazu, a jej twarz pobiadła tak bardzo, że przypominała śnieg.

Przynajmniej nie protestowała, gdy ją łagodnie prowadził. Nie odepchnęła mu ręki, nie uciekła i nie schowała się, jak to często czyniły dziewczęta, gdy doświadczały takich potworności.

– Usiądź na chwilę.

Machinalnie wykonała polecenie, przez cały czas z otępiałym obliczem. Zaprowadził ją do stołu. Srebra znikły, rzecz jasna, napastnicy wypili większość wina, ale została odrobina trunku. Uli przetarł kieliszek obrusem, napełnił naczynie i podał dziewczynie. Siedziała bez ruchu, w takiej samej pozycji, w jakiej ją pozostawił.

– Weź. Wypij. Dobrze ci robi.

Musiał jednak przystawić kieliszek do jej ust – nie chciała lub nie mogła go trzymać samodzielnie.

– Już dobrze, mała damo – przemówił do niej cichym głosem. – Wiem, to było potworne, ale już się skończyło. Wino dobrze ci robi. Wystarczy jeden łyk. Dobrze. Spróbuj wypić jeszcze odrobinę.

Więcej nie mogła. Łzy napłynęły jej do oczu.

– Kim była ta biedna dama? Twoją mamą? No, już,

spróbuj powiedzieć. Kim ona była?

– Ciotką. To była ciotka Mercedes.

Przynajmniej nie matka.

Zaczął rozmyślać o Garroux i jego ludziach. Uznał, że z pewnością powrócą, gdy tylko zgromadzą posiłki. Garroux z pewnością o to zadba. UH musiał uciekać. Na dodatek nie wolno mu było zostawić dziewczyny.

– Znasz sąsiadów? No już, weź się w garść. Tu nie jesteś bezpieczna. Spytałem, czy znasz sąsiadów. Jak mają na nazwisko?

– P... Padilla.

– Dobrze. Pójdziemy do nich. Zabierzesz ze sobą jakieś drobiazgi? Musisz się pospieszyć, ci ludzie pewnie wrócą.

Groźba powrotu łotrów poskutkowałą. Juanita chwiejnie wstała.

– Oprzyj się na moim ramieniu. Dokąd chcesz iść? Do swojego pokoju?

Pokręciła przecząco głową.

– W porządku. Najwyżej wrócisz po swoje rzeczy, kiedy wojsko opuści miasto.

Podniósł włócznię wraz z przywiązany do niej bagażem, a następnie wyprowadził dziewczynę przez frontowe drzwi. Na dworze rozejrzał się ostrożnie. Ulica była pusta. Kilka niewielkich, rdzawobrzązowych plamek na bruku sprawiło, że Uli uśmiechnął się ponuro. Garroux bez trudu trafi tu z powrotem. Pozostawił po sobie szlak, niczym ślimak.

Musieli długo stukać do drzwi, zanim ktoś z rodziny Padilla postanowił się odezwać, a nawet wtedy nie otworzono przed nimi podwoi. Sąsiedzi najpierw obejrzelili dziewczynę i przekonali się, że to naprawdę Juanita.

Ostrożności nigdy za wiele. To dobrze. Przyjęli dziewczynę, gdy Uli wyjaśnił, co się zdarzyło w domu jej ciotki. Nie było czasu na zadawanie pytań. Co do dziewczyny... Cóż, Uli pomyślał, że wkrótce sami się przekonają, iż muszą poczekać na jej wyjaśnienia. Juanita nie uczestniczyła w rozmowie, ale kiedy zaczął się zbierać do wyjścia, wyciągnęła ku niemu ręce i powiedziała coś niezrozumiale. Nie pojął jej słów. Uśmiechnął się szeroko, skinął głową i odszedł.

Nic więcej nie mógł dla niej uczynić. Wiedział, że dziewczyna dojdzie do siebie. Tak, młode kobiety zawsze sobie dawały radę, a poza tym przybył z odsieczą na czas.

Tym razem uśmiechnął się do siebie. W ostatniej chwili uratował dziewczynę, ale teraz musiał pomyśleć o sobie. Jeśli nie zadba o siebie, sprawy mogą przybrać niekorzystny obrót. Wyczyny Garroux i jego ludzi były rzeczą normalną, kiedy miasto zdobywano siłą. O Pampelunę nie trzeba jednak było toczyć bojów. Pampelunę wyzwolono. Mężczyźni mogli sobie poużywać w oswobodzonym mieście, niemniej taka rozrywka miała pewne granice. Nie wdziera się do przyzwoitego domu, nie morduje się trzech osób – w tym dwóch kobiet – a potem nie usiłuje się zrekompensować straty, robiąc dziecko pozostałej przy życiu młódce. Nie tylko Garroux i

jego ludzie tak postępowali. Monsignore z Couserans nie był specjalnie wybredny, dobierając żołnierzy do tej kampanii. Ludzie z Bajonny byli gorsi.

Jeśli generał dowie się o tym (a z pewnością tak się stanie, chyba że pampeluńczycy to najgorsze tchórze pod słońcem i nie odważą się choćby złożyć skargi), wówczas winnych nie ominie kara.

W takiej sytuacji żołnierz powinien powiadomić swojego sierżanta. Sierżant Philippart nie należał do osób, które przepuściłaby gwardia papieska lub cesarska straż przyboczna, ale można się było z nim dogadać, gdy nie leżał pijany w trupa. Czyli rzadko.

Problem polegał na tym, że Uli służył pod jego rozkazami od zaledwie dwóch miesięcy i dotąd nie miał okazji dowieść swojej wartości. Gdyby dał się poznać jako dobry żołnierz, poszedłby od razu do kapitana de Brissaca. Żaden dowódca nie chce tracić dobrego podkomendnego tylko z powodu drobnego nieporozumienia z jakimś sierżantem. Tyle że de Brissac uważał sierżanta Garroux za świetnego żołnierza, a o Długim Ulim nie wiedział prawie nic. Na domiar złego, wszyscy ludzie wokół Ulego byli Gaskończykami. On sam pochodził ze Szwajcarii.

Co robić. Może Garroux zdążył już sobie znaleźć dobrą *posadę*, knajpę, i upić się do nieprzytomności. Gdyby tak się stało, raczej nie miałby ochoty uganiać się za szwajcarskim awanturnikiem, który zranił go w rękę.

Ale nawet wówczas nie zapomnialby o tym, co mu

się zdarzyło, zwłaszcza że uległ na oczach swoich ludzi. Nie był takim typem człowieka. Prędzej czy później zechce spłacić dług.

Uli nagle znieruchomiał.

Zza rogu wyłoniła się drużyna, złożona z około tuzina żołnierzy. Maszerowali ramię w ramię, a człowiek pośrodku wyglądał jak Garroux... To był Garroux. Mężczyźni po jego bokach nosili szkarłatne płaszcze – na ich widok jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki uspokajali się najzuchwalsi uczestniczy bójek w *posadach*... Ludzie w szkarłacie byli podwładnymi profosa.

Zobaczyli go, Garroux wskazał go palcem i wszyscy rzucili się biegiem w jego kierunku.

Uli stał nieruchomo. Wśród biegnących dostrzegł jeszcze jednego człowieka, którego znał – brakowało mu dwóch palców.

Uśmiechnął się ze świadomością, co mu grozi. Nie zaskoczyły go krzyki Garroux.

– To ten! – wołał żołdak. – Przyłapaliśmy go na gorącym uczynku! Zamordował troje ludzi w tamtym domu, a potem zaatakował nas, gdy usiłowaliśmy go aresztować.

– Oddaj broń – warknął jeden z podwładnych profosa.

Uli pogodnie skinął głową.

– Łap – rzekł i rzucił ku niemu włócznię. Mężczyzna chwycił ją obiema rękoma, ale zgiął się wpół pod

ciężarem broni. – Widzisz – ciągnął Uli. – Wiedziałem, że prędzej czy później uprzejmie mi się pokłonis. Masz, weź Małego Hansa i pamiętaj, traktuj go dobrze. To wiemy przyjaciel.

– Wątpię, byś jeszcze kiedyś potrzebował tej wykałaczkii – mruknął drugi podkomendny profosa. – Ejże, Garroinc, potrzymaj to. Muszę mu związać dłonie.

Uli ze smutkiem pokręcił głową.

– Nie powinieneś był tego robić – westchnął. – Zaczynał stać oddałeś w takie ręce. To poważny błąd. Dokąd idziemy?

– Tam, gdzie rosną dostatecznie wysokie drzewa – wyjaśnił mężczyzna w szkarłatnym płaszczu.

Mijał się jednak z prawdą, przynajmniej pod tym względem. Na Płaza Mayor nie rosły żadne drzewa, bo przecież nie można nazwać drzewem prowizorycznej konstrukcji, wzniesionej pośrodku placu. Rzecz składała się z dwóch wielkich, pionowych belek, wbitych w ziemię w odległości około dziesięciu kroków jedna od drugiej. Ich wierzchołki były połączone poziomą belką, dzięki czemu całość wyglądała jak najprostszy z możliwych łuk triumfalny. Być może jednak ktoś mógłby określić tę konstrukcję mianem drzewa: drzewa owocowego. Wisiało na nim kilkanaście owoców: ludzi, a raczej tego, co po nich zostało. Jeden z nich jeszcze podrygiwał.

Uli pomyślał, że tak wygląda drzewo śmierci i zastanowił się, czemu przyszło mu to do głowy i czy on będzie następnym owocem, który zawiśnie na tej roślinie.

Na Plaza Mayor tłoczyły się setki ludzi – cywile i żołnierze, a dobiegający z oddali hałas przypominał brzęczenie pszczoł.

Za placem wznosiły się strome, szare mury cytadeli. Uli przyjrzał się jej z zainteresowaniem. Zza murów wystawały włócznie, dostrzegł też dwie armaty. Na fortyfikacji nadał łopotąła hiszpańska flaga. Załoga umocnienia nie złożyła broni. Dlaczego naczelny dowódca pozwalał, aby jego żołnierze mieszały się z mieszkańcami Pampeluny, kiedy cytadela jeszcze się nie poddała? Na placu znajdowało się niewiele, nie więcej niż stu żołnierzy, podczas gdy nieopodal, w podcieniach kolumnady, lśniły zbroje i broń, a wyloty wszystkich ulic od południa i zachodu placu były zapełnione wojskiem.

Załoga twierdzy najwyraźniej tak samo ociągała się z kapitulacją, jak mieszkańcy miasta się z nią pospieszyli. Może głupotą było ustawienie tego... drzewa w miejscu, w którym było widoczne z cytadeli. W rezultacie obrońcy musieli myśleć o tym, jak mogą skończyć.

Na myśl o tym Uli się roześmiał, a ponury podkomendny profosa u jego boku spytał, co go rozbawiło. Uli wyjaśnił.

– Ty ignorancie – burknął człowiek w szkarłacie. – Wszyscy ci wisielcy to żołnierze, którzy pohańbili naszą armię, tak samo, jak ty to uczyniłeś. Jego ekscelencja naczelny dowódca pragnie zademonstrować ludziom z cytadeli, że nie zamierza tolerować braku dyscypliny.

Uli zatrzymał się z taką gwałtownością, że obu

podwładnych profosa przystanąło wraz z nim.

– Zaraz, zaraz – zaprotestował ze złością.

Wszyscy znieruchomieli i popatrzyli na więźnia.

– Co się stało, człowieku?

– Jedna sprawa – oświadczył Uli. – Zostałem o coś oskarżony, a wy mnie aresztowaliście. I bardzo dobrze. Tyle że jak dotąd nie odbył się proces, a dopóki nie zostałem uznany za winnego i skazany, nie macie prawa twierdzić, że pohańbiłem armię!

– Co za bezczelność! – ryknął Garroux. – Jesteś hańbą dla wojska i zaraz pokażę ci, jak wielką.

Uderzył Szwajcara w twarz, zanim człowiek w szkarłacie zdążył go powstrzymać.

– Dość! – rozkazał mężczyzna. – Nie wolno zaczepiać więźnia.

– Nic nie szkodzi – wtrącił się Uli. – Jego nikt nie nauczył, czym jest hańba. Gdyby znał znaczenie tego słowa, nie uderzyłby człowieka o związanych rękach. Może się czegoś nauczy na stare lata.

– Nie gadaj tyle – warknął człowiek w szkarłacie. – Będziesz się tłumaczył później, przed naczelnym profosem, o ile ci na to pozwoli. A teraz rusz się, idiemy.

Gdy dotarli do placu, skręcili w prawo i weszli do kolumnady.

Naczelny profos siedział przy stole, wypożyczonym z pobliskiego sklepu. Niskiego wzrostu mężczyzna miał okrągłą twarz, pucułowate policzki oraz zimne, szkliste oczy.

– Kim jesteś? – spytał znudzonym tonem.

– Ulric von der Flue, starszy szeregowy, kompania kapitana de Brissaca, a do tego dumny osioł.

Naczelny profos zamrugął.

– Może akurat ten człowiek naprawdę wie, kim jest – powiedział. – O co go oskarżacie?

– Morderstwo, wdarcie się do spokojnego domu z intencją kradzieży, niesubordynację, napad z bronią na przełożonego – wyrecytował Garroux szybko.

Naczelny profos popatrzył na Uliego.

– Masz coś do powiedzenia?

– Tak – odparł Uli. – Sierżant Garroux nieco się zagalopował. Zrobił wszystko, co powiedział, z wyjątkiem ataku na przełożonego, o ile mi wiadomo. Ja jestem jedynie starszym szeregowym, jak już wspomniałem.

Naczelny profos pokręcił głową.

– Masz coś do powiedzenia? – powtórzył ostrzejszym tonem.

Na placu wybuchło jakieś zamieszanie. Wyglądało to tak, jakby ręka niewidzialnego olbrzymia zaczęła mieszać tam łyżką. Tłumy ludzi biegały w kółko, a następnie nikły w uliczkach po lewej stronie placu. Z przeciwnej strony dały się słyszeć werble i zawodzenie trąbki.

Uli zaczął opowiadać.

– Kłamstwa! – wrzasnął Garroux po drugim zdaniu. – To on wdarł się do domu, tam go znaleźliśmy. Mam na to czterech świadków.

– Chcę wysłuchać jego wersji – oznajmił profos lodowato.

Uli mówił dalej, ale widział, że profos słucha nieuważnie. Spojrzenie jego załzawionych oczu omiatało raz po raz cały plac. Kilka oddziałów żołnierzy zaczęło zajmować tam pozycje, a grupka zziajanych i spoconych mężczyzn przytargała armatę.

– Coś musiało pójść nie tak – powiedział profos z namysłem.

– ...i wyszli. – Opowieść Ulego dobiegała końca. – Postanowili, że ja zapłacę za ich uczynki. Dlatego jestem durnym osłem. W innym wypadku pozwoliłbym sierżantowi Garroux zająć się tą dziewczyną, tak jak tego pragnął, ktoś inny by odkrył, że w tym domu zamordowano trzy osoby. A najgorsze, że teraz postąpiłbym tak samo, jak postąpiłem.

Naczelny profos patrzył na niego bez wyrazu.

– Świadkowie... – odezwał się. – Sierżant Garroux twierdzi, że może przedstawić czterech świadków. A ty?

Właśnie mijał ich oddział ciężkozbrojnej piechoty. Jeden z oficerów krzyknął do profosa:

– Proszę zabierać stąd tych ludzi. Za chwilę zjawi się dowódca. Szturmujemy cytadelę.

– Mam tylko jednego świadka – odparł Uli. – Tę dziewczynę. Ale przynajmniej nie jest podejrzana o morderstwo.

– Może i nie – zauważył naczelny profos. – Jednak nie stoi wśród nas, a nie ma czasu do stracenia. Obawiam

się, że musisz zawisnąć.

Wtaczano właśnie następną armatę, która przypominała głowę gigantycznej ropuchy. Hałas był nie do zniesienia. Uli nie dosłyszał słów profosa, ale domyślił się, jaki zapadł wyrok, gdy jeden z podkomendnych profosa skinął na drobnego księdza, by ten podszedł do więźnia.

Długa blizna na czole Ulego zaczęła się wybrzuszać.

– Moja kompania rusza! – wykrzyknął. – Proszę mi pozwolić iść z nimi. Możecie mnie powiesić po ataku, jeśli uważacie, że to konieczne.

Jednak naczelny profos się spieszył. Machnął ręką na księdza, by ten robił, co do niego należy.

Uli rozglądał się desperacko w poszukiwaniu kapitana de Brissaca albo sierżanta Philipparta, ale jego kompania odeszła zbyt daleko, by zdołał kogokolwiek rozpoznać. Jego towarzysze zajmowali pozycje tuż obok oddziału wyposażonego w długie drabiny.

Ujrzał przed sobą smutne oblicze księdza. Podkomendni profosa cofnęli się machinalnie.

Tego dnia mały ksiądz spoglądał w oczy wielu ludzi, którzy szli na śmierć. Zaciągnęli go tu na plac tuż po odprawionej Mszy świętej, nawet nie miał czasu zjeść śniadania. Domyślał się, że pewnie przez cały dzień nie zdoła nic przegryźć, gdyż wkrótce zaczną umierać dziesiątki mężczyzn, choć w bitwie, nie na szubienicy. Myślał o tym, jakie to straszne, że zdarzy się tyle zbrodni między Mszą świętą a jego pierwszym posiłkiem, między

posiłkiem duszy a posiłkiem ciała. Była to jednak ulotna myśl, zapomniał o niej w tej samej chwili, w której napotkał wzrok skazanego, rozbiegany i pełen rozpacz, znacznie bardziej spragniony życia na ziemi, niż życia w niebiesiech. Ksiądz czuł się zbyt nieważny, zbyt niedopasowany, by pomieścić w sobie wielki strumień boskiego miłosierdzia. Miał spierzchnięte usta, głos mu się załamywał. Nie mógł się przebić przez piekielny gwar wokoło.

Choć wysoki szczupły mężczyzna w blizną nad okiem zdawał się rozumieć jego słowa, potrząsnął głową. Nie miał zamiaru wypowiadać się ze swoich grzechów. Ksiądz wyprostował cienką szyję i usłyszał kilka słów skazańca:

– Nie ma potrzeby... niewinny...

Ksiądz westchnął. Aż trudno mu było uwierzyć, że w obliczu nieuchronnej śmierci człowiek może kłamać. Uniósł krucyfiks.

– Nie ty pierwszy umrzesz za niepopelnione przez siebie grzechy. On też tak umarł, czyż nie?

Skazaniec zrozumiał. Skinął głową, a na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. Drobny ksiądz go pobłogosławił, a więzień przyklęknął na kolanie, jak to żołnierze. To wszystko wyglądało raczej jak wymiana uprzejmości niż akt skruchy, i ksiądz znowu westchnął, bo wiele razy widział ludzi, których z Bogiem łączyła jedynie pozorna bliskość. Niektórym zabrakło nawet tego.

Gdy tylko więzień wstał, dwaj podkomendni profosa

złapali go pod pachy i zaczęli prowadzić do prymitywnego łuku triumfalnego na środku placu.

Za nimi szedł ksiądz, potem naczelny profos, a następnie tłumek, w którym byli sierżant Garroux i jego ludzie. Z uśmiechem tręcali się w boki.

Pochód szedł jednak wolno.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Atak na cytadelę się rozpoczął. Dwa tysiące ludzi z piechoty Bajonny ruszyło na główną bramę i napotkało gwałtowny opór. Wytrawni, mądrze rozstawieni arkebuzerzy przerzedzili ich szeregi, nim piechota zlokalizowała pierwszą drabinę, a kiedy mimo strat przystąpiła do ataku, strumienie wrzątku skutecznie oczyściły z napastników nieliczne drabiny, które udało się oprzeć o mury.

Generał Andre de Foix jechał razem ze swoimi ludźmi, wśród których znalazł się monsignore de Gramont, biskup Couserans, i lord Elgobarraque, burmistrz Bajonny. Generał nigdy nie był przesadnie cierpliwy, a teraz niemal wychodził z siebie. Przez siedem godzin jego wysłannicy pertraktowali z dowódcą hiszpańskiego garnizonu i nagle, kiedy Herrera wydawał się gotów zaakceptować narzucone sobie warunki, idiotyczny incydent wszystko zniweczył.

Jakiś hiszpański młodszy oficer – posłowie nawet nie byli w stanie podać jego nazwiska – wygłosił krótką, płomienną mowę na temat tego, że Hiszpanie nigdy się nie poddają, nawet gdy nie ma się jak bronić, i dodał, że dowódca z pewnością nawet przez chwilę nie brał pod uwagę kapitulacji.

Herrera zastanawiał się przez siedem długich godzin, ale przemowa oficera najwyraźniej wywarła wrażenie na

większość obecnych przy rokowaniach Hiszpanów, więc Herrera, który najpierw gotów był ustąpić wysłannikom, ustąpił własnym oficerom i znów stał się dumnym, nieprzejednanym dowódcą.

Co za dziecinada.

A teraz de Foulard doniósł, że atakujące kolumny na północy cytadeli nie poczyniły żadnego postępu, za to podczas pierwszego ataku straciły niemal sześćdziesięciu ludzi. Armaty znalazły się na swoich pozycjach, ale było ich zbyt niewiele – skarbnicy jak zwykle poskąpili grosza – a mury okazały się piekielnie grube.

Mury były solidne nawet tu, od południa, gdyż ludzie, którzy je budowali, wiedzieli, że nieprzyjaciel może oblegać Pampelunę, zanim zaatakuje jej twierdzę.

Dowódca skinął głową kapitanowi Labrosse.

– Każ im zrobić armatami dziurę w tym kretowisku. Jeśli to nic nie da, przynajmniej przegoni kilku obrońców z murów, kiedy stąd zaatakujemy.

Labrosse zawrócił konia, ale trudno mu było dotrzeć na skraj placu, gdzie artylerzyści zajmowali się swoimi trzema armatami.

– Co go zatrzymało? – spytał monseigneur de Gramont. – Wydaje mi się...

– Mordieux – zaklął dowódca. – Wieszają człowieka w samym środku mojej bitwy!

– W rzeczy samej, w rzeczy samej – przytaknął monseigneur de Gramont nerwowo. – Mam ich powstrzymać?

Andre de Foix się zawahał. Absurd tej sytuacji sprawił, że wybuchnął śmiechem.

– Nie, lordzie biskupie, niech robią swoje. Diabeł poczułby się rozczarowany.

Pochód naczelnego profosa dotarł wreszcie do stóp drzewa, z którego zwieszały się trupy. Drewniana konstrukcja stała nieco z boku, przez kilka minut pracownicy umocowywali ją na miejscu. Była to prowizorka, na platformę prowadziło zaledwie osiem schodków zamiast zwyczajowych trzynastu, ale najwyraźniej spełniła swoje zadanie w wypadku jedenastu mężczyzn, których dwadzieścia dwie nogi zwiślały tuż nad głowami pracujących, tak że co chwila musieli je odpychać, by im nie przeszkadzały.

– Chętnie bym panom pomógł – odezwał się Uli uprzejmie. – Niestety jednak, mam związane ręce.

W tłumie dał się słyszeć cichy chichot. Ludzie dzielili uwagę między zbliżającą się egzekucję a obserwację fragmentu cytadeli widocznego z placu.

Niespełna dwieście metrów dalej klnący oficerowie usiłowali przegrupować mocno przeredzonych po pierwszym ataku żołnierzy. A drobny ksiądz, który nie uczestniczył w stawianiu drewnianej szubienicy, spoglądał nerwowo na mury, pod którymi mnóstwo rannych, postrzelonych, krwawiących czekało teraz na ostatnią posługę.

W tej samej chwili kapitan Labrosse dotarł do artylerzystów na placu i przekazał rozkaz dowódcy.

Starszy sierżant sztabowy, Francois Pitoux, jak większość artylerzystów, był niegdyś kowalem. Pokiwał głową.

– Postaram się – powiedział.

Zaczął wykrzykiwać rozkazy, a jego ludzie natychmiast zajęli się torbami z prochem, przybitkami i długimi lontami. Za każdą armatą leżała niewielka piramidka kul.

– Czekajcie, aż wrócę. – Kapitan Labrosse zmarszczył brwi. – Mam nerwowego konia.

Naczelny profos otarł czoło pod szubienicą.

– No dobrze, wieszajcie go, byle szybko – powiedział. – Wstrzymujemy armię.

Podkomendni popchnęli więźnia ku schodom, a naczelny profos poszedł za nimi ze sznurem.

Drobny ksiądz, pogrążony w modlitwie, zamykał pochód.

Cała piątka zgromadziła się na niewielkiej platformie.

Uli zamknął oczy, gdy zarzucali mu pętlę na szyję. Czekala go głupia śmierć, ale pewnie nie gorsza od innych. Śmierć na stosie była bardziej bolesna, przynajmniej tak słyszał. Życie. Kaspar Jost mógł spać bezpiecznie, z Małgorzatą. Jeśli by wiedział. Ale pewnie nigdy się nie dowie. Nigdy nie wiadomo, kiedy jesteśmy bezpieczni, a kiedy nie. Czy w ogóle kiedykolwiek jesteśmy? Cóż, wkrótce miał się tego dowiedzieć – ewentualnie.

Pewnie jednak czeka go nicość. Czy dusza może

mówić, kiedy spotka Boga? Jeśli w ogóle istnieje jakiś Bóg i dusza, która mogłaby go spotkać. Pewnie tak. Nic nie może powstać z niczego, jak mawiał ojciec Pulvermacher jeszcze w Sachseln. A dusza na pewno istniała, bo jeśli nie, jaka byłaby różnica między nim a którymś z jedenastu ciał zwisających nad nimi? Człowiek to nie to samo co jego trup.

Problem polegał jednak na tym, że Boga nic a nic to nie obchodziło. Tyle Uli wiedział. Gdyby Bóg zechciał zadać sobie nieco trudu, jego świat wyglądałby inaczej i Uli nie zawisłby za zbrodnie sierżanta Garroux.

Jeśli go spotkam, pomyślał Uli, wzruszając ramionami, muszę zapytać, dlaczego nic z tym nie zrobił – poza tą jedną jedyną próbą, tak dawno temu. Teraz pewnie trochę zaboli...

– Gotowi? – spytał naczelny profos.

– Gotowi – odparli podkomendni.

– Lina do góry.

Nie było tu żadnego „w dół”, dzięki któremu nieszczęśnik błyskawicznie łamałby sobie kark. Musieli go pociągnąć, i na słowo „do góry” naprężyli linę.

Człowiek może wyrazić zgodę na śmierć, ale jego ciało nie zamierza słuchać.

Jak wszyscy inni, którzy obecnie stanowią owoce na drzewie śmierci, Uli zaczął nerwowo tańczyć w powietrzu.

Nagle rozległ się ogłuszający huk.

Kiedy rozwiała się czerwona mgła, Uli przekonał się,

że siedzi na platformie. Najpierw pomyślał, że lina z pewnością pękła.

Był zły i czuł, że zbiera mu się na wymioty. Gniew i mdłości walczyły ze sobą przez chwilę, gniew zwyciężył.

– Jeśli w ogóle czegoś nienawidzę, to kata, który nie zna się na swoim rzemiośle – oznajmił ochryłym głosem.

– Sprawdźcie linę, nim zawiesicie na niej człowieka.

Był tak wściekły, że wstał mimo związanych z tyłu dłoni.

Pragnął jedynie dać profosowi do słuchu, bo – co zdumiewające – nie stracił przytomności.

Jednak naczelny profos wcale na niego nie patrzył. Zresztą inni też nie. Wszyscy gapili się na armaty za wielką chmurą brudnobrązowego dymu.

Kiedy dym się rozwiął, ujrzeli, że eksplodowała armata numer jeden. Nie zostało z niej nic poza paroma poskręcanyimi fragmentami metalu. Reszta rozerwała na kawałki czterech artylerzystów i zraniła co najmniej tuzin żołnierzy, w tym starszego sierżanta sztabowego Pitoux.

To też partacze, pomyślał Uli ponuro. Jak obecnie wszyscy.

W tej samej chwili uświadomił sobie, że szkarłatne płaszcze tak się przestraszyły nagłego huk, że puścili sznur.

Artylerzyści przygotowywali się do następnego wystrzału. Zgromadzeni wokół żołnierze odsunęli się jak najdalej.

– Niech was piekło pochłonie! – wrzasnął Uli. – Nie

tak się to robi.

Naczelny profos odwrócił się ku niemu, tym razem jednak Uli miał na myśli artylerzystów.

– Niewłaściwie podniesiona lufa! – ryknął Uli. Nadal chrypiał, ale jego głos odzyskiwał siłę. – Niewłaściwie podniesiona lufa, tchórzliwi głupcy.

– Ja ci zaraz pokażę właściwe wyniesienie – oświadczył naczelny profos i złapał za sznur.

Nagle wypaliła druga rakietka.

– Schylcie się wszyscy! – krzyknął Uli i dał nura na ziemię.

Kula armatnia odbiła się od muru cytadeli i powróciła z monotonnym świstem na środek placu, zaledwie trzy metry od szubienicy. Zabiła trzech bajońskich piechurów, a przy okazji wzbudziła ogólną panikę.

– Idioci! – pieklił się Uli. – Przekłęci idioci. Czekać, zaraz wam pokażę.

Zeskoczył z platformy i ruszył ku nieszczęsnym artylerzystom.

– Zatrzymać więźnia! – krzyknął naczelny profos. – Za nim! – Niemal tańczył na szubienicy.

Mężczyźni w szkarłacie posłuchali bez wahania, a przynajmniej próbowali. Niestety, nieszczęsny wystrzał z drugiej armaty spowodował straszliwy zgiełk na placu – jeden oddział bajońskiej piechoty z trudem udało się powstrzymać przed zaatakowaniem nieszczęsnych artylerzystów – a do tego szkarłatne płaszcze nie cieszyły się popularnością. Na dodatek niektórzy pilnie

obserwowali, co się działo na szubienicy, gdy wystrzeliła pierwsza kula.

– Patrzcie na pomagierów kata! Co teraz knujecie! Może zamierzacie wstąpić do artylerii?

– Ciągłe żyją. Zawsze powtarzam, że armaty trafiają niewłaściwych ludzi.

– Sknociliście robotę, co? Musicie trochę poćwiczyć na sobie.

Twarze szkarłatnych płaszczy były niemal tak czerwone jak ich stroje. Powoli przepychali się przez tłum.

Byli bardzo daleko, kiedy Uli dopadł artylerzystów i natarł na nich niczym grom z jasnego nieba.

– Z drogi, głupcy. Kto was uczył sztuki artyleryjskiej? Nikt wam nigdy nie powiedział, że taka kula się odbija, gdy lufa jest nachylona pod niewłaściwym kątem? Właściwie w co usiłowaliście wcelować?

– Kim jesteś, do diabła? – rozległ się żałośliwy głos starszego sierżanta Pitoux. Sierżant siedział na bruku, a na lewym rękawie miał pojedynczy pasek.

Uli ujrzał jego insygnia i kiwnął głową.

– Wszystko w porządku, panie oficerze, nauczyłem się tego pod komendą Frundsberga. Proszę mnie rozwiązać, zabieram się do pracy.

Zaczął wydawać rozkazy na prawo i lewo. Ani jemu, ani im nawet nie przyszło do głowy, że mogliby nie posłuchać. Uczyli się podstaw nowej techniki zaledwie przez sześć tygodni, a Pitoux już od samego rana popijał.

Był to nowy model armaty o krótkiej lufie. Szwajcarzy nazywali takie działa *Kammerbuechse* – wystrzeliwały kule wielkości ludzkiej głowy. Uli znał ten rodzaj dział z ubiegłorocznej kampanii w rejonie Mediolanu, i kochał armaty, tak jak się kocha dobrego konia albo wiernego psa. Sprawiało mu przykrość, gdy ta szlachetna broń trafiała w ręce idiotów.

– Człowiek powinien znać się na rzeczy – oznajmił, rozcierając nadgarstki. – Nieważne, czy to szermierka, armaty czy wieszanie. Działa to delikatne urządzenia. Trzeba z nimi pogadać, żeby się nie denerwowały.

Na twarzach artylerzystów pojawiły się pierwsze uśmiešky.

– Najpierw o nią zadbamy – powiedział Uli. – Armata jest jak kobieta. Nie czuje się dobrze, kiedy nie jest odpowiednio wystrojona.

Wepchnął do lufy ciężki kij ze szczotką na końcu, poruszył nim kilka razy i wyciągnął na zewnątrz.

– Widzicie ten brud? Powoduje odchylenie. Trzeba wyczyścić. I jeszcze raz. A teraz...

Po drugiej stronie placu dowódca spoglądał uważnie na wały obronne cytadeli. obrońcy byli doskonale przygotowani do odparcia ataku. Podwoiła się liczba włóczy, dostrzegł nawet niewyraźną chmurę pary – znak, że załoga przygotowała gorące płyny: wodę, olej, smołę, cokolwiek było pod ręką. Armaty zawiodły na całego. Czy powinien poczekać na jeszcze więcej nieszczęść, jak dwa ostatnie?

Najwyraźniej Herrera faktycznie zamierzał stawiać opór. Czy to właśnie on, z mieczem w ręce, stał po prawej, obok grupy arkebuzerów?

Nie tylko Uli zauważył hiszpańskiego dowódcę na wale ochronnym.

Uli rozmawiał z armatą, teraz starannie naładowaną.

– Widzisz tego aroganta nad nami, seftorita? Tego z piórami na hełmie? Spodobałby ci się taki pan młody, co? Nie powiedziałbyś nie, prawda? Leć i go pocałuj, moja piękna – leciutko, o tak...

Słyszał, że mężczyzna musi czuć armatę. Jeśli jej nie czuje, nigdy nie będzie porządnym artylerzystą.

Uli zerknął uważnie na wał ochronny, pochylił się i wstrzymał oddech, po czym pociągnął za sznur. Armata zadrżała, a wszystko wokół spowił ciemnobrązowy, śmierdzący dym.

W tym dymie dał się słyszeć ryk tysiąca głosów, i Uli zbladł. Niemożliwe. Nie mógł spudłować, kula z pewnością nie odbiła się od murów. Musiał stać i czekać przez niekończące się sekundy, aż dym się uniesie. Wtedy się uśmiechnął.

Część wałów zniknęła, a wraz z nimi mężczyzna w przystrojonym piórami hełmie i całkiem sporo arkebuzerów.

Artylerzyści wokół niego tańczyli i klepali go w ramię. Stary Pitoux aż pisnął z zachwyty.

– Ach, piękny, piękny strzał!

Uli z uśmiechem odwrócił się do towarzyszy. Nagle

ujrzał, że wśród rozradowanych mężczyzn dwóch ma na sobie szkarłatne płaszcze. Dwaj podkomendni profosa przybyli w samą porę, by ujrzyć wystrzał z armaty.

– Cudownie! – ryknął jeden z nich. – Naprawdę dobra robota. – Dotknął ramienia Ulego. – Wracaj z nami, żołnierzu. Obiecuję ci, że tym razem dobrze się postaramy.

– Dziękuję – odparł Uli. – Lepiej jednak poczekajmy, aż cytadela padnie. Chodźcie, chłopcy, wyczyścicie moją damulkę – do roboty, tu jest wycior.

Ponownie popatrzył na pozostałości wału ochronnego.

– Hej, patrzcie! – krzyknął ktoś. – Szturmują.

Była to prawda.

Kiedy Andre de Foix ujrzał śmierć oficera w przystrojonym piórami hełmie, w otoczeniu garstki żołnierzy – zauważył również, że szereg włóczni za murem gwałtownie się zakołysał. To był świetny moment na atak, więc nakazał Gaskończykom monsignora de Gramont ruszać biegiem do ataku.

– Znakomity strzał – zauważył, patrząc na biskupa. – Garść złota człowiekowi, który obsługiwał tę armatę. Niech ktoś o tym pamięta. Labrosse! Wszystkie drabiny ustawicie pod wałem. Teraz liczy się szybkość. Nie zdążą odetchnąć. Na Naszą Panią, lordzie biskupie, chyba twój artylerzysta trafił Herrere albo tego pyszałka, który sprawił, że Herrera zmienił zdanie. To byłoby jeszcze lepiej! No proszę! Pierwsze drabiny już się wznoszą...

Napotkali na opór, ale niezbyt gwałtowny. Gotująca się ciecz wyczyściła dwie drabiny, ale postawiono trzy inne, a potem jeszcze pięć, a żołnierze wspinali się po nich niczym koty.

– Wasza ekscelencjo! – krzyknął Labrosse. – Proszę spojrzeć na flagę! Hiszpańską flagę!

– Mordieux – rzekł Andre de Foix. – Zmieniają barwy. Wał obronny jest pusty. Już po wszystkim. Co za udany strzał. Gdzie ten artylerzysta? Znakomicie. Znakomicie. Podjedź tam, Labrosse! Sprawdźcie, czy wszystko w porządku. Wiesz, jak bym sobie tego życzył. Aha, Labrosse! Jeśli jakimś cudem ten oficer w przystrojonym piórami hełmie jeszcze żyje, chcę się z nim zobaczyć. Potraktuj go tak, jakby był moim bratem. Dzielny człowiek. No już, ruszaj. Na Boga, ten naczelny profos to dopiero ma zimną krew, lordzie Gramont. Proszę bardzo, znowu kogoś wiesz.

Naprawdę udało się im zaciągnąć Ulego pod szubienicę, ale wokół panowało okropne zamieszanie. Niektórzy krzyczeli, że prawo powinno obowiązywać wszystkich bez wyjątku, inni mieli przeciwne zdanie.

– Ekscelencjo! Ekscelencjo!

Andre de Foix uniósł brwi. Dwaj artylerzyści przyprowadzili starego Pitoux, z ręką na temblaku.

– Co jest, Pitoux? Czyżbyś to ty obsługiwał armatę, która oddała ten szczęśliwy strzał.

Stary człowiek przełknął ślinę.

– Nie, ekscelencjo. Żałuję, lecz to nie ja. To ten

człowiek, ten, którego wieszają. Co za strata, ekscelencjo. To zbyt dobry artylerzysta, by skończyć na szubienicy i....

– Przerwać to! – krzyknął Andre de Foix.

Jednak naczelny profos albo go nie słyszał, albo nie miał pojęcia, że rozkaz dotyczy właśnie jego. Kontynuował pracę i raz jeszcze pętla znalazła się na szyi Ulego.

Dowódca ze złością spiął ostrogami konia i podjechał do szubienicy.

– Powiedziałem, przerwać to – powtórzył ostro. – Czyżbyś nie miał oczu ani uszu?

Naczelnny profos uchylił czapki.

– Ten człowiek to złoczyńca, ekscelencjo....

– Wszystko jedno, niech to będzie nawet sam szatan. Słuchaj, to ty oddałeś ten strzał.

– Tak, ekscelencjo – odparł Uli. Krew powróciła na jego oblicze.

– Wydawało mi się, że cię wieszali – zauważył monsignore de Gramont i pokręcił głową.

– Zgadza się, lordzie biskupie – przyznał Uh. – Teraz zaczęli mnie wieszać po raz drugi.

Dowódca wydawał się rozbawiony.

– Jak do tego doszło? – chciał wiedzieć.

Sierżant Garroux trącił Bernaca, który stał obok niego.

– Pora na nas – szepnął i razem z Varelem i Beauxregardem zaczął ostrożnie się oddalać.

– Najpierw zostałem fałszywie oskarżony –

powiedział Uli. – Potem skazano mnie na stryczek. Następnie upuścili mnie, gdy oddano pierwszy wystrzał z armaty. Ujrzałem, że lufa drugiej armaty została niewłaściwie podniesiona, i tego już nie mogłem zdzierżyć. Poszedłem tam i osobiście oddałem strzał.

Andre de Foix odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem, niczym uczeń.

– Nie mam pojęcia czy jesteś niewinny – odezwał się po chwili, przecierając oczy. – Jeśli jednak jesteś winny, skazano cię na stryczek tylko raz, nie dwa razy. Profosie, ten człowiek jest wolny. Jak się nazywasz. Dobrze. Przyjdź rano na spotkanie ze mną w domu burmistrza. I jeszcze jedno: przyznasz, że ten twój wystrzał to szczęśliwy przypadek?

Uli popatrzył mu prosto w oczy.

– Służyłem pod Frundsbergiem jako artylerzysta, ekscelencjo, zanim dostąpiłem zaszczytu służby pod pańskimi rozkazami.

– Dobra odpowiedź. – Dowódca pokiwał głową. – Może to nie był tylko szczęśliwy przypadek, zapewniam cię jednak, że ty jesteś wielkim szczęściarzem.

Raz jeszcze skinął mu przyjaźnie głową i zawrócił konia.

Uli się uśmiechnął. Był to dziwnie gorzki, cyniczny uśmiech. Szwajcar popatrzył na naczelnego profosa.

– Nie smuć się tak, przyjacielu – powiedział. – Jutro nie zabraknie ci pracy, powiesz sobie innych.

Potańszył. Sznur pozostawił na niej szeroką

czerwona pręgę.

– Dziękuję za duszenie. Oddajcie mi mój miecz i włócznie. Coś mi mówi, że będę ich potrzebował.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Tuż za placem Uli raptownie przystanął. „Proces” sprawił, że ominął go ogólny alarm, który ogłoszono, kiedy cytadela zerwała negocjacje. Tymczasem jego kompania przez cały czas działała. Pomyślał, że będzie musiał zameldować się u sierżanta Philipparta i wyjaśnić, co zaszło, przynajmniej częściowo.

Odwrócił się i ujrzał cień znikający za kolumnadą.

Garroux, albo jeden z jego ludzi. Obserwowali go.

Cóż, było to całkiem zrozumiałe. Myśleli, że pozbyli się go na dobre, a tymczasem nie tylko żył, ale zaskarbił sobie przychylność samego naczelnego dowódcy. Niewiele mogli teraz zdziałać, przy świadkach, ale później, po zachodzie słońca...

Dziś wieczorem zwycięska armia zamierzała się upić. To mogło dać im wspaniałą okazję. Ależ ta dziewczyna narobiła mu kłopotów. Przez nią musiał nieustannie rozglądać się wokół siebie, przynajmniej do czasu wymarszu z miasta.

Dziewczyna. Ją też mogli dopaść. Przecież tylko on i właśnie dziewczyna byli jedynymi pozostałymi przy życiu świadkami.

Nagle parsknął śmiechem. Garroux i jego kamraci byli dokładnie w takiej samej sytuacji jak on. Oni również przegapili zbiórkę i musieli dołączyć do swojej kompani.

W końcu znalazł swoich, kapitan de Brissac jechał na

czele żołnierzy na gniadoszu. Naturalnie cytadela się poddała, a dowódca nie potrzebował wszystkich oddziałów do rozbrojenia i strzelenia garnizonu.

Uli podszedł do kapitana i zasalutował.

Kapitan de Brissac zrobił coś, do czego, jak sądziła większość ludzi, nie był zdolny: uśmiechnął się. Jego zapadnięte policzki, nienawykłe do takich ruchów mięśni, zdawały się mieć z tym pewne problemy.

– Słyszałem o wszystkim – powiedział. – Chcę usłyszeć więcej. Masz.

Podał Ulemu złoty dukat. Żołnierz schował go w kieszeni.

– Dziękuję, kapitanie.

– Do szeregu. Zameldujesz się później.

Uli posłuchał rozkazu. Kątem oka patrzył, czy nie ujrzy gdzieś za kolumnadą Garroux albo któregoś z jego ludzi. Może jednak mimo wszystko się mylił.

Sierżant Philippart nic nie powiedział. Dopiero kiedy niemal dotarli do kwatery, jęknął:

– Mów prawdę, chłopcze. Nie kłam starcowi. Twój ojciec był Gaskończykiem, prawda?

– Nie, panie sierżancie. Był Szwajcarem. Czy Gaskończyk mógłby się nazywać Ulric von der Flue?

– Nie, nie mógłby. Co za ohydne nazwisko. Ale twoja matka była Gaskonką?

– Była Szwajcarką, panie sierżancie. Jak wszyscy moi krewni.

– Powinna być Gaskonką – oświadczył sierżant

Philippart ponuro. – Dlaczego chcieli cię powiesić?

– Na pewno chce pan wiedzieć? – spytał Uli lekkim tonem. Musiał zameldować się Brissacowi i miał przeczucie, jak pójdzie ta rozmowa.

– Zatrzymaj to dla siebie, skoro nie chcesz o tym gadać – mruknął sierżant.

Kilka minut później Brissac kazał ludziom się rozejść, i wrócił do własnej kwatery w *posadzie* „Królewskiego Domu d’Albret”. Do tego poranka była to „Infantka Kastylijska”. Kiedy wyzwoliciiele wmaszerowali do miasta, oberżysta wezwał w pośpiechu malarza i kazał mu zmienić nazwę. Kiedy ustalili wysokość zapłaty i malarz wgramolił się na drabinę, oberżysta prędko go powstrzymał.

– Nie zamalowuj tego, *estupido*. Poluzuj tylko gwoździe i zdejmij tabliczkę. Namaluj nową nazwę z tyłu i tak przybij.

Malarz popatrzył na niego pytająco.

– Rozumiem – powiedział. – Nie wierzysz, że to długo potrwa. Gdzie twój patriotyzm?

– Jestem równie dobrym patriotą jak wszyscy inni – odparł oberżysta z dumą. – I będę się modlił do świętych, żebym nie musiał znowu odwracać tej tabliczki. Ale jeśli będę musiał to zrobić, po co mam płacić ci dwa razy? A teraz rób, co nakazałem.

Uli kwaterował w znacznie skromniejszej oberży. Oberża „Pod Krzysztofem Kolumbem” zawdzięczała swą nazwę niezwykle entuzjastowskiemu właścicielowi dla

wielkiego odkrywcy. Oberżysta nawet posunął się do tego, iż wmawiał gościom, że Krzysztof Kolumb nocował tu kiedyś, gdy wyruszył z Hiszpanii do Francji na poszukiwanie sponsora swej wyprawy do Indii na drugiej półkuli. Oczywiście była to nieprawda, ale oberżysta umiał dobrze opowiadać, zwłaszcza że wzbogacił swą opowieść w wiele szczegółów na temat tego, co nosił znamienity gość i co powiedział. W pierwszych latach po wielkim odkryciu nazwa oberży magicznie przyciągała klientów. Było to jednak wiele lat wcześniej i z czasem zainteresowanie odległym kontynentem spadło. Zbyt wielu młodych udało się tam z wielkimi nadziejami i powróciło – jeśli w ogóle powracali – z gorączką, bez grosza przy duszy, ze śladami i wrzodami spowodowanymi nową chorobą, której nie umieli wyleczyć najlepsi specjaliści i która była niemal równie zaraźliwa jak dżuma. Ameryka wyszła z mody, podobnie jak Krzysztof Kolumb.

Uli jednak odkrył, że stary *posadero* to przyjazna dusza, pokój jest względnie czysty, jedzenie znośne, choć zbyt ostre, jak wszystko w tym kraju.

Był przeraźliwie głodny i dlatego pochłonął dwie porcje pieczonego barana w sosie czosnkowym, z papryką i kaparami, po czym zjadł solidny kawał koziego sera, a następnie przepłukał wysuszone gardło tanim, lecz nadspodziewanie czystym czerwonym młodym winem.

Przeciągnął się niczym wielki kot. Ten dziwny człowieczek, święty Franciszek z Asyżu, miał zwyczaj

nazywać swoje ciało „Brat Osioł” i bezlitośnie je traktować – znacznie gorzej niż traktuje się prawdziwego osiołka. Ja odbieram to inaczej, pomyślał Uli. Moje ciało jest wdzięczne, wręcz szczęśliwe, że żyje. Jest mu ciepło, czuje zadowolenie i jest gotowe na wszystko. Ale cała reszta...

Dotknął pręgi, która pozostała mu po zbiorowym wysiłku naczelnego profosa i jego podkomendnych.

Jeszcze chwila, i straciłby przytomność. Jeszcze dwie, i już byłoby po nim.

I co dalej?

Wzruszył ramionami. Na jego ustach znowu pojawił się gorzki uśmiezek. Zawołał *posadero*, zapłacił mu, zarzucił włócznię na ramię i powędrował do „Infantki Kastylijskiej”.

Kapitan de Brissac serdecznie go powitał.

– Celny strzał, chłopcze. Śmiem twierdzić, że zaoszczędził nam sporo problemów. Rozmawiał z tobą sam dowódca, prawda?

– Tak, panie kapitanie. Mam się zameldować jutro rano w siedzibie burmistrza.

De Brissac zmarszczył brwi i wymamrotał coś na temat wielkiego zaszczytu.

– Dlaczego chcieli cię powiesić? – zapytał znienacka.

– Zostałem skazany za coś, co zrobili inni, panie kapitanie – odparł Uli cicho.

De Brissac zaczął bębnić palcami o stół przed sobą.

– Inni – powtórzył. – Z mojej kompani?.

- Tak, panie kapitanie. Jeśli pan pozwoli...
- Chwileczkę – przerwał mu de Brissac pospiesznie.
- Nie powstrzymam cię od skargi, jeśli rzeczywiście pragniesz ją złożyć, ale już straciłem na tej przeklętej szubienicy trzech dobrych żołnierzy i postaram się, by bardziej nie przerzedzono moich szeregów. Ta wojna dopiero się rozpoczęła. Jeśli wymienisz nazwiska, będę musiał wezwać naczelnego profosa i rozpocząć stosowne procedury.
 - Rozumiem, panie kapitanie – odparł Uli nie bez goryczy w głosie.
 - A zatem żadnych nazwisk?
 - Żadnych nazwisk, panie kapitanie.
 - Dobrze. Doskonale. Naturalnie, dowódca może zapytać cię o to osobiście...
 - Wątpię, panie kapitanie.
 - Z nim nigdy nie wiadomo – prychnął. – A jeśli jednak zapyta?
 - Jeśli zapyta, myślę że jednak zdołam uniknąć wymieniania nazwisk – odparł Uli spokojnie.
- Jastrzębia twarz de Brissaca złagodniała.
 - Chyba jesteś naszym udanym nabytkiem. Wcześniej służyłeś w papieskiej gwardii, prawda?
 - Tak, panie kapitanie.
 - Dlaczego zatem odszedłeś? A może dlaczego musiałeś odejść?
 - Bo nie trzymałem języka za zębami, panie kapitanie.

– Jak to?

Uli wyraźnie się zawahał.

– Byłem wtedy bardzo młody...

– Teraz też nie jesteś stary. – Na twarzy de Brissaca pojawił się cień rozbawienia. – No, opowiedz, jak to było.

Szwajcar uniósł brodę.

– Sądziłem, że osoba, do której wszyscy zwracają się „Ojczyce Święty”, naprawdę musi być świętym człowiekiem, panie kapitanie. Okazało się jednak, że Jego Świątobliwość papież Leon X nie był święty, ani nawet szczególnie dzielny, choć jego imię pochodzi od Lwa. Był raczej jak... jak domowy kot. Miękki, mruczający kot.

Wąs de Brissaca drgnął.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego odszedłeś. Tak się nie mówi o papieżu, nawet jeśli... Nieważne. Tu ci lepiej, prawda?

– Tak, panie kapitanie. I wiem, że muszę trzymać język za zębami.

De Brissac pokiwał głową.

– Prawdopodobnie i tak cię stracę – mruknął. – Zbyt dobrze poradziłeś sobie z tą armatą, na pewno przeniosą cię do jednej z tych potwornych machinerii. Tym bardziej mam powody, by nie przersedzać własnych szeregów. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem, panie kapitanie.

– Doskonale.

Uli zaszalutował i wyszedł. Mordercy nie ponosili kary, kiedy byli potrzebni. Aż za dobrze wiedział, co by

się wydarzyło, gdyby wbrew ostrzeżeniom de Brissaca oskarżył Garroux i jego ludzi. Słowo pięciu przeciwko jego słowu – a poza tym Garroux był w łaskach de Brissaca. Kapitan nieco się przejmował, co Uli powie następnego dnia naczelnemu dowódcy, ale nawet gdyby oskarżył tych pięciu łotrów, i tak ostateczny werdykt pozostawiałby wiele wątpliwości... Mimo że teraz Uli był faworytem wielkiej osobistości. To prawda, że powiesili na placu tuzin mężczyzn, ale zdarzyło się to jeszcze przed upadkiem cytadeli. Atak na oczach wrogich mieszkańców byłby niewskazany. Musieli zademonstrować, jacy są sprawiedliwi.

Teraz, kiedy cytadela upadła, z pewnością sytuacja się zmieniła. Uli nie miał racji, gdy wspomniał profosowi o kolejnych egzekucjach. Z pewnością do nich nie dojdzie.

Garroux i jego ludzie mogli obecnie przejmować się tylko jednym: drugim świadkiem ich zbrodni.

Na ulicach Szwajcar widział grupki hiszpańskich jeńców, rozbrojonych i w eskorcie niewielkich oddziałów bajońskiej piechoty. Nie było wśród nich oficerów. Jeńcami zajmowali się żołnierze tej samej rangi, jak było w zwyczaju.

Zapadał zmierzch. Rzeczywiście, rację miał ten, co powiedział, że cudownie jest widzieć, jak następnego ranka wstaje słońce. Życie miało jednak swoją wartość, mimo papieża Leona X, mimo niesprawiedliwości, szubienic i morderców. Mimo Małgorzaty...

Nie mógł jednak dopuścić do tego, by dziewczyna wpadła w ich łapy. Nie zainteresowała go nawet w najmniejszym stopniu. Ot, ładna buzia, jak wiele innych. Bardzo młoda, zbyt młoda na takie widoki jak dzisiaj. Zbyt młoda na to, by zginąć z ręki Garroux, gdyż zagrażała jego bezpieczeństwu.

Osobiście nie miał nic do Garroux. Pamiętał stare szwajcarskie przysłowie: „Nie oczekuj od niedźwiedzia niczego, do czego nie jest zdolny”. Na świecie było mnóstwo takich Garroux, którzy mordowali z zimną krwią i bili w twarz człowieka, który miał związane ręce. Zabicie jednego nie miało sensu. Należało albo wytłuc ich wszystkich, albo dać im żyć.

Nie mogli jednak dorwać dziewczyny.

Może po prostu nie chciał, żeby jego wysiłek poszedł na marne. Może tylko o to chodziło.

Uśmiechnął się z satysfakcją, kiedy trębacze zadęli na ulicach, a tubalny głos ogłosił godzinę policyjną dla wszystkich oficerów i żołnierzy o dziewiątej wieczorem.

Najwyraźniej chcieli najpierw dopilnować więźniów, zanim wypuszczą swoich ludzi na ulicę. I bardzo dobrze. Przynajmniej dziś wieczorem Garroux i jego kompani nie będą węszyć. Chwilowo dziewczyna była bezpieczna.

Nagle poczuł się bardzo zmęczony. Poszedł do gospody, prosto do swojego pokoju i łóżka.

Takie łóżka były we wszystkich oberżach – zwykły siennik wypchany słomą i stare prześcieradło. Nawet kapitan de Brissac nie mógł Uczyć na nic lepszego.

Była zbyt młoda, by zginąć. A poza tym wzywała Najświętszą Maryję Pannę. Maryja Panna zawsze go wzruszała. Matka wszystkich tych, którzy matki nie mieli. Pomyślał, że chyba powinien się pomodlić. Uratował się od stryczka, a nawet nie odmówił modlitwy. Ale to nie Bóg mnie uratował, to moja własna wola, dodał w duchu. I to, czego nauczyłem się pod starym Frundsbergiem. Niewłaściwe odchylenie. Głupcy. Armatę trzeba traktować jak kobietę, a nawet lepiej.

Uratowałem się sam. Bóg nie musiał się fatygować. Sam wszystko sobie zawdzięczam.

Biednemu drobnemu księdzu o smutnych oczach wcale by się to nie spodobało. Wyglądał na poczciwca. Jak niektórzy.

Celny strzał.

Cóż, Boże – jeszcze nie mogę zadać ci tego pytania. Pewnego dnia jednak...

I zasnął.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Znakomity początek, prawda, lordzie biskupie? – spytał Andre de Foix. Był w doskonałym humorze, chociaż uznał łóżko burmistrza za obmierzłe, a jego kwaterę zupełnie nieodpowiednią dla oficera. Trudno jednak było uniknąć takich niedogodności na wojnie. Przeciągnął się i dyskretnie ziewnął.

Biskup Couserans uśmiechnął się.

– Należało jednak zająć kwaterę w pałacu wicekróla.

– Niemożliwe. Pałac jest w opłakanym stanie. Został całkowicie złupiony przez naszą lojalną, jednak zachłanną lokalną społeczność. Nawet pies nie chciałby tam zamieszkać. Dla odmiany muszę powiesić kilku tutejszych. Szkoda mi starego Najery. Nie jest bogaczem, co, jak mi mówiono, świadczy o jego uczciwości. Rzadka zaleta.

– Zastanawiam się, gdzie jest teraz książę Najery. – Biskup lekko zmarszczył brwi.

– No właśnie, szkoda, że go nie dorwaliśmy, prawda? Szczwany lis. Zbiegł w samą porę. Herrera twierdzi, że wysłał jedno z tych heroiczych poleceń: brońcie cytadeli albo gińcie. Łatwo wydać taki rozkaz, gdy samemu jest się bezpiecznym. Właściwie to nawet lubię Herrere. Jest bystry. Wie, ekscelencja, co powiedział? „Zrobiłem, co mi nakazano. Na szczęście książę dał mi alternatywę. Woląłem bronić cytadeli niż zginąć”. Teraz siedzi w

jednej z komnat moich ordynansów i pisze list z wyjaśnieniami do cesarza. Heroiczna obrona Pampeluny. Święci Pańscy! Przecenialiśmy tych Hiszpanów.

– Chciałbym wiedzieć, gdzie jest książę – oświadczył monsignore Couserans. – Odwagi mu nie brakuje. Nie jest również zdrajcą. Herrera to nie Hiszpan. A gdyby ten młody oficer nie został wczoraj ranny...

– A tak. To on był odpowiedzialny za opór. Co mi przypomina...

Dowódca potrząsnął srebrnym dzwonkiem, natychmiast pojawił się ordynans.

– Kto czeka na zewnątrz, Martin?

– Burmistrz.

– A niech czeka. Kto jeszcze?

– Przeor zakonu świętego Dominika.

– Za chwilę się z nim spotkam. I?

– Szwajcarski żołnierz, który upiera się, że wasza wysokość kazał mu się zameldować.

– No właśnie. Przysłać go. – Ordynans wyszedł. – Nie wolno rozczarowywać człowieka, który oddał nam przysługę – dodał Foix. Następnym razem może jej nie oddać. Niemal tysiąc dziewięciuset więźniów. Tego ranka dostałem pełne listy. Myślę, że najpóźniej jutro król Henryk może bezpiecznie wkroczyć do swojej lojalnej stolicy. Do tego czasu pałac zapewne będzie w nieco lepszym stanie. I proszę się nie niepokoić księciem Najery. Chyba wiem, gdzie go znaleźć.

– Zapewne już nie w Nawarze, jak mniemam –

powiedział biskup.

– W rzeczy samej. Zbiegł do Logrono. Lepsza forteca i mocniejszy garnizon niż w Pampelunie.

– To logiczne. – Biskup pokiwał głową. – I niebezpieczne. Wykorzysta Logrono jako punkt zbiorczy dla armii.

– Jeśli wasze kazania są równie rozsądne jak wasze rozumowanie, muszę pogratulować waszej diecezji, ekscelencjo. Najera jest w tarapatkach. Pisał do cesarza list za listem i nie doczekał się odpowiedzi. Częściowo dlatego, że przejęliśmy listy, a częściowo, gdyż Karol jest zbyt zajęty sprawami cesarstwa, by zawracać sobie głowę tą wojenką – i dzięki za to wszystkim świętym. A zatem wykorzysta Logrono jako punkt zbiorczy i będzie usiłował zebrać armię. Dlatego musimy go uprzedzić.

– Chcesz go zaatakować w Logrono, panie? – spytał biskup z niedowierzaniem. – Ależ to oznacza atak na Kastylię, samo serce Hiszpanii. Karol będzie musiał na to zareagować.

– A zatem mam czekać, aż Najera zbierze armię dość dużą, by raz jeszcze usunąć nas z Nawary? Muszę go zmiażdżyć, póki nie jest na to gotowy. Za dwa tygodnie, góra za trzy, będziemy tu z powrotem. Wcale nie mam zamiaru podbijać całej Hiszpanii. Muszę jednak na czas pokonać Najerę.

Dopiero wtedy zorientowali się, że nie są już sami w pomieszczeniu.

Wrócił ordynans i nerwowo przestępował z nogi na

nogę. Towarzyszył mu wysoki, szczupły żołnierz z włócznią niczym długi maszt i z oburęcznym mieczem, którym z pewnością nie pogardziłby sam Goliat.

Nie sposób było powiedzieć, ile tych dwóch słyszało z rozmowy – tym bardziej nie sposób było ich o to zapytać.

Uli doskonale się orientował, że jego przyście wprawilo w zakłopotanie obu dowódców. Zbyt długo już służył w armii, by nie mieć świadomości, że zbyt rozległa wiedza jest niebezpieczna, i usiłował wyglądać na głąba.

De Foix uśmiechnął się bez przekonania.

– Ekscelencjo – zaczął. – Wypada, bym nagrodził tego zacnego człowieka w twojej obecności. Zapewne należy do którejś z twoich jednostek, choć moim zdaniem nie wygląda na Gaskończyka. Skąd jesteś, dobry człowieku?

– Ze Szwajcarii, ekscelencjo.

– Mogłem się domyślić. Wy, Szwajcarzy, sprawiacie kłopoty już od czasów Juliusza Cezara. Jak sądzę, należałeś kiedyś do papieskiej straży...

– Tak, ekscelencjo.

A zatem kapitan de Brisśac uznał za stosowne wysłać raport do naczelnego dowódcy.

– Najwyraźniej jednak nie poszczęściło ci się u przełożonych – ciągnął uśmiechnięty de Foix. – Ojciec Święty chyba ci nie odpowiadał, wczoraj też ktoś był z ciebie niezadowolony. Tak, tak, wiem, że zostałeś niesłusznie oskarżony, ale nie wdawajmy się teraz w

szczegóły. Marnujesz się w piechocie? Nie zechciałbyś zostać sierżantem dowodzącym tymi trzema działami?

– Dziękuję, ekscelencjo.

– Załatwione. W stosownym czasie zamelduj się u Pitoux. Masz, weź... – Rzucił Ulemu skórzany woreczek, Szwajcar złapał go zręcznie. Woreczek był całkiem ciężki. – Dwadzieścia pięć dukatów – powiedział de Foix. – Nagroda za oficera, którego zranił twój strzał. Nawiasem mówiąc, powinieneś mu złożyć wyrazy szacunku. Przynajmniej tyle możesz zrobić, jeśli miażdżysz nogi człowieka kulą armatnią. Moi medycy usiłują utrzymać go przy życiu. Hola... – Nagle coś błysnęło w oczach de Foix, uśmiechnął się szerzej. – Zrobię dla ciebie coś jeszcze. – Wstał. – Oficer, którego postrzelełeś, to baskijski szlachcic. Don Inigo de Loyola y Licona. Dzielny człowiek. Chcę, by bezpiecznie dotarł do zamku swych przodków, gdy tylko będzie w stanie podróżować. Medycy twierdzą, że wkrótce okaże się to możliwe. Ty będziesz odpowiedzialny za transport rannego. To wielki zaszczyt, sierżancie. Właściwie powinienem zlecić to zadanie oficerowi, ale skoro to właśnie ty odpowiadasz za tę ranę, żeby sprawiedliwości stała się zadość, również i ty powinieneś się tym zająć. Ordynans, niech ktoś odprowadzi sierżanta do kwatery jeńca. Dopilnuj, by otrzymał niezbędne uposażenie na wydatki związane z podróżą. Sześciu ludzi i karetę bądź lektykę, jak tam zdecydują medycy. Wprowadź, proszę, tego zacnego przeora klasztoru dominikanów.

Uli wymamrotał podziękowania i został wyprowadzony. Dwadzieścia pięć dukatów stanowiło przyzwoitą nagrodę, do tego sierżant miał uposażenie pięciokrotnie wyższe niż zwykły żołnierz.

Stary Pitoux nie powinien stanowić przeszkody, a sztuka artyleryjska była znacznie bardziej interesująca niż inne zajęcia w armii. Jak dotąd, całkiem nieźle.

A co do pomysłu, by to właśnie on stanął na czele transportu rannego oficera...

Szwajcar wyszczerzył zęby. Sytuacja była oczywista. Zbyt wiele usłyszał, i choć Uli udawał durnia, naczelny dowódca postanowił nie ryzykować. Część oddziałów mogłaby się przerazić, gdyby żołnierze wiedzieli, że ich następnym zadaniem będzie inwazja Kastylii. Istniało również niebezpieczeństwo, że i wrogowie coś zwęszą, jeśli sprawa zbyt wcześnie wyjdzie na jaw. Lepiej było wysłać człowieka, który wiedział za dużo, z zadaniem tam, gdzie nie narobi szkód, przydzielić mu jakieś łatwe, ceremonialne zlecenie, jak eskorta rannego oficera do jego miejsca zamieszkania – nawet jeśli oznaczało to brak pierwszorzędno artylerzysty podczas zbliżającego się oblężenia Logrono.

Ordynans poprowadził go przez podwórze do niewielkiego białego budynku, gdzie mieściła się kwatera pojmanych oficerów. Przedstawił Ulego naczelnemu dowódcy straży, ponurakowi w średnim wieku z imponującym wąsem. Mężczyzna zwał się Breveux. Następnie ordynans wyszedł.

– A więc zamierzasz pozbawić mnie jednego z tych hiszpańskich pyszałków – mruknął Breveux. – Szkoda, że nie możesz zabrać ze sobą wszystkich. Dowódca tak się o niego troszczy, jakby miał do czynienia z rodzonym synem cesarza. Przydzielił mu trzech medyków. Jeniec musi mieć to, musi mieć owo. Co w nim takiego wspaniałego?

Szli teraz przez wąski korytarz.

– Jest tu. – Breveux wskazał głową drzwi na jego końcu. – Zabieraj go sobie i udanej podróży.

– Będę potrzebował karety albo lektyki – powiedział Uli. – Medycy zadecydują czym przewieźć rannego.

Breveux pokiwał głową.

– Obie nogi ma w kiepskim stanie. Nie narobi już zbyt wiele szkody w świecie. Hej, czy to nie ty wystrzeliłeś z działa? Tak myślałem. Trzeba było zadrzeć lufę o parę centymetrów, już byłoby po nim.

Uli nie widział potrzeby, by wyjaśniać temu nerwusowi, że strzał „kilka centymetrów wyżej” posłałby kulę w przestrzeń.

Uli wszedł do celi.

Breveux nie przesadził. W rzeczy samej, aż trzech medyków doglądało pacjenta, czy też raczej byli pograżeni z nim w rozmowie. Jeniec był całkowicie przytomny. Siedział podparty poduszkami, a gruby koc okrywał jego ciało od pasa w dół.

Uli patrzył na niego z zaciekawieniem. Kiedy ten człowiek upadł, obrońcy cytadeli się poddali. Musiało być

w nim coś niezwykłego.

Ujrzał pięknie wysklepioną czaszkę, jedynie czoło wydawało się zbyt wysokie, czyżby z powodu lekko rzadziejących włosów? Nie, przecież jeniec miał nie więcej niż trzydzieści lat. Ciemne oczy, nieco skośne, raczej ciężkie powieki, okazały, zgrabny nos i usta zaciśnięte tak mocno, jakby mężczyzna ten używał ich najwyżej raz w roku. Było oczywiste, że cierpi, był niemal równie blady, jak jego koszula. Musiał stracić naprawdę sporo krwi.

Jeden z medyków podszedł do Ulego.

– Przeszedłeś spytać o pacjenta? – chciał wiedzieć.

Uli skinął głową.

– Naczelnny dowódca nakazał mi zająć się transportem jeńca – wyjaśnił. – Gdy tylko będzie zdolny do podróży, mam zabrać go do domu.

– O, można go przewozić – powiedział medyk pośpiesznie. – Moi uczeni koledzy i ja zrobiliśmy wszystko, co możliwe, a pacjent bez wątpienia szybciej wyzdrowieje w znajomym otoczeniu. Naturalnie pod warunkiem, że zostanie mu zapewniona niezbędna opieka medyczna, co zapewne jest wykonalne, choć medycy w tym kraju... – Wymownie wzruszył ramionami.

Uli patrzył na niego ze źle skrywaną pogardą. Żywił zdrową nienawiść wytrawnego żołnierza dla medyków. Większość z nich stanowili bezduszni, nieskuteczni ludzie, którzy ukrywali ignorancję za murem łacińskiej paplaniny. Nazywano ich „nieprzyjaciółmi na tyłach”.

Może chcieli pozbyć się pacjenta, bo doszli do wniosku, że umrze im na rękach i obawiali się gniewu dowódcy, który tak bardzo interesował się dobrym zdrowiem rannego.

Tak czy owak, Uli musiał im wierzyć.

– Powinniśmy wziąć kareteę czy lektykę? – spytał uprzejmie.

Medyk zastanowił się nad tym.

– Doradzałbym lektykę – odparł, wydymając pulchne wargi. – Tutejsze drogi są w kiepskim stanie, a transport powinien przebiegać możliwie bez powikłań.

To przynajmniej brzmiało rozsądnie. Uli skinął głową i poszedł poinformować Breveux o ustaleniach.

– Lektyka, co? I jeszcze siedmiu ludzi, żeby jechał z pompą, jak hiszpańscy infanci. A niech ich wszystkich. Co jeszcze? Dobrze, dostanie lektykę. W domu burmistrza jest ich sporo.

Breveux oddalił się ciężkim krokiem i dokładnie w tej samej chwili zjawił się ordynans ze skórzaną torbą pełną pieniędzy na wydatki związane z podróżą.

Dowódca nie może narzekać na służbę, pomyślał Uli, gdy wrócił do kwatery jeńca. Przystanął w drzwiach.

Hiszpan siedział na łóżku i konwersował z medykami.

– Byli panowie niezwykle pomocni. Proszę przyjąć moją tarczę, sztylet i pancerz jako wyraz wdzięczności za waszą troskę i uprzejmość.

Dary były cenne. Medycy skłonili się, wychwalając

hojność rannego. Ulego uderzyły maniere młodego Hiszpana. Nie był wyniosły, arogancki, ale prawil kom-
plementy tak, jak władca wychwalający dobrych słuźących. Uprzejmość wydawała się wznosić niewidzialną barierę między nim a trzema lekarzami. Zareagowali instynktownie, kłaniając się, wycofując i życząc mu szybkiego powrotu do zdrowia, jakby pozostawali na jego usługach przez całe życie.

Uli przypomniał sobie, jak wiele lat wcześniej wielki kapitan szwajcarskiej gwardii, Kaspar von Silenen, powiedział, nie do Ulego, który w tamtych czasach był pacholęciem, lecz do wysokiego urzędnika papieskiego: „Hiszpanie mają dziewięćdziesiąt dziewięć sposobów okazywania uprzejmości, tak jak muzułmanie mają dziewięćdziesiąt dziewięć imion dla Allacha. Ale tylko co drugi Hiszpan będzie wiedział, na który sposób okazano mu uprzejmość. Ja nigdy nie poznam tej różnicy, jednej rzeczy jestem jednak pewien: co najmniej dziewięćdziesiąt z tych dziewięćdziesięciu dziewięciu sposobów to najzwyczajsze grubiaństwo, choć polukrowane. Nazywamy ich fałszywcami, lecz nimi nie są. W taki sposób się porozumiewają, oczekują też od człowieka, że zrozumie, i uważają go za beznadziejnego barbarzyńcę, jeśli tego nie pojmuje”.

Jaka szkoda, że nikt nie mógł powiedzieć teraz Ulemu, jakim rodzajem uprzejmości posługuje się Hiszpan. Medycy jednak widzieli tylko lukier i bardzo im zasmakował.

Uli otarł usta wierzchem dłoni. Z takim człowiekiem należało postępować formalnie. Odchrząknął, a gdy jeden z medyków odwrócił się ku niemu, Szwajcar powiedział:

– Nazywam się Ulric von der Flue, sierżant działonowy. Mogę prosić o przedstawienie mnie szlachetnemu kapitanowi?

Doktor był nieco zdumiony, ale zrobił, co mu nakazano, i po raz pierwszy młody kapitan popatrzył na Ulego. Skinął mu głową.

– Artyleria – powiedział. – Czy brałeś udział w ostrzelaniu cytadeli?

– Tak, panie kapitanie – odparł Uli cicho.

– Czy sam obsługiwałeś działo?

– Tak, panie kapitanie. – Zaczynało się robić niebezpiecznie.

– Który z trzech strzałów oddałeś?

Uli przełknął ślinę.

– Trzeci, panie kapitanie.

Hiszpan nawet nie mrugnął okiem.

– Gratuluję wyjątkowo celnego strzału, sierżancie – powiedział tylko uprzejmie.

– Bardzo panu dziękuję – odparł Uli. W jego głosie pobrzmiwał znacznie większy respekt niż wtedy, gdy Szwajcar rozmawiał z naczelnym dowódcą, ale nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Chętnie dodałby jeszcze kilka słów, by wyrazić żal z powodu bólu, jaki zadał Hiszpanowi, ale miał trudności ze sformułowaniem tej myśli. Wobec tego powiedział tylko: – Transport będzie

gotów za kilka minut, panie kapitanie. Poczekamy na zewnątrz.

– Znakomicie. – Hiszpan ponownie pokiwał głową, a Uli uznał, że jest wolny.

Zasalutował, odwrócił się i wyszedł.

Wędrując korytarzem pomyślał, że jeśli medycy przyłożyli się do pracy, ten Człowiek przysporzy jeszcze niektórym wielu kłopotów.

Za drzwiami natknął się na lektykę. Breveux wybrał sześciu krzepko zbudowanych mężczyzn, a Uli ponownie się przedstawił, tym razem znacznie mniej formalnie:

– Jestem sierżant von der Flue, odpowiadam za transport. Ruszamy za kilka minut.

Mężczyźni milczeli niechętnie. Pewnie nie mogli się już doczekać kilku dni, a może i kilku tygodni próżnowania w podbitym mieście i wcale im się nie podobało, że teraz przez dłuższy czas będą musieli dźwigać ciężkie nosze.

Uli zmrużył oczy. Do marszu na Logrono mogło pozostać jeszcze kilka dni, jeśli faktycznie de Foix zamierzał zrealizować ten pomysł. Tymczasem Garroux i jego ludzie mieli wolną rękę. Nawet jeszcze tego wieczoru mogli wyeliminować jedyne świadka, który im zagrażał.

Przez chwilę Uli zastanawiał się, czy ich nie poszukać i nie przemówić im do rozumu, ale zaniechał tej myśli. Pewnie wcale by mu nie uwierzyli, a zresztą w ten sposób sam mógł podsunąć im ten pomysł. Garroux był

podejrzliwym draniem.

Uli oparł się o włócznie i zaczął zastanawiać.

Nagle przyszło paru ludzi Breveux z noszami i sześciu mężczyzn odetchnęło z ulgą. Człowiek, którego mieli transportować, był smukłej budowy.

– Ostrożnie – powiedział UH. – W porządku. Tak panie kapitanie? – spytał, kiedy ranny przywołał go gestem ręki.

– Znasz drogę? – spytał Hiszpan cicho.

– Nie, ale pan zna, panie kapitanie – odparł Uli.

– Pójdziecie przełęczą z Val de Ollo do Gone. Potem miniecie wyżynę Lizarragi. Stamtąd skierujecie się do Urbasy, Olazgutii, Ozaety. Ominiecie port San Juan. Przez pasmo górskie Elguea dotrzecie do Onate i Azpeitii. Tam jest zamek. Możesz to powtórzyć?

Uli posłusznie powtórzył.

– Dziękuję – powiedział oficer grzecznie i oparł się na poduszkach.

Znakomicie, pomyślał Uli. Uśmiechnął się szeroko. Dobry sposób na sprawdzenie kondycji umysłowej człowieka odpowiedzialnego za transport. Ten Hiszpan nie był w ciemnię bity. Udawanie przy nim durnia nie miało najmniejszego sensu.

– Czterech ludzi wystąp – zakomenderował. – Lektyka w górę. Za mną.

Znał drogę do przełęcz w Val de Ollo. Armia przywędrowała właśnie tamtędy.

Nagle wiedział już, co robić.

Kiedy dotarli na róg Calle Valladolid, poczekał aż lektyka się z nim zrówna.

– Poczekacie tu przez kwadrans – zlecił najbliższej stojącemu żołnierzowi. – Pewnie do tego czasu wrócę. Jeśli nie, idźcie tędy, tamtą ulicą, a potem następną, aż wyjdziecie z miasta, i czekajcie na mnie przy ostatniej grupie domów.

Po tych słowach skręcili w lewo.

Dom, w którym wszystko się zaczęło, stał zaledwie kilkaset metrów dalej.

Nawet nie zadał sobie trudu, żeby zadzwonić, powędrował prosto do domu sąsiadów. Dziewczyna mówiła mu, że mieli na nazwisko... Padilla? Jakoś podobnie. Gdy podchodził do domu, ujrzał w pobliskiej bramie mężczyznę. Podszedł pośpiesznie i chwycił go za ramię. Był to człowiek, którego Garroux nazywał Bernac.

– Co ty tu robisz? – spytał Uli złowieszczym tonem. – Gdzie Garroux? Mów, człowieku, bo porachuję ci wszystkie kości.

– Ja... Ja... Ja... Chciałem tyll^o... Nie zamierzałem zrobić nic złego...

– Gdzie Garroux?

– Nie ma go tu. Kazał... Kazał mi... chciał...

– Gadaj. Co ci kazał?

– Dowiedzieć się, czy...

– Czy będzie świadek przeciwko niemu, a także tobie i twoim kompanom. Wracaj i powiedz mu, że on i ja nie potrzebujemy żadnych świadków. Jeśli znajdę go, a także

każdego z was, ścierwa, przy tym domu, skończę, co wczoraj zacząłem. A teraz się odwróć.

Kiedy Bernac posłusznie się odwrócił, Uli bardzo mocno kopnął go w pośladki. Bernac niemal sfrunął z tuzina schodków i padł na twarz.

– Wstawaj i won! – wrzasnął Uli.

Bernac posłuchał. Nawet nie obejrzał się za siebie.

Czy to wystarczy? Być może tak, być może nie. Garroux uzna za bardzo podejrzane, że Bernac spotkał „szwajcarskiego muła” tuż przed domem, w którym mieszkała dziewczyna. Może sobie pomyśleć, że Uli przyszedł po nagrodę za wczorajsze zwycięstwo.

Prychnął. Jednego był pewien: nie zapomnieli o dziewczynie.

Bernac już zdążył zniknąć mu z pola widzenia.

Uli przeszedł na drugą stronę ulicy i zapukał do domu rodziny Padilla. Może Bernac kłamał. Może Garroux połapał się, gdzie się ukrywa dziewczyna i był teraz w domu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Starszy mężczyzna, który otworzył drzwi, drżał.

– Dzięki Bogu to ty, panie – powiedział. – Dzięki Bogu, to ty.

– Dlaczego? Czy coś się stało? Ktoś usiłował się włamać?

– Nikt nie usiłował się włamać, nie, panie żołnierzu, ale ta biedaczka... Nie wiemy, co robić...

– Co się jej stało? – przerwał mu Uli.

– Próbowaliśmy wszystkiego, co w naszej mocy – zapewnił go starszy człowiek. – Nic jednak nie pomaga.

Uli głęboko odetchnął.

– Ona... Ona nie umarła, prawda?

Stary Padilla ze smutkiem pokręcił głową.

– Może byłoby lepiej dla niej, gdyby umarła. Obawiam się, że postradała zmysły.

Zapadło milczenie. Uli widział wiele kobiet, które postradały zmysły, gdy były świadkami tego, czego nie powinna oglądać żadna kobieta – tego, co niosła za sobą wojna. Przypomniawszy sobie młodą kobietę na Węgrzech. Siedziała na progu na wpół spalonego domu i wydawała z siebie kojące dźwięki do dziecka w ramionach.

Nikt nawet by nie pomyślał, że oszalała, tyle że dziecku brakowało głowy. Uli próbował porozmawiać z kobietą, ale tylko przytuliła do siebie bezgłowe maleńkie zwłoki i popatrzyła na żołnierza nic niewidzącymi

oczyma. Szaleństwo zawsze towarzyszyło przemarszom armii. Głód i zaraza przychodziły później.

Czasem takie kobiety odzyskiwały zdrowy rozsądek, czasem jednak nie.

– Gdzie ona jest? – spytał ochrypłym głosem.

– Umieściliśmy ją w pokoju Alonsa...

– Alonsa?

– To nasz syn, jest teraz w Salamance, tam studiuje. Może zdołasz jej pomóc, panie żołnierzu. Nie chce rozmawiać z żadnym z nas, chociaż się staraliśmy. Nie je. I obcięła włosy...

– Obcięła włosy?

– Tak. I włożyła na siebie stary strój Alonsa. Strasznie się baliśmy, kiedy się okazało, że zabrała nożyczki żony. Sądziliśmy, że zrobi sobie krzywdę, ale ona tylko obcięła włosy.

Uli ponownie pokręcił głową.

– Rzeczywiście wygląda na to, że oszalała – przyznał.

– Zastanawialiśmy się, czy nie sprowadzić księdza albo medyka.

– Księdza, nie medyka – wtrąciła señora Padilla, która do nich podeszła. Była wymizerowaną niewiastą, niespełna pięćdziesięcioletnią, o surowych ustach. – Ta dziewczyna jest opętana, i tyle. Opętana przez demona. Dziś rano przyrządziłam znakomite jajeczne danie, a ona nawet na nie nie spojrzała. I przez cały czas mamrocze do siebie. Opętana.

– Medyk mógłby więcej działać – upierał się jej

mąż. – Jeśli upuści małej trochę krwi, wróci jej zdrowy rozum. Właśnie o tym rozmawialiśmy, kiedy zapukałeś do drzwi, panie żołnierzu. Ale może zdołasz pomóc, kilka razy o ciebie pytała. „Gdzie ten wielki żołnierz z mieczem?”, powtarza.

– Nie ma co tu jej trzymać – dodała jego żona. – Mała wariatka. Nie wiadomo, co zrobi następnym razem. Może się podkraść, kiedy będę spała, i obciąć mi włosy albo poderznąć gardło. Zabraniam ci wzywać medyka, Mateo. Kiedy zaczniesz jej upuszczać krwi, dziewczyna wpadnie we wściekłość i pozabija nas wszystkich. Każdy wie, że nawiedzeni dysponują siłą swojego demona.

– To niemiła perspektywa – zgodził się Padilla. – Nie jesteśmy już młodzi...

– Gadaj za siebie – warknęła jego żona.

– No, nie tak młodzi, jak kiedyś, i całe to zamieszanie...

– Prowadźcie mnie do niej – powiedział UH cierpko.

Pokój znajdował się nieopodal. Padilla uchylił drzwi na tyle szeroko, by UH mógł się wśliznąć, po czym zamknął je za nim, bardzo pośpiesznie, gdy ujrzał, jak dziewczyna się odwraca.

Choć Uli był przygotowany na niespodziankę, zastany widok wprowadził go w szok. Szczupłe stworzenie, które patrzyło na niego, niewiele miało wspólnego z zapamiętaną przez niego dziewczyną. Miał przed sobą ciemnowłosego, ciemnookiego szesnastolatka o bladej, ściągniętej twarzy.

– Powiedzieli ci, no jasne – oznajmiło to dziwne stworzenie. – Ale czy gdybyś nie wiedział, rozpoznałbyś mnie?

– Wcale nie jestem pewien, czy i tak rozpoznaję – powiedział Uli.

Dziewczyna westchnęła.

– Dziękuję Pannie Maryi, że wróciłeś. Myślałam, że oszaleję.

– Oni... – Uli machnął głową – i tak myślą, że oszalałaś.

– Wiem. A ty co myślisz?

– Sam nie wiem – odparł szczerze. – Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego obciąłaś włosy i przywdziałaś ten strój?

– Tak jest lepiej.

– Podobno nie chcesz jeść.

– Czy to oznaka szaleństwa?

– Nie... Niekoniecznie. Ale gospodarze twierdzą też, że przez cały czas gadasz do siebie.

– Nie przez cały czas, ale rzeczywiście. Modliłam się. Czy trzeba być obłąkaną, żeby się modlić?

– I nie chcesz z nimi rozmawiać.

Dziewczyna popadła w zadumę.

– To także prawda – przyznała. – Niewiele mówiłam. Nie mogłam.

W jej głosie dał się słyszeć ból.

Uli spróbował ponownie.

– Dlaczego lepiej jest obciąć włosy i przebierać się za

chłopaka?

Dziewczyna wyraźnie unikała jego spojrzenia.

– Mogą wrócić – wymamrotała. Na jej twarzy widniało napięcie, zacisnęła usta z odrazą.

Z zadumą pokiwał głową.

– Mogą – przyznał. – Dlatego właśnie przyszedłem to sprawdzić.

– Chciałam uciec – wyznała zgaszonym głosem. – Zabrakło mi jednak odwagi. Przecież mogli czekać na zewnątrz...

Drżała. Wcześniej przez chwilę myślał, że nic jej nie jest, teraz nie był już jednak taki pewien.

– Może nie rozpoznałiby mnie – ciągnęła. – Może doszliby do Wniosku, że jestem chłopcem. Ale gdybym znowu ich zobaczyła... – zaczęła cicho łkać.

– Tak lepiej – powiedział Uli. – Wyrzucić to z siebie.

Jednak dziewczyna już nie płakała.

– Chcę stąd odejść – oznajmiła stanowczo. – Daleko.

– Dokąd chcesz się udać? – zapytał.

– Chyba do Barcelony – powiedziała nie bez wahania. – Tam jest mama.

– To bardzo rozsądny pomysł – przyznał Uli. – Jednak jak chcesz tam trafić?

– Sama nie wiem – westchnęła.

– Przede wszystkim, jak się tutaj znalazłaś? – chciał wiedzieć.

– Przywiozła mnie ciocia Mercedes, własną kareta. Ona... Ona... – znowu zaczęła szlochać.

Uli gorączkowo myślał. Pozostawienie dziewczyny w tym domu nie było dobrym pomysłem. Sąsiedzi i tak chcieli się jej pozbyć. Ale jak zawieźć ją do Barcelony? Gdyby zabrał ją do alkada... Ale ów czcigodny urzędnik miał mnóstwo innych spraw na głowie, armia okupowała miasto. Ksiądz? Nie znał żadnego księdza. Może dziewczyna znała. Co jednak miał zrobić? Trudno było obarczać księdza szesnastolatką, nawet przebraną za chłopca. Może jednak ksiądz znał kogoś, kto by się nią zajął albo zabrał do klasztoru, gdzie zadbałyby o nią zakonnice, do czasu, aż jakaś szacowna matrona udała się w podróż do Barcelony. Wszystko to jednak należało szybko zorganizować – nie mógł kazać swoim ludziom czekać przez całą wieczność.

– Posłuchaj, panienko – zaczął. – Znasz tu jakiegoś przyzwoitego księdza? Albo klasztor, który mógłby cię przyjąć?

– Znam tylko ojca Gomeza. To bardzo dobry człowiek. Kiedy się spowiadam, chichocze. Ma dziewięćdziesiąt jeden lat.

Perspektywa wyjaśniania dziewięćdziesięciojednoletniemu staruszkowi, dlaczego powinien zająć się szesnastolatką, sprawiła, że Uli aż się skrzywił.

– A klasztor?

– Nic nie wiem o żadnym klasztorze – odparła dziewczyna.

Może gospodarze coś wiedzieli.

– Chodź ze mną – powiedział.

Oczy dziewczyny załśniły.

– Bardzo ci dziękuję – powiedziała entuzjastycznie. – Wiedziałam, że mi pomożesz. Nie mogłam się doczekać, i za każdym razem, kiedy sądziłam, że już nie przyjdiesz, zamykałam oczy i wiedziałam, że jednak się zjawisz. A kiedy dojedziemy do Barcelony, moja matka...

– Zaraz, zaraz – przerwał jej Uli. – Nie tak szybko, panienko. – Podrapał się po głowie. – Nie mogę cię zawieźć do Barcelony, jestem żołnierzem, muszę słuchać rozkazów. Chciałem tylko powiedzieć, żebyś poszła ze mną teraz. Pogadam z twoimi gospodarzami. Może znają jakiś klasztor, który cię przyjmie.

Na twarzy dziewczyny pojawiło się rozczarowanie.

– Nie lubią mnie – powiedziała. – Myślą, że jestem szalona. Nie wiem, co zrobią, kiedy odejdiesz.

Ujrzał błysk strachu w jej oczach.

Nie myliła się. Kiedy wrócił do poczekalni z dziewczyną za plecami, zobaczył, że państwo Padilla stoją tam sztywno i ponuro, jakby spodziewali się, że uwolnią się od zbędnego ciężaru. Nie chcieli gościć pod swoim dachem obłąkanej dziewczyny. Dostrzegli żołnierza włóczącego się po ulicy: przetrzymywanie tu młodej sąsiadki było niebezpieczne. Naturalnie, klasztor to znakomity pomysł. Tuż za miastem miały swoją siedzibę franciszkanki: mniszki z pewnością chętnie się nią zaopiekują.

– Mogę zatrzymać ten strój? – zapytała dziewczyna.

Naturalnie, naturalnie. Alonso i tak z niego wyrósł. Niewielkie jednak było prawdopodobieństwo, że zakonnice pozwolą jej w nim chodzić.

Strój, w którym zjawiała się w ich domu, zwinęli w maleńki woreczek, i dziewczyna była gotowa do drogi.

Odmówiła jednak przyjęcia swojego stroju, więc Uli upchnął go do worka zwisającego z włóczni. Czuł dziwny niepokój, że przyjął na swoje barki odpowiedzialność, której może nie podołać. Jednak klasztor, o którym mówili państwo Padilla, znajdował się przy drodze wylotowej z miasta, więc nie mogło to zająć zbyt wiele czasu.

Kiedy państwo Padilla przekonali się, że lada chwila pozbędą się dziewczyny, ich niechęć nieco ustąpiła. Na pewno wszystko dobrze się ułoży. Mniszki były bardzo pocziwe, chętnie zajmą się nową podopieczną. Miały własnego lekarza, który je odwiedzał. Dziewczyna będzie bezpieczna do chwili, w której przyślą po nią krewni. Tak bardzo im ulżyło i tak żalosne były te krasomówcze popisy, że Uli musiał położyć im kres. Usłyszał jednak, jak dziewczyna mówi, nie bez szczerzej sympatii:

– Dziękuję bardzo za strój i za dobre chęci.

Potem wyszli, a państwo Padilla zamknęli za nimi drzwi.

– Posłuchaj mnie teraz – powiedział Uli szorstko, gdy odeszli od domu. – Postanowiłaś zostać chłopcem, i będziesz chłopcem, póki nie dotrzemy do tych zacnych mniszek. Nie drób. Idź jak chłopak. Dłuższe kroki.

Przestań tak wymachiwać rękami, opuść je i traktuj wyłącznie jak pożyteczne przedmioty. O, tak lepiej. Niedługo dołączymy do moich ludzi, a oni nie mogą wiedzieć, że jesteś dziewczyną. Co się z tobą dzieje.

– Nie wiem... Dziwnie się czuję...

Złapał ślaniającą się dziewczyną za kark.

– Czekaj, chyba wiem, co się dzieje. Trzymaj się. Mdleć mogą dziewczyny. Teraz jesteś chłopakiem, ale wygłodniałym. Posil się.

Z jednej z wielu kieszeni wyciągnął okazały kawał chleba, z drugiej starannie owinięty kawał aromatycznego sera.

– Jedz – polecił dziewczynie, która odetchnęła głęboko. – Powoli. Starannie żuj każdy kęs, albo dostaniesz skurczów żołądka.

Trzecia kieszeń kryła niewielki bukłaczek wina. Uli poluzował jego korek i przystawił go do ust dziewczyny.

– Trzy łyki wystarczą.

Kwaśne wino rozgrzało ją natychmiast, dziewczyna ze smakiem zabrała się dojedzenia chleba i sera. Rumieniec powrócił na jej policzki.

– Możesz już chodzić?

– Tak... Tak.

– No to chodź.

Mniszki nie od razu uwierzą, że mają do czynienia z dziewczyną. Nagle zachichotał.

– Nawet nie znam twojego imienia – zauważył.

– Juanita. Nazywam się Juanita Perez.

– Dopóki nie trafisz do mniszek, będziesz Juanem. Może iść nieco szybciej, Juan?

Uśmiechnęła się, i ten jej pierwszy uśmiech sprawił, że Uli już po raz kolejny zaczął się zastanawiać, z jakiej materii Bóg stworzył dziewczęta i kobiety.

Jednak uśmiech zamarł na jej ustach równie szybko jak się pojawił. Tonem rozczarowanego dziecka dziewczyna oznajmiła:

– Nie chcę iść do klasztoru. Chcę iść z tobą.

Uli pokręcił głową.

– Duzi chłopcy nie używają takiego tonu. Mów niższym głosem. I nie drób.

Nigdzie nie widział lektyki. No cóż, sprawa zajęła znacznie więcej czasu niż kwadrans. Po prostu żołnierze posłuchali jego rozkazów.

Niemniej się zaniepokoił i zaczął iść tak szybko, że dziewczyna ledwie dotrzymywała mu kroku.

Przechodnie patrzyli na tę parę z niejakim zdziwieniem, ale nic nie wskazywało na to, że przejrzeliby kamuflaż dziewczyny. Naprawdę wyglądała jak chłopak.

Nagle ujrzał lektykę na ramionach czterech ludzi. Pozostała dwójka zapewne szła z przodu. A więc tu byli, znakomicie.

Po paru minutach Uli i dziewczyna zrównali się z lektyką. Wtedy właśnie cały pochód mijał już ostatnie domy w Pampelunie. Gdzie leżał ten franciszkański klasztor, o którym wspominali państwo Padilla?

W końcu go dostrzegł i odetchnął z wyraźną ulgą.

Przez chwilę podejrzewał, że spanikowane małżeństwo skłamało, żeby pozbyć się jego i szalonej dziewczyny, jednakże duży biały budynek otoczony wysokim, bielonym murem bez wątpienia był klasztorem.

– Chodź ze mną, Juan – powiedział Uli.

Tragarze popatrzyli na niego, ale tylko machnął ręką, żeby szli dalej.

Dziewczyna nie miała najmniejszej ochoty iść do klasztoru. No cóż, Uli nie mógł jej pomóc, musiała tam trafić.

Uli pociągnął za sznur od niewielkiego dzwonka.

– Nie chcę do klasztoru...

– Cii... Będziesz słuchać rozkazów.

Nienawidził się za to, cóż jednak mógł zrobić?

Ależ te zakonnice były powolne. Ponownie zadzwonił.

– Pozwól mi iść z wami... Obiecuję, że będę słuchać rozkazów. Będę chodzić jak najszybciej. Poza tym umiem gotować.

– Mniszki to docenią.

Nigdzie jednak nie było ani śladu mniszek. Sytuacja robiła się kłopotliwa.

Zadzwonił po raz trzeci. Dzwonek zdawał się jęczeć pod wpływem uderzeń.

Nic się nie stało.

Kątem oka Uli zobaczył, że na ustach dziewczyny pojawił się nieśmiały uśmiech. Szwajcar ze złością zadzwonił po raz czwarty, długo i na tyle głośno, żeby

zaalarmować całą społeczność, nawet gdyby była pogrążona w głębokim śnie.

Wiedział, że mniszki nie śpią, również z kaplicy nie ; dobiegały żadne pieśni. Nie wątpił, że klasztor nie jest opuszczony. Z wąskiego komina unosiła się smużka dymu. Zakonnice gotowały swój popołudniowy posiłek, najwyraźniej pomoc dziewczyny nie była im do tego potrzebna. Nie czuł się tak bezradnie jak teraz nawet dzień wcześniej, gdy stał pod wałami cytadeli. Jednak żadnego działa nie dałoby się odpowiednio wycelować, by skruszyć mur kościoła. Najwyraźniej poczciwe mniszki dostrzegły jego włócznię i miecz, i postanowiły nie ryzykować.

Odwrócił się gwałtownie i ujrzał, że jego ludzie zatrzymali się i postawili lektykę. Wszyscy patrzyli wprost na niego. Pewnie ciekawiła ich ta sytuacja. Nic dziwnego.

Ruszył ku tragarzom, a dziewczyna, którą nazywał Juanem, podreptała za nim niczym piesek.

Czerstwy, rudowłosy żołnierz o ptasim nosie spytał szorstko:

– Czyżby sierżant myślał o tym, żeby włożyć welon zakonny?

Inni wybuchnęli śmiechem.

– Brać lektykę – warknął Uli. – Za mną.

Zerknął do lektyki i ujrzał, że Hiszpan śpi.

Uli ruszył na czele transportu, za nim rzekomy Juan. Dziewczyna trzymała brodę wysoko i nie drobiła. Widział

w jej oczach spokojną wesołość.

Nie musiał wyjaśniać obecności młodego chłopaka swoim ludziom. Sierżant to sierżant. Jak na razie nie zorientowali się chyba, że mają do czynienia z dziewczyną. Bardzo dobrze, że była taka chuda.

Postanowił pozbyć się jej przy pierwszej nadarzającej się okazji. Teraz jednak zdołała postawić na swoim.

To nie ona jest wariatką, pomyślał ponuro. To ja zwariowałem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Podróż trwała dłużej niż przewidywał Uli, ale nie była to wina dziewczyny ani Hiszpana. Juanita zachowywała się tak, jakby faktycznie urodziła się chłopcem. Rozmarzonym, cichym, delikatnym chłopcem, jednak chłopcem bez wątpienia. Mężczyźni zaakceptowali go bez trudu. Gotował ich posiłki, chyba że udawało się im trafić do oberży (a gotował całkiem dobrze), chętnie biegał na posyłki i był zdumiewająco dobry w czymś, o czym żaden z mężczyzn zdawał się nie mieć pojęcia – w zajmowaniu się rannym.

Chłopcy często trafiali do armii. Większość z nich służyła tam za doboszów albo trębaczy. Dlatego też nie było nic dziwnego w obecności Juana, choć wyglądem nieco się różnił od typowego chłopca, który zaciągał się do wojska, zwykle z najbiedniejszych rodzin, szczęśliwych, że pozbędą się choć jednej gęby do wyżywienia.

Uli dopilnował, by nie zadawano zbędnych pytań.

Gdy Juan nie musiał gotować, biegać na posyłki ani opiekować się Hiszpanem, trzymał się Ulego.

Nocami, kiedy obozowali na polu albo wypoczywali w gospodzie, miejsce rzekomego chłopca było przy rannym jeńcu. Wszystko to wydawało się całkiem proste i absolutnie naturalne. Niektórzy z mężczyzn sądzili, że Juan jest kuzynem Hiszpana, inni, że przydzielono go do

transportu jako pielęgniarza.

Sam Hiszpan zaś zachowywał się jak na prawdziwego *hidalgo* przystało.

Podczas całej podróży nikt nie usłyszał z jego ust ani jednego jęku, chociaż było jasne, że Hiszpan bardzo cierpi. Ciągłe podskakiwanie lektyki nie najlepiej robiło na świeże rany; znowu zaczęły krwawić i Juan kilkakrotnie musiał zmieniać bandaże. Uli obserwował go podczas tej procedury i dostrzegł łzy w oczach dziewczyny na widok straszliwie pokiereszowanej prawej nogi rannego. Była złamana, medycy złożyli ją i wsadzili w drewniane urządzenie, które musiało sprawiać mu nieustanny ból, ale zdjęcie konstrukcji mogłoby zagrozić procesowi zdrowienia. Lewa noga była ledwie draśnięta i goiła się całkiem szybko. Rzekomy chłopiec miał łzy w oczach, pacjent jednak nie. Nawet nie mrugnął przy zdejmowaniu sztywnych od krwi bandażu, jedynie zaciskał pięści. Tylko tak kodeks rycerski pozwalał szlachcicom wyrażać cierpienie. Nigdy nie zapominał podziękować uprzejmie chłopcu za jego usługi.

W Ozaecie musieli się zatrzymać na cały tydzień. Baskijskie drogi, wijące się po wzgórzach, okazały się ponad siły nie tylko pacjenta, ale także tragarzy. Przebywali w dziwnym kraju. Dzikie przepaści, małe doliny, dziwnie, wręcz śmiertelnie spokojne, co pewien czas kryta słomą chata, gdzieś na skale, jedyny znak ludzkiej obecności. Potem znowu rozległe pola albo niewielkie pasma lasu, pełnego przede wszystkim

kasztanów, dębów i buków.

Wozy ciągnięte przez woły i skrzypiące na zakurzonych drogach, a na tych wozach milczący ludzie o ostrych rysach twarzy. Uli usiłował z nimi rozmawiać, ale odpowiadali tylko kilkoma słowami w języku baskijskim – równie dobrze mogli wcale nie odpowiadać, pewnie nawet tak by woleli.

Naturalnie, przebywali na terytorium wroga, ale miejscowi nie byli ani wrodzy, ani przyjaźni. Zdawali się niczym nie interesować.

W Ozaecie było inaczej. Choć wioska nie należała do dużych, jej mieszkańcy znali rannego. Kobiety przychodziły z kwiatami do pokoiku, w którym go umieścili, w domu pewnego starszego małżeństwa. Grupka ponurych, milczących mężczyzn zdawała się czuwać nad nimi, choć nie byli uzbrojeni ani nie przejawiali najmniejszych oznak wrogości.

Właśnie wtedy Uli po raz drugi porozmawiał z Hiszpanem.

Dotychczas Hiszpan ograniczał się jedynie do powitania Ulego lekkim skinieniem głowy, uprzejmym, choć chłodnym, i do kilku uwag na temat stanu dróg oraz krótkiego sprawozdania na temat swojej kondycji, gdy go o to pytano. Szwajcar również nie kwapił się do pogawędki. Wielcy szlachcice nieszczególnie lubili rozmawiać z prostymi żołnierzami, nawet tymi w randze sierżanta. No a poza tym w końcu to właśnie on był odpowiedzialny za rany tego człowieka.

Dziwne, pomyślał. Gdyby nie wystrzelił z tej armaty, powieszono by go. A tak zamiast stryczka dostał dwadzieścia pięć – nie, dwadzieścia sześć – złotych dukatów, awans na sierżanta i przydzielono mu obowiązek zadbania o człowieka, którego postrzelił. Sprawiedliwości stało się zadość, oświadczył generał, cokolwiek to znaczyło. Co do sprawiedliwości: ten Inigo de Loyola Jakiś tam był jedynym dzielnym człowiekiem w całej cytadeli. Zapłacił za swoją odwagę ranami, które mogły zrobić z niego kalekę na całe życie. Czy to miała być sprawiedliwość?

Takie właśnie myśli wciąż pojawiały się w jego głowie i zawsze tylko wzruszał ramionami. Niewiele było sprawiedliwości na tym świecie, z pewnością nie na wojnie ani w polityce.

Jednakże w Ozaecie, po tygodniu wymuszonego postoj, rzekomy Juan przyszedł do Ulego.

– On chce cię widzieć.

UH zmarszczył brwi.

– O co chodzi? Nawrót choroby?

Byłby to wyjątkowo niefortunny zbieg okoliczności. Jeszcze wczoraj wszyscy mieli nadzieję, że wkrótce podejmą podróż.

– Nie, dziś czuje się całkiem dobrze.

– O co więc chodzi?

– Nie wiem.

Może wręcz przeciwnie, może chce, żebym odszedł, myślał Uli w drodze do pokoju Hiszpana. Jeśli tak,

podporządkuję się jego życzeniu. Transport lektyki przez połowę gór w Hiszpanii nie był wcale przyjemny. Gdyby chociaż te góry były takie, jak w jego ojczyźnie, przykryte śniegiem, lśniące w zachodzącym słońcu.

– Powinieneś zobaczyć góry w moim kraju, Juan – powiedział.

Dopiero wtedy zorientował się, że dziewczyna za nim nie idzie. Dziwne, przywykł już do rozmów z tą... z tym chłopcem. Nieczęsto się to jednak działo, przez większość czasu w pobliżu kręcili się inni. Może bardziej przywykł do jej obecności. Była jak wierny mały piesek. Dostrzegął, że kilka razy padała ze zmęczenia, ale wołała zacisnąć zęby niż się do tego przyznać. Może nauczyła się tego od Hiszpana. Może i Uli się czegoś od niego nauczy.

W półmroku Uli nie widział, czy Hiszpan wygląda lepiej niż ostatnio.

– Życzysz sobie czegoś, panie?

– Sierzancie von der Flue, będziesz tak miły, by odpo: wiedzieć na kilka pytań? – Wypowiedział cudzoziemskie nazwisko niezwykle starannie. Nic nie mogło być bardziej prymitywne, niż przekręcanie nazwiska człowieka, którego się o coś prosi.

– Naturalnie, panie. Jeśli tylko zdołam.

– Przebywam w tym pokoju od niemal tygodnia. Czy okolicą wędrowały jakieś oddziały?

– Nie, panie.

Hiszpan zamknął oczy.

Dlaczego o to pytał? Dlaczego zastanawiał się, czy

przez tę nieszczęsną wioskę maszerowały jakieś oddziały? Naturalnie, znajdowała się na drodze z miasta Guipuzcoa do rzeki Ebro i Saragossy. Za chwilę jednak pojawiło się następne pytanie.

– Odesłałeś część swoich ludzi?

– Nie, panie.

To było jeszcze dziwniejsze. Dlaczego miałyby odsyłać ludzi i, przede wszystkim, dlaczego interesowało to Hiszpana?

– Kilka razy byłem więc nieprzytomny i miałem gorączkę. Mam nadzieję, że podczas jej ataków nie paplałem zbyt wiele.

– Nie słyszałem ani słowa z twoich ust, panie – odparł Uli szczerze. – Chyba że właśnie teraz cierpisz na gorączkę. Tak, panie?

– Czuję się całkiem dobrze – usłyszał spokojną odpowiedź. – Myślę, że możemy kontynuować podróż, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Niezależnie od tego, w który z dziewięćdziesięciu sposobów to wyraził, Uli odczuł, że jest to raczej rozkaz niż sugestia.

– Znakomicie, panie – powiedział flegmatycznie.

Poszedł poszukać Juana. Dlaczego na litość Boską, Hiszpan zadawał mu te wszystkie pytania? Nagle Uli zatrzymał się i zaczął gwizdać pod nosem. No jasne. Don Inigo myślał o baskijskich oddziałach, maszerujących na pomoc hiszpańskiemu wicekrólowi w Logrono. Mogły przechodzić przez Ozaetę albo gdzieś w pobliżu. Hiszpan

chciał się upewnić, że żaden z Francuzów nie został odesłany, żeby powiadomić dowództwo o takich ruchach. Martwił się też, że być może wydał coś we śnie, kiedy gorączkował. Naturalnie. Ten człowiek przestałby być oficerem, dopiero gdyby ktoś rozwalił mu czaszkę na miazgę, nie nogi. Trzy pytania wystarczyły, by dowiedział się od Ulego wszystkiego, co go interesowało.

Uli zachichotał. Ten człowiek był niewiele starszy od niego samego, ale okazał się genialnym strategiem. Może pewnego dnia zostanie drugim Frundsbergiem i ludzie będą drżeli na sam dźwięk jego nazwiska.

Nigdy nie wiadomo. Nagle znalazł Juana”.

– Powiedz mi, czy don Inigo mówi przez sen?

Jakie wielkie oczy miał ten dzieciak!

– Bardzo niewiele. Zwykle powtarza imię.

– Jakie imię?

– Najpierw myślałem, że chodzi o jego siostrę, to brzmiało jak *Hermana*. Potem jednak nazwał ją swoją królową. To królowa Germaine, naturalnie.

– A co on ma z nią wspólnego?

– Kiedy spytałem, powiedział mi. W młodości był jej paziem. Na pewno była bardzo piękna. Sądzę, że ją kocha.

– Czy to królowa Basków?

Rzekomy chłopak spojrzał na niego z przyganą.

– Nie wiesz, kim jest królowa Germaine?

Uli uśmiechnął się szeroko.

– Od niedawna jestem w Hiszpanii. Wiem tylko, że nie może być żoną króla Karola.

– W rzeczy samej. Właściwie to wcale nie jest królową.

– Chwileczkę. Przed chwilą twierdziłeś, że nią jest. Nawet zganiałeś mnie za to, że jej nie znam...

– Była królową. Wyszła za króla Ferdynanda Aragońskiego, po śmierci królowej Izabeli. Potem zmarł król Ferdynand, a ona ponownie wyszła za mąż, za margrabiego Brandenburgii, gubernatora Walencji.

– Sporo wiesz o królewskich rodach, co?

– O tak. Ciocia Mercedes zawsze opowiadała mi...

Dziewczyna umilkła. Ujrzał, że smutek zasnuwa jej oczy i powiedział szybko:

– Nie zapominaj, że jesteś teraz chłopcem.

Lekko zadrżała, na jej ustach wykwitł cień uśmiechu.

– Nie zapominam – westchnęła.

– Tak lepiej. – Chociaż nie do końca. – Gdzie on poznał tę swoją królową Germaine? Jak sądzisz?

– W Madrycie. Przyjechał tam tuż po powrocie z Francji. Była księżniczką Foix.

Uli zaśmiał się cicho.

– Co oznacza, że jest krewną mojego generała. Tak to już pewnie bywa z królami, królowymi i księżniczkami. Mogą się żenić wyłącznie między sobą i koniec końców wszystkie dwory Europy są spokrewnione. Potem muszą ze sobą walczyć, a prosty człowiek ma problemy z odróżnieniem, co jest co, i kto stoi po czyjej stronie.

– On ją chyba bardzo kocha – powiedział Juan” ponownie. Przez chwilę wcale nie wyglądał jak chłopiec.

– Powiedział ci to?

Juanita wydawała się zaszokowana.

– No to niby skąd możesz wiedzieć, że ją kocha?

– Ze sposobu, w jaki wymawia jej imię w gorączce.

Zupełnie inaczej niż wtedy, gdy jest przytomny.

Uli pokręcił głową. Dziewczyna uśmiechnęła się do niego.

– Nadal uważasz, że jestem szalona? – zapytała cicho.

– On kocha królową – odparł Uli szorstko. – Królowa jest Francuzką, poślubioną niemieckiemu arystokracie, który jest gubernatorem Hiszpanii. Jej kuzyn właśnie najechał Hiszpanię. Ja jestem Szwajcarem walczącym dla Francuzów, którzy z kolei walczą dla Nawarry. Wszyscy jesteśmy szaleni, dlaczego ty masz stanowić jakiś wyjątek?

Tym razem jej spojrzenie było pogodne, a uśmiech całkiem szeroki. UH klepnął rzekomego Juana w ramię.

– Wyruszamy – oznajmił i zaczął zwoływać ludzi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Było bardzo cicho. Wręcz niewiarygodnie. Słyszał tylko śpiew bólu, pulsowały mu skronie.

Nie słyszał już szurania stóp, stale obecnego w niekończącej się podróży. Szybka, szczekliwa mowa tragarzy, ich szorstkie żarty, wulgarne przekleństwa – wszystko to należało już do przeszłości.

Czekano na niego w Anzuoli: czekał jego brat Pero Lopez, ksiądz Azpeitii, czekał Martin de Iztiola, lekarz. Na starym moście Loyolów w Azcoitii przyłączyła się do nich Magdalena de Araoz razem ze swoimi córkami i młodym Beltranem. Ależ on wyrósł! Razem pokonali ostatni odcinek drogi do zamku. Wydawał się nie mieć końca, jednak najgorsze dopiero ich czekało – wstrząsy, gdy mijali wąskie wejście i wspięli się po stromych schodach na ostatnie piętro, gdzie Magdalena przygotowała dla niego łoże z baldachimem. W porównaniu z tym wyprawa przez góry wydawała się błahostką. Pokonanie każdego schodka sprawiało mu autentyczny ból.

Odpoczynek tutaj przypominał chwilowe wytchnienie w czyścicu.

Magdalena dopilnowała, żeby autentycznie wypoczął. Rzadko zdarzały się kobiety jednocześnie inteligentne i dobre. Zabrała ze sobą doktora. Wyczuła, że Inigo musi być przez chwilę sam.

Nie musiał jej mówić, co powinna zrobić z francuskimi żołnierzami. Sama to wiedziała. Mieli dostać jedzenie, wino i wszystko, czego im było trzeba.

Mimo to i tak musiał porozmawiać o nich z Magdaleną.

Nie teraz jednak. Nie teraz.

Przynajmniej był w Loyoli. Uśmiechnął się półgębkiem na widok masywnego, ponurego budynku z uroczymi wieżyczkami, na wzgórzu z widokiem na rzekę Urola.

A teraz przebywał w „pokoju z baldachimem”, jak nazywali go w dzieciństwie, czyli w głównym pokoju dla gości, o niskim suficie z ciężkich belek i z dwoma oknami wykutymi w mauretańskiej cegle. Jedno okno, od północy, wychodziło na Izarraitz z kopalniami marmuru i dębami, drugie na wschód, na dolinę i ogrody Azpeitia, z kaplicą Naszej Pani z Olaz i parafialnym kościołem.

Chciał ujrzeć to wszystko ponownie.

Teraz jednak ogród, kaplica i kościół były niewidoczne, ukryte za listowiem olbrzymiego dębu.

Lekki wietrzyk przynosił do pokoju aromat słodkich jabłek.

Odetchnął głęboko. Jego usta zacisnęły się, a ręka wyciągnęła do srebrnego dzwoneczka, który Magdalena położyła na stoliku obok łóżka.

Przybyła natychmiast, a razem z nią lekarz.

– Gdzie Martin? – zapytał Iñigo.

Martin był jego najstarszym bratem, głową rodziny i

małżonkiem Magdaleny.

– Ostatni raz dał nam znać z Logrono – odparła Magdalena.

Ínigo z zamyśleniem pokiwał głową. Logrono. Właśnie tam przebywał teraz wicekról. I on by się tam znalazł, gdyby nie jego pospieszna decyzja dotycząca przyłączenia się do obrońców cytadeli.

– Gdzie jest Pedro de Zabala?

– Konsul Azpeitia ustanowił go dowódcą milicji. Wyjechał trzy dni temu.

– Jakie ma siły?

Lekarz zaczął protestować, ale bez przekonania – zbyt dobrze znał rodzinę Loyolów.

– Tysiąc stu ludzi – odrzekła Magdalena cicho.

Tysiąc stu. Martin miał trzy i pół tysiąca, jednak żadnych artylerzystów. Działa to nie wszystko, nie w tych czasach.

Zaczął pośpiesznie kalkulować. Do tego czasu książę Najery z pewnością ściągnął wszystkie okoliczne garnizony. Był jeszcze kontyngent markiza de Lary...

Jednak liczby opierały się jego umysłowi. Nie chciały się dodawać, na chwilę pokój zawirował.

– Doprawdy... – odezwał się doktor Iztiola.

Don Ínigo uniósł dłoń.

– Francuzi – powiedział z niemałym wysiłkiem. – Francuzi, którzy mnie tu przytransportowali... Dopilnuj, żeby dostali przewodników... dzięki którym nie natrafiają na nasze oddziały. Nie mogą nic zobaczyć... Po powrocie

przecież się zameldują.

– Naturalnie – przytaknęła Magdalena. – Dobrze cię traktowali?

– Tak. Robili, co mogli. Zwłaszcza ich dowódca i... ten chłopiec. Doktorze, jestem teraz do twojej dyspozycji...

I z tymi słowami na ustach zemdlał. Sprowadzono jeszcze dwóch medyków, kiedy de Iztiola uznał, że należy bez zwłoki przeprowadzić operację. Francuzi bardzo kiepsko się spisali, bez wątpienia przez swoją ignorancję, nie celowo, jak wspaniałomyślnie oświadczył de Iztiola. Nogę należało złamać i nastawić ponownie.

Don Inigo uprzejmie pokiwał głową. Odmówił picia wina razem z makiem, które chcieli mu podać. Takie znieczulenie było dobre dla kobiet.

Wpatrywał się w drewniane belki na suficie i wbił paznokcie w dłonie, kiedy zaczęła się jatka.

– Najważniejsze, żeby nie było żadnych deformacji – oświadczył.

Uczeni medycy popatrzyli po sobie, a następnie wymamrotali, że zrobią wszystko, co tylko w ich mocy.

– Żadnych deformacji – powtórzył pacjent lodowato.

I więcej się nie odezwał.

Magdalena oraz ojciec Pedro Lopez czekali przed drzwiami, w takich wypadkach zawsze lepiej mieć pod ręką duchownego.

Zza drzwi nie dobiegał żaden dźwięk.

Na szczęście ojciec Lopez nie był potrzebny.

Cztery dni po operacji lekarze nadal nie byli usatysfakcjonowani. Po krótkiej naradzie z uczonymi kolegami de Iztiola wrócił do chorego.

Pacjent był całkowicie przytomny, ale w gorączce.

Ptasia twarz baskijskiego lekarza wydawała się całkiem pozbawiona wyrazu.

– Don Iñigo, warto by przyjąć Wiatyk.

Pacjent spojrzał na niego kamiennym wzrokiem.

– To pewne czy jedynie możliwe?

– To nie jest pewne, don Iñigo.

Pacjent pokiwał głową.

– Przyślij mojego brata Pero.

Przyjął ostatnie namaszczenie z godnością rycerza najwyższego władcy.

Jak to się często zdarza, po Wiatyku poczuł się lepiej. Potem znowu przyszła gorączka, ale don Iñigo wciąż trzeźwo myślał. Wyższa temperatura ciała zdawała się wręcz przyśpieszać tok jego myśli.

Król Karol... Niezrozumiałe, że nie reagował na wiele wiadomości wysyłanych przez księcia Najery. Jako cesarz musiał wysłuchiwać informacji o troskach całego świata, naturalnie, a tych nie brakowało, zwłaszcza w Niemczech, gdzie szalony mnich o nazwisku Luter postanowił postawić się ponad Kościołem i został wykorzystany przez książąt.

Jednak jeśli cesarz zapomniał, że przede wszystkim jest władcą Hiszpanii, mogło się to okazać fatalne w skutkach. To prawda, Karol był młody, ale miał dobrych

doradców, takich jak Adrian z Utrechtu, który czuwał nad edukacją władcy.

Posłaniec po posłańcu i żadnej odpowiedzi. Francuzi podchodzili coraz bliżej, teraz już z całą pewnością zdawali sobie sprawę z istnienia *comuneros*, buntowniczego, agresywnego ruchu przeciwko przywilejom szlachty. Całkiem możliwe, że *comuneros* zawarli tajny układ z Francuzami. Było to nawet całkiem prawdopodobne, jak twierdził sam książę.

Co za nieszczęście, że wicekról musiał opuścić Pampelunę. Była to ucieczka, nawet jeśli władca twierdził, że zanim wypuści się pocisk z hakownicy, należy odciągnąć sznur. To nie była dobra pora na aforyzmy, tylko na działanie.

Zaledwie tydzień wcześniej Iñigo bardzo prosił o posiłki z Guipuzcoa, książę udzielił mu pozwolenia. Iñigo poruszył całą prowincję – za nim i za Martinem ruszyło trzy i pół tysiąca ludzi. Właśnie docierali do Pampeluny, kiedy okazało się, że wicekról uciekł.

Co gorsza, miasto już zdążyło rozpocząć rokowania z Francuzami. Naturalnie, stacjonowały tam niespełna dwa tysiące ludzi. Lojalność obu miast oraz cytadeli była tak wątpliwa, że Martin nalegał na wycofanie swoich ludzi. Może miał rację – nie ma nic gorszego niż dać się złapać w dwa ognie. A jednak było to nie do przyjęcia, po prostu nie do przyjęcia.

Martin był głową rodziny. Martin był dowódcą Guipuzcoan. Nie mógł jednak odmówić Iñigo dwóch

setek ochotników, o które ten prosił.

Miasto słabło. Większość ludzi popierała Francuzów ze względu na ich marionetkowego króla. Ínigo wiedział, że może zostać złapany, nawet zanim jeszcze zdoła się dostać do cytadeli.

Dlatego też gnał przez miasto z olbrzymią prędkością, przyłbicą opuszczoną na twarz, tarczą na ramieniu i nagim mieczem w dłoni. Dwie setki ludzi podążały za nim. Sam ich wjazd do cytadeli miał napełnić jej obrońców nową odwagą i faktycznie tak się stało, choć nie potrwało to zbyt długo. Dwie setki ludzi, podczas gdy Francuzów było ponad dwa tysiące. Ale musieli go słuchać, a przynajmniej konsultować się z nim – był posłem wicekróla.

– Brońcie cytadeli lub gińcie!

Don Francisco Herrera nie był całkiem pewien, czy to rozkaz wicekróla, ale na szczęście nie drążył tego tematu. Herrera był szczwanym lisem i tak się zachowywał.

Lis jednak broni swojej nory, czyż nie?

Czy hiszpańska forteca miała poddać się wrogowi bez jednego wystrzału?

Nie, jeśli Ínigo był jednym z obrońców, choćby i najmniej istotnym. Brońcie cytadeli lub gińcie. Brońcie cytadeli lub gińcie.

Jak krzyczeli! Umilkli jednak na widok wojsk nieprzyjaciela. Było ich mnóstwo, a drabiny trzeba odpychać. To jasne, przecież wróg się po nich wspina!

Odpychać drabiny.

Coś syczało niczym szerszeń, diabelski szerszeń, ktoś

krzyczał: „Uwaga!”, i nagle mur rozpadał się na kawałki, a ból... Nie wolno im opuszczać flagi, oszaleli?

Teraz był w Loyoli, w pokoju z baldachimem.

De Iztiola dał mu coś do picia, coś chłodnego...

Płonał. Nie mogą pozostać żadne deformacje. Nie mogą pozostać żadne deformacje.

Dlaczego wszyscy zdawali się tacy zatroskani?

Trzeba poruszyć prowincję, niech zaciągnie się każdy mężczyzna, który może udźwignąć broń. Król się dowie.

Będę służył mojej pani, mojej pięknej królowej. Złożę u jej stóp swoje uczynki.

Muszę jechać. Przygotujcie mi konia. Ogłuchliście? Konia.

Tym razem siedziało wokół niego trzech mężczyzn, trzech medyków o poważnych, surowych obliczach.

Don Ifiigo de Loyola popatrzył na de Iztiolę.

– Czy to nadal nie jest pewne?

– Jeśli twój stan nie poprawi się do północy, panie, to pewne – odpowiedział medyk bez najmniejszego wahania w głosie.

Pacjent wyjrzał przez okno. Słońce stało wysoko. Słyszał z oddali ciche dźwięki kościelnych dzwonów.

Dlaczego biją dzwony?

– To wigilia dnia świętego Piotra.

Święty Piotr... Patron kaplicy w Loyoli.

Święty Piotr, patron rycerzy, który wyciągnął swój miecz w obronie Króla królów.

Miał sprzymierzeńca. Postanowił bronić cytadeli.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

– Szkoda, że nie zobaczyliśmy się z nim przed wymarszem – powiedział rzekomy Juan.

– Mówili, że był nieprzytomny – mruknął Uli.

Patrzył przed siebie, gdzie dwaj baskijscy przewodnicy na mułach znowu skręcali w lewo. Z całą pewnością nie była to droga, którą przybył tu transport.

Juan westchnął głęboko.

– Nie sądzisz chyba, że on... – Nie odważył się wypowiedzieć ostatniego słowa.

– Może umrze, a może nie – odparł Uli filozoficznie.

– Wszyscy musimy kiedyś umrzeć, parę lat w tę czy we w tę nie robi różnicy. – I dodał po chwili: – Ta cała podróż okazałaby się okropną stratą czasu, gdyby kilka dni po przybyciu na miejsce miał umrzeć.

Może droga, którą prowadzili ich przewodnicy, faktycznie była krótsza, jak się upierali.

– Szkoda, że lepiej nie zajmowałem się jego ranami – oznajmił Juan. Jego blade usta lekko drżały.

Uli parsknął śmiechem.

– Dbaleś o niego niczym mateczka, chłopcze. Nie pamiętasz, co powiedziała ta zacna dama, którą nazywali dofią Magdaleną? Chyba ładnie cię pochwaliła.

„Chłopiec” spłonął rumieńcem. Dama o mocnej, orlej twarzy ujęła jego dłonie w swoje.

– Dobrze się zająłeś rannym, señorito. Don Ínigo

wszystko mi opowiedział. Bóg tego nie zapomni, a i my będziemy pamiętać.

– To niezwykle silni ludzie – odezwał się Juan z zadumą.

– I nie lubią zbyt wiele gadać – dodał Uli sucho. – Dlatego czasem trudno się połapać, co myślą. Francuzów łatwiej rozgryźć.

Przewodnicy zniknęli teraz z ich pola widzenia, ale tylko dlatego, że skręcili za wzgórze, które zasłaniało widok.

– Tobie też dziękowali – zauważył Juan. W jego głosie dał się słyszeć wyrzut. – Dali nam jedzenie, przewodników i wszystko.

Uli pokiwał głową.

– Zachowali się przyzwoicie, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że to ja go zraniłem.

Juan zatrzymał się raptownie i popatrzył na niego szeroko rozwartymi oczyma.

– Ty? Ty go postrzeliłeś?

– Tak. To znaczy trafiła go armata, którą obsługiwałem.

– Ale... Nigdy mi nie mówiłeś...

– Po co? Drogi chłopcze, nawet tobie musiało się obić o uszy, że na wojnie ludzie strzelają do innych ludzi. I nie wierz nikomu, kto twierdzi, że przed wynalezieniem dział było lepiej, gdyż to nieprawda. Liczy się nie tyle to, co cię trafi, ile gdzie dostałeś. Nasz hiszpański przyjaciel dostał w nogi. Bywają gorsze miejsca, możesz mi

wierzyć.

– Sądysz, że będzie jeszcze mógł chodzić?

Przewodnicy znów się wyłonili z za wzgórz i zmierzali prosto do lasu, który majaczył na horyzoncie.

– Zależy od medyków, jak sądzę. Większość z nich to rzeźnicy. Nawet jeśli jednak doktorzy są dobrzy, raczej nie poprowadzi już swoich ludzi na bitwę. I dobrze...

– Jak to?

– To ten typ człowieka, który wcześniej czy później zostanie generałem. Widziałem już takich. A na każdego generała przypada tysiąc zabitych. Tylko najlepsi z najlepszych wiedzą jak wygrać bitwę bez kilku tysięcy trupów. Może on byłby jednym z tych nielicznych, nigdy nie wiadomo. Teraz jednak zostanie ziemianinem. – Uśmiechnął się. – Chyba po raz pierwszy zastanawiam się, jaka przyszłość mogła czekać człowieka, którego wyeliminowałem z walki. A właściwie co mnie obchodzi, czy za jakiś tuzin lat Hiszpanie będą mieli dobrego generała, czy też nie?

Juan wpatrywał się w niego z uwagą.

– Może obchodzi cię to dlatego, że ponownie musiałbyś stanąć z nim do walki – zauważył.

Uli parsknął śmiechem.

– Albo służyć pod nim. – Wzruszył ramionami. – Kto wie, kto wtedy mnie najmie? Służyłem już Francuzom i przeciwko Francuzom, z księciem łobuzem, który był wrogiem niewiele lepszego hrabiego. Służyłem już zacnej Kolonii, kiedy weszła z zatarg z zacnym Mainz, nawet

wziąłem udział w kampanii przeciwko Turkom...

– Ale to z pewnością było słuszne. – Juan zmarszczył brwi. – Walka z niewiernymi...

– Też tak uważałem. – Uli pokiwał głową. – Byłem wtedy bardzo młody i bardzo głupi. Tak pięknie mówiono o nowej krucjacie i świętej wojnie, w zacnym mieście Landshut. Książę obiecał piętnaście tysięcy dukatów, jeśli zgromadzi dwa tysiące ludzi przeciwko Turkom. Zgromadził, byłem jednym z nich. Przybył cesarski poseł i wygłosił płomienną mowę. Nie to jednak było najważniejsze. Przywiózł ze sobą piętnaście tysięcy dukatów i to było ważne, gdyż księciu skończyły się pieniądze. Od razu po wyjeździe posła, książę wziął sobie nową kochankę, której bardzo pragnął – drogi chłopcze, nie masz pojęcia, jak kosztowne bywają kobiety – i szybko nas rozgoniono.

– Ale... Ale to oszustwo! – wykrzyknął zbulwersowany Juan.

Uli przytaknął ze smutkiem.

– Tak by było, gdybyś ty to zrobił albo ja – powiedział. – Kiedy jednak czyni tak książę, to się nazywa: względy praktyczne.

Splunął.

– A zatem prości ludzie są lepsi od tych wielkich – zauważył Juan.

– Wątpię – zaśmiał się Uli. – Jest ich tak wielu, nie da się mówić za wszystkich. Z tego jednak, co widziałem, zaświadczam, że większość zachowałaby się tak samo

albo jeszcze gorzej, gdyby tylko miała okazję. Często człowiek jest dobry tylko dlatego, że nie miał okazji postąpić źle. Albo dlatego, że zabrakło mu odwagi, by zrobić to, na co miał naprawdę ochotę. Albo dlatego, że był zbyt leniwy, zbyt opieszwały, żeby być chytrym. A kiedy jeden z tych prostych ludzi zdobywa władzę... Ufff. Zawsze jest gorszy niż ktoś szlachetnie urodzony. Czyni innym prostym ludziom dokładnie to, co sam cierpiał, gdy był jednym z nich. I zna wszystkie sztuczki.

Dziewczyna pokręciła głową.

– A zatem w ludziach nie ma żadnego dobra? Ojciec zawsze powtarzał, że jest, i wszyscy go kochali, zarówno książęta, jak i prosty lud. I ty sam też jesteś dobry. Gdyby nie ty...

– Ja? Dobry? – Uli poczuł się lekko rozbawiony. – Bo trzasnąłem tego wieprza Garroux, kiedy cię dopadł.

Lekko zbladła, ale szybko odzyskała równowagę. W końcu uda się jej z tym uporać, pomyślał.

– Nie chodzi tylko o to. – Jej głos był spokojny. – Wróciłeś, żeby się mną zająć.

– Nie lubię zostawiać niedokończonych roboty – oświadczył sucho. – Nie jestem jednak ani lepszy, ani gorszy od innych, niby dlaczego?

Milczała dość długo, po czym oznajmiła:

– Mój ojciec był poetą. Mawiał, że poeci są jak wróble i jak Bóg – ludzie ich nie szanują. I dodawał, że dobrze mieć coś wspólnego z Bogiem.

– Pewnie tak. – Uli wzruszył ramionami. – Gdyby

Bóg nam na to pozwolił. Myślę jednak, że jest Mu to obojętne. Nie rób takiej zdumionej miny, Juan. Gdyby Boga cokolwiek obchodziło, czy świat miałby wyglądać tak, jak wygląda dzisiaj? Przyjrzyj się. Chrześcijańscy książęta walczą ze sobą, zamiast z Turkami, miasta walczą z miastami, a gdziekolwiek pójdziesz, wszędzie tylko chciwość i nienawiść. Gdyby Boga to obchodziło... dopuściłby do tego?

– Ależ Jego to obchodzi – zaprotestował rzekomy Juan. – Przysłał ciebie, kiedy ja... Obchodzi Go.

– Akurat przechodziłem, kiedy pewna panienska wybiegła z domu – powiedział Uli. – Myślisz, że tak jest zawsze? Też tak kiedyś sądziłem, jednak za dużo widziałem. Jesteśmy zdani sami na siebie, i może tak właśnie jest najlepiej. Sam nie wiem.

– Ale... Ale Nasz Pan – zająknęła się dziewczyna. – Z pewnością wierzysz w Chrystusa, który przybył, by nas zbawić.

Uli spoważniał.

– Zgadza się – powiedział. – No i co Mu zrobili?

– Ale ustanowił Kościół na ziemi...

Pokiwał głową.

– I co się stało? Służyłem w gwardii papieskiej. Ojciec Święty myślał tylko o wznoszeniu wspaniałych budowli i brataniu się z królami oraz politykami. To bardzo elegancki człowiek, ten Ojciec Święty. Gdyby Jezus powrócił, żeby złożyć mu wizytę, pewnie papież nie znalazłby dla niego czasu. Może dlatego Chrystus nie

wraca.

– Nie wolno ci mówić takich rzeczy!

Uli znowu parsknął śmiechem.

– Mówiłem je w Rzymie, mój drogi. Może niezupełnie Ojcu Świętemu, nie rozmawiałby przecież z prostym żołnierzem mojego pokroju, ale dość głośno, by mnie słyszano. Dlatego musiałem odejść ze straży. Miałem wtedy osiemnaście lat. Nie przyszło mi do głowy, że człowiek nie może mówić tego, co myśli, jeśli chce ułożyć sobie jako tako życie. I tyle. Nie widzisz? Mogę uwierzyć w to, że Jezus chciał dać nam szansę. Ale zostawił to w rękach ludzi, a oni wszystko zmarnowali. Trochę tego nie rozumiem, bo skoro On wie wszystko, powinien również i to przewidzieć, ale tak się jednak stało.

– Ciocia Mercedes – zaczęła dziewczyna drżącym głosem. – Ciocia Mercedes opowiadała mi o pewnym człowieku w Niemczech, zapomniałam jego imienia. Nie chciał słuchać Ojca Świętego i porwał za sobą ludzi... Czy jesteś... Myślisz...?

– Pewnie chodzi ci o Lutra – powiedział Uli. – Słyszałem o nim. Nie, nie jestem jednym z jego wyznawców i zapewne nigdy nie będę. Słyszałem jednak, że jest szczery. Ale to tylko człowiek, a żaden człowiek, nawet najbardziej uczciwy, nie może podjąć dzieła, które porzucił Bóg. Poza tym Luter złamał słowo.

– Złamał słowo?

– Był kiedyś mnichem, złożył śluby. Potem je złamał.

Człowiek powinien dotrzymywać słowa. Żołnierze niewiele wiedzą, tyle jednak tak. Kiedy składam przysięgę na wierność, muszę jej dotrzymać, nawet jeśli nienawidzę swojego pana.

– Ale dlaczego zostałeś żołnierzem?

Rysy Ulego stwardniały.

– To równie dobre zajęcie jak każde inne. Jeśli mam wybierać między młotem a kowadłem, wybieram młot.

– Ale... w co wierzysz? – upierał się rzekomy chłopiec.

– W robienie tego, co należy, tak to widzę. Wierzę w swój rozum, chłopski rozum, a jeśli to niezbędne, wierzę również w tego oto Małego Hansa. – Poklepał oburęczny miecz. – Pewnie chodzi o coś więcej. Nawet jeśli Bóg nas opuścił, przynajmniej raz zadał sobie trud, by wspólnie z nami dzielić trudy życia. Dobrze o tym pamiętać, tak samo, jak dobrze pamiętać swoich rodziców. Mówią, że sam wybrał sobie matkę. Urocze. Chcę wierzyć, że to prawda, bo to takie urocze. Dobrze wierzyć, że choć jedna kobieta jest... – Potarł czoło. – Bóg wie, dlaczego tak paplam – prychnął. – Zadajesz dziś mnóstwo pytań, chłopcze, podczas gdy to ja powinienem je zadawać. Nie, nie tobie, tylko tym naszym przewodnikom.

I odszedł.

Dziewczyna miała łzy w oczach. Nigdy dotąd nie rozmawiała aż tyle ze Szwajcarem, który zwykle nie odzywał się niepytany, a jeśli już musiał, to mówił jak najmniej. A teraz powiedział coś, czego rzekomy Juan

nigdy dotąd nie słyszał. W domu matki w Barcelonie nie kwestionowano spraw wiary, a co do ciotki Mercedes, w grę nie wchodziły nawet najbardziej niewinne słowa krytyki Kościoła. Jak człowiek mógł w ogóle żyć z przekonaniem, że Bóg porzucił świat?

Juanita miała oczy i uszy, i dobrze wiedziała, że nie każdy duchowny to święty, o zachowaniu osób świeckich nie wspominając. Wszyscy wiedzieli, że świat jest pełen grzeszników, że właściwie nikt nie jest bez grzechu, w tym sama Juanita – nawet jeśli ojciec Gomez chichotał czasami, gdy spowiadała się w konfesjonale. Nie zawsze jednak był taki rozbawiony, raz powiedział surowo:

– Moja córko, pamiętaj, że wielkie grzechy oddalają nas od Boga, jeśli nie mamy żalu w sercu.

Czy to możliwe, że Bóg zmęczył się światem, że porzucił go i uznał za beznadziejny? Cały świat?

Przecież ją ocalił. Zaledwie kilka tygodni wcześniej ocalił ją rękoma człowieka, który wierzył, że Bóg odszedł z tego świata. Ale nie ocalił ciotki Mercedes, ani Sylvia, ani Any...

Juanita pomyślała o tym, co Uli powiedział na temat Matki Boskiej. Ze dobrze wierzyć przynajmniej w jedną kobietę na świecie.

Musiał zostać bardzo skrzywdzony, pomyślała. Ciekawe, kim była jego krzywdzicielka...

Szóstka żołnierzy, wolna od zniechęconej lektyki, nadeszła, gawędząc między sobą.

Rzekomy Juan zawsze trzymał się od nich z dala, i ku

jego nieopisanej uldze i oni nie szukali jego towarzystwa. Dziewczyna nie miała pojęcia, że pierwszego wieczoru, tuż przed wymarszem do zamku Loyolów sierżant zebrał mężczyzn, by z nimi porozmawiać.

– Jedno musi być jasne: zostawcie w spokoju tego chłopaka, Juana. To najmłodszy siostrzeniec generała, stary chce, żeby nabrał doświadczenia, więc pozwolił mu z nami podróżować. Przeklęty ciężar, ale nic na to nie poradzę. Chłopak jest delikatny jak dziewczyna, lepiej się nadaje do brząkania na gitarze albo tańców z niewiastami na dworze. Nie chcę jednak znosić połajanek dowódcy tylko dlatego, że dokuczaliście chłopakowi albo się z niego wyśmiewaliście. Mój rozkaz brzmi: zostawcie go w spokoju. Czy to jasne?

I było to jasne. Rzekomy Juan, zupełnie nieświadomy swojego wysokiego statusu, miał święty spokój.

Tymczasem Uli dotarł do przewodników tuż nim weszli do lasu.

– Tędy? – zapytał. – Dlaczego nie główną drogą?

Padła odpowiedź, łamanym hiszpańskim, że jest to droga na skróty. Uli słyszał to już wcześniej.

– Znakomicie. Ale dajcie mi na chwilę tego waszego muła. Dostaniecie go z powrotem, bez obaw.

– Muła, panie sierżancie? – Baskowi ten pomysł najwyraźniej nie przypadł do gustu.

– Właśnie tak. I to migiem.

Obaj przewodnicy wymienili kilka pospiesznych zdań w baskijskim. Uli zaczął wymownie bawić się swoim

mieczem.

Przewodnicy byli nieuzbrojeni. Znowu wymienili kilka zdań po baskijsku. Potem jeden z nich zszedł z muła, a Uli usiadł na zwierzęciu. Poczekał, aż dołączą do niego Juan i żołnierze.

– Idźcie za nimi, jak uprzednio – rozkazał. – Wkrótce powrócę. Straciłem cenny medalion, chyba wiem gdzie.

Mówił dość długo, żeby przewodnicy go słyszeli. Wydawało mu się, że na twarzy jednego z nich dostrzegł uśmiech ulgi. Zawrócił muła i popędził przed siebie.

Po kilku minutach zatrzymał się za kępą drzew. Jego ludzie zniknęli już z pola widzenia. Uli zjechał z drogi i ruszył na wzgórze. Było strome, nawet dla muła, i nim dotarł do szczytu, minęło ponad pół godziny.

Stąd miał piękny widok na kraj Basków i na odległą Ebro oraz Hiszpanię, ozłocone promieniami popołudniowego słońca.

Ten widok go jednak nie usatysfakcjonował. Uli nie patrzył na niebieskozieloną bujność lasu, na spokojne bydło pasące się na łące, ani na wieżę kościoła wznoszącą się z gracją między dwoma mniejszymi wzgórzami.

Jego spojrzenie powędrowało do głównej drogi, drogi, którą nie podążyli, gdyż wędrowka przez las miała przebiegać szybciej.

Na przykurzonej bieli nawierzchni widniało coś, co przypominało bardzo długiego, brązowego węża. Pełzał tak powoli, że wydawał się wręcz nieruchomy.

Tysiąc pięćset ludzi, jakieś trzysta koni, pomyślał

ponuro. Następnie zawrócił muła i zaczął zjeżdżać ze wzgórza. Kiedy dotarł do drogi, puścił muła kłusem. Po kilku minutach dojechał do lasu. Znalezienie tropu nie sprawiło mu żadnych trudności, już po półgodzinie zrównał się ze swoimi ludźmi.

– Znalazłeś swoją zgubę, panie sierzancie? – spytał jeden z przewodników.

Uli pokręcił głową.

– Przepadło na dobre – odparł ze smutkiem. – Oto twój muł.

Przewodnik popatrzył na zwierzę, spocone po wysiłku, ale nie powiedział ani słowa.

Przed zapadnięciem nocy dotarli do ostatniej baskijskiej wioski i znaleźli kwaterę w jedynej tamtejszej oberży.

Uli zachowywał się tak, jakby chciał zapomnieć o smutku spowodowanym stratą. Zamówił wino dla wszystkich i dopilnował, żeby przewodnicy sporo wypili.

Rzekomy Juan był śmiertelnie zmęczony i natychmiast położył się spać. Łóżko było zwykłym siennikiem przykrytym szorstką tkaniną, ale dziewczyna już do tego przywykła i zasnęła jeszcze przed końcem modlitwy.

Obudziła się nagle i wydała z siebie stłumiony okrzyk. Obok łóżka stał jakiś mężczyzna i szarpał ją za ramię.

– Cicho, Juan – wyszeptał Uli. – Ubierz się jak najszybciej. Opuszczamy oberżę za pięć minut. To nie

pora na pytania.

Szwajcar był ubrany, miał przy sobie rynsztunek i worek z ubraniami.

Oszołomiona od snu dziewczyna wpatrywała się w niego.

– Opuszczamy oberżę? Teraz?

– Tak, chodź. Szybko.

– Ale... Ale nie mogę wyjść z łóżka, dopóki tu jesteś...

Uli zaśmiał się krótko.

– Najwyraźniej zapomniałem, że jesteś... skromnym chłopcem.

Brzęcząc rynsztunkiem, wycofał się z pokoju.

Rzekomy Juan natychmiast wyskoczył z łóżka i z trudem przywdział strój. Nadal na wpół oszołomiony, zszedł na dół, a tam Uli, który czekał u stóp schodów, natychmiast go uciszył.

Było ciemno choć oko wykol, zimny wiatr wpadał przez otwarte drzwi.

– Ani mru mru – wyszeptał Uli, biorąc dziewczynę za ramię i wyprowadzając ją z budynku.

Juanita jęknęła ze zdumienia na widok czekającej na zewnątrz dużej karety. Szóstka żołnierzy już w niej była. Po chwili ktoś podniósł rzekomego chłopca i posadził na miejscu tuż obok woźnicy. Uli wziął do rąk lejce i wydał z siebie niskie cmoknięcie. Muły ruszyły. Była ich para, i mimo ciemności rzekomy Juan pomyślał, że wyglądają dosyć znajomo.

– Trzymaj się mocno – mruknął Uli. Schylił się, wyciągnął bat i nim świsnął. Muły puściły się kłusem. – Wybacz, że zakłóciłem ci sen. – Zachichotał. – Ale informacje muszą podróżować szybko, jeśli mają pojawić się o czasie.

– Czy to nie są muły naszych przewodników?

– W rzeczy samej. Tylko te stworzenia udało mi się znaleźć w tej zapomnianej przez Boga wiosce. Karetę też trzeba było ukraść. Nic nie mogłem na to poradzić.

– Ale w Loyoli byli dla nas tacy dobrzy i...

– Nie przewodnicy. Usiłowali nas spowołnić i postawić na naszej drodze wszelkie możliwe przeszkody, żebyśmy się nie zorientowali, co się dzieje. Ale możesz uspokoić swoje zdumienie. Zostawiłem im na stole dukaty, jeśli nie zatroszczy się o nie oberżysta, dostaną zapłatę z nawiązką. Dranie.

– Jakie informacje nie mogą poczekać?

– Informacje dla generała.

– Czy jedziemy do Pampeluny?

– Nie, do Logrono. A teraz trzymaj buzię na kłódkę.

Dziewczyna natychmiast posłuchała.

Uli znowu trzasnął batem. Muły położyły uszy po sobie ruszyły do galopu.

– Sierzancie! – dał się słyszeć przestraszony głos. – Chcesz, żebyśmy wszyscy połamali szyje.

Uli nie odpowiedział. Miał pełne ręce roboty. Muły przywykły do jazdy pod siodłem, nie do ciągnięcia karety, i należało je zmusić do posłuszeństwa. Jak dotąd słuchały

jego twardej ręki, ale wystarczyło, żeby tylko jeden z nich zrobił fałszywy krok i się potknął, a oba zatrzymałyby się i zaparły. Każdy mięsień i nerw w ciele Ulego był napięty. Po nierównej, pełnej dziur drodze jechało się fatalnie. Kareta kołysała się dziko, mężczyźni podskakiwali, ale ich krzyki i przekleństwa nie przebijały się przez stukot kopyt i skrzypienie kół. I tak podskakiwali na wybojach i kilku z nich z pewnością by wypadło, gdyby desperacko nie przywarli do siebie.

Błada ze strachu Juanita objęła Ulego w pasie i przywarła do niego z całej siły.

Kilka razy podskoczyli na czymś, co z pewnością nie było kamieniem, ale raczej łasicą, kotem bądź królikiem.

Nagle zamajaczyło przed nim długa, biała wstęga, czyli główna droga na południe.

Uli nie zwolnił. Kareta pędziła przed siebie, biała wstęga się poszerzyła i nagle już byli na niej, a ona zdawała się rozciągać przed nimi w nieskończoność.

Uli znowu smagnął muły batem.

Gdzieś za nimi wił się długi, brązowy wąż, złożony z tysiąca pięciuset ludzi i trzystu koni.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– Tysiąc pięćset żołnierzy, trzysta koni, panie – powiedział Uli. – Będą tu za pięć, sześć godzin.

Andre de Foix odchylił się. Białą, wyperfumowaną dłonią zaczął muskać pięknie podkrecony wąs.

– Słyszałeś, lordzie Elgobarraque? A ty, lordzie biskupie? To Guipuzcoanie, naturalnie. Droga, którą podróżują, nie jest jedyna. Najwyraźniej w końcu się przebudzili. Niedługo będziemy mieli całe stado baskijskich szerszeni na głowach.

Biskup przemierzał dużymi krokami przestronny namiot. Nagle zatrzymał się przed wysokim, szczupłym Szwajcarem.

– Skąd to wszystko wiesz? – spytał wojowniczo.

– Policzyłem ich, panie – padła skromna odpowiedź.

Biskup prychnął.

– Policzyłeś ich, a jednak mówisz, że zjawią się tu za pięć, sześć godzin. Czyli w grę wchodzi trzy możliwości. Pierwsza: pełzną wolno jak ślimaki. Druga: ty przyleciałeś tu na skrzydłach ptaka. Trzecia: jesteś kłamcą. Jak jest naprawdę?

– Nieszczególnie się śpieszyli, panie – odparł Uli spokojnie. – Jeśli ekscelencja zada sobie nieco trudu i wyśle swojego człowieka drogą, którą przybyliśmy, znajdzie trupy czterech mułów, tam, gdzie je porzuciliśmy. Miałem szczęście, że udało mi się zdobyć

dwa konie na ostatni etap podróży, inaczej by mnie tu teraz nie było. Ta podróż zajęła nam trzydzieści cztery godziny.

Biskup widział zapadnięte oczy rozmówcy, jego bladość, zakurzoną twarz, dłonie i strój.

– Najwyraźniej zapomniałem o czwartej możliwości – mruknął. – Jesteś dobrym i wiernym żołnierzem. Jak natrafiłeś na tę nieprzyjacielską kolumnę?

Uli uśmiechnął się półgębkiem.

– Moim zadaniem było odtransportowanie do domu rannego oficera, don Iniga de Loyoli. Po wykonaniu zadania...

– Jak sądzisz, wyzdrowieje? – spytał Andre de Foix z lekkim zaciekawieniem.

– Bez wątpienia – odparł biskup. – Chyba po tak cudownym ocaleniu nie mógłby umrzeć od ran? Ten człowiek jest w rękach Boga.

– Ja zostawiłem go w rękach trzech hiszpańskich chirurgów – zauważył Uli sucho. – Na drogę powrotną dostaliśmy przewodników, a oni tak gorliwie próbowali trzymać nas z dala od głównych dróg, że postanowiłem sprawdzić, co się dzieje.

Andre de Foix pokiwał głową.

– Gdy cię ostatnio widziałem, zrobiłem cię sierżantem, bo moim zdaniem marnowałeś się w piechocie. Teraz nie jestem pewien, czy nie lepiej sprawdziłbyś się jako agent.

– Panie, służyłem pod Frundsbergiem – odparł Uli

tonem ojca, który wyjaśnia coś nieco opóźnionemu w rozwoju dziecku.

– Co oznacza, że jesteś niedościgniony we wszystkich wojskowych technikach, jakich się tkniesz. – Dowódca wydawał się rozbawiony. – Tak czy owak, jestem ci wdzięczny za dobrze wykonane zadanie. Zapłaciłeś za te muły?

– Za dwa, i owszem, panie. Z żalem przyznaję, że dwa pozostałe ukradłem, podobnie jak konie.

– Nasz drogi biskup udzieli ci rozgrzeszenia – zaśmiał się Andre de Foix.

– To sprawa wojskowa, nie duchowa – odparł biskup nieco sztywno. – Zwrócę ci środki, które wydałeś, sierżancie.

– Dziękuję, panie.

– A ja odkupię od ciebie te dwa skradzione konie za dwadzieścia dukatów i dorzucę ci jeszcze dziesięć za cenny raport – wtrącił Andre de Foix. – Zapłaćmy mu od razu, ekscelencjo, inaczej ta drobna sprawa zginie w gąszczu innych. Nigdy nie dowierzam tym gryzipiórkom, ani na wojnie, ani w trakcie pokoju. Proszę bardzo, sierżancie. Zaiste, zasłużyłeś na to. Na szczęście biskup także wyciągnął z szaty sakiewkę i dodał tuzin dukatów do stosika w złożonych dłoniach Ulego.

– Wojna to wojna – oznajmił duchowny sucho. – Ale cieszy mnie, że zapłaciłeś przynajmniej za dwa pierwsze muły, nieszczęsne stworzenia.

Złoto szybko zniknęło w przepastnych kieszeniach

Ulego.

– Dziękuję wam, panowie – powiedział z szerokim uśmiechem. – Jeśli można, podzielę się z szóstką moich ludzi.

– Weź to dla nich – powiedział lord Elgobarraque. Rzucił sakiewkę Szwajcarowi, który zręcznie ją złapał. – I wynoś się.

Wcześniej nie wyrzekł ani słowa, ale wyraźnie demonstrował niezadowolenie.

– Jeszcze chwilka, drogi lordzie. – Naczelnny dowódca wydawał się nieco zirytowany. – Jeszcze nie skończyłem z naszym przyjacielem sierżantem. Sierżancie, udowodniłeś mi, że potrafisz nie tylko sprawnie władać bronią, z całym szacunkiem dla twoich balistycznych talentów. Potrzebuję dobrego człowieka, który dostarczy dla mnie list, raczej pilny. Adres to... pewne miejsce w Hiszpanii. Musisz pomyśleć o stosownym przebraniu. Sądysz, że sobie poradzisz?

– Bez wątpienia, panie – odparł Uli flegmatycznie. – Pod warunkiem...-Teraz stawiasz warunki? – wykrzyknął Andre de Foix i zmarszczył brwi.

– Pod warunkiem – ciągnął niezrażony Uli – że dostanę nieco bardziej dokładny adres. Gdzieś w Hiszpanii to nieco za mało.

Dowódca znowu parsknął śmieszkiem.

– Bezczelny łobuz. Poczekaj przed namiotem mojego sekretarza. W odpowiednim czasie zaopatrzy cię w stosowne wskazówki. A teraz już idź.

Po wyjściu Szwajcara lord Elgobarraque zauważył:

– Straciliśmy mnóstwo czasu przez tego człowieka. Nie muszę wam mówić, co jego informacja oznacza.

– Nic nie musisz mi mówić, mój panie – przerwał mu ostro de Foix. – I nie straciliśmy ani minuty ponad to, co koniecznie. To oczywiste, że musimy zaprzestać oblegania Logrono i powrócić do Nawarry. Raporty szpiegów z ostatnich dwóch dni są jasne: zarówno marszałek, jak i społeczności miasta zgromadziły wojsko. Około tysiąca ludzi maszeruje tylko z Valladolid, i możemy być prawie pewni, że przyjdą też kontyngenty z Segowii, Medyny, Salamanki i Toro, może i z Burgos. Razem z ludźmi z Guipuzcoa to potężna siła i nie mam zamiaru dać się złapać pomiędzy nimi i garnizonem w Logrono – bardzo by to odpowiadało księciu Najery. Dziś jesteśmy bezpieczni, jednak...

– Mimo że Guipuzconianie są zaledwie pięć bądź sześć godzin drogi stąd? – przerwał mu Elgobarraque.

– Tak. Tysiąc pięciuset czy tysiąc ośmiuset żołnierzy nie zaryzykuje ataku. Muszą poczekać, aż dołączą do nich pozostałe siły, i ruszą przed siebie. Musimy wynieść się nocą, bez zwijania obozu. Najera nie dowie się, że zniknęliśmy, dopóki nie będziemy wiele kilometrów stąd. Ofensywa skończona, panowie. Teraz zajmiemy umocnione pozycje w Nawarze i będziemy czekali...

– Na co? – chciał wiedzieć biskup.

Andre de Foix uśmiechnął się do niego.

– Na efekt, jaki wywoła Ust, który nasz dobry

sierżant zawiezie w pewne miejsce w Hiszpanii.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Tędy, sierzancie – oznajmił ordynans.
- Chwileczkę. – Uli chwycił ciężką płachtę namiotu, żeby się nie przewrócić.
- Co z tobą?
- Nic takiego. Mam kości miękkie jak błoto, i tyle.
- Pewnie od nadmiaru rozpusty – oznajmił ordynans z przyganą.

Uli parsknął śmiechem.

- Naturalnie. Tam gdzie ostatnio byłem, nie mogłem się opędzić od okazji. – Oparł się o namiot i oddychał z trudem. – Powietrze. Oto najlepszy wynalazek. Powietrze i woda.

- Głowa szwankuje, co? – spytał ordynans.
- Jasne, bracie. Mam delikatną głowę, nie taką masywną jak ty. Już mi nieco lepiej.

Ale chwiał się niczym pijak w drodze do namiotu sekretarza i ordynans musiał go podtrzymywać.

- Mam dość powietrza – oświadczył Uli. – Teraz potrzebuję wody.

Pierwszy sekretarz naczelnego dowódcy, rumiany drobny człowieczek z perkatym nosem, natychmiast się domyślił, czego potrzeba gościowi, i zaczął wykrzykiwać rozkazy na prawo i lewo.

- Sama woda na nic się nie zda – oświadczył, napełniając potężny kielich.

Uli opróżnił go błyskawicznie i wyciągnął po więcej.

– Byle nie za dużo – przestrzegł go sekretarz. – Pół kielicha, ani kropli więcej.

– Do pełna, przyjacielu – oświadczył Uli. – Nigdy nie lubiłem półśrodków. Tak lepiej. Jeśli masz pajdę chleba...

– Mam coś lepszego – zachichotał dobroduszny człowieczek. – Niech ktoś przyniesie zimne mięsiwo, ser i pół bochna. Ten dobry człowiek nie może tu głodować.

Jadło pojawiło się szybko i jeszcze szybciej zniknęło. Sekretarz popatrzył na Ulego i założył ręce na pulchnym brzuchu.

– Nieźle – powiedział. – Całkiem nieźle. Ale potrzebujesz kilku godzin snu, nim wyruszysz do...Tam, dokąd masz wyruszyć.

Uli wpatrywał się w niego.

– Wiesz coś o tym?

Człowieczek tylko się roześmiał.

– Znajomość tych spraw to moja praca. Służę u dowódcy już od jedenastu lat. Nienawidzi długich wyjaśnień, więc moje stanowisko znajduje się tuż za drzwiami, a drzwi w namiocie to przecież tylko płachta.

– Rozumiem. – Uli także zachichotał. – Masz rację. Trzeba mi snu.

– Dowódca pisze teraz list, to nie potrwa długo. Nie sądzę, żebyś musiał od razu wyruszać, z pewnością nie przed północą. To ci daje osiem godzin. Wystarczy?

– Aż nadto. Jak przebiega oblężenie?

W oczach sekretarza pojawiła się nieufność.

– Lepiej zostaw tę sprawę generałowi, sierzancie.

Uli zaśmiał się ponownie.

– Dobra rada.

– Odpręż się i niczym nie przejmuj. Dostaniesz swój list za godzinę bądź dwie.

Człowieczek wstał i podreptał do przyległego pomieszczenia w dużym namiocie, gdzie pół tuzina skrybów pisało coś pracowicie. Uli ujrzał, że namiot ma specjalne wejście po drugiej stronie prowadzące wprost do namiotu naczelnego dowódcy.

Dobra organizacja, pomyślał. Jednak na wojnie organizacja to nie wszystko, a generałowi sporo brakowało do Frundsberga.

Frundsberg natychmiast zrobiłby użytek z informacji o kolumnie Guipuzconian. Wysłałby szybko reagujące siły, dwa razy większe niż siły Basków, i rozbił ich w ciągu doby, nim zdołaliby dotrzeć do obleżonych w Logrono albo połączyć się z innymi siłami śpieszącymi na pomoc Hiszpanom. Nie czekałby z założonymi rękoma. A oblężenie nie przebiegało najlepiej.

Phi, i co to miało za znaczenie? Mężczyzna składa przysięgę i spełnia życzenia swojego pana, niezależnie od tego, czy odgrywa guwernantkę rannego oficera nieprzyjaciół, przynosi użyteczny raport czy też dostarcza ważny list „gdzieś w Hiszpanii”. Przynajmniej generał wiedział, że trzeba trzymać język za zębami, mimo że jego sekretarz podsłuchiwał dyskusje w namiocie.

Do tego był hojny. Ani poczciwy biskup, ani lord

Elgobarraque nie zapłaciliby bez szemrania, gdyby dowódca nie dał im dobrego przykładu.

Wyciągnął sakiewkę Elgobarraque'a z pokaźnej kieszeni i otworzył. Dwadzieścia złotych dukatów. Po trzy na każdego żołnierza i jeszcze dwa. Te trafią do „chłopaka”, a jeśli będzie miał do tego tuzin czy nawet więcej, wystarczy mu na podróż do Barcelony, jeśli nie znajdzie się nikt godny szacunku, kto by mu towarzyszył. Zresztą w Logrono również musi być jakiś klasztor, który nie zamknie swoich podwojów, gdy zapuka doń mężczyzna. Do pioruna, nie! Klasztory znajdowały się w Logrono, Logrono było obleżone i nie wyglądało na to, że tak łatwo da się wziąć. Jednak zostawianie chłopaka w armii było czystym szaleństwem. Zabieranie go na misje wydawało się jeszcze bardziej niewybaczalne.

Odetchnął głęboko. W całkowicie beznadziejnej sytuacji zawsze znajdowało się jakieś wyjście. Poza tym w tej chwili był zbyt zmęczony, by myśleć. Krzesła w namiocie okazały się proste i twarde, ale przynajmniej się nie chygotały, i wreszcie nie musiał uspokajać ani poganiać żadnych koni ani mułów i zmuszać ich do szybszej jazdy. Zjawił się ktoś z jeszcze jednym półmiskiem zimnego mięsiwa. Uli wyszczerzył zęby.

– Od przybytku głowa nie boli – zauważył.

Był to pieczony kurczak. Uli ugryzł kawałek udka, po czym zasnął z nim w dłoni. Wyglądało jak miniatura maczugi, którą osłaniał opuszczoną na pierś głowę.

Spał w takiej pozycji, kiedy znalazł go sekretarz i z

uśmiechem dotknął ramienia Szwajcara. Uli zbudził się natychmiast, a udko spadło na podłogę. Żołnierz chwycił za swój miecz.

– Jestem. A oni?

– Spokojnie, spokojnie. – Sekretarz uśmiechnął się do niego. – Otrzyj dłoń, nim dotkniesz listu, bo jest lepka jak łapa lichwiarza.

Uli starannie wytarł ręce o siedzenie spodni, po czym ujął list. Koperta była nieduża, bez adresu.

– Rozkaz generała – oznajmił sekretarz cicho. – Musisz opuścić miasto o północy i udać się w kierunku południowo-zachodnim. Kiedy dotrzesz do małej wioski o nazwie Cadera, możesz otworzyć list. Jest w nim druga koperta, z adresem. Naucz się go na pamięć. Potem bardzo starannie zniszcz kopertę i dostarcz list osobie, której nazwisko na niej znajdziesz. Czy to jasne?

– Naturalnie – odparł Uli.

– Zatem to wszystko – powiedział sekretarz.

– Niezupełnie – sprzeciwił się Uli. – Ile ma potrwać ta podróż?

– Nic mi o tym nie wiadomo, mój dobry sierzancie. Kilka tygodni, jak mniemam.

– W takim wypadku chciałbym mieć trochę pieniędzy na wydatki – oświadczył Uli.

– Przecież właśnie dostałeś całe sakiewki złota – warknął człowieczek. Nie wydawał się już taki dobroduszny.

– To zapłata za wykonane usługi – powiedział Uli z

lekką przyganą. – Ile masz mi przekazać? Nie słuchałem, więc będę musiał uwierzyć ci na słowo – do następnego spotkania z generałem.

– Jedzenie, picie i zagrabianie złota, tylko tyle potraficie wy, żołnierze. Masz, bierz i podpisz.

Uli zważył sakiewkę w dłoni. Potem ją otworzył i przyjrzał się zawartości. Było to srebro.

– Może oczekiwałeś brylantów i rubinów? – wysyczał sekretarz.

– Nigdy nie oczekuję od wołu, że da mi coś więcej niż sztukę mięsa – odparł Uli radośnie. – To mi wystarczy. Gdzie podpisać?

– Umiesz pisać?

– Cechuje mnie wiele ukrytych zdolności – oznajmił wojak skromnie. Wyciągnął pióro z za ucha sekretarza, zanurzył je w atramencie i starannie wypisał swoje nazwisko na podsunętej kartce. – Mam nieco ścisły charakter pisma, wybaczone. Może być trudno dodać zero do jakiejś cyfry. Ale przecież jesteś uczciwym człowiekiem, na pewno nie masz nic przeciwko temu.

– Skończyłeś wreszcie? – wrzasnął wściekły sekretarz.

– Prawie. – Uli wciąż uśmiechał się do niego przyjaźnie. – Jeszcze tylko jedno pytanie. Kiedy już dostarczę list, gdzie znajdę armię?

– Nie jestem prorokiem – wymamrotał człowieczek. – Pewnie gdzieś w Hiszpanii.

Uli zachichotał pod nosem.

– Obawiam się, iż faktycznie nie jesteś prorokiem. Nieważne. Podśluchiwanie za drzwiami namiotu jest niemal równie dobre. Przekaż wyrazy szacunku generałowi i dziękuję ci bardzo za kurczaka i wino.

– Naprawdę mam nadzieję i ufam, że dotrzesz bezpiecznie na miejsce przeznaczenia – powiedział człowieczek powoli. – Nie miałbym jednak nic przeciwko temu, gdyby cię złapali i powiesili w drodze powrotnej.

– Już tego próbowano – odparł Uli pogodnie. – Najwyraźniej jednak moja szyja ma niewłaściwy rozmiar do stryczka. Tak czy owak, wielkie dzięki.

Wyszedł z namiotu. Może człowieczek miał rację, może faktycznie wszyscy żołnierze byli tacy sami. Podobnie jak sekretarze. Może akurat ten sekretarz był jednym z tych, którzy wypłacali pieniądze generała, tak jak im przykazano, a nie chowali je dla siebie. Nic nie było wykluczone.

Zrobiło się chłodniej. Przez chwilę Uli patrzył jak Ebro płynie majestatycznie tuż obok obleżonej fortecy.

W rzece kąpało się całkiem sporo ludzi. Z łatwością można było trafić do nich z działa, ale najwyraźniej artylerzyści w Logrono nie zamierzali tracić amunicji na tak nieważny cel.

Nieco dalej w górę rzeki widział skupiska łodzi przymocowanych do prowizorycznych miejsc cumowania. Może generał zaplanował atak od strony rzeki. Pomysł nie wydawał się najgorszy, ale w tych łodziach było coś, co świadczyło o tym, że zostały

opuszczone. Uli miał wrażenie, że pomysł ewentualnego ataku błyskawicznie zarzucono.

Większość żołnierzy, których widział, była nieuzbrojona. Wielu grało w kości, a oficerowie im w tym nie przeszkadzali. Gdy teraz oblężeni wysyłali grupę zwiadowczą... jednak tego nie zrobili. Z pewnością byli świadomi, że ich siły zmierzają z odsieczą. Czekali na nie.

Pomyślał, że w tym wszystkim jest jakaś martwota. Czyżby generał naprawdę nie zamierzał nic zrobić z tymi posiłkami? Nic poza wysłaniem listu do kogoś w Hiszpanii?

To było niemożliwe. Co zrobiłby Frundsberg?

Głupie pytanie. Żeby na nie odpowiedzieć, należałoby dysponować błyskotliwym umysłem Frundsberga, chociaż on sam zawsze upierał się, że sztuka dowodzenia opiera się na zwykłym zdrowym rozsądku. Czy miał rację, i czy różnił się od bardziej poślednich tym, że natychmiast wykorzystywał ten zdrowy rozsądek w akcji? „Zrób to od razu” – tak brzmiało jego ulubione zdanie i nie tolerował ludzi niezdecydowanych i utyskiwaczy.

Zdrowy rozsądek podpowiadał, że nawet znacznie mniej wybitny umysł nie mógł biernie patrzeć na sytuację i nie kiwnąć nawet palcem. Może de Foix również czekał na posiłki? Chyba nie liczył na to, że podbije całą Hiszpanię z pomocą niespełna dwudziestu tysięcy ludzi?

Dlaczego nie zaryzykował przynajmniej jeszcze jednego energicznego ataku na fortecę, zanim

nieprzyjaciel zdoła się wzmocnić?

Cóż, nie była to sprawa Ulego, i Bogu dzięki. Jednak coś wisiało w powietrzu i nie był to zdrowy smród pola bitwy, lecz ciężki, gnijący odór nadchodzącej katastrofy, a przynajmniej czegoś, co poszło zdecydowanie nie tak, jak powinno.

Może mam szczęście, pomyślał. Zaciągnęli mnie na stryczek, ale nie zdołali powiesić. Pakują się w jakieś obrzydlistwo i odsyłają mnie tuż zanim się wydarzy.

Zaśmiał się gorzko. Szczęściarz Uli von der Flue.

Po drodze skinął grupce gaskońskiej piechoty. Oni również grali w kości, niewielu uniosło głowy.

– O, co ja widzę – rozległ się chrapliwy głos. – Ten na wpół powieszony cud Pampeluny znów jest z nami.

Garroux.

Uli postanowił nie odpowiadać i iść przed siebie, ale krzepki gaskoński sierżant stanął mu na drodze.

– Przepuść mnie, Garroux.

– A więc ty sobie podróżujesz, podczas gdy przyzwoici żołnierze biją się za ciebie, co?

– Chyba nie masz na myśli siebie? – W tonie Garroux było coś tak irytującego, że Uli nie mógł się nie odgryźć.

– Pewnie, że siebie. Ja się nie bawię w siostrę miłosierdzia, kiedy trzeba walczyć.

– Czyżbyś walczył? Cóż to za odmiana po mordowaniu kobiet.

Garroux parsknął śmiechem.

– Każdy wie, jak lubisz rozpowiadać kłamstwa.

Mężczyźni przestali grać w kości. Wyglądało na to, że szykuje się niezła awantura, a awantura albo jakakolwiek utarczka to były jedyne rozrywki ciekawsze od kości.

Uli ujrzał, że tłum się zacieśnia.

– Rozkazy generała – oświadczył gburowato. – Puścisz mnie czy nie?

– Rozkazy generała – powtórzył Garroux szyderczym tonem. – A jakie to rozkazy dałeś mi, miły przyjacielu?

– Szlachtuj niewiasty – odparł Uli. – Zniewalaj biedne dziewczęta, kradnij cudze sztuce, ale nie próbuj być dowcipny.

Garroux uśmiechnął się z wyższością.

– Powiadają, że niezbyt lubisz kobiety. Podobno podróżujesz z chłopakiem i...

Nie zdołał dodać nic więcej.

Uli wbił włócznię w ziemię, uniósł nogę i kopnął sierżanta w brzuch. W następnej sekundzie już trzymał miecz w dłoniach.

– Jestem w misji powierzonej mi przez generała – oznajmił. – Ktoś jeszcze spróbuje mnie powstrzymać?

Patrzyli na niego ponuro. Obawiano się Garroux ze względu na jego wielką siłę, a teraz sierżant skręcał się z bólu na ziemi i mamrotał jakieś przekleństwa. Może właśnie dlatego, a nie ze strachu przed generałem, rozstąpili się i Uli przeszedł między nimi z włócznią w jednej dłoni i mieczem w drugiej.

– Jeszcze się spotkamy, ty... – wydyszał Garroux.

Uli odwrócił się do niego.

– Jeśli tak, to będzie twój pechowy dzień – oznajmił lodowato.

I niespiesznie powędrował przed siebie. Wiedział, że jakakolwiek oznaka pośpiechu sprawi, że ruszą za nim.

Po chwili poluzował uścisk na włóczni i mieczu. Co się ze mną dzieje, pomyślał. To, co powiedział Garroux, było bardzo typowe dla ludzi jego pokroju. Dlaczego to mnie tak rozwścieczyło? Podejrzenie było przecież absurdalne. Dobrze, że Garroux nie przejrzał tożsamości Juana. A jednak Uli był zły.

Doszedł do wniosku, że to ze zmęczenia. Nadal mógł się przespać, do północy zostało jeszcze kilka godzin.

W końcu doszedł do namiotu. Jego sześciu żołnierzy kucalo obok namiotu i grało w kości. Na widok Ulego wstali.

– Gdzie chłopak? – spytał.

– W środku, śpi – odparł rudy, który zwykle przemawiał w imieniu wszystkich.

Uli uniósł klapę namiotu i zajrzał do środka. Rzekomy Juan spał w najlepsze. Wydawał się absurdalnie mały i absurdalnie młody. Włosy trochę mu urosły, kilka ciemnych kosmyków opadało na czoło.

Uli opuścił klapę.

– No dobrze, chłopcy – oznajmił. – Pewnie nie powinienem był wam mówić, że ten chłopak jest generalskim siostrzeńcem, ale co się stało, to się nie odstanie. Na pewno jesteście przyzwoitymi ludźmi i

potraficie dochować tajemnicy. Jego wuj też najwyraźniej tak myśli, więc dał mi dla was po trzy dukaty. Włóżcie je pod języki – dzięki temu nie będziecie zbyt wiele gadać. Proszę bardzo.

Żwawo pochwycili zapłatę, z uśmiechem na twarzach.

– Jeśli będziesz nas potrzebował do innego specjalnego zadania... – odezwał się rudy. – Chociaż wolałbym raczej nieść tę przekłętą lektykę przez całe Pireneje, niż jechać w karecie z tobą jako woźnicą, sierżancie.

– Na razie nie trzeba – powiedział Uli. – Możecie teraz dołączyć do swojej jednostki. Nie zapominajcie też, że w tej niedługiej podróży było nas siedmiu. Tylko siedmiu, ani jednego więcej. Życzę wam miłego wieczoru.

Sześciu zadowolonych mężczyzn odeszło.

Uli poszedł na tyły namiotu. Tam stała kareta. Konie, jeden kary i drugi deresz, spokojnie skubały trawę. Dostały wodę, na wpół pełne wiadro wciąż stało nieopodal pojazdu. Uli pomyślał, że chłopcy zasłużyli na swoje trzy dukaty.

Wrócił do namiotu. Biedny, zmęczony Juan uśmiechał się przez sen.

Dziewczyna ani słowem nie poskarżyła się na trudy ostatnich dni, chociaż uczyniłby to niejeden prawdziwy chłopak. W drodze co jakiś czas Uli zerkał na nią niespokojnie, kiedy kareta podskakiwała na wybojach, a Juanita tylko kiwała mu głową albo uśmiechała się do

niego dzielnie.

Trzeba było jednak coś z nią... z nim zrobić. Nie mogli dłużej tego ciągnąć. Uli musiał szybko wymyślić rozwiązanie. Nie teraz jednak, teraz był zbyt zmęczony.

Położył włócznię w kącie namiotu, żeby wykorzystać tobołek w charakterze poduszki.

Nagle jednak się zawahał.

Nigdy jeszcze nie spał z Juanem w tym samym pomieszczeniu. Z jakiegoś powodu nie wydawało się to właściwe. Idiotyzm, bez wątpienia. Chłopak to chłopak, nawet jeśli nie do końca prawdziwy, i tyle. Jednak to się nadal wydawało niewłaściwe.

Nic nie mógł na to poradzić. Miał kieszenie wypchane złotem. Nie mógł nocować na zewnątrz, groził mu cios w głowę i rabunek. Musiał tu spać, niby dlaczego nie?

„Chłopiec” oddychał spokojnie, regularnie. Spał z pięściami pod twarzą, jak niemowlę.

W namiocie było bardzo gorąco. Uli z wysiłkiem otarł spocone czoło i wymamrotał coś niezrozumiałego. Potem wyciągnął złote dukaty z kieszeni i powpychał je pod słomę na której spał chłopak, wziął włócznię, tobołek i wyszedł. Usiadł tuż pod wejściem do namiotu, oparł plecy o klapę i zamknął oczy. Po chwili nieco się wyprostował i przewrócił na bok. Spał, nim jeszcze jego głowa dotknęła ziemi.

Wiele mówiono i pisano o ludziach, którzy spali snem sprawiedliwego, nikt jednak nie wspomniał, że

należy ich budzić kopniakiem w siedzenie.

Uli zerwał się na równe nogi. Wokół siebie widział tylko ciemność.

– Powszechny alarm – usłyszał ponury głos oficera. – Obudź ludzi w namiocie i dołączcie do swojej jednostki. Byle cicho.

Przecierając oczy, Uli ujrzał, że oficer wędruje do sąsiedniego namiotu i tam powtarza rozkaz. Z pewnością nie było jeszcze północy, obudziłby się sam z siebie, jak to często czynił, gdy nastawiał swój wewnętrzny zegar. Księżyc wciąż świecił na niebie, wyglądał jak miedziany rogalik.

Zewsząd słyszał głośny ludzi i kroki. Obozowisko budziło się do życia.

Powszechny alarm? A więc jednak generał coś wymyślił. Atak?

Rozejrzał się wokół siebie. Łodzie nadal były przycumowane. Kolumna ludzi maszerowała na północ. A więc nie był to atak. Był to odwrót.

I co za różnica? Miał przecież własne rozkazy do wypełnienia. Ziewnął przeraźliwie, wrócił na tyły namiotu, wziął do ręki na wpół wypełnione wiadro, opróżnił je i pobiegł z nim do rzeki. Zrzucił z siebie ubranie w mgnieniu oka, po czym wszedł do wody. Przy brzegu prąd nie był zbyt silny, ale woda lodowata. Uli wyszedł z niej, szcękając zębami, ubrał się, napełnił wiadro i wrócił biegiem do obozowiska.

Wrzało tam teraz jak w ulu i było bardzo głośno,

mimo że oficerowie i sierżanci starali się przez cały czas uciszać żołnierzy.

– Juan, obudź się.

Zdumiona dziewczyna usiadła i instynktownie zasłoniła dłońmi klatkę piersiową.

Uli parsknął śmiechem. Ten gest był absurdalny, rzekomy chłopak spał przecież w ubraniu.

– Tu jest woda – powiedział. – Umyj się prędko i gotuj do wyjazdu.

– Wyjazdu? Dokąd?

– A czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? – spytał Uli. – Tak czy owak, wszyscy się wynoszą, nie słyszysz? Przygotuję konie. Kiedy wrócę, musisz być gotowy. Nie ociągaj się.

Wrócił za mniej więcej pięć minut i ujrzał, że Juanita wpatruje się w pół tuzina dukatów w swojej dłoni.

– Patrz, co znalazłem.

Uli tylko się roześmiał.

– Nieuważnie szukałeś. Popatrz tylko.

Odrzucił słomę i zaczął zbierać złote monety.

– To ziemia chochlików i krasnoludków – zauważył.

– Nie wiedziałeś. Zatrzymaj swoje znalezisko, ja wezmę resztę. To już chyba wszystkie. – Podniósł wiadro.

– Idziemy.

– Ale jest jeszcze ciemno – zauważył Juan, gdy wyszli z namiotu.

– Bo jest około północy. Co się z tobą dzieje? Wcześniej podróżowałeś ze mną w ciemnościach.

Konie i kareta były gotowe. Droga połyskiwała bielą.

– To woda dla was. – Uli postawił wiadro przed zwierzętami. – Wsiadaj, drogi chłopcze. Przed nami długa droga, tak przynajmniej sędzę. Przestań odpychać brata, Czarnuszku, w wiadrze jest dość wody dla was obu. Na razie wystarczy.

Kopnął wiadro, wspiął się na konia i wziął lejce do ręki.

– A żołnierze? – chciała wiedzieć dziewczyna.

– Tym razem z nami nie jadą.

– Tylko my? – Juan” uśmiechnął się do siebie. – To dobrze.

– A bo ja wiem – mruknął Uli. Szarpnął lejce, cmoknął, a konie ruszyły przed siebie.

W drodze dwukrotnie próbowali zatrzymać ich oficerowie, i nic dziwnego – kareta jechała na południowy zachód, a armia ruszyła na północ.

– Rozkaz generała – wyjaśnił Uli, i pozwolili mu przejechać.

Wydostali się z terenu obozowiska i wkrótce dotarli do głównej drogi. Wydawało się, że Uli ma wzrok godny sowy. Bez żadnego wahania wybrał niewielką drogę odchodzącą od głównej, ale nadal prowadzącą na południowy zachód.

– Wybacz, ale jeszcze nie mogę odwieźć cię do Barcelony – wyjaśnił. – Zrobię to przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Nie ma pośpiechu – zapewniła go dziewczyna

cicho.

– Lubię... Lubię z tobą podróżować.

– Naprawdę?

– Tak. Czuję się bezpiecznie.

Uli roześmiał się z lekką złością.

– Nie rozumiem dlaczego. Może nas czekać sporo kłopotów.

– Dlaczego?

– Kto nauczył cię zadawać tyle pytań? Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie.

– Jak sobie życzysz – odparł potulnie rzekomy chłopak.

– Ale wolałbym, żebyś wziął te dukaty z powrotem. Nie wiem, co z nim robić, a poza tym nie zasługuję na nie.

– Są twoje – oświadczył Uli.

– Bardzo dziękuję – brzmiała uprzejma odpowiedź. – Nie mógłbyś ich dla mnie przechować?

– Jesteś już dużym chłopcem – powiedział Uli. – Powinieneś sam zadbać o swoje pieniądze. Racz o tym pamiętać.

– Ciocia Mercedes też twierdziła, że bardziej już nie urosnę. Cieszę się, że jestem dla ciebie dość duża.

– Przede wszystkim musisz pamiętać, że jesteś chłopakiem – warknął Uli. – Albo zostawię cię przed pierwszym lepszym zakonem, a jeśli nie otworzą nam bram, przerzucę cię przez mur.

Juanita przygarbiła smukłe ramiona i nie odpowiedziała. Dopiero po chwili odważyła się

przemówić:

– Ale kim ja jestem?

– Byłeś najmłodszym siostrzeńcem generała. – Uli uśmiechnął się do towarzyski. – Jednak tam, dokąd jedziemy, nie możesz pisać na ten temat ani słowem. Ani ty, ani ja, nie mamy nic wspólnego z generałem i armią, rozumiesz? Jestem Szwajcarem, szukam swojego kuzyna gdzieś w Hiszpanii. A ty... Ty jesteś moim młodszym bratem. To dla ciebie degradacja, ale nic na to nie poradzę.

– Dużo bardziej wolę być twoim bratem niż siostrzeńcem generała – oznajmił Juan stanowczo.

– W takim wypadku rzeczywiście oszalałeś – oświadczył Uli.

– Może i tak – mruknęła dziewczyna cicho.

Uli nic nie odpowiedział. Zaciął konie batem i popędzili przed siebie, wjeżdżając w głąb Kastylii. Mniej więcej po godzinie przekroczyli niewielką rzekę. Mały drewniany mostek wydawał pod końskimi kopytami odgłosy, które przypominały gardłowy śmiech olbrzyma.

Przed sobą ujrzeli kilka światełek, zbliżali się do wioski.

Cadera, pomyślał Uli. Tu dowiemy się nieco więcej.

Naturalnie, spędzanie tu reszty nocy było głupotą, ale musiał się dowiedzieć, w którą stronę powinni się udać. Wstrzymał konie, gdy dotarli do wioski, sięgnął po listy i rozdarł pierwszą kopertę. Zaczął cicho pogwizdywać.

– Juan...

– Tak?

– Jak się nazywała ta dama, którą tak sobie cenił nasz ranny hiszpański przyjaciel?

– Królowa Germaine.

– Zgadza się. Mówiłeś jednak, że nie jest już królową.

– Tak, bo król Ferdynand zmarł, a ona wyszła za margrabiego Brandenburgii, gubernatora Walencji.

– Ale jej panieńskie nazwisko było francuskie, prawda?

– Naturalnie. Germaine de Foix. Dlaczego pytasz o to wszystko?

– Nieważne.

Podarł drugą kopertę na maleńkie kawałeczki. Wydawał się niesłychanie zdumiony.

Rzekomy Juan ujrzał, że na trzeciej, wewnętrznej kopercie nie było żadnego nazwiska ani adresu. UH ostrożnie włożył list za pazuchę.

– To będzie długa droga – westchnął – Czy jedziemy do Walencji? – spytał jego towarzysz z ożywieniem.

– Nie. Najpierw do Burgos, a potem... Nieważne. Mówiłem ci, żebyś nie zadawał pytań. Jedźmy.

Ruszyli przed siebie, ale wolniej. Juan widział dziwny wyraz twarzy Ulego, minę człowieka, który usiłuje znaleźć rozwiązanie zagadki i wie, że to zadanie wykracza poza jego możliwości.

KSIĘGA DRUGA

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Doktor de Iztiola zamknął drzwi. Uśmiechnął się na widok zaniepokojonego oblicza Magdaleny de Araoz.

– Niebezpieczeństwo minęło – powiedział. Przeżegnała się.

– Bogu niech będą dzięki – westchnęła. – Martin bardzo się ucieszy. Szkoda, że nie mogę mu tego przekazać.

– Muszę przyznać, że i ja jestem zadowolony. – Medyk zachichotał. – W pewnej chwili obaj moi szacowni koledzy byli niemal pewni, że już po wszystkim, ale musiałem zaprzeczyć, gdyż brakowało pewnych istotnych objawów.

– Zdziałał pan cuda, drogi doktorze, prawdziwe cuda. Była zbyt inteligentna, żeby nie wiedzieć, że nawet najbardziej pobożny lekarz nie lubi, kiedy sukces operacji przypisuje się siłom wyższym.

Doktor Iztiola cmoknął.

– Zrobiliśmy, co w naszej mocy – oświadczył radośnie.

– Nikt nie zdołałby uczynić więcej. Jednak co za organizm, droga pani, co za organizm! Proszę mi uwierzyć, rana zdołała się już niemal całkiem zasklepić. A jeśli...

– urwał. – Masz gościa, pani. Właśnie ujrzałem jeźdźca, który minął zamek.

Magdalena de Araoz pośpieszyła do okna. Czyżby jej małżonek...

– Nie widzę...

– Jechał zbyt szybko – na kasztanku, jak sędzę. Pewnie jest u bram.

Martin jeździł na srokaczu. Ścisnęło się jej serce.

Nagle usłyszała z dołu głos swojej córki:

– Mamo, przybył don Pedro de Zabala.

Pobladła. Zabala służył wraz z jej mężem. Jeśli coś stało się Martinowi...

Zbiegła po schodach, a za nią podążył de Iztiola, dysząc i mamrocząc słowa pociechy, których nawet nie słyszała.

De Zabala skłonił się jej, a jego białe zęby błysnęły w radosnym uśmiechu. Natychmiast zrozumiała, że nie przywiózł dych wieści. Z godnością odwzajemniła jego uśmiech.

– Miło cię widzieć, don Pedro.

– Nie przybywam bez powodu, doña Magdalena. – De Zabala zaśmiał się głośno. – Pozdrowienia od męża: pokonał Francuzów w decydującej bitwie.

Oczy Magdaleny błysnęły.

– Chwała wszystkim świętym! Tym radośniej gościmy cię, panie. – Odwróciła się do medyka. – Don Pedro przywiózł nam wieści o zwycięstwie. Nie sądzisz, doktorze, że don Ifiigo powinien natychmiast je poznać? To mu dobrze zrobi, z całą pewnością.

– Znakomicie, znakomicie – sługa uniżony, don

Pedro. Naturalnie. Nie da się zaprzeczyć, że radosne nowiny na pewnym etapie zdrowienia pomagają pacjentom.

Wszyscy wspięli się po schodach. Kiedy jednak de Iztiola dotarł do pokoju chorego, de Zabala już siedział przy łóżku.

– ...I tak książę postanowił jak najszybciej podążyć za Francuzami. Przyłączyliśmy się do niego, a dzień później pojawiły się posiłki, ze wszystkich stron. Z Valladolid, Toro, Burgos, nawet z Segowii.

– Odcięliście go na drodze do Pampeluny? – spytał don Imgo. Mówił spokojnie, jednak jego oczy błyszczały.

– Tak właśnie zrobił książę. Zmusiliśmy go, żeby wytoczył bitwę mniej więcej pięć kilometrów na południe od miasta. Cóż to była za bitwa...

– Pięć kilometrów – mruknął don Iñigo. – To oznacza wzgórze Noain.

– Zgadza się. Guipuzconianie trzymali straż przednią. Awangardą straży przedniej była kompania z Azpeitii pod dowództwem kapitana Juana Lopeza de Ugarte. Stu dwóch ludzi, sami bohaterowie. Atak przypuściliśmy z takim zapalem, że przebiliśmy się przez francuskie linie i przechwyciliśmy całą ich artylerię, wszystkie ich armaty. W sumie dwadzieścia dziewięć sztuk.

– Moja noga została pomszczona – oświadczył don Iñigo z nikłym uśmiechem. – Mów dalej przyjacielu.

– Schwytaliśmy samego Andre de Foix – ekscytował się de Zabala. – Musiał zapłacić okup w wysokości

dziesięciu tysięcy dukatów. De Beaumont przyjął jego miecz.

– Rozumiem. – Don Ínigo zamknął oczy. – Zapewne ominęliście ich w Esąuiroz. Ilu uciekło do Fuentarrabii?

De Zabala z podziwem schylił głowę.

– Mniej więcej połowa. Skąd wiedziałeś jednak... – W tych okolicznościach nie mogli postąpić inaczej.

– Don Ínigo wzruszył ramionami. – To pierwsze miejsce, gdzie mogą się przegrupować. Mniej więcej połowa. Być może to jeszcze nie koniec wojny.

– Chyba jednak tak. – De Zabala zaśmiał się głośno.

– Trzeba ci było widzieć, jak uciekali, w chaosie. Teraz, kiedy tu rozmawiamy, księżę triumfalnie wkracza do Pampeluny.

– Cytadela. – Don Ínigo ponownie się uśmiechnął.

– Cytadela zostanie poddana po raz wtóry, tym razem przez Francuzów. Zmyjemy plamę na honorze. – Odetchnął głęboko. – To lepsze niż wszystkie lekarstwa świata, don Pedro. Dzięki tym wieściom wstanę z łoża śmierci...

Ponownie zamknął oczy.

De Iztiola dał znak de Zabali, który posłusznie wstał i na palcach wyszedł z pokoju, a za nim Magdalena i sam medyk.

De Iztiola mylił się jednak sądząc, że nowiny te wyczerpały pacjenta. Don Ínigo zamknął oczy tylko dlatego, że chciał zostać sam. Pragnął tego, gdy zamierzał odtworzyć sobie bitwę pod Noain, od początku do końca.

Fuentarrabia – to był słaby punkt. Znajdowała się na samej granicy pomiędzy Guipuzcoa i Francją, i była fortecą. Francuzi nie zdołaliby wziąć fortecy podczas ucieczki, jeśli jednak przegrupowali się w tym regionie, Fuentarrabia byłaby pierwszym celem ich kontrofensywy.

Księżę Najera teraz myślał o swoim triumfie, o marszu do Pampeluny. Był Kastylijczykiem, nie Baskiem.

Martin jednak na pewno myślał o Fuentarrabii i zamierzał wysłać oddziały przez Guipuzcoa na granicę. Oznaczało to, że znajdą się w pobliżu, a także, że sam Martin zjawi się tu w ciągu kilku dni. Jako dowódca straży przedniej podczas bitwy pod Noain, będzie musiał wziąć udział w triumfalnym wjeździe do Pampeluny, ale potem tu przybędzie. Za jakieś dwa dni. Nie wcześniej, ale zapewne i nie później.

I dobrze.

Rzeczywiście, dwa dni później pojawił się Martin Garda. Powitało go bicie kościelnych dzwonów, szczekanie ogierów w kojcach i radosne okrzyki rodziny.

Tylko w pobliskim klasztorze świętego Franciszka panowała cisza. Klasztor oraz rodzina Loyolów wiedli zadawniony spór. Poszło o błahostkę, ale obie strony były bardzo uparte i sprawa trafiła do Rzymu, by sam papież mógł ją rozstrzygnąć.

Oddawszy srokacza w ręce sług i przywitawszy się z żoną i dziećmi, Martin wspiął się na górę i wszedł do sypialni chorego.

Przez ponad godzinę bracia omawiali bitwę i jej

konsekwencje. Często wspominali o Fuentarrabii.

– Co z tą twoją nogą? – zapytał w końcu Martin. – Mogę ją odsłonić?

– Jeśli chcesz – odparł Ínigo spokojnie.

Martin zmarszczył brwi na widok kończyny brata. Rana się zagoiła, a kości zaczynały zrastać, jednak tuż nad kolanem widniał brzydki guz, spowodowany zachodzeniem na siebie nastawionych kości.

– Nie podoba mi się to – powiedział Ínigo. Oznajmił to tak, jakby mówił o projekcie domu lub nowej szacie dostarczonej przez krawca-partacza.

– Medycy to medycy, ale sporo w tym twojej własnej winy, bracie – zauważył Martin. – Nie trzeba było się przyłączać do obrońców cytadeli. Mogłeś pozostać ze mną i Guipuzconianami. Chwałę zyskałbyś w Noain.

– Teraz łatwo tak mówić – westchnął Ínigo. – Wtedy sytuacja przedstawiała się inaczej. – Zresztą zrobiłbym to samo.

Martin popatrzył na brata.

– Nie wątpię.

Obaj byli bardzo podobni do siebie – mieli takie same wysokie czoła, takie same wydatne nosy. Oczy w podobnym kształcie, chociaż powieki Íniga były cięższe. W krótkiej, czarnej brodzie Martina widniało zaledwie kilka siwych włosów, podczas gdy broda Íniga wydawała się czarna jedynie w półmroku. Tak naprawdę była ciemnobrązowa z rudawym odcieniem. Obaj mężczyźni charakteryzowali się również szlachetną powściągliwością

ruchów.

– Dajmy spokój nodze – oświadczył Martin. – I tak świetnie sobie poradziłeś. Herrera znowu włada Pampeluną i napisze do króla, rzecz jasna, jeśli jeszcze tego nie zrobił. Bez wątpienia wspomni mu o twoich zasługach.

– Być może – przyznał Iñigo z niewyraźnym uśmiechem.

– To otworzy przed tobą nowe perspektywy – ciągnął Martin. – Zwłaszcza że księżę bardzo cię poważa, sam to wiesz. Może awansujesz na porucznika. We Flandrii albo we Włoszech. A może w ogóle wyślą cię do Indii. Co byś wolał?

– Sam nie wiem – padła odpowiedź. – To miła perspektywa. Zacząłem się już zastanawiać, ale mam na to jeszcze mnóstwo czasu. Najpierw muszę pozbyć się tego. – Wskazał z niesmakiem guz na kolanie.

– Pozbyć? – Martin patrzył na niego. – Jak?

– Raz jeszcze otworzyć ranę, naturalnie.

– Bracie, oszalałeś?

– Szaleństwem byłoby liczyć na wspomnianą przez ciebie karierę z taką deformacją – odparł Iñigo flegmatycznie. – Musiałbym stoczyć zbyt wiele pojedynków z tymi, w których moje kalectwo budziłoby wesołość. Wszyscy by je widzieli, zwłaszcza gdybym jechał konno. Nie, ten guz musi zniknąć. Poprosiłem de Iztiolę, by przyniósł narzędzia.

Martin pokręcił głową.

– Dopiero co umknąłeś spod kosy. Ten guz to kość. Wyobrażasz sobie, jaki to ból?

– Operacja będzie bolesna, przyznaję – wciąż mówił spokojnym, wręcz zimnym głosem. – I potem czeka mnie sześć raczej niemiłych tygodni. To lepsze niż trzydzieści lat upokorzeń.

– Ja tam nie zdołałbym przez to przejść – oznajmił Martin.

Wstał, gdy do pokoju weszła Magdalena w towarzystwie medyka. Z trudem kryła niepokój.

– Ínigo, właśnie usłyszałam, że zażyczyłeś sobie jeszcze jednej operacji. Nie wierzę własnym uszom. To kuszenie Boga.

– Ależ skąd – Ínigo popatrzył na de Iztiolę, który wydawał się szczerze zakłopotany. Tak wyglądałby każdy człek, który obiecał dotrzymać tajemnicy, a następnie został wzięty w krzyżowy ogień pytań przez nieco zbyt dociekliwą damę, która przywykła, że dowiaduje się tego, co chce.

– To tylko korekta błędu, doña Magdalena.

– Nie zgodzę się na taką jatkę w moim domu – oświadczyła zdenerwowana dama.

Martin wydawał się poruszony, lecz Ínigo powiedział tylko:

– W takim wypadku trzeba mnie przenieść do domu de Iztiolów, doña Magdalena. Być może tak będzie lepiej. I tak sprawiłem wam mnóstwo kłopotów.

– Przecież nie o to chodzi! – krzyknęła. – Don Ínigo,

jak możesz mówić tak okrutne rzeczy? Nie chcę tylko, byś znowu narażał się na niebezpieczeństwo i ból...

– Bardzo to miło z twojej strony – przerwał Iñigo uprzejmie. – Trzeba to jednak zrobić. Wyjaśniłem wszystko Martinowi, powtórzy ci moje słowa. A teraz bardzo przepraszam, ale muszę porozmawiać z de Iztiolą.

– Poczekaj jeszcze przynajmniej tydzień, don Iñigo – prosiła Magdalena, gdy mąż prowadził ją do drzwi. – De Iztiola, porozmawiaj z nim, błagam, panie.

– Tak uczynię, pani.

Gdy drzwi zamknęły się za nimi, Iñigo zapytał:

– Masz narzędzia?

– Tak, w torbie...

– Do dzieła, doktorze.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Znów nastąpiły dni zaciśniętych pięści, nocy w gorączce i nagłych ataków bólu wgrzyzającego się w ciało niczym szczęki wilka.

Uciekał od nich myśląc o perspektywach znacznie szerszych, niż mógłby wymyślić prozaiczny umysł Martina.

Herrera zapewne nie zechce uhonorować człowieka znacznie niższego od siebie rangą, zwłaszcza jeśli człowiek ów zrobił to, co on sam powinien był zrobić. Jednak nazwisko Loyola otwierało każde drzwi, nawet te do gabinetu cesarza, a audiencja u Karola V mogła mieć znaczące konsekwencje.

Flandria? Włochy? Indie? Liczyły się tylko laury, które można było złożyć u stóp wielkiej królowej.

Zawsze miała pozostać wielką królową, mimo że po śmierci pierwszego męża zgodziła się wyjść za mąż za zwykłego murgabie. To ani na jotę nie umniejszyło jej wrodzonej godności: była królewskiej krwi i wyglądała jak królowa. Każdy, kto znalazł się w jej obecności, musiał to odczuć.

Najpierw będzie musiał udać się do Walencji, powiedzieć jej, co zamierza zrobić na jej cześć.

Musiał też przemyśleć, co jej powie, jakich słów użyje, gdy już ją spotka.

Nikt nie będzie ukradkiem chichotał na widok

kalectwa rycerza. Nie było już kalectwa. Czy ból miał jakiegokolwiek znaczenie.

Teraz mógł stanąć przed nią bez wstydu, mogła być dumna ze swojego rycerza, nawet ona, najczystszej francuskiej krwi, siostrzenica Ludwika XII, która dzieliła tron Hiszpanii z wdowcem po Izabeli Kastylijskiej.

Martin nigdy by nie zrozumiał takich przemyśleń. Był szczęśliwy w małżeństwie z dobrą kobietą, a kiedy nie walczył, jeździł ze sforą ogierów albo zajmował się doglądaniem gospodarstwa, a nawet nudnym spisywaniem inwentarza.

Dziwne, że dwaj bracia mogą się do tego stopnia różnić.

Martin nie pisywał poezji, nawet jednej linijki. Rzadko sięgał po księgi. Zerknął tylko do romansu *Amadis de Gaula*, nie dostrzegł jego piękna. A przecież Amadis był najpiękniejszym przykładem rycerza opisanego kiedykolwiek przez człowieka. Jego miłość do Oriany stanowiła symbol miłości rycerskiej. Czytanie o jego przygodach nigdy nie męczyło. Można je było przemyśliwać, zanotować w pamięci, aby w końcu przekazały czytelnikowi to, co najcenniejszego – ducha prawdziwego rycerza.

Służba pięknu była najważniejszą powinnością człowieka. Rycerz nie mógł pragnąć więcej, niż widzieć panią swego serca na tronie Hiszpanii.

Ból – czymże był ból dla człowieka z takimi planami? Ínigo zemdłał, kiedy piła de Iztioli rozcięła mu

kość. Nie mógł mieć nad tym kontroli, ale nie krzyknął, ani razu. I nie odezwał się przez całą dobę, gdyż chciał mieć pewność, że kiedy wreszcie się odezwie, jego głos będzie pewny.

Amadis de Gaula... Dobrze byłoby ponownie poczytać o tych wspaniałych przygodach.

Dobrze by też było wezwać na pomoc brata w wyobraźni, druha-poetę w godzinie potrzeby.

To przynajmniej oderwałoby jego myśli od Maszyny.

Maszyna była genialnym wynalazkiem, dumą doktora de Iztioli. Twierdził, że używają podobnych w Toledo, ale że on ją ulepszył.

Ściągną w rannej nodze się skurczyły. Trzeba ją było rozciągnąć do pierwotnej długości albo przez resztę życia don Inigo będzie mocno utykał. Temu miała zapobiec Maszyna. Był to skomplikowany, budzący podziw sprzęt, który go unieruchomił, wyciągał nogę i ją rozciągał, wszystko jednocześnie. Na pewno Maszyna spodobałaby się wielkiemu inkwizytorowi, już sam jej widok mógłby skłonić więźnia do zwierzeń.

Unieruchomiony, wyciągany i dręczony Inigo poprosił o *Amadisa de Gaula*.

– Przecież to wszystko kłamstwa – wykrzyknął jak zawsze praktyczny Martin. – A przynajmniej większość. Ten człowiek pewnie nigdy nie istniał. Poza tym nie mam tej książki.

– *A może masz* Sergas de Esplandianł Tą książką Martin również nie dysponował.

– Porozmawiam z Magdaleną – obiecał. – Wydaje mi się, że ma jakiś wolumin, może nawet dwa. Ja sam nieszczęśliwie przepadam za czytaniem.

Uprzejmość zabraniała choćby uśmiechnąć się lekko na to stwierdzenie.

Po południu zjawiła się Magdalena z dwoma ciężkimi tomami. Była niezwykle zakłopotana.

– To wszystko, co mamy w domu – wyznała. – Ale może przynajmniej zechcesz na nie zerknąć. Nie są to jednak rycerskie opowieści.

Widziała, jak z pełnym rozbawienia szacunkiem spojrział na tytuł pierwszego woluminu, *Życia Chrystusa*, a potem na drugi, *Kwiatki Świętych*. Z wdzięcznością skinął głową.

– Skoro nie mogę dziś wysłuchać Mszy Świętej, doña Magdalena, czytanie tego dobrze mi zrobi.

Nie była pewna, czy nie powiedział tego z lekką ironią, zrozumiała u mężczyzny, który dostał księgi zwykle czytane przez kobiety lub też czytane im.

Kiedy wyszła, ostrożnie dotknął pierwszego woluminu. Księga była piękna, wydrukowana jako pierwsza przez drukarnię w Alcali. Druk był nowym wynalazkiem, wkrótce mógł się pojawić w tysiącach zamków. Popatrzył na nazwisko człowieka, który przetłumaczył dzieło Ludolfa z zakonu kartuzów z łaciny na hiszpański. Tłumacz zwał się brat Ambrosio Montesino.

Montesino. To przywołało na myśl przeszłość. Jako

giermek królowej Germaine czytał jej niektóre poematy Montesino, a dzięki ich wersom jej wyczulone ucho przyzwyczało się do szorstkich tonów hiszpańskich słów.

Z uśmiechem otworzył ciężką księgę. Ujrzał tam piękny obrazek przedstawiający klęczącego tłumacza, który ofiarowuje księgę królowi Ferdynandowi i królowej Izabeli na tronach. Pod spodem widniała duża tarcza zjednoczonej Hiszpanii. Dalej była przedmowa, pięknymi gotyckimi literami, na czarno i czerwono, jak w mszale.

Głosiła, chwałę ich królewskich mości, wychwalała ich pobożność, pragnienie sprawiedliwości, umiłowanie pokoju i porządku w Hiszpanii, ich wielkie triumfy na lądzie i morzu, odkrycia za Atlantykiem, złoty wiek Hiszpanii...

Montesino był elokwentny, podziwiał odwagę i konsekwencję królewskiej pary w „odbiciu Saracenom królestwa Granady. Niewierni woleli umrzeć niż złożyć broń, byli spragnieni chrześcijańskiej krwi i bronili swej niegodziwej, głupiej, ignoranckiej i godnej najwyższej pogardy sekty, a także wszystkich swych miast, miasteczek i zamków, tak potężnych i nienaruszalnych, że trudno było uwierzyć, iż mogą kiedykolwiek zostać zdobyte”.

Potem znów wychwalał ich „za wielokrotne przeciwstawianie się zajadłej i krwawej ręce Turków i niewiernych, którzy toczyli okrutną wojnę na lądzie i morzu swymi potężnymi armadami i licznymi armiami”, a także „za doskonałość i cnotę ich osób, szczęśliwych i

błogosławionych chwalebnyymi zwycięstwami oraz odkryciami rozlicznych lądów i wysp na odległych morzach, w Indiach oraz pośród innych barbarzyńskich ludów...”

Była to prawda. Tak właśnie wyglądał złoty wiek Hiszpanii, taki był duch jej władców. I niekoniecznie była to przeszłość. On z pewnością nie zamierzał do tego dopuścić.

„Zapewniliście wszystkim kościołom swojego królestwa zacnych i doskonałych prałatów-administratorów – pisał Montesino – jako że zwracacie większą uwagę na ich duchowość, cnotę i wiedzę niż na szlachetność i wpływy ich przodków. Uważaliście zgodność z wolą Najwyższego i prawem kanonicznym za ważniejsze od uczuć pożądlivych i natrętnych ludzi. Zdecydowaliście, że prałaci winni służyć kościołom, a nie kościoły prałatom...”

Czytelnik pokiwał głową. Był to jeden z największych wyczynów, który musiał przysporzyć legionów ambitnych wrogów. Cóż za satysfakcja zmierzać prosto do celu, nie ustąpić nawet o krok.

Wspaniale było być królem, jeśli jednocześnie pozostawało się rycerzem.

„Zreformowaliście także większość zakonów w Hiszpanii, które utraciły większość pierwotnego ducha swych założycieli.”

Złoty wiek. Ifiigo przypomniał sobie starego księdza z Arevalo, który zwykł mawiać, że w oczach Boga kraj

jest tyle wart co jego klasztory i zakony.

Logiczne. Tak jak w oczach wroga kraj był tyle wart, ile jego armia.

Ludzie służyli różnym celom. Zadaniem króla było dopilnować, by każdy robił to jak najlepiej.

„Wasze wysokości unowocześniły i zreformowały nauczanie w szkołach i na uniwersytetach tych królestw, aby ich studenci byli równie biegli w Boskich i ludzkich studiach, jak te królestwa są zasobne i obfite w tymczasowe błogosławieństwa. W całej Hiszpanii, a nawet w Rzymie i w świętym mieście Jerozolimie wzniesiście na służbę Bogu świątynie pełne religijnej i wzniosłej chwały, opatrzone cudownymi bogactwami i ozdobami ze złota, srebra i cennych kamieni. Wzniesiście zamki i fortece dla większej godności i obronności swoich ziem i posiadłości”.

Zrozumienie takiej myśli oznaczało, że człowiek miał w sobie iskrę, z której gotów był buchnąć królewski płomień. Taki człowiek mógł wnieść wzrok wysoko, ku temu, co najlepsze na ziemi, i nie zadowalało go nic poza najlepszym.

Ferdynand i Izabela należeli do przeszłości, królowa Germaine też już nie rządziła w Madrycie. Teraz w całej Hiszpanii trwały zamieszki, wszędzie było niezdrowe napięcie, a młody król nie miał czasu dla własnego kraju, nawet nie był Hiszpanem, tylko Austriakiem, i bardziej mu zależało na godności cesarza niż bliskim związkach z własnymi poddanymi.

Jego nauczyciel, Adrian z Utrechtu, był podobno jednym z najmądrzejszych i najbardziej uczonych ludzi. Jednak był również Adrianem z Utrechtu, nie z Alkali, Salamanki czy Toledo.

Ínigo zważył księgę w dłoniach. Można było zdziałać wiele w Hiszpanii i dla Hiszpanii, równie wiele, a może nawet więcej, niż Amadis zdziałał dla królestwa Lisuarte i swojej królowej Oriany.

Nie mógł się nie uśmiechnąć, gdy otworzył drugą księgę.

W *Kwiatkach Świętych* również był wstęp, i również napisał go znany mu człowiek. Brat Gauberto Maria Vagad, cysters. Poznali się na dworze króla Ferdynanda sześć lat wcześniej.

Królowa Germaine wysłuchiwała jego kazań w pałacowej kaplicy, a Ínigo siedział za nią, z różańcem w dłoniach, i wpatrywał się w piękną szyję damy, tkwiącą w koronke czarno-złotej sukni.

Montesino i Vagad – obaj łączyli go z przeszłością, z nią...

Złota nić, niezwykle cienka, nawet cieńsza od koronki na sukni królowej.

Postanowił przeczytać obie księgi.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

„Kiedy przybył do Rzymu z pielgrzymką, zamienił się na ubranie z biedakiem i stał przed katedrą Świętego Piotra wśród biedoty, i żebrał, i jadł równie ochoczo jak i om .

To było straszne. W świecie nie istniało nic okropniejszego niż brud, nieczystości, pasożyty, smród niemytych członków, hańba człowieka, którego ciało sygnalizuje bezradność – nakarm mnie, sam nie potrafię się nakarmić, nakarm mnie okruchami ze swojego stołu, śmierdzącymi resztkami, które niegdyś były posiłkiem, nakarm mnie tym, czego nie chcesz jeść, szlachetny panie, szlachetna pani, odgryzionymi resztkami, chrząstkami, kośćmi, na których została odrobina mięsa, tłustego i brudnego... Równie dobrze można by jeść robactwo z własnych łachmanów.

Odejdź, Franciszku, odejdź...

„I często tak robił bez dopuszczania wstydu, przy swoich towarzyszach i odrzucając diabła, który go dręczył, który chciał go zepchnąć ze ścieżki dobra, którą zaczął kroczyć...”

Czy była to swoista odwaga, czy szaleństwo?

A co za różnica? Było to obce, brutalne, rycerz nawet nie powinien nad tym myśleć. W takiej żalosnej odwadze nie było blasku, żadnego szlachetnego porywu przeciwko nieprzyjacielowi – pożałowanie godne.

Indie. Wędrówka przez dżunglę wśród tysiąca niebezpieczeństw, krokodyli i węży, zatrutych strzał dzikusów. Pokonać ich i ze złota niewiernych wybudować katedrę dla Króla nad królami, powrócić triumfalnie do ojczyzny, położyć zdobione klejnotami klucze u stóp królowej Germaine.

Mężczyzna musi ryzykować życie dla ideału, a nie pogrążyć się w upokorzeniu.

„Wtedy nadszedł człowiek z wykoślawioną dłonią, trędowaty, i choć naturalnie Franciszek poczuł obrzydzenie, przypomniał sobie, co rzekł mu głos: «Franciszku, potraktuj gorzkie jak słodkie i gardź sobą, jeśli pragniesz Mnie poznać», pobiegł za tym człowiekiem i zaczął go całować”.

Potworne. Potworna odwaga. Mały żebrak zburzył mu spokój.

Czy on mógłby to zrobić? On, Iñigo de Loyola y Licona?

To dopiero było wezwanie. Wcześniej też stawiał im czoło, w Madrycie, w Arevalo – tak, sytuację w Pampelunie też można było uznać za wyzwanie. Ale całować żebraka?

Krew wstąpiła mu na policzki. Tańczący, uśmiechnięty, zuchwały braciszek patrzył na niego z zadrukowanych stronic księgi i rzucał mu wyzwanie, z jakim Iñigo nigdy dotąd nie miał do czynienia. To wyzwanie nie wymagało miecza, konia ni zbroi. Ten mały człowiek walczył z czyrakami, cuchnącymi ranami...

trądem.

To musiała być najtrudniejsza z bitew. Żeby ją wygrać, Ínigo musiałby walczyć z don Ínigo de Loyolą i go pokonać, tak jak Franciszek pokonał Franciszka.

Jeśli chciał skrzyżować miecz ze Świętym musiał udźwignąć krzyż.

Pogrzebał uśmiechniętego żebraka Boga pod pięćdziesięcioma stronicami księgi i zaczął czytać o życiu świętego Onufrego, świętego dzikusa, człowieka książęcego rodu, który postanowił żyć w samotni pustyni Thebaid, „jedząc wyłącznie zioła: i walcząc z „wrogiem ludzkiej natury”. Z diabłem. Szatanem.

To dopiero była walka. Nie przeciwko uzbrojonym ludziom, nie przeciwko królewskim wrogom, ustawionym na polu bitwy w strategicznym porządku, nie przeciwko potworom i smokom z rycerskich opowieści, ale przeciwko największemu potworowi z możliwych, ucieleśnieniu siedmiu grzechów głównych, wrogowi Króla królów, który próbował zniszczyć dzieło stworzenia.

Demon jednak był subtelny. Często przybierał naturę i pozę kobiety. Naturę – gdyż jak ona był słaby i dostawał sił tylko dzięki słabości swego wroga. Pozę, gdyż jak kobieta szybko tracił odwagę w obliczu oporu, jednak żadna bestia na ziemi nie mogła stanąć w nim w szranki, kiedy odkrywał, że przeciwnik czuje przed nim lęk.

Wznieść sztandar Boga przeciwko sztandarowi szatana, jak główny dowódca sił niebieskich, jak sam

święty Michał...

Ale do takiej walki należało się przygotować. Nie można było stanąć do walki z wygodnego łóża, wśród kochających krewnych, którzy spełniali każdą jego zachciankę.

Taki człowiek musi zostać wyszkolony i uzbrojony w nową broń.

Potem przyszła pora na świętego Dominika: „Każdej nocy biczował się żelaznym łańcuchem; pierwsze uderzenie za siebie, drugie za grzeszników na świecie, a trzecie za dusze w czyśćcu”.

Íñigo był w Caleruedze, gdzie narodził się Święty; Caleruega leżała nieopodal Arevalo. Trzy lata temu wraz z całym dworem odwiedził kościoły San Pablo i San Gregorio w Valladolid, kiedy młody król Karol składał przysięgę w Cortes.

Rycerze Boga.

Ale jego nie szkolono do takiej walki.

Awans. Stać się hrabią, grandem Hiszpanii, doradcą króla. Wygrać królewskie bitwy jak Jefe z jego armii. Wręczyć królowej Germanie łupy wojenne...

Jej mąż był margrabią. Nad grandem stał jednie król. Gdyby zdobył ten tytuł (i choć nie było to łatwe, jednak niektórym się udawało), mógł spotkać się z margrabią na każdym polu, nawet w pojedynku.

A potem...

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Przybył Martin ze zdumiewającymi informacjami. Mimo wspaniałego zwycięstwa w Noain, książę Najery stracił tytuł wicekróla Nawary.

– Na jego miejsce wybrali hrabiego Miranda. Są pewni, że król to potwierdzi.

Ínigo zmarszczył brwi. Widział już, co się działo z człowiekiem, który tracił władzę – im wyższa była jego pozycja, tym boleśniejszy upadek. Tak się stało z Velasquezem, skarbnikiem Kastylii, do którego rodziny był przywiązany przez tyle lat; byli też inni.

Tymczasem Martin spacerował po całym pokoju, wykrzykując swoją złość na tych, którzy doprowadzili do upadku księcia.

– Z całą pewnością naopowiadali o nim koszmarnych głupstw, Ínigo. Nic mnie nie zdziwi. Gdyby żyła królowa Izabela, natychmiast osiodłałbym konia i pojechał prosto na dwór. Rządzi jednak młody Karol i tkwi w jakimś zapomnianym przez Boga miejscu w Niemczech, zadając się z luteranami. A niech ich zaraz – nie mogą pozwolić, żeby władca rządził swoim królestwem? A to jeszcze nie wszystko... Miałeś rację co do Fuentarrabii, Ínigo. Coś się szykuje w sąsiedztwie. Powiadają, że nowe oddziały zbierają się w pobliżu granicy. Nie pod Foix, tylko pod admirałem Bonivetem. Ale ty mnie nie słuchasz...

– Wybacz – powiedział Ínigo. – To rzeczywiście

poważne wieści.

– Wyglądasz znacznie lepiej – powiedział Martin. – Po co jednak zaprzątasz sobie głowę tymi księgami? Czytają sobie pobożne opowiadania? Daj, uprzątnę te rzeczy.

– Nie, nie – oświadczył Iñigo pośpiesznie. – Sam do nich zaglądam od czasu do czasu.

Martin prychnął.

– Na pewno się ucieszysz, że de Iztiola jest bardzo zadowolony – oświadczył. – Twierdzi nawet, że za miesiąc bądź dwa będziesz mógł znów usiąść w siodle, jeśli wszystko dobrze pójdzie. No i najwyższa pora ku temu. Obawiam się, że wkrótce znów będziemy musieli skrzyknąć siły zbrojne. Mówiłem to już Vergarze, Juanowi de Eguibar i Ugarte. Jeśli Francuzi uderzą, zrobią to szybko, sam wiesz. Kiedy to zrobią, będziemy musieli użyć przeciwko nim ich własnej artylerii. Teraz jadę. Muszę to przedyskutować z Ortizem de Gamboa i lordem Lizaur. Czy chcesz im coś przekazać?

– Nic – odparł Iñigo po chwili. – Jedyne wyrazy uszanowania.

Kiedy Martin odjechał, Iñigo ponownie oddał się rozmyśleniom.

Naturalnie, było mu przykro z powodu księcia Najery. I zainteresowały go nowiny przywiezione przez Martina. Ale...

Ale co, spytał sam siebie z irytacją. Z pewnością powinno mieć dla niego wielkie znaczenie, że jego dawny

protektor i przyjaciel już nie był wicekrólem. Fakt, że Francuzi najwyraźniej zamierzają pomścić Noain i odzyskać Nawarrę, powinna go poruszyć, ożywić, jeśli już nie przekłute ciało, to przynajmniej umysł.

Tak się jednak nie stało. Nie dlatego, że był słaby, gdyż już nie był.

I to była druga dziwna rzecz, jaka mu się przydarzyła w ciągu ostatniej doby.

Pierwsza taka naprawdę właściwie wydarzyła się wcześniej, ale początkowo dość długo jej sobie nie uświadamiał. Nawet teraz nie miał pojęcia, jakie będą jej konsekwencje i to wydawało się niedopuszczalne.

To coś zachodziło w nim samym, od wielu tygodni. Rozwagał dwie różne rzeczy, i każda powodowała natłok myśli kłębiących się w jego głowie.

Pierwsze myśli dotyczyły planowania jego przyszłej kariery, dojścia do potęgi, tytułów i pozycji, z której mógłby śmiało spoglądać w oblicze ukochanej damy. Wszystko, co zrobiłem, robiłem dla ciebie. Były to pełne przepychu radosne myśli, myśli godne rycerza, smakował je raz za razem. A im bardziej je smakował, tym mniej mu zależało. Iskra zgasła, blask wydawał się tandetny. Było tak, jakby otrzymał za jakiś niewiarygodnie cnotliwy czyn, Order Złotego Runa, i stąpał w chmurach. Za drugi czyn, podobnie wspaniały, otrzymywał nieporównanie bardziej wartościowy order. I trzeci, i czwarty, i dziesiąty – i to wszystko wydawało się dziwnie absurdalne, całkiem jakby dworski błazen włamał się do królewskiej skrzyni z

orderami i zaczął wieszać je na swojej szyi. Inigo nadal myślał o tym z przyjemnością – ale tylko w kontekście walecznych czynów. Jednak nawet i te myśli napawały go dziwnym rozczarowaniem, głodem, niespełnionym pragnieniem.

Drugi strumień myśli niósł go na ścieżkę wiodącą do Ziemi Świętej. Miałby tam być rycerzem Boga, nie królowej. Tu nie było blasku, nie było przepychu.

Piesza wędrówka do Jerozolimy, jedzenie wyłącznie ziół, umartwianie ciała na sto sposobów, by wreszcie stało się posłuszne i narzucenie mu żelaznej zasady, zwanej przez brata Franciszka „Brat Osioł”. Wspinaczka po wąskiej ścieżce do Bożej fortecy w niebiesiech, śladem Dominika i Onufrego, bez zważania na szyderstwa i kpiny, szydzenie i kpienie z samego siebie poddanego pokusie szatana.

I wtedy nie czuł żadnej goryczy, rozczarowania, nienasycenia.

Przyzwyczał się do blasku pierwszego strumienia myśli i wkrótce się nim znudził.

Jednak ta nowa ścieżka nie mogła nudzić, podobnie jak nie mógł nudzić sam Bóg.

Dlaczego tak było?

Teraz, gdy wiedział to na pewno, musiał poznać odpowiedź.

Rozkładał ją na fragmenty, niczym nożem.

Jeśli coś pożądanego zostawiało nieprzyjemny posmak w ustach, jak mogło pochodzić z dobrego źródła?

Czy możliwe, żeby to szatan był autorem jego ambicji, jego marzeń o wielkości dla ziemskiej królowej, żony innego mężczyzny? A jeśli tak, czy celem tych marzeń było stłumienie drugiego głosu, który kazał mu podążać ścieżką świętych?

Usiadł na łóżku. Mógł to zrobić bez trudu.

Tak – oświadczył lodowato.

W następnej chwili uświadomił sobie, że ta odpowiedź rozwiązała i drugą zagadkę – brak jego zainteresowania sprawami księcia Najery i tym, co się działo na granicy Hiszpanii.

Franciszek, Dominik, Onufry. Żaden z nich nie dbał o ziemskie sprawy.

Polem bitwy rycerzy Boga była dusza.

Należało ją wyrwać ze szponów wroga i ofiarować Bogu, najpierw własną, a potem inne.

Kim był jednak, by myśleć o takich sprawach?

Jakie miał kwalifikacje, jakie kompetencje, by dołączyć do towarzystwa świętych?

Żadnych. Absolutnie żadnych. Czy ktoś słyszał kiedyś o świętym, który spędzał czas na polowaniach, pojedynkach i zalotach? To brzmiało absurdalnie.

A może?

Raz jeszcze dopadł go natłok myśli. Jak wyglądała prawdziwa sytuacja na polu bitwy?

Uśmiechnął się ponuro. Sam fakt, że rozmyślał o tej sprawie dowodził, iż bitwa już się rozpoczęła.

Wywiad donosił, że wróg zajął sporą część pola.

Zamierzał zaatakować na terenie, na którym wszelki opór był próżny, gdyż to właśnie wróg zajmował większość pola.

Gdyby jednak nie to, nie byłoby żadnej bitwy. Generał święty Augustyn i generał święty Franciszek mieli do czynienia z identyczną sytuacją, gdy po raz pierwszy wypowiedzieli bitwę nieprzyjacielowi.

O to właśnie chodziło w tej bitwie; nie, najważniejsza była ona sama. Pytając o kwalifikacje i kompetencje, wróg sugerował kapitulację.

Atak był podstępny. Nieprzyjaciel usiłował wykorzystać cnotę pokory. „Nie jesteś godzien takiego celu. Zrezygnuj”. Ale chrześcijanin powtarzał: „Panie, nie jestem godzien”, a potem jednak szedł przyjmować ciało Chrystusa!

A człowiekiem, który pierwszy wypowiedział słowa: „Panie, nie jestem godzien”, był żołnierz, rzymski oficer.

Pomyślał, z nowonabytą satysfakcją, że bitwa wciąż jest w toku. Zawsze była, tylko jak dotąd on sam okazał się bardzo kiepskim generałem. Zaniedbał armię i sprzęt. Dopuścił do tego, że wróg przeniknął tam, skąd powinien zostać wygnany.

Teraz mógł na to spojrzeć z perspektywy – a właściwie dopiero zaczynał. Musiał przeprowadzić inspekcję ludzi i materiału; należało wprowadzić zmiany, nowy sprzęt, metodyczny trening. I każdy z tych środków wymagał stoczenia swoistej bitwy w tej nowej metodzie walki.

Nie czuł dumy ani rozradowania. Nie cieszył się. Rozumiał teraz, że chęć pokuty świętych stanowiła coś w rodzaju militarnej konieczności.

Nie było żadnej cnoty w całowaniu trędowatego, jak długo on sam był trędowaty.

Zaczął egzaminować i sprawdzać wszystkie myśli, które w nim narastały. Musiał istnieć sposób na odróżnienie, skąd się biorą, czy od Boga, czy też od szatana. I istniał.

Kiedy Magdalena de Araoz weszła do pokoju, poprosił ją o papier i atrament. Znalazł odpowiednie słowa, nie chciał, by wyleciały mu z pamięci. Napisał: „W tych, którzy przechodzą od dobrego do lepszego, dobry duch dotyka duszy delikatnie i łagodnie, niczym kropla upadająca na gąbkę, a zły duch ostro i hałaśliwie, powodując niepokój, jak woda uderzająca o kamień”.

Spodobało mu się to, co napisał. Postanowił sporządzać notatki. Poza tym było sporo ustępów w *Życiu Chrystusa* i *Kwiatkach Świętych*, które pragnął mieć przy sobie bez noszenia dwóch ciężkich ksiąg. Postanowił nosić przy sobie notatnik.

Miał przed sobą sporo takich prostych czynności.

Był nie tylko generałem dowodzącym armią. Był również najprostszym z żołnierzy.

Czekało go nie lada zadanie, znacznie poważniejsze niż obrona cytadeli w Pampelunie czy też Fuentarrabii. Była to wojna na pełną skalę i wszystko musiał dokonać sam.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Tej nocy nie mógł spać. Był sierpień, zrobiło się bardzo gorąco, ale to nie upał mu przeszkadzał. De Iztiola po raz pierwszy pozwolił mu wstać z wózka i Ifiigo chodził, naprawdę chodził po całym pokoju, utykając nieznacznie. De Iztiola uznał, że trzeba jeszcze tylko paru tygodni oraz obcisłego bandaża, który później zastąpi specjalna podeszwa w bucie, dzięki której utykanie będzie niemal niewidoczne. To, naturalnie, była dobra wiadomość. Jeszcze niedawno stanowiła dla niego kwestię życia i śmierci.

I teraz była ważna. W utykaniu było coś pozbawionego godności, coś, co wzbudzało drwiny. Franciszek jednak mógłby powiedzieć, że lepiej pokuśtykać ku niebu, niż pogalopować do piekła.

Guz na kolanie zniknął. Tyle że w przyszłości być może nikt poza nim samym nie miał oglądać tego kolana.

Przynajmniej mógł chodzić. Niepewnie, podpierając się o łóżko, skraj szafki, oparcie krzesła. Był na nogach] zaledwie od kilku minut, a już miał wrażenie, że to za j długo. Odczuł ulgę, kładąc się na powrót do łóżka.

A teraz nie mógł spać. Nie z powodu upału i nie dlatego, że po raz pierwszy od dłuższego czasu chodził.

Było niezwykle parno, być może nadciągała burza.

Może człowiek, który wynalazł działą, doznał olśnienia patrząc na pioruny. Może była to imitacja

twórczości Boga.

Nie wiedział czy zbierają się chmury. Było zbyt ciemno, nie świecił księżyc. Może coś by zobaczył, gdyby podszedł do okna, ale nie mógł dziś ponownie wstać z łóżka.

Pomodlił się, jak zwykle.

Zawsze tak robił. Hidalgo nie mógł niczym obrazić ani damy, ani Boga.

Najpierw *Ojczyzna nasza*, hołd złożony największemu Władcy, uznanie własnej odeń zależności.

Zdrowaś Maryjo dla Królowej Niebios, największej istoty ludzkiej, łączniczki z Bogiem, błogosławionej między niewiastami.

Gdyby nie Ona, rycerskość nie miałaby żadnego sensu; nigdy by nie powstała. Maurowie i muzułmanie gardzili kobietą, uczynili z niej zabawkę i swój dobytek. Maryja stanowiła jej całkowite przeciwieństwo. To właśnie dzięki Niej każda kobieta wydawała się szlachetniejsza, to przed nią mężczyzna zdejmował czapkę i skłaniał głowę.

Gdyby nie Maryja, nawet królowa Germaine...

Zmarszczył brwi i zaczął się zastanawiać. Co lub kto sprawiło, że tak bardzo pokochał tę damę, która kilka lat wcześniej była królową Hiszpanii?

Nieraz, ba, tysiące razy, powtarzał sobie, że szaleństwem jest wybierać damę o pozycji społecznej zbyt wysokiej dla zwykłego rycerza; tylko od czasu do czasu mamił się, że pewnego dnia dokona wielkich uczynków i

osiągnięciu statusu, który zmniejszy przepaść pomiędzy nimi.

Teraz dopiero dojrzał, że to szaleństwo było czymś dobrym – szaleństwo by pragnąć zbyt wielkich rzeczy. Jednak jego cele nie były dość wysokie.

Nikt nie mógł być jego damą prócz Tej, która była łaski pełna, Tej z kaplicy Olaz, Aranzazu, Montserrat, Tej, dzięki której był bliżej Boga.

I bez Niej całe jego planowanie, cała taktyka i strategia nie miała sensu.

Musiał zrobić wszystko sam. Jednak nic, czego sam dokona, nie mogło się obejść bez Jej pomocy.

Nie myślał o tym, nie świadomie. Po prostu to wiedział, jakby oznajmił mu to jakiś niekwestionowany autorytet.

Nie usłyszał ani słowa na ten temat, jednak wiedza ta rozkwitła w jego sercu i w jednej chwili sięgnęła umysłu.

Gdyż była to świątynia Najświętszej Maryi Panny trzymającej Dzieciątka Jezus.

Słowa brata Ludolfa z zakonu kartuzów, przekazane mu przez brata Ambrosio Montesino, rozdźwięczały się w jego sercu, jasno i czysto, niczym dzwony: „Panno nad pannami, błogosławiona Maryjo...Ty, któraś pierwsza ze wszystkich niewiast poprzysięgła dochować czystości i złożyła ofiarę z tak cudownego daru, choć nie uczono Cię słowem ani przykładem innej śmiertelniczki, byś uczyniła to, co dotąd nie było znane. I Ty, którą upodobał sobie Bóg, pełna tej cnoty i wszelkich innych, któraś pozostawiła wszystkim przykład, jak należy żyć, błagam,

byś w swej bezkresnej hojności pokierowała całym moim życiem i zapewniła mi łaskę swego Syna, abym jak tylko mogę naśladował wszelkie twe cnoty i czerpał z twych przykładów. Panno Maryjo, spraw, by twoja łaska towarzyszyła mi teraz i zawsze. Amen”.

Nie uśmiechnęła się, lecz spojrzała na niego uważnie. Odległość między nimi była tak przepastna jak same niebiosa, a jednak czuł się tak blisko Niej jak Boga.

A Dzieciątko, które było Bogiem, nie uśmiechnęło się, ale spojrzało uważnie na Matkę.

Niebiosa zniknęły, powróciła ziemia. Ińigo leżał bardzo nieruchomo, bardzo spokojnie, z rękoma złożonymi na piersi, jak ktoś, kto właśnie zmarł i zajęli się nim kochający bliscy.

Wiedział, że jest już martwy dla swojej przeszłości i wszystkie jej obrazy opuściły jego duszę.

Cicho, bez wysiłku, wyśliznął się z łóżka i podszedł do drzwi.

Musiał złożyć przysięgę, nie miał ani chwili do stracenia. Martin przebudził się nagle.

Płomień świecy na stole tańczył dziki taniec.

Kiedy Martin wyciągnął rękę, by zgasić ogieniek, poczuł, że jego łoże się pomsza, i nie tylko łoże, ale i wszystkie meble.

Z pokoju Magdaleny dobiegł go cichy okrzyk.

Martin skoczył, ale podłoga zatrzęsła się pod nim i niemal stracił równowagę.

Wpadł do jej pokoju. I ona wyszła z łóżka, teraz

wpatrywała się w niego z rozchyłonymi wargami. Widział, że jest bardzo blada. Chwycił ją w ramiona.

To trzęsienie ziemi.

Ale było już po wszystkim.

Nasłuchiwali. Słyszeli jednak tylko bicie własnych serc.

Nagle dobiegł ich jakiś hałas z pomieszczeń dla służby na dole.

– Wszystko w porządku – oznajmił Martin chrapliwym głosem. – Nie ma się czym przejmować. To tylko lekkie wstrząsy. Lepiej pójdę i sprawdzę, czy nie narobiły jakichś szkód.

– Nie! Nie zostawiaj mnie samej.

. * Pokręcił głową.

– Przecież miałaś już do czynienia z wstrząsami, prawda? Muszę zobaczyć. Możesz pójść ze mną, jeśli chcesz, tylko narzucę płaszcz na ramiona.– Będę gotowa za moment.

Zeszli schodami na parter, gdzie siedziała służba, szlochając cicho. Martin kazał wszystkim wracać do swoich łóżek.

– Już po strachu. Nie było tak źle.

Oni jednak nawet nie drgnęli. Słyszał szczęknięcie ich zębów.

Wzruszył ramionami, zostawił służących i dołączył do żony w wąskim korytarzyku.

– Chyba lepiej pójdę sprawdzić, jak wyglądają stajnie.

– A co z Ínigo?

– Moja droga, z pewnością nic się mu nie stało. Wątpię, czy w domu zbiła się choćby szyba. Ale dobrze, sprawdźmy.

Kiedy znowu wspięli się na piętro, Martin ujrzał, że drzwi do niewielkiej kapliczki są uchylone.

Podszedł, by je zamknąć. Nagle Magdalena usłyszała jego cichy okrzyk, pełen zaskoczenia. Martin stał, dziwnie wyprostowany i sztywny, jakby odepchnięty jakąś nieznaną siłą.

Była silną, energiczną i dzielną kobietą, ale bardzo często to właśnie ci najsilniejsi mają problem z tym, że solidny grunt nagle przestaje być solidny. Przestraszyła się wstrząsów i teraz poczuła, że strach ponownie chwyta ‘ ją za gardło. Co się stało w kaplicy? ’

Mimo strachu ruszyła ku Martinowi. Zza niego zerknęła na kaplicę, niczym przerażone dziecko.

Ínigo klęczał przed obrazem Najświętszej Maryi Panny. Był to panel ze Zwiastowania – królowa Izabela podarowała go Magdalenie, gdy ta była damą dworu.

– Jak on zszedł? – wyszeptał Martin. – I klęczy... Jego kolano...

Nie umiała mu odpowiedzieć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

– Avila – oznajmił Uli i ściągnął wodze. – Co za mury i wieżyczki. Jeszcze nie tak dawno temu musieli bronić jej przed Maurami.

– Jest piękna – odezwał się rzekomy Juan. – Podoba mi się znacznie bardziej niż Segowia.

– E tam, w tym kraju wszystko wygląda tak samo. A przynajmniej ma takie same kolory. Szary brąz, oliwka. Wszystko jest szare, brązowe bądź oliwkowe. Smutne barwy. Powinieneś kiedyś przyjechać do Szwajcarii, Juan.

– Zapominasz o niebie – oświadczyła Juanita. – I srebrzystej katedrze.

– Mają tu piękne katedry – przyznał Uli. – Gdyby jeszcze ludzie... Nieważne. Wiem, co jest nie tak z kolorami w tym kraju. Brak czerwieni. A to czerwień ożywia krajobraz. Powinieneś zobaczyć czerwoną poświatę na moich górach, każdego ranka, każdego wieczoru...

– Brąz to czerń z czerwienią – przerwał mu Juan. – Ojciec mawiał: W każdym okruchu dobrej ziemi jest Czerwona krew, to krew Boga. Gdyby jej nie było, nic by nie wyrosło. Żyjemy dzięki Niemu”.

– Twój ojciec musiał być niezwykłym człowiekiem.

– O tak, był nim. Był poetą...

– Wiem. Mimo to był niezwykłym człowiekiem. No, to już po wszystkim, chłopcze. Koniec naszej wędrówki.

Burgos – Segowia – Avila. Widzieliśmy kawał Hiszpanii.

Rzekomy Juan popatrzył na niego z błyskiem w oku.

– Znajdziemy tu panią Germaine?

Uli nie patrzył na Juana.

– Nigdy nie twierdziłem, że spotkamy tu kogoś konkretnego – odparł.

– Nie, ale się domyśliłem. Nigdy nie byłem równie zaskoczony jak wtedy, gdy spytałeś mnie o nią w Maderze. Dama don Inigo! Niewiele mówił, ale kiedy już coś powiedział, to tylko o niej.

– Chłopcy zwykle nie interesują się takimi sprawami – zauważył Uli.

– Właśnie, że się interesują. Ty może nie, ale słyszałem innych, jak rozmawiali.

– Naprawdę? – Pytanie to zostało zadane bardzo obojętnym tonem.

– Naprawdę. Słyszałem, jak rozmawiają w Barcelonie, w domu doni de Mendel. Ma córkę w moim wieku i jeszcze dwie starsze córki – jedną osiemnastolatkę i dwudziestolatkę – i chłopcy podchodzili pod ich okna, żeby z nimi porozmawiać. Dolores i ja pękaliśmy ze śmiechu; tak zabawnie wywracali oczyma i wygłaszali gładkie przemowy. I obgadywali ukochane innych chłopców i ukochanych innych dziewcząt. Guwernantka nie miała nic przeciwko temu, bo też lubi płotki.

– To było w Barcelonie, tak?

– I w Pampelunie też.

– Mniemam, że byłaś jedyną dziewczyną w

domostwie swojej ciotki. – Nadal starał się mówić obojętnym tonem. – Pewnie chłopcy też podchodzili pod twoje okno, wywracali oczyma i wygłaszali gładkie przemowy.

– Dwóch tak – przyznała. – Jednak ciocia Mercedes odganiała ich za każdym razem, zanim zdążyli wywrócić oczyma. Wtedy byłam bardzo zła, ale powiedziała mi, że dziewczynę uważa się za kandydatkę na żonę od chwili, gdy chłopcy zaczynają przychodzić pod jej okno, a jeśli zaczną im na to pozwalać za wcześnie, za kilka lat wszyscy uznają, że jestem bardzo stara i nikt nie podejdzie pod okno, poza prawdziwymi niegodziwcami, na których porządna niewiasta nie powinna nawet patrzeć.

– Twoja ciotka Mercedes była niezwykle inteligentną kobietą – oświadczył Uli.

Wiedział, z jaką surowością i ostrożnością wychowuje się młode dziewczęta w Hiszpanii. Serenady pod oknami były jedynym odstępstwem, na jakie im pozwalano, i nawet wtedy niektóre guwernantki siedziały czujnie nieopodal.

Wciąż nie mógł się nadziwić, jak łatwo dziewczyna zaakceptowała podróż – rzecz zupełnie niebywała jak na hiszpańskie zwyczaje. Jednak wciąż była dzieckiem, a on pełnił rolę jej ojca lub bardzo, bardzo starszego brata.

Oczywiście.

Ona była jego maleńkim braciszkiem, tak opowiadał tuzinom ludzi.

I sobie też musiał to powtarzać, kiedy czuł taką

potrzebę. Czasem emocje wymykały się spod kontroli i należało trzymać je na wodzy, jak rumaki.

Młodszy brat to młodszy brat.

Nie można było o nim zbyt wiele myśleć, nawet jeśli robił wzruszające wrażenie w katedrze w Burgos. Małeńka postać pochłonięta modlitwą do Boga i Najświętszej Maryi Panny, taka dziewczęca, z tą swoją wrażliwą twarzą i długimi rzęsami.

Rzekomy Juan wyglądał jak dziewczyna również wtedy, gdy zasypiał w karecie, z głową na tobołku, bezradny i pełen wdzięku, jak sarenka.

I to wcale nie było dobrze.

W katedrze nie miało to specjalnego znaczenia, człowiek myślał o innych sprawach i w razie niepokojów zawsze mógł prosić o pomoc. Jednak w karecie sytuacja wyglądała inaczej.

Trzeba było rozmaitych sztuczek, żeby nie patrzeć i nie zapomnieć o tej całej sprawie z młodszym braciszkiem.

Nucić sobie melodie, święte pieśni i te pieprzne, te które śpiewali bawarscy łotrzykowie, gdy ich księżę zsyłał do cudzych wiosek, francuskie rymowanki, na których dźwięk rumienili się nawet twardzi mężczyźni, albo te, które śpiewano podczas marszu przeciwko Turkom.

Można też było porozmawiać z końmi, silnymi stworzeniami, które ciągnęły karete, gdy ktoś wydawał z siebie cmokające dźwięki, i skręcały na lewo i prawo, gdy poczuły wodze. Nie wiedzą, dokąd idą, ale idą. I to

dlatego, że silne z nich i biedne, prymitywne stworzenia. Człowiek zawsze wie, dokąd zmierza i po co, prawda? Tym się właśnie różni od prymitywnego zwierzęcia. Prawda?

Kiedy człowiek czuje w sobie prymitywne zwierzę, powinien porozmawiać z innymi prymitywnymi stworzeniami, przynajmniej będzie w odpowiednim towarzystwie.

Gospody nocą.

– Chcę pokój dla siebie i drugi dla mojego brata. Macie tylko jeden? Nie, on nigdy nie śpi w tym samym pokoju co ja. Wtedy wcale nie może spać. Nikt by nie mógł. Chrapię jak potępieniec, który ma nozdrza zapchane sadzą i siarką.

Zachichotał ponuro.

Brat to brat, i tyle.

A teraz rzekomy młodszy brat powiedział:

– Widok jest piękny, ale robię się głodny.

Uli pokiwał głową.

– Jasne. Sam też zgłodniałem. Konie odpoczęły. Za pół godziny będziemy w Avili.

, W karecie zamontowano nowe koła, konie miały nowe podkowy, a Juan nowy strój, zakupiony w Segowii za pół dukata. Krawiec, niech go diabli, uparł się, żeby zmierzyć chłopaka. Miał małe, doświadczone dłonie.

– Mojemu bratu nie trzeba nic wymyślnego. Pokaż, co jest gotowe. Spieszmy się.

Jedyny gotowy strój został uszyty dla młodego

chłopca z sąsiedztwa, który po południu miał się zjawić po odbiór.

Trochę to trwało, ale krawiec w końcu ustąpił.

Segowia. Tam właśnie usłyszeli o bitwie w Noain. .

Wszyscy o tym mówili, wykrzykiwali na ulicach, a karczmarze zacierali ręce z zadowolenia. Wznoszono toasty za króla, za księcia Najery, za zwycięskich żołnierzy z Segowii, dzięki którym bitwa okazała się sukcesem.

On też musiał pokrzykiwać i pić.

Później, sam w łóżku, pogrążył się w poważnych myślach. Nawet pomijając zwyczajowe przechwałki i przesadę, wyglądało to na faktyczną porażkę. Mówili, że pochwycono francuskiego dowódcę. To mógł być każdy: Elgoarraque, dobry biskup z Couserans, albo sam Andre de Fobc.

Jeśli to faktycznie był de Foix, to dżentelmen tego pokroju zawsze mógł się wykupić. Być może uczyniłoby to spustoszenie w jego kieszeni, ale w końcu miał swoje sposoby, by ponownie ją napełnić. Zawsze były miasteczka i wioski, z których mógł coś wycisnąć.

Oczywiście, gdyby ta bitwa była tak istotna, jak sobie to wyobrażali mieszkańcy Segowii, wojna dobiegłaby końca, przynajmniej tymczasowo.

Czy tak się stało?

Zbyt wcześnie, by to osądzać. Ale raczej nie, niż tak, przynajmniej dopóki król nie powrócił do Hiszpanii. Gdy nie ma kota, myszy harczą.

Można je odstraszyć, ale powrócą. A Francja była silnym państwem.

Miał rację co do zapachu w powietrzu tamtej nocy, gdy odchodził z armii. To był zatechły, zbutwiały smród porażki.

No i jego pytanie do drobnego sekretarza:

Gdzie znajdę armię gdy powrócę?

Gdzieś w Hiszpanii, padła odpowiedź.

Wcale się nie cieszył, że lepiej wyczuł sytuację niż jakiś gryziپیórek.

Pozostało mu tylko jedno: iść przed siebie, jak gdyby nigdy nic.

Do Avili.

I w końcu się tu znaleźli. Wieżyczki i mury rosły. Za pół godziny zapuka do pewnej bramy, spyta o pewną damę i pozbędzie się listu, który być może w obecnych okolicznościach nie miał już żadnego znaczenia – albo był niebezpieczny. Nic nie dało się na to poradzić, trzeba było podjąć to ryzyko. Ale nie z chłopakiem. Musiał coś wymyślić.

– Patrz – odezwał się nagle rzekomy Juan.

– Co?

– Te dzieci...

Chłopiec i dziewczynka. W schludnych strojach. Chłopiec miał około dziesięciu lat, dziewczynka nie więcej niż sześć, ale to ona szła z przodu, z dumnie uniesioną brodą.

– Co z nimi, Juan?

– Co tutaj robią, tak daleko od miasta? Od ponad godziny nie minęliśmy żadnej wioski. Dokąd zmierzają?

– Masz rację. – Uśmiechnął się szeroko. – Spytałem ich. Hej!

Dzieci postanowiły udawać, że go nie słyszą. Chłopiec lekko się zawahał, ale dziewczynka chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą.

Uli zatrzymał konie i zeskoczył.

Po kilku długich krokach zrównał się z dziećmi. Spojrzały na niego. Dziewczynka nawet nie starała się ukrywać wrogości.

– Dobry wieczór, señor i sefiorita – powiedział Uli uprzejmie. – Mogę spytać, dokąd zmierzacie?

Dziewczynka pokręciła głową.

– To sekret.

Juan, który do nich dołączył, przykucnął.

– Możecie nam powiedzieć – oświadczył. – Znakomicie dotrzemy do sekretów. Też mamy mnóstwo tajemnic. Jak masz na imię.

– Teresa. – Dziewczynka dygnęła. – Teresa de Cepeda. To mój brat Rodrigo. Mam wielu innych braci, ale oni nic nie wiedzą. Tylko Rodrigo wie.

– Ja jestem Juan – powiedział Juan. – A to mój brat Ulrico. Jedyne brat. A teraz powiedzcie nam, dokąd się wybraliście.

Teraz przez chwilę wpatrywała się w nowego znajomego.

– Ale nikomu nie powiecie, prawda? – zapytała

bardzo poważnym tonem.

– Oczywiście, że nie – zapewnił ją Juan.

– Wybraliśmy się do Ziemi Świętej – oświadczyła dziewczynka z jeszcze większą powagą w głosie. – Jesteśmy męczennikami.

– Aha. – rzekomy Juan przygryzł wargę.

Jego brat Ulrico odwrócił się do nich plecami i zatrzęsł.

– Twój brat płacze – zauważyła Teresa. – Rodrigo też czasem płacze. Wszyscy moi bracia płaczą. Tylko ja nigdy nie płaczę...

– O, jestem tego pewien – oświadczył Juan. – Ale Ulrico tylko kaszle, męczy go kaszel. Wy też się rozchorujecie, jeśli będziecie dalej szli. Wkrótce zapadnie noc, robi się bardzo zimno. To by się wam chyba nie podobało, prawda? Zimno i ciemno.

Teresa zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Może jednak nie będzie tak zimno – odparła w końcu. – Poza tym musimy się dostać do Ziemi Świętej. Jesteśmy męczennikami.

– Tak wiem. Ale jak na męczenników jesteście strasznie młodzi. Chyba lepiej, żebyście wcześniej trochę podrośli. Wtedy zostaniecie naprawdę wielkimi męczennikami.

– Sam jej to powtarzałem – odezwał się nagle mały Rodrigo. – Ale ona twierdzi, że nie możemy czekać.

– Nie możecie? – Juan wbił spojrzenie w Teresę. – Dlaczego?

– Bo kiedy dorosnę, będę zła – odparła dziewczynka.
– Wiem, że tak się stanie. Wtedy nie będę chciała iść do Ziemi Świętej. Będę chciała robić złe rzeczy i po śmierci trafię do piekła. Sami widzicie, że muszę iść teraz i jak najszybciej zostać męczennicą. Rodrigo też musi być męczennikiem.

Usta Juana lekko zadrżały. Straszliwy kaszel męczący jego starszego brata przybrał na sile.

– Rozumiem – oświadczył Juan. – Wszystko sobie przemyślałaś, prawda? Zapomniałaś tylko o jednym – jeśli chcesz dotrzeć do Ziemi Świętej, musisz wyruszyć bladym świtem, żeby dojść tam o czasie.

Teresa milczała. Juan dostrzegł niepewność w jej ciemnych, dużych oczach i dodał szybko:

– Wracajmy, jutro spróbujecie z rana. Do jutra na pewno nie zrobisz się bardzo zła, więc masz jeszcze trochę czasu.

– No właśnie – dodał Rodrigo skwapliwie.

Teresa nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi. Wciąż myślała.

– Za mniej więcej godzinę zapadnie mrok – ciągnął rzekomy Juan. – Wtedy zabłądzicie i dotrzecie w niewłaściwie miejsce – takie, w którym wcale was nie zabijają. I po co tam iść? No chodźcie, wskakujcie do naszej karety, wrócimy, a jutro, bardzo wczesnym rankiem, znowu wyruszyście w drogę.

Rzekomy chłopak wziął dziewczynkę za rękę i zaprowadził ją do karety. Zanim ją podsadził, Rodrigo już

zdołał usadowić się w karecie. Uh zamykał pochód, ocierając oczy.

Gdy zbliżali się do bram miasta, podjechał do nich jeździec na mule. Był to szczupły, elegancki mężczyzna, po czterdziestce.

– *Por Dio!* – wykrzyknął. – Teresita! Rodrigo! Co wy tutaj robicie?

– Wuj Miguel! – wrzasnął Rodrigo.

Teresa spojrzała na Juana i przyłożyła palec do ust.

– Obiecałeś – wyszeptała.

Juan pokiwał głową.

– Jestem Miguel de Cepeda – oświadczył jeździec. – Mam nadzieję, że dzieci nie sprawiły wam zbyt wiele kłopotów, panowie.

– Ależ skąd – odparł Uli.

– Bardzo źle postąpiliście, wychodząc za mury miasta – oświadczył wuj Miguel z przyganą w głosie. – Porozmawiam o tym z waszą matką. Będzie ogromnie przygnębiona.

– To wszystko przez nią. – Rodrigo wskazał palcem Teresę. – Zmusiła mnie do tego. Tylko dlatego, że ona uważa, że będzie złą kobietą, to ja też mam być męczennikiem? Wcale nie jestem zły.

– O rety! – Juan pokręcił głową.

Teresa milczała. Kiedy jednak wuj wyciągnął ją z karety i posadził za sobą na grzbiecie muła, popatrzyła na brata z najwyższą pogardą...

– O co chodzi z tymi męczennikami? – zapytał don

Miguel.–Wskakuj za mną, Rodrigo. Możesz mi wszystko wyjaśnić?

Jednak Rodrigo widział spojrzenie siostry i milczał.

– Może wyjaśnią mi to wasi nowi znajomi – zaproponował don Miguel.

– Znaleźliśmy dzieci, poprosiliśmy, żeby wracały z nami do miasta, a one się zgodziły – powiedział szybko Juan.

– Jestem wam niesłychanie wdzięczni panowie. Doña Beatriz także będzie – to moja szwagierka, mama tej dwójki nicponiów. Na pewno okropnie się teraz martwi. – Don Miguel zmierzwił włosy Teresy. – Jednak nie rozumiem, o co chodzi z tymi męczennikami i byciem złym. Czy to cokolwiek ci mówi, señor?

– Niestety, nie mogę tego wyjaśnić, don Miguel – odparł Juan śmiertelnie poważnym tonem. – Wiąże mnie tajemnica.

– O, czyżby? – W oczach Miguela de Cepedy zamigotało rozbawienie. – Rozumiem zatem i nie będę naciskał.

Juan skłonił się lekko, nie spuszczając spojrzenia z Teresy, której mała twarzyczka była ledwie widoczna zza długich uszu muła.

Teresa ceremonialnie odwzajemniła ukłon.

Brat Ulrico ponownie nagle się rozkaszał.

Kiedy mijali bramę, kilku strażników sennie zasalutowało don Miguelowi.

– Piękne miasto – zauważył Uli. – Ten wielki

budynek tu, po lewej, to pewnie pałac księcia Albuquerque.

– W rzeczy samej.

– Słyszałem, że ten książę ma bardzo piękną małżonkę – oznajmił Uli niewinnie.

– Miał – poprawił go don Miguel. – Naszą była królową, to o nią ci chodzi, panie? Przepiękna dama. Przebywała w Avili przez kilka tygodni.

– Wyjechała?

– Parę dni temu wróciła do Walencji

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Ínigo wędrował przez łąki pomiędzy Eguibar i Azpeitią. Szedł o kulach, które zapadały się głęboko w miękką ziemię.

Znał każdy jej centymetr. Bawił się tutaj jako dziecko. Bawił się tu jeszcze, kiedy miał zbyt słabe nogi, by mogły go daleko zanieść, a teraz sytuacja się powtarzała.

Jeszcze nie tak dawno biegał po tych łąkach, był wtedy Amadlsem, pędzącym przez dzicz, by oswobodzić księżniczkę i pokonać smoka... Jeszcze nie tak dawno temu?

A teraz, choć zaledwie kuśtykał, jego myśli wybiegały znacznie dalej, aż do Ziemi Świętej.

Miał przed sobą mnóstwo pracy, jednak najważniejsza była pielgrzymka do Ziemi Świętej. Podjął taką decyzję i starannie przeanalizował, jak powinien tego dokonać. Uznał, że może warto będzie zapisać swoją metodę w dużej księdze, po powrocie do domu.

Wiele fragmentów *Życia Chrystusa i Kwiatków Świętych* znał teraz na pamięć, zwłaszcza ustęp z tej pierwszej księgi, który zachęcił go do medytacji.

„W rzeczy samej, święte i nobliwe to zajęcie kontemplować Świętą Ziemię, gdzie kościoły naszego Zbawcy nigdy nie bywają puste. Pan Nasz i Król, Chrystus, mieszkał tam i oświecał to miejsce swym

słowem i doktryną, by ostatecznie uświęcić je własną cenną Krwią. Z tego to względu jeszcze milej jest spoglądać na Jerozolimę własnymi oczyma i medytować o niej umysłem, albowiem w każdym jej zakątku Nasz Pan zapisał nasze zbawienie. Któż zliczy wiernych, którzy odwiedzają Jerozolimę i gorliwie całują ziemię, czcią i szacunkiem otaczają te miejsca, gdzie – jak się dowiedzieli lub zasłyszeli – przebywał, uczył lub pracował Nasz Pan? Ludzie ci niekiedy biją się w piersi, niekiedy ronią łzy i jęczą, niekiedy wzdychają do nieba i gestykulują pełni smutku i gorliwej wiary. Ich zewnętrzne manifestacje wewnętrznego lub zewnętrznego żalu za grzechy poruszają nawet Maurów. A jakże, powinniśmy jęczeć i zawodzić z powodu bezczynności oraz obojętności nam współczesnych książąt chrześcijańskich, którzy mogąc czerpać z tak licznych wcześniejszych przykładów, okazują tak daleko idącą słabość i brak zainteresowania odbiciem Ziemi Świętej z rąk wroga, a przecież Nasz Pan uświęcił ją własną cenną Krwią”.

Najważniejsza była Ziemia Święta. Wszystko inne mogło zaczekać.

Powoli kuśtykał ku Azpeitii i Loyoli.

Martin powrócił z bitwy zaledwie pół godziny temu, obdarty zmęczony i bardzo spragniony. Nawet nie musiał opowiadać żonie o tym, co poszło nie tak. Wystarczyło jej jedno spojrzenie. Poprosiła, by napił się wina i chwilę

odpoczął.

Przyjął wino, odpoczywać jednak nie chciał.

– Nie zmrużyłbym oka. Nie wiesz, co się stało, a ja nawet nie wiem, od czego powinienem zacząć.

Magdalena zbyt długo była jego żoną, żeby nie wiedzieć, że musi ukryć radość z jego powrotu, z faktu, że jest już w domu, choćby i na krótko, za to bez żadnych ran.

Na widok Iftigo postanowiła oderwać myśli męża od smutnych rzeczy, nad którymi się zastanawiał. Porażka była złem, ale czasem sprowadzała pokój znacznie szybciej niż zwycięstwo, chociaż żołnierz pokroju jej męża nigdy nie wypowiedziałby podobnej herezji.

Zaczęła szeptać mu informacje o bracie, a on nasłuchiwał, chociaż to co usłyszał, wcale nie poprawiło mu humoru. Zmarszczył brwi i przerwał żonie w pół słowa.

– Ja z nim porozmawiam. Już tu jest.

Bracia objęli się na powitanie.

– Czy noga nadal bardzo cię boli?

– Już nie. Kilka tygodni i nie będę potrzebował kul. Po domu mogę już się obywać bez nich. A co tam u ciebie?

– Źle, na Boga. Gdybyś mógł przejść ze mną do mojego pokoju...

Gdy poszli do Martina, ten zamknął za sobą ciężkie drzwi i ręką wskazał bratu miejsce. Sam nie usiadł.

– Ponieśliśmy porażkę – wyznał z goryczą. – Daliśmy

się głupio i podstępnie rozgromić;

– Fuentarrabia?

– Poddała się. Francuzi sprowadzili artylerię, nie te lekkie działa, jak w Noain, ale prawdziwe potwory, który rozgromiały nas od Gasteluzar. Było ich ponad dwadzieścia sztuk. Trudno to nazwać walką. Przez cały czas siedzieliśmy w dziurze, a kamienie waliły się nam na głowy. Do czego to doszło! Diego de Vera zwołał radę *Parientes Mayores*. Przemawiał on, ja, wielu innych. Wtedy jednak już zdołaliśmy odeprzeć atak. Nawet dobrze sobie poradziliśmy. Tyle że zabrakło nam wody. Zbyt wielu mężczyzn w fortecy.

Inigo cierpliwie słuchał brata. Pomyślał, że Martin nigdy nie był w stanie opowiedzieć niczego w prawidłowej kolejności. Najpierw atak, potem narada. Chaos myśli prowadził do chaosu w działaniu.

– Zawsze jest albo zbyt mało, albo zbyt wielu – ciągnął Martin ponuro. – Niedobór wody był poważny. Musieliśmy gotować mięso w jabłeczniku... Póki jeszcze mieliśmy mięso. I jabłecznik. Później znów nas zbombardowali, milicja straciła serce. Oni wolą inny rodzaj walki. Daj im duży, otwarty teren i spiszą się na medal, ale nie stłoczeni w dziurze, atakowani przez niewidzialnego wroga, spragnieni i głodni łupów. Przykro mi to mówić, ale zdarzali się dezercerzy. Wielu dezercerów.

Milicja. Guipuzcoanie. Biedny Martin. To musiało być dla niego straszne.

– Narada odbyła się szesnastego dnia – mówił Martin.
– Osiemnastego nawet dowódcy zaczęli ulegać. To hańba, Ínigo, hańba. Wiesz, nawet nie byłem w stanie opowiedzieć o tym Magdalenie. Tak się wstydziłem... Usiłowałem ich powstrzymać, podobnie jak Juan Ortez i inni, ale to przypominało prawdziwą epidemię. Na końcu została nas zaledwie garstka, zbyt mało, by odeprzeć atak – jakikolwiek atak. No to wyprowadziłem ich jak żołnierzy, zamiast przemykać się pod osłoną nocy. I wmaszerowali Francuzi.

– Król stracił fortecę – powiedział Ínigo.

– Co? A tak, rozumiem. Naturalnie, to nie koniec wszystkiego. Ale to plama na honorze, Ínigo. *Dios de mi alma*, czy zabrakło ci krwi w żyłach? Co za wstyd!

– Jakie środki podjęto? – zapytał Ínigo.

– Władcy przenieśli się do Vitorii. Jak najszybciej staramy się umocnić San Sebastian. Diego de Vera ustąpił miejsca księciu Albuquerque; dziś przejmuje władzę, jako generał na granicy. Będziemy bronić Guipuzcoa.

– Być może nie nastąpi żaden atak. – Ínigo zapatrzył się w przestrzeń. Znał Francuzów i ich sposób myślenia. Musieli zrobić coś, by zatrzeć pamięć o porażce w Noain. Udało się im. Jeśli byłaby to część znacznie bardziej ambitnego planu, nie daliby Hiszpanom możliwości wzmocnienia San Sebastian, zaatakowałiby od razu. Od pewnego czasu wiadome było, że król Karol, jak cesarz, zawarł przymierze z królem Henrykiem VIII z Anglii. Krążyły plotki, że cesarskie siły zagrażają Mediolanowi.

Król Franciszek z Francji mógł wkrótce potrzebować swoich wojsk gdzie indziej.

Skoncentrował się i ujrzał to wszystko bardzo wyraźnie. Guipozcoa była cenna, ale mała, zbyt mała i nieważna dla polityki wielkich chrześcijańskich władców.

Jednak ci sami wielcy władcy też nie mieli specjalnego znaczenia. Wszystkie ich ambicjki, walka o prestiż, kłótnie i swary przypominały dziecięce zabawy.

Poczuł lekki strach na myśl, że tak o tym myśli. Patrząc z dystansu i na te przemyślenia, i na własny lęk, uśmiechnął się półgębkiem.

Martin ujrzał ten uśmiech i uznał go za komentarz do swoich słów.

– *Caspita* – powiedział ze złością. – Nie wiem, co ostatnio w ciebie wstąpił, Ifiigo, ale wcale mi się to nie podoba.

– W niczym ci to nie szkodzi – zauważył Iñigo spokojnie.

– Na razie nie – przyznał Martin. – Tyle że obecnie rozmowa z tobą przypomina rozmowę z nieznajomym. Jedno trzeba ci przyznać: dzięki twojej dobrej radzie zakończyliśmy swary z poczciwymi siostrzyczkami. Ten spór był bezsensowny, a my zaangażowaliśmy się weń zbyt głęboko, by to dostrzec. Tobie się jednak udało, i teraz jest już po wszystkim. Znakomicie. Nadal cierpisz od rany i nie możesz wziąć udziału w walce – to zrozumiałe. Ale twój umysł też przestał walczyć. Coś się z nim stało.

– Cokolwiek się stało, nadal walczy – odparł Ínigo powoli.

– Sam nie wiem – mruknął Martin. – Wysłałeś jednego z naszych służących do Burgos, prawda? Mówię o Carlosie. Po co?

Ínigo milczał.

– Wiem po co – ciągnął Martin. – Kazałeś mu zawitać do Miraflores, żeby dowiedział się o tamtejszą Regułę. Miraflores – to kartuzi. Mnisi. Nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Loyola mnichem. Jeden z najbardziej obiecujących oficerów króla będzie spędzał czas na wycieraniu posadzki kolanami. *Dios*! Lepiej, żeby oba odstrzeliło mu nieprzyjacielskie działo. Loyola mnichem – razem z tłumem synów kupców i rzemieślników. Można zwymiotować na samą myśl. Nawet Pero nie przypadnie to do gustu, a on jest księdzem.

Ínigo ugryzł się w język, choć miał gotową odpowiedź. Ze swoim bratem Pero dzielił wiele grzechów przeszłości. Pero był księdzem. Złym księdzem. Jednak wydawanie osądów nie było domeną Ínigo, milczał zatem.

– Wiem, o co chodzi – wykrzyknął nagle Martin. – Już rozumiem. O księcia. Księcia Najery. Jesteś członkiem jego świty, to on miał ci pomóc w karierze, a potem popadł w niełaskę. Wiem, że to dla ciebie wielkie rozczarowanie. Wspaniale się spisałeś w Pampelunie, a nikt ci nigdy za to nie podziękował. To sprawiło ci prawdziwą przykrość. To i twoja długotrwała choroba, i

całe to krojenie cię przez tych przeklętych medyków sprawiły, że do tego doszło. Po prostu uciekasz przed życiem, i tyle.

Ínigo włożył rękę do kieszeni i wyjął list, który w całkowitym milczeniu wręczył bratu.

Książę Najery napisał, że bardzo go cieszą dokonania don Ínigo de Loyoli, że ma nadzieję, że szlachcic wkrótce całkiem powróci do zdrowia i że wróci pod jego dowództwo, jako że oficer o takich zdolnościach i odwadze nie powinien się marnować na stanowisku subalterna. Dodał również, że właśnie otrzymał dobre wieści i pochwały od samego króla i uznał za stosowne przekazać je człowiekowi, który tak bardzo zasłużył się dla obrony królewskiej fortecy w Pampelunie.

Twarz Martina lekko poczerwieniała.

– Myliłem się w tej sprawie – przyznał, oddychając ciężko.

Trudno mu było przyznać się do pomyłki. Ínigo uśmiechnął się pod nosem. Martin oddał mu list, który Ínigo schował. Przez chwilę obaj milczeli.– Co z kartuzami? – zapytał w końcu Martin. – Obiecasz mi, że nie przyniesiesz hańby naszemu nazwisku i do nich nie dołączysz?

– Nie przyniosę hańby naszemu nazwisku – odparł Ínigo lodowato. – Jeszcze nie podjąłem decyzji w kwestii Miraflores. – Wstał.

– To lepsze niż nic, jednak niewiele – westchnął Martin. – Jestem głową rodziny. Musisz się bardziej

postarać, jeśli chcesz mnie zadowolić.

– Całkiem zdaję sobie sprawę, że muszę się lepiej starać.

Martin zmierzył go podejrzliwym wzrokiem.

– Szczwany z ciebie lis – oznajmił. – Jeden diabeł wie, co naprawdę myślisz.

– Jeśli wie, to z pewnością mu się to nie podoba – powiedział Inigo.

Niewiele osób potrafiło dostrzec poczucie humoru za grubą warstwą lodu, i Martin z pewnością do nich nie należał.

– Co zamierzasz zrobić? – spytał obcesowo.

– Wydobrzeć. – I dodał po chwili: – Złożyć wizytę księciu Najery.

Twarz Martina pojaśniała.

– To lepiej.

Uklonili się sobie, jak zawsze pod koniec każdej dyskusji, i Inigo pokuśtykał do swojego pokoju, piętro wyżej.

Usiadł przy biurku i zaczął pisać nowy ustęp w notatniku. Jego staranne pismo wypełniało już wiele stron. Zwykle wpisywał fragmenty z książek, zwłaszcza z *Życia Chrystusa*, ze słowami Chrystusa wpisanymi czerwonym atramentem, a jego Matki niebieskim. Sporządzał też własne notatki.

„Wstęp do podjęcia decyzji”, zapisał. „W wypadku podejmowania każdego trafego wyboru, o ile jest on w naszej mocy, powinniśmy zachować jednoznaczne i

czyste intencje, brać pod uwagę cel, dla którego istniejemy – czyli niesienie chwały Naszemu Panu Bogu oraz nasze zbawienie. Dlatego tylko te drogi należy wybierać, które prowadzą to tego celu. W każdym wypadku bowiem, środki są podporządkowane celowi, a nie cel środkom”.

Podkreślił ostatnie zdanie.

Zaczął się nad nim zastanawiać. Sens był jasny dla niego, ale czy będzie również jasny dla tych, którzy być może pewnego dnia zdecydują się to przeczytać? Postanowił dodać przykład lub dwa, żeby to wytłumaczyć.

„Dzieje się tak, że błędzi wielu tych, którzy wcześniej zawarli związek małżeński, a dopiero potem, już w małżeńskim stanie, ci sami ludzie postanawiają służyć Bogu, która to służba jest ich celem. Podobnie, są też tacy, którzy przede wszystkim pragną obejmować stanowiska kościelne, a potem, już na nich, służyć Bogu. Tacy jak oni niewłaściwie służą Bogu, bo raczej pragną, aby Bóg wprost dopasował się do ich upodobań. W taki to sposób dobierają sobie środki, na drugi plan spychając cel. To, co powinni mieć przede wszystkim na względzie, dostrzegają dopiero w drugiej kolejności”.

To powinno być jasne.

Jego celem była służba Bogu. Właśnie z tego powodu pragnął udać się do Ziemi Świętej. Nie chciał tam jechać i potraktować to jako okazję do służby Bogu.

Jednak jego brat się nim martwił. Sądził, że Inigo

może dołączyć do kartuzów, co zostało potraktowane jako hańba dla rodziny. Jako że Ínigo jeszcze nie podjął ostatecznej decyzji, powiedział to. I dobrze. Powiedział bratu również, że zamierza złożyć wizytę księciu. Taki faktycznie miał zamiar, chociaż nie tylko o to chodziło. Jednak kłamstwo nie wchodziło w grę, nawet gdyby miało pocieszyć brata lub poprawić mu humor.

„Wszystko, co zostaje wybrane, musi z konieczności być dobre samo w sobie, i z całą pewnością nie może być złe”, napisał.

Środki muszą być podporządkowane celowi.

Jednak cel nie uświęcał środków, jeśli były złe.

Teraz z pewnością wszystko było jasne, i jego słowa nie mogły zostać przekręcone lub wykrzywione przez głupców, niegodziwców lub wrogów.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

– Mów – *zaządał* Martin.

Krzepki giermek obracał czapkę w dłoniach.

– Wyruszyliśmy ostatniego dnia lutego – powiedział.

– Jasne – przerwał mu Martin niecierpliwie. –
Widziałem was.

To był miły widok. Przynajmniej Ifiigo znów zachowywał się jak dawniej. Zszedł po schodach, ledwie kuśtykając, bardzo elegancki w żółtej szacie i niebieskiej pelerynie, ze sztyletem przy ozdobnym pasku i mieczem u boku. Bez żadnej pomocy dosiadł muła.

– Wyruszyliśmy ostatniego dnia lutego – powtórzył giermek. Bardzo się pocił.

Martin otworzył usta, by zrugać chłopaka, ale zmienił zdanie. Nie było sensu pośpieszać człowieka pokroju Juana de Landety i tego drugiego, Andrusa de Narvaisa, przecież to byli najlepsi ludzie wybrani do tego zadania.

– Była nas czwórka – ciągnął giermek. – Don Iñigo, ojciec Pero Lopez, de Narvais no i ja.

Cierpliwości, przykazał sobie w duchu Martin, zgrzytając zębami. Przecież w końcu powie mi coś, czego nie wiem. Odrobinę cierpliwości.

– Ojciec Pero Lopez postanowił odwiedzić swoją siostrę w Onate – ciągnął de Landeta. – Don Iñigo przystał na to, choć chyba trochę się śpieszył. Jednak kiedy dotarliśmy do Aranzazu zapomniał o pośpiechu i

postanowił odbyć nocne czuwanie w tamtejszej kaplicy, a wtedy ojciec Pero Lopez zaczął się śpieszyć i nalegał na szybki wyjazd.

Martin ukrył uśmiech. Z tych dwóch braci to Pero był księdzem. Został wyświęcony i przynajmniej odprawiał Msze święte, ale na tym jego kapłańska posługa się kończyła. Całonocne czuwanie w kaplicy z pewnością nie należało do jego ulubionych rozrywek.

– Don Ínigo jednak go jakoś przekonał – ciągnął Martin. – I nas też.

– No, to wam z pewnością nie zaszkodziło – mruknął Martin. – Mów dalej.

– Potem dojechaliśmy do Onate, a ojciec Pero Lopez tam pozostał. Powiedział, że musi się wyspać, a potem najeść, więc don Ínigo przypomniał mu bardzo grzecznie, że jest post. Ojciec Pero Lopez oświadczył, że pościł jeszcze przed narodzinami don Ínigo, na co don Ínigo stwierdził, że może właśnie dlatego trzeba mu o tym przypominać, bo wszyscy mamy skłonność do zapomnienia pewnych rzeczy z odległej przeszłości.

Pan i giermek popatrzyli na siebie. Było to jedno z tych trudnych do wyjaśnienia zachowań Ínigo.– No i we trójkę ruszyliśmy do Navarette – ciągnął de Landeta. – A kiedy zjawiliśmy się na miejscu, don Ínigo udał się do Santa Maria la Real...

– Jeszcze jeden kościół – burknął Martin ponuro.

– Tak, panie. I posłał nas do książecego strażnika, razem z wiadomością. Skarbnik przeczytał ją, rozłościł się

i kazał przekazać don Inigo, że nie ma pieniędzy.

Martin skinął głową. Żaden skarbnik nie płacił od razu. Wszyscy zawsze najpierw odmawiali.

– No to wróciliśmy do niego w *posadzie*...

– Podobno był w kościele?

– Tak, ale kazał nam czekać w Posada del Rey. Spotkał się tam z nami po jakimś czasie. Powtórzyliśmy mu wszystko, a on milczał. Powiedział tylko, żebyśmy poinformowali go o ewentualnych gościach i poszedł do siebie. A wtedy...

– Dość tego – przerwał mu Martin szorstko. – Niczego przede mną nie ukrywaj, de Landeta.

– Mieliliśmy pokój tuż obok – giermek rozejrzał się i zaczął przestępować z nogi na nogę. – Nagle usłyszeliśmy hałas.

– Jaki hałas?

Giermek przełknął ślinę.

– Niezbyt się nam podobał – przyznał. – Wiedzieliśmy jednak, że zamknął drzwi od środka, i nikt do niego nie przyszedł – usłyszelibyśmy. Jednak rano, kiedy don Inigo wyszedł z pokoju, wszedł tam de Narvais i zobaczył ślady krwi na dywaniku.

– To pewnie znowu jego noga – powiedział Martin.

– Tak panie – przytaknął giermek pospiesznie. Martin wiedział, że skłamał, żeby sprawić mu przyjemność, ale tego nie skomentował.

– Potem przyszedł *caballero* – oznajmił de Landeta. – Don Esteban de Guelvas. Przybył od księcia, a ponieważ

była to oficjalna wizyta, don Iñigo kazał nam zostać. Don Esteban był bardzo serdeczny, naprawdę ogromnie. Przybył, by przekazać życzenia od jego wysokości i worek dukatów, i powiedział, że nawet jeśli w skarbcu brakuje pieniędzy, dla Loyoli zawsze się znajdują, podobnie jak dobra ranga porucznika, jeśli don Iñigo zechce ją przyjąć.

W oczach Martina zamigotał błysk, lecz szybko zniknął.

– Mów dalej.

– Don Iñigo podziękował don Estebanowi i kazał mu przekazać wyrazy uszanowania księciu.

– I?

– Nie powiedział nic więcej, panie, i don Esteban odszedł.

Martin wymamrotał coś przez zaciśnięte zęby.

– I co się wtedy stało?

– Don Iñigo dał nam po dwa dukaty i kazał nam oddać część jego pieniędzy rodzinie Manrique, i przekazać im pozdrowienia. Jednak większość tej sumy dał pustelni, którą mijaliśmy w Navarrete. Była tam rzeźba Najświętszej Maryi Panny, bez żadnych ozdób, i don Iñigo powiedział, że nie zamierza tego tolerować.

Martin nie skomentował tego ani słowem.

– Czy to wszystko? – zapytał po chwili.

– Właściwie tak, panie. Poza dwiema rzeczami.

– Na Boga, czy muszę wyciągać z ciebie każde słowo jak na torturach? Jakie znowu dwie rzeczy?

– Po pierwsze don Ifiigo przez cały czas się spieszył, mimo nocy spędzonej w Aranzazu. Twierdził, że chce uniknąć przyjazdu nowego papieża.

Martin skinął głową. Kardynał Adrian z Utrechtu został wybrany papieżem *in absentia* i właśnie zmierzał do Rzymu. Miał przejechać przez Navarrete i udać się do Barcelony. Towarzyszyło mu wielu baskijskich szlachciców, naturalnie wszyscy znali Ifiigo. A on nie chciał być widziany. Sytuacja przedstawiała się coraz gorzej.

– Mówiłeś o dwóch rzeczach, de Landeta.

– Tak, panie. Kiedy don Ifiigo nas odsyłał, powiedział...

– Wykrztuś to wreszcie.

– Oświadczył, że idzie do Montserrat na pielgrzymkę. Twarz Martina wydawała się wykuta z kamienia.

– Czy to już na pewno wszystko? – zapytał chrapliwie.

– Tak, panie. Jeśli zyczysz sobie przepytac de Narvaisa... – Nie, dość słyszałem. Dziękuję, de Landeta.

– Do usług, ekscelencjo.

Giermek wyszedł.

Martin patrzył w pustkę. Potem wezwał Magdaleny.

– Ifiigo odwiedza każdą kaplicę i każdy kościół po drodze. Biczuje się po nocach. I idzie na pielgrzymkę. Do Montserrat.

Magdalena uniosła brwi.

– Montserrat. Mogło być gorzej.

– Nie przyjął rangi porucznika zaproponowanej mu przez księcia – ciągnął Martin.

– Pewnie przysiągł, że nie przyjmie żadnych zaszczytów, nim uda się na pielgrzymkę. Wróci i przyjmie nowy stopień.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – westchnął Martin. – Jednak z nim nigdy nie wiadomo. Szkoda, że dałaś mu te księgi. Zhańbi rodzinę, zobaczysz.

– Wątpię – odparła Magdalena.

– Co masz na myśli?

Podobnie jak w przypadku giermka, musiał naciskać i nalegać, aż w końcu ustąpiła i powiedziała niechętnie:

– Pamiętasz tę noc, kiedy było trzęsienie?

– Pamiętam – odparł. – I cóż z tego?

– Nie rozumiałeś, jak zdołał się wspiąć po schodach i uklęknąć na tym swoim kolanie. Ja też nie rozumiałam. Nadal nie rozumiem.

– Nie wiem, o czym mówisz – burknął. – Nie widzę związku. I wcale mi się to nie podoba.

Wiedziała jednak, że zrozumiał jej tok myślenia. Zawsze był niezadowolony, gdy nie chciał czegoś zaakceptować. Jego słowa to potwierdziły.

– To mój brat. I brat Pero. Znam go przez całe życie. Dlaczego na litość Boską, on, ze wszystkich ludzi... Po co w ogóle o tym rozmawiamy? Zobaczysz, zrobi coś haniebnego. To najbardziej uparty człowiek, jakiego znam. Nie podoba mi się to wszystko. Ściągnie na nas hańbę, mówię ci.

– Może – powiedziała Magdalena z niedowierzaniem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Caballero zwykle podróżował w towarzystwie służących, ale to było bez znaczenia. Musiał zrywać więzy z przeszłością, jedną po drugiej.

Iñigo zostawił Martina i Magdalenę w Loyola, Pero Lopeza w Onate, a de Narvaisa i de Landetę w Navarrete.

Była to część koniecznej strategii.

Znał się na strategii – był świadom, że ma do niej wrodzony talent. Nigdy jednak nie poprowadził wielkich wojsk, armii, a teraz odkrył, że bycie żołnierzem Króla królów oznacza stopień generała.

Przejmował się tym odwiecznym i potężnym wrogiem, ciałem. Dlatego właśnie zatrzymał się i odprawił czuwanie w Aranzazu. Tam wznosił fort przeciwko wrogowi* Na resztę życia złożył ślubowanie czystości.

O bogactwo nigdy przesadnie nie dbał. Jak najszybciej pozbył się pieniędzy, które przysłał mu książę, zostawił sobie tylko tyle, by wystarczyło mu na pokrycie kosztów podróży.

Od Montserrat nie będzie już potrzebował pieniędzy.

Dotąd wszystko przebiegało bez komplikacji. W końcu jednak nadeszło pierwsze poważne zadanie, pozbycie się wszystkich niepożądanych elementów, zarzucenie grzechów w myśli, słowie i czynie, grzechów, które popełniał przez całe życie – w wielkiej spowiedzi.

Było to armia grzechów, należało ją wyeliminować. Czekala go bitwa z widmami, duchami, kreaturami o skrzydłach nietoperza, które krążyły nad nim już od niemal trzydziestu lat.

Czekala go nieubłagana pogoń po górach i przez rzeki, strumienie, zakamarki własnej duszy.

Postawił sobie zadanie znacznie większe niż wszystko, czego dokonał w służbie króla Karola I.

Był rekrutem, szeregowcem w armii niebios, ale tam nawet zwykły szeregowiec dowodził wielką armią.

Służyć Bogu oznaczało rządzić.

Kilka dni wcześniej minął Logrono. Trzymając się prawego brzegu rzeki Ebro, zostawił za sobą Calahorrę i Alfaro, potem Tudelę, Cortes, Mallen i zmierzał ku Pedrolu.

Za kilka dni nowowybrany papież będzie podróżował tą samą drogą. W Logrono mieli powitać go salutem wystrzelonym z dział skonfiskowanych Francuzom. Dobry, święty człowiek, do tego uczony. Jeśli zatrzyma swoje imię, będzie się zwał Adrianem VI.

Być może pewnego dnia Iftigo się z nim spotka. Z całą pewnością nie teraz. Jechał jak najszybciej, żeby na pewno nie wpaść w bezpośrednie otoczenie Namiestnika Chrystusowego, które składało się z połowy szlachty w tym kraju, niezliczonych ludzi, których znał i którzy znali jego i na pewno zadawaliby pytania, na które nie chciał odpowiadać.

Każdego wieczora jego noga okropnie puchła, musiał

ją chłodzić wodą z octem, by rankiem znowu móc wspiąć się na muła.

Bolały go plecy, od razów dyscypliną, zwykle zarezerwowanych dla buntowników, rebeliantów i dezertów. Pleców nie chłodził. Ten ból nie powodował opóźnień w podróży.

Dobrze było jechać samemu. Dobrze było myśleć, że naprawdę zmierza do Ziemi Świętej.

Maurowie, Turcy, Saraceni, Arabowie. Niekończące się pole, na którym musiał pracować i...

Zatrzymał się. Nie tylko pohamował myśli, ale także zatrzymał muła i krzyknął głośno.

Maur. Maur na osiołku go prześcignął.

Był to bardzo mały Maur na bardzo małym osiołku.

Z wysokości swojego muła Ínigo patrzył na duży biały turban i powłóczystą zieloną szatę, przypominającą dziwny kwiat na ośle.

Maur usłyszał jego okrzyk i obrócił się w siodle. Okazało się, że kwiat ma twarz, mięsistą i brązową, o oczach w kształcie migdała i pełnych różowych ustach. Twarz tę zdobił czarny wąs i mała czarna bródka.

Uznał zapewne, że okrzyk Ínigo to powitanie, gdyż zatrzymał osiołka, przycisnął pulchną brązową dłoń do piersi i czoła i powiedział:

– Pokój z tobą.

Było to zwyczajowe powitanie i oszczędziło Ínigo prawdziwego zakłopotania. Musiał je odwzajemnić, i robiąc to, uporządkował myśli. Nie został nagle

przeniesiony do Ziemi Świętej, jak to by się mogło przytrafić rycerzowi w jakiejś baśni – albo rycerzowi Boga, gdyby sprawiło to radość Wszechmogącemu. Wciąż znajdował się na drodze nieopodal Pedroli. W Hiszpanii. I w Aragonii, gdzie było wcale niemało Maurów.

Maur powitał go na modłę swego ludu, choć posługiwał się hiszpańskim. A po hiszpańsku jego powitanie brzmiało bardzo podobnie do tego, którego używał Pan i Jego apostołowie: Niech pokój będzie z tobą.

Może jednak był to jakiś znak.

Dojechał do człowieka, który wciąż miał schyloną głowę i prawą rękę na piersi.

Człowieczek się uśmiechał.

– Bardzo to miło z twojej strony, panie, że powitałeś mnie po drodze – przemówił. – Martwiłem się trochę, gdyż niektórzy nie lubią być mijani na drodze, tak jak nie lubią, gdy mijają się ich na drodze do sławy. W rzeczy samej, droga, którą podążają, może być ich drogą do sławy.

– Nie w moim wypadku – wyjaśnił Ínigo. – Jestem pielgrzymem, choć miejsce, do którego zmierzam, jest najślawniejsze ze wszystkich.

Mały Maur, jadąc koło niego, znów upodobił się do egzotycznego kwiatu.

– To także zwyczaj moich rodaków – zauważył. – Bardzo pochwalany przez Boga. Udajemy się na

pielgrzymki do świętych miejsc, takich jak Mekka i Medyna, Dżidda i El Kuds, które chrześcijanie nazywają Jerozolimą. Niech Bóg ma mnie w swojej opiece – nigdy tam nie byłem i pewnie nigdy nie będę, chyba że jest mi to pisane w księdze życia.

– Jerozolima to święte miasto – powiedział Iñigo.

Taktowna aluzja, że zapewne nie da się tego powiedzieć o innych wymienionych miejscach, umknęła uwagi Maura, który zaczął wychwalać Jerozolimę, aż wreszcie Ifiigo przerwał mu słowami:

– Zmierzam do Montserrat.

– Słyszałem o nim – odparł człowieczek. – Mówią, że jest tam bardzo pięknie i mieszka tam duch damy, którą niegdyś odwiedził archanioł Gabriel.

– Wierzysz w to? – spytał zaskoczony Ifiigo.

– Jak wszyscy dobrzy muzułmanie. – Maur zerknął na niego. – To jest w Koranie.

Ifiigo skrzywił się lekko.

– Pewnie była bardzo świątobliwa – oświadczył Maur życzliwie. – Inaczej Allah nie wybrałby jej na matkę wielkiego proroka.

– W to także wierzysz? – Naturalnie. Tak napisano w Koranie. Często o tym myślałem i wierzę także, że była dziewicą, mimo że powiła dziecko. Tego akurat nie ma w Koranie, ale uważam, że to możliwe. Potęga Allacha nie zna granic.

– Dobrze powiedziane – przyznał Ifiigo. – To Matka i Dziewica. Królowa Niebios.

– Ja tam nic nie wiem o niebiosach – oznajmił Maur skromnie. – Nigdy tam nie byłem, tylko Allach wie, czy kiedykolwiek tam trafię. Wierzę jednak, że była dziewicą i matką. To naturalna kolej rzeczy.

– Tak, ale ona pozostała dziewicą przez całe życie – wykrzyknął Ifiigo. – Skoro tyle wiesz, to także powinno ci być wiadome.

– Całe życie? – powtórzył Maur z niedowierzaniem. – Jak może tak być, skoro urodziła dziecko?

– Przed chwilą powiedziałeś, że potęga Boga nie ma granic – przypomniał mu Ifiigo.

– Prawda, prawda. I powiedziałem, że wierzę również, iż pozostała dziewicą mimo urodzenia dziecka, co samo w sobie jest wielkim cudem. Ale skoro już urodziła, po co następny cud?

– Jej dziewictwo jest wieczne – wyjaśnił Ifiigo. – Podobnie jak jej czystość. – Teraz w jego tonie pobrzmiwała surowość.

– Niedaleko droga się rozwidła – zauważył Maur od niechcienia. – Ja muszę jechać na lewo, na farmę, gdzie mam pewną sprawę do załatwienia.

– To najprawdziwsza prawda – upierał się Ifiigo. – Wieczna czystość. Wieczne dziewictwo.

Maur zwiesił głowę i ponownie zamienił się w kwiat. Nie podniósł jej, kiedy Ifiigo wykladał mu swoje teologiczne racje. W końcu musiał przerwać, żeby zaczerpnąć powietrza, a wtedy Maur spojrzał na niego z chytrym uśmiechem.

– Wszystko to piękne brzmi – przyznał. – Ale to nie może być prawda.

Ifiigo zeszywniał, a Maur dodał pośpiesznie:

– Wiem, że jesteś przekonany o swoich racjach, panie, ale o czymś zapominasz, a może chrześcijanie nie zdają sobie z tego sprawy. Isa, syn tej damy, był wielkim prorokiem, nikt w to nie wątpi. I pierworodnym. Jednak po nim na świat przyszły inne dzieci. Czy on sam nie wspomina o swoich braciach i siostrach w świętej księdze chrześcijan? Jak mógł mieć rodzeństwo i jednocześnie matkę-dziewicę?

– To pomyłka – oznajmił Ifiigo. – Nasz Pan nie miał ani braci, ani sióstr. Słowo opisujące brata i siostrę w oryginale Biblii to to samo słowo, które oznacza krewnego albo kuzyna. Miał kuzynów, nie braci i siostry. Wie o tym każde chrześcijańskie dziecko.

– Nigdy nie byłem chrześcijańskim dzieckiem – zauważył Maur. – I nie wiedziałem.

– Teraz wiesz – oświadczył Ifiigo surowo.

Mocno zacisnął ręce na wodzach, muł zaczął przebierać kopytami.

Osiółek małego Maura zaczął się denerwować. Jego długie uszy zeszywniały, zwierzę wydawało się zaniepokojone.

Jeździec na osiołku najwyraźniej podzielał uczucia swojego wierzchowca. Mimo to oznajmił dzielnie.

– Wiem tylko to, co mi mówisz, panie. Niech Allach ma mnie w swojej opiece, bym nie znalazł się po stronie

tych, którzy błędzą. A poza tym, jakie to ma znaczenie? Kobieta to tylko kobieta, czyli niewiele.

– Jak śmiesz! – zakrzyknął Ifiigo, a w jego oczach pojawił się płomień.

Maur, muł i osioł odskoczyli z przerażeniem.

Muł, który nigdy nie słyszał, by jego pan podniósł głos, stanął dęba.

Mały osiołek położył uszy po sobie i rzucił się do galopu.

Było całkiem tak, jakby oba zwierzęta uznały, że to odpowiedni moment, by zakończyć tę teologiczną debatę.

Jako doświadczony jeździec Ińigo zdołał uspokoić muła. Widział, jak Maur odjeżdża w pośpiechu i znika za zakrętem drogi.

Był poruszony do głębi i bardzo z siebie niezadowolony. Czy wypełnił swój obowiązek? Czy mógł pozwolić na to, by Maurowi uszły na sucho te słowa. Rycerz Królowej Niebios – czy mógł zezwolić na obrazę przez niewiernego i jej nie pomścić.

Jednak człowieczek był bardzo miły i tylko trochę mijał się z prawdą.

Jak należało postąpić?

Ręka go swędziała, marzył, by chwycić nią sztylet i uderzyć, uderzyć w imię Królowej Niebios. Uświadomił sobie jednak, że to jego pragnienia, pragnienie jego krwi, jego ducha.

Czego życzył sobie Bóg?

Jechał powoli, by mieć czas na podjęcie właściwej

decyzji.

Nie podjął jej jednak. Nie potrafił zaprowadzić porządku wśród krzyczących w jego duszy głosów.

Skręcił i dotarł do rozstaju dróg, o którym wspominał Maur.

Droga po prawej wiodła prosto. Droga po lewej prowadziła na farmę, o której mówił nieznajomy, i do miasta Pedrola. Była to dobra, szeroka droga.

Ifiigo zatrzymał się, niezdecydowany i wymęczony kłótnią i swoimi przemyśleniami.

Czego życzył sobie Bóg?

Zawrócił muła, odjechał trzydzieści kroków i zmusił zwierzę, by się obróciło. Puścił wodze.

– Jedź – powiedział.

Muł ruszył przed siebie.

Ínigo postanowił jechać tam, dokąd zaprowadzi go zwierzę. Jeśli skręci na lewo, tam gdzie Maur, dogoni go i zabije. Jeśli na prawo, ominie Pedrolę i pojedzie do Montserrat.

Muł dotarł do rozstaju dróg.

Ínigo siedział nieruchomo, nie myśląc o niczym, całkiem rozluźniony. Niech się dzieje wola nieba.

Muł ruszył na prawo.

Ínigo spokojnie wziął lejce w dłonie.

Sprawa została rozstrzygnięta. Nie poświęcił jej już ani jednej myśli.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Brat Juan Chanones z zakonu Świętego Benedykta przyjął eleganckiego szlachcica z taką samą uprzejmą powagą jak jego poprzednika, czyli poborcę podatków z Saragossy. Reguła benedyktyńska nakazywała, że każdego gościa należy podejmować niczym samego Chrystusa.

Ludzie przybywający do Montserrat byli bez wyjątku pielgrzymami i pokutnikami, zwykle niespokojnymi i zdenerwowanymi. Jednak żaden z nich (poza paroma uciekinierami przed policją), nie odmawiał podania nazwiska.

Szlachcic jednak odmówił.

Raczej nie był uciekinierem. A jeśli nawet, nie było to sprawą klasztoru ani brata Juana Chanones.

Poza tym szlachcic ten nie wydawał się szczególnie zdenerwowany ani napięty. Zażyczył sobie, przygotowań do spowiedzi generalnej i spytał, czy mógłby dostać jakąś przydatną książkę.

Benedyktyn dał mu *Ćwiczenia duchowego życia* Garcii de Cisnerosa, którą to książkę zwykle czytali nowicjusze. Spodobał mu się sposób, w jaki pokutnik ja przyjął – zacisnął na książce długie, arystokratyczne palce, jakby była obiektem czci.

Brat Juan odprowadził go do zajazdu i dopilnował, by nieznajomy dostał celę bez podawania nazwiska.

Potem zostawił go samego, a Inigo zaczął najbardziej bolesną, nieustępliwą i nieubłaganą operację wojenną.

Nie było sensu czytać o tym, jak surowo Bóg karze grzechy, przypominać, że za jeden grzech Lucyfer został strącony z niebios, i że za to samo Adam musiał opuścić raj.

Inigo był zdecydowany wydobyć wszystkie swoje grzechy na powierzchnię, bez wyjątku, jak chłopiec w baśni, który dostał rozkaz, by zastrzelić w lesie wszystkie ptaki i złapać w jeziorze wszystkie ryby.

Zestrzeliwał je z wierzchołków dumy i próżności, na równinach samozadowolenia, w próżni ignorancji. Ścigał je w najmroczniejszych zakątkach i dźgał swoją lancą; wydobywał w zakamarkach pamięci, wyskubywał niczym wszy i inne szkodniki, atakował mieczem jak potwory i smoki, którymi zresztą były. Rzucał się za nimi do wody, wyrywał je z wodorostów zapomnienia, odrywał z koralowych brzegów przyzwyczajenia i ścigał aż do głębin, z których istnienia nawet nie zawsze zdawał sobie sprawę.

I nie spoczął, dopóki wszystkie nie leżały przed nim w amorficznej masie, podobne do meduz, gnijące, skręcając się w świetle rozpoznania.

To wszystko należało do niego: przez nie zwiększał ciężar Świętego Krzyża. Każdy z tych grzechów mocniej wbijał gwoździe w ręce i nogi swego Pana.

Zgrzytając zębami, sporządził całą ich listę, niczego nie opuścił. Nic mu nie umknęło, nie zdołało się ukryć.

Nawet sam anioł-sędzia nie mógłby być bardziej dokładny.

Rozległ się dzwon wzywający na posiłek, ale Inigo ani drgnął. Miał w celi bochenek chleba i dzban wody. Wystarczy. Za kilka dni będzie uważał to za prawdziwy luksus.

Dołączył na nieszpory i kompletę do mnichów, a potem wrócił by kontynuować bitwę.

Spał od północy do szóstej rano. Potem Msza święta, a potem znów bitwa.

Trwało to pełne trzy dni.

Inni pielgrzymi wiedzieli, jak szedł do głównego budynku, by znaleźć brata Juana Chansonesa – widzieli smukłego mężczyznę z elegancką bródką, o długich, pięknych rękach, elegancko ubranego i lekko powłóczącego nogą. Niósł ze sobą ciężką księgę i notatnik.

Pocziwy benedyktyn słyszał już spowiedzi tysięcy osób. Nigdy jednak nie słyszał, by ktokolwiek wyliczał grzechy swojej przeszłości z tak niesłychaną precyzją, tak chłodnym przywiązaniem do szczegółów.

Jak zawsze, zapomniał o wszystkich, jak tylko penitent odszedł po otrzymaniu rozgrzeszenia. Pozostało tylko wrażenie: była to jedyna całkowita spowiedź z całego ludzkiego życia, jaką kiedykolwiek słyszał.

Później, tego dnia, został wezwany do opata.

Opat Pedro de Burgos był nieco zaniepokojony. Pielgrzym, który wyglądał na baskijskiego szlachcica,

poprosił o pozwolenie na przekazanie klasztorowi muła, broni i szaty. Opat z radością przyjąłby tak hojne dary, jednak darczyńca nie chciał podać nazwiska. Co robić?

Juan Chanones prędko go uspokoił. Uznał, że w tym wypadku można zaryzykować i wbrew utartym zwyczajom, przyjąć anonimowy dar.

– No dobrze, no dobrze, skoro tak uważasz. Jednak nie szatę. Muł się nam przyda, w rzeczy samej, a broń może być *ex voto* – taka jest zapewne intencja darczyńcy – ale co mielibyśmy tu zrobić ze szlachecką szatą? Przecież nie możemy jej nikomu ofiarować – to przysporzyłoby tylko kłopotów.

Brat Juan Chanones złożył mu ukłon i wyszedł. Kilka minut później poinformował Ínigo o wyniku rozmowy.

Muł przeszedł na własność klasztoru Świętego Benedykta. Już nigdy nie miał ścigać niewiernych bluźnierców.

Ínigo patrzył, jak zakrystian wiesza jego toledański miecz i sztylet na kracie oddzielającej kaplicę Najświętszej Maryi Panny od głównego kościoła. Dzięki temu znalazły zaszczytne miejsce obok srebrzonych bucików dziecka, które Maryja ocaliła od utonięcia, bułata mauretańskiego księcia, który przeszedł na chrześcijaństwo i niezliczonych wotów w złocie, srebrze i brązie, na których wyrażano wdzięczność, płomiennie lub skromnie, a które kazali wyryć dobroczyńcy w zamian za otrzymane łaski.

Ínigo miał wrażenie, że rozpoznał w kościele dwóch

przyjaciół rodziny, więc pośpiesznie wrócił do swojej celi. Po zapadnięciu zmroku wyłonił się z niej i opuścił klasztor. Miał ze sobą cztery rzeczy: tunikę ze zwykłego workowego płótna, drapiącego i szorstkiego, parę sandałów, tykwę i laskę.

Mniej więcej dwa kilometry od bram klasztoru stała słomiana chatka żebraka.

Poprosił zaskoczonego biedaka o pozwolenie na zmianę ubrania w jego chacie i podarował mu swoją szatę. Potem odszedł we włosiennicy, ścigany przepitym głosem żebraka, który bezustannie mu dziękował.

Zapadła bezgwiezdna noc.

W przepastnym kościele płonęły świece, niczym mniejszy wszechświat zastępujący ten wielki, na zewnątrz, ukryty za chmurami wczesnej wiosny.

Był dwudziesty czwarty marca, wigilia Zwiastowania, a potem święta Archanioła Gabriela.

Iñigo podszedł do kraty przed kaplicą Najświętszej Panny i ukląkł nieopodal świecy.

Skrzydła archanioła, czarne i potężne, wypełniały cały kościół.

Z oddali dobiegały modlitwy grupek pielgrzymów.

Organy także się modliły, pod dotykiem niewidzialnych palców.

Iñigo wstał. Kolano już nie wytrzymało, a on nie chciał go nadwierać, bo jutro czekała go praca. Wrócił w cień, gdzie nie padało na niego światło świec, i tam stał z laską w ręce i pochyloną głową.

Zrzucił z siebie grzechy. Złe brzemie już mu nie ciążyło. Cóż jednak miał w zamian – poza tęsknotą, którą odczuwał?

Duszo Chrystusowa, pomyślał, uświęć mnie.

Był sam. Wciąż trwał dzień archanioła, a anioły były inne, całkiem inne niż ludzie. Sam Bóg stworzył więź między dwoma światami. Anioły były uskrzydłym intelektem, latającą siłą woli. Nie miały ciała. Był przerażony.

Ciało Chrystusowe, pomyślał, zbaw mnie.

Kiedy człowiek zaczynał się nad tym zastanawiać, jak nie mógłby być wdzięczny za to, że Słowo ciałem się stało? Tylko dlatego mógł nazwać Boga Ojcem, że Syn Boży sam wstąpił w ludzkie ciało.

Bóg stał się Człowiekiem. A człowiek zabił tego Człowieka.

Jak silna była w człowieku potrzeba zabijania. Jeszcze dwa czy trzy poranki wcześniej sam pragnął zabić, przez moment, przez jeden moment odczuwał to pożądanie, a potem zrozumiał, że nie może polegać na własnym osądzie i musi pozostawić tę sprawę Bogu.

Bogu, który sam ofiarował mu krew, swoją ceną Krew, źródło Życia – właśnie tego musiał pragnąć, wina Zbawienia, Boskiego trunku.

Krwi Chrystusowa, pomyślał, napój mnie.

Krew ta trysnęła na Kalwarii, z prawej ręki i lewej ręki. Z prawej nogi i lewej nogi. Z czoła rozdartego koroną cierniową; z rozległej rany z boku, otwartej

włócznie Longinusa.

Wtedy krew spłynęła. I już nie żył, kiedy Longinus przebił go włócznie. Wypłynęła nie tylko Krew, ale i Woda. Woda, która oczyściła świat, fontanna życia wiecznego.

Wodo z boku Chrystusowego, pomyślał, obmyj mnie.

Był niczym nowonarodzony. Pozbył się wszystkiego: nazwiska, tytułu, miecza, szaty, bogactwa. Zniknęły wszystkie płatki kwiatów, czuł się nagi, zimny i bardzo słaby. Miał cierpieć. Tego jednak się nie obawiał – wiedział, że cierpienie zjednoczy go z cierpieniem Chrystusa.

Męko Chrystusowa, pomyślał, pokrzep mnie.

Czy został wysłuchany? Naprawdę wysłuchany? Czy tylko mamrotał do siebie, niczym dziecko w ciemności.

O dobry Jezu, pomyślał, wysłuchaj mnie. Wysłuchaj mnie.

I w tym momencie usłyszał głęboki, metaliczny dźwięk, który zdawał się dochodzić z nieba.

Dzwonnik rozkołysał wielki dzwon.

Była północ.

Mnisi podnieśli się ze swoich łóżek i zgromadzili w prezbiterium. Tam zaintonowali inwitatorium Zmartwychwstania.

Olbrzymie czarne skrzydła archanioła zadrżały. Nadszedł moment na najważniejszą ze wszystkich wiadomości, rodzaj ludzki wysłuchał go w Maryi.

Nadeszła pełnia czasu dla wszystkich ras, wszystkich

ludzi, najpierw dotarła do maleńkiej chatki w Nazarecie.

Dla ludzi w pokoju i tych na wojnie, pogrążonych w smutku i rozradowanych, zdrowych i chorych; ledwie narodzonych i umierających, rozmawiających, bluźnierców, walczących ze sobą ludzi, którzy się bili, zabijali i zdążali do piekła.

Właśnie nad nimi Trójca Święta utkała złotą nić przeznaczenia, i nić ta dotknęła ich poprzez Maryję.

A cały rodzaj ludzki właśnie w Maryi uczynił najważniejszy ze wszystkich wyborów. Dzięki jej wyborowi. Otrzymała koronę niebios, a odparła, że jest służebnicą Pańską: „Niechaj mi się stanie według słowa Twego”.

I od tamtego czasu Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami.

Ínigo stał nieruchomo. Wszędzie był spokój, w nim samym i dookoła.

Dopiero później zdał sobie sprawę z tego, że czas płynie, znowu przyszli mnisi i zaintonowali pieśni pochwalne na cześć jego Królowej i Pani.

Ave Stella Matutina.

Śpiewał razem z nimi.

I znów spłynął spokój, a wraz z nim myśli, które wypełniły całe jego jestestwo. Nigdy by ich nikomu nie zdradził – zamierzał je przeżyć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Konstabl nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Stary Diego był dobrze znany w Montserrat, wszyscy wiedzieli, że jego ubiór składa się z pary dziurawych spodni, niegdyś zielonych, a teraz lśniących niemal wszystkimi barwami tęczy; koszuli z tyloma dziurami, że liczenie ich zajęłoby pół godziny z okładem; czegoś w rodzaju beretu, tak brudnego, że trudno było powiedzieć, gdzie się kończy i gdzie zaczyna się bałagan, który żebrak nazywał swoimi własnymi włosami.

Pielgrzymi dobrze go traktowali i pewnie zaoszczędziłby na przyzwoity strój, gdyby nie miał w zwyczaju zanosić każdej otrzymanej monety prosto do oberży i wymieniać ją na *aguardiente*.

A teraz stary Diego pysznił się w żółtym kubraku z pięknej francuskiej wełny, żółtych pończochach i pięknie tkanej niebieskiej pelerynie. Jego głowa przystrojona była kolorową czapką, a chodził w tym stroju niczym żuraw na godach.

Na widok konstabla odwrócił się i usiłował zniknąć między krzewami.

Konstabl jednak wspiął się za nim, ajako że był młodszy i bardziej przyzwyczajony do swych szat, już po minucie lub dwóch dogonił Diega.

Dostał to wszystko od pielgrzyma? Akurat. Przed obliczem prokuratora powinien wymyślić lepszą

historyjkę.

Stary Diego jednak trzymał się swojej wersji ze zdumiewającym uporem.

Prokurator potarł brodę. Ten człowiek był pijakiem, choć wcześniej niczego nie kradł – o czym to jednak miało świadczyć? Zawsze był ten pierwszy raz.

Stary Diego jęczał, że jest uczciwym człowiekiem i że to nie jego wina, iż szlachetny pielgrzym sprezentował mu ubiór godny króla. Nawet nie prosił go o ten strój.

– Jak wyglądał ten człowiek? – zapytał prokurator.

Cóż, było ciemno, kiedy przyszedł, w chatce płonęła tylko jedna świeca, ale... .

Prokurator otrzymał całkiem dokładny opis ekscentrycznego darczyńcy. Co więcej, Diego mijął go właśnie tego ranka, na drodze do Barcelony.

– Teraz jednak nie jest ubrany jak szlachcic, *vuestra Merced* – wychrypiał żebrak. – Ma na sobie starą włosiennicę, sandały i laskę w dłoni.

Prokurator zerknął na konstabla, ale nie znalazł zrozumienia na jego tępej, nalanej twarzy.

– Kiedy mijales tego człowieka? – zapytał. – Mniej więcej godzinę temu, *vuestra merced*. To nie moja wina, że ten szlachcic ma kłopoty z głową, prawda? Chciałem dać mu własne spodnie i koszulę, ale nie przyjął. Wolał włosiennicę. Co mam robić? Nigdy...

Prokurator uciszył go gestem ręki.

– Zobaczymy – powiedział. – Konstablu, lepiej podąż za tym człowiekiem i zobacz, o co chodzi. Nie mógł zająć

zbyt daleko.

Konstabl podrapał się po głowie. Był miły, chłodny ranek, droga prowadziła w dół. Będzie jednak musiał wrócić, wtedy już nie będzie miło i chłodno, a droga poprowadzi go pod górę.

– Gdybym mógł wziąć muła albo konia... – zasugerował.

– Może i tak – zgodził się prokurator. – Poczciwi ojcowie w klasztorze mają w stajni nowego muła; dostali go od kogoś. Spytaj, czy ci go pożyczą. I nie wracaj, póki nie zdobędziesz wszystkich informacji.

Konstabl pośpiesznie wyszedł. Brat, który zajmował się stajniami, pozwolił mu wziąć muła, i parę minut później konstabl zjeżdżał już drogą, by dogonić pielgrzyma. Spieszył się, bo niedaleko droga się rozwidlała, i skąd by wiedział, którądy poszedł szaleniec?

Wkrótce się z nim zrównał. Człowiek z chorym kolanem, wędrujący w sandałach po raz pierwszy w życiu, nie zajdzie zbyt daleko.

Iñigo zbladł, kiedy konstabl spytał go wprost, czy podarował swoje ubranie żebrakowi.

– O co chodzi? – zapytał strażnik. – Kim jesteś, panie? Nazwisko, narodowość? Dokąd zmierzasz?

– Odpowiem tylko na jedno z twych pytań – powiedział Iñigo. – Tak, dałem swój ubiór żebrakowi. I bardzo żałuję, że dar ten wpędził go w kłopoty.

Konstabl popatrzył na niego spode łba.

Ten człowiek nie mógł być znajomym żebraka.

Ubrany był okropnie, ale miał czyste, wypiełgnowane dłonie, a także schludnie przycięte włosy i brodę. W jego oczach błyszczały łzy. Cóż, pewnie był lekko szalony. Czemu jednak nie chciał podać nazwiska? Prokurator domagał się wszystkich informacji. Czy należało go zawrócić? No cóż, właściwie zeznał to, co było najistotniejsze. Po co robić zamieszanie? Może człowiek ten poprzysiągł ukrywać swoje nazwisko?

Skinął głową, zsalutował i obrócił muła.

Ínigo szedł przed siebie, ze łzami w oczach. Nie rozpoznał swojego zwierzęcia. Myślał wyłącznie o tym, że nawet nie może zrobić nic dobrego dla bliźniego, nie sprowadzając na niego problemów.

Nie przyszło mu do głowy, że od dzieciństwa nikt nie widział jego łez.

Wkrótce znów dogonili go ludzie, tym razem kawalkada mężczyzn w kosztownych strojach. Minęli go zbyt szybko, by zdążył się zorientować, czy ich zna, ale zaczął podejrzewać, że teraz spotka niejedną taką grupę. Świta nowego papieża najwyraźniej go doganiała.

Było to niedopuszczalne.

Nie zwrócili na niego uwagi, ale w każdej chwili mógł znaleźć się twarzą w twarz z jakimś swoim znajomym; wtedy listy trafią do Loyoli, do Martina i Magdaleny, do księcia Najery...

Poszedł drogą odchodzącą od głównej trasy. Prowadziła do miasteczka, w którym nigdy nie był, o którym nawet nie słyszał.

Siwobrody człek poinformował go, że jest w Manresie i wskazał mu drogę do hospicjum Świętej Lucji, gdzie biedak mógł dostać poślanie i czasem talerz zupy.

Warto było się tam zatrzymać na kilka dni, aż świta papieska przejedzie. Mógł spisać swoje przemyślenia tej *nocy* podczas czuwania w Montserrat. Najpierw jednak musiał uczynić to, co uczynili święty Franciszek i święty Dominik. Coś, co było straszne dla człowieka, którym niegdyś był. Teraz też nie wydawało się łatwe.

Opuścił hospicjum i ruszył ulicą. Zatrzymał się na rogu i oparł o dom. Było mu słabo, bynajmniej nie z głodu.

Uczestniczył w wielu bitwach, w niejednym pojedynku.

Nigdy jednak nie miał przed sobą równie trudnego zadania. Z trudem zmusił się do tego, by wyciągnąć rękę.

Początkowo nie potrafił zapanować nad głosem.

– Chleba – wykrztusił w końcu don Inigo de Loyola, dowódca królewskiej kawalerii, członek świty księcia Najery, hiszpański szlachcic. – Chleba poproszę. W imię Bożej miłości, proszę o kawałek chleba dla biedaka.

Bujna kobieta o rumianych policzkach i obfitym biuście usłyszała go i przystanęła.

– Idź do Świętej Łucji – powiedziała ostro. – Tam ci dadzą zupy.

Ruszyła przed siebie.

– Kromkę chleba, w imię Bożej miłości – powiedział Inigo. Po chwili jego głos przestał drżeć.

Dwóch łobuziaków zaśmiało się na jego widok.

– L’Home del sach – el home delsach – *szydzili*.

„Człowiek w worku” nie przestawał żebrać.

Po dłuższej chwili staruszka dała mu kromkę chleba i poprosiła o modlitwę, co jej obiecał.

Gdy zniknęła, dotrzymał obietnicy. Potem uczynił znak krzyża nad chlebem i zabrał się do jedzenia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

– Sporo to trwało – zauważył Uli. – Ale jesteśmy na miejscu. Zmęczony, Juan?

Rzekomy chłopiec wyglądał przez okno. Jakim niezwykle zatłoczonym miejscem wydawała się Walencja. A może to ulice były takie wąskie? Zapełniali je ludzie, cała masa ludzi, osłów, mułów, wozów, karet i jeszcze więcej ludzi; od samego patrzenia kręciło się w głowie.

– Pytałem, czy jesteś zmęczony, Juan.

– Nie. Nie bardzo. To chyba jakaś tysięczna *posada*, którą widziałem.

– Pewnie tak. – Z trudem ukrywał współczucie. – Zmusiłem cię, żebyś zobaczył kawał świata, co? To bardzo przydatne dla chłopaka.

– Nie wiem, czy chcę być chłopakiem przez całe życie – odparł Juan. Nie przestawał wyglądać przez okno.

– Z pewnością nie będziesz. – Uli zaczął rozpakowywać swój tobołek. Była w nim dziewczęca suknia, ale nawet jej nie tknął. Wyjął tylko kostkę mydła i szczotkę.

– Za miesiąc czy dwa od dzisiaj wrócisz do normalnego życia. Sam cię zawiozę do Barcelony.

Juan milczał.

– Nie cieszysz się? – spytał Uli.

– Nie wiem – odparł po chwili Juan. – Może przywykłem do takich podróży. Mama zawsze

powtarzała, że jest we mnie coś z Cyganki. Może i tak.

– Ale chcesz ją znowu zobaczyć?

– Tak.

– Na pewno się o ciebie martwi.

– Wątpię.

– Jak to?

– Napisałem do niej z Segowii i Wili, przecież wiesz.

Zresztą nigdy się mną specjalnie nie przejmowała. Twierdziła, że jestem córeczką tatusia i w ogóle nie przypominam nikogo z jej rodziny, a poza tym jak kot zawsze spadam na cztery łapy.

Odwrócił się od okna i popatrzył na Ulego z półuśmiechem.

– Czasem mam wrażenie, że jesteśmy tacy jak mała Teresa i jej brat.

Uli odpowiedział uśmiechem.

– Znowu mam ochotę się rozkaślać. Miła dziewczynka. Jednak niezupełnie rozumiem, co masz na myśli.

– Maszerowanie i maszerowanie w jednym kierunku, z przekonaniem, że dotarcie w jakieś miejsce jest strasznie ważne. A dorośli uśmiechają się i sądzą, że to wszystko jest dość niemądre.

Uli zastanowił się nad tym.

A w naszym przypadku kim są ci dorośli?

– Być może ludzie nigdy nie dorastają – odparł Juan.

– A przynajmniej większość z nich. Uganiają się za czymś niemądrym i sądzą, że będą bardzo szczęśliwi, kiedy już

to zdobędą. Być może mała Teresa była najmniej niemądra ze wszystkich.

– Bo wybierała się do Ziemi Świętej, by zostać męczennicą. – Potarł brodę. – Muszę się ogolić.

– Szła do Ziemi Świętej. Myślała o końcu wszystkiego, a nie tylko o tym, co za chwilę, jak my wszyscy. Widziałeś jej oczy?

– Tak. – I dodał po chwili: – Wiesz, poznałem paru Turków. Arabów też. Na Węgrzech. Nie są źli, nie w całości, i bardzo poważnie traktują swoją wiarę. Bardziej poważnie niż większość z nas. I wierzą, że muszą ją rozpowszechniać. A kiedy padną w bitwie przeciwko nam, wierzą, że trafią prosto do nieba. My jeździmy do Ziemi Świętej, by zostać tam męczennikami, oni zjawiają się tutaj po to samo. Świat jest szalony.

– Może Ziemia Święta jest wszędzie – zasugerował Juan. – Jednak musi być coś szczególnego w miejscu, w którym umarł Jezus. Chciałbym je zobaczyć. Dziwne. Nigdy o tym nie myślałem, dopóki ta mała nie zaczęła o tym mówić. Teraz myślę o tym bezustannie. Zastanawiam się, jaki los ją czeka. Cieszę się, że ją poznaliśmy.

– Wyjdzie za mąż – oznajmił Uli. – Już jest ładna. A jej mąż nie będzie miał zbyt wiele do powiedzenia, jak sądzę. Wyjdź, Juan. Muszę się umyć i złożyć wizytę komuś, o kim nigdy ci nie wspomniałem.

Juan podszedł do drzwi.

– Nie zapomnij jej powiedzieć o don Inigo – mruknął.
– Ucieszy się.

– Dlaczego tak uważasz? – spytał zaskoczony Uli.

– Bo to kobieta – rzucił Juan na odchodnym.

Uli uśmiechnął się i zaczął rozbierać. W pokoju znajdował się duży dzban wody, więc wylał ją na siebie. Mydło pachniało lekko jakimś kwiatem, na to jednak nie mógł nic poradzić. Wytarł się czystym ręcznikiem z tobołka i zaczął golić.

Po chwili usłyszał pukanie.

– Nie możesz wejść, Juan – warknął.

Jednak drzwi się otworzyły i weszła jedna z córek oberżysty, z koszulą Ulego, świeżo upraną i uprasowaną.

– Och – powiedziała, udając zaszokowanie.

– Mówiłem, żebyś nie wchodziła – warknął, odwrócił ją, wymierzył jej mocnego klapsa w pupę i wypchnął dziewczynę za drzwi.

– Nieprawda. – Zachichotała. – Nie mam na imię Juan. Silny jesteś, co?

Ale wtedy już zamknęła za sobą drzwi. Była całkiem ładną dziewczyną. Koszula też wydawała się pięknie odprasowana. Córka oberżysty przypomniała mu dziewczynę w Stuhlweissenburgu, podobną do małego dzikiego kociaka.

Skrzywił się do swojego odbicia w poplamionym lustrze.

– Musisz dawać dobry przykład małemu bratu, ty Świnio – powiedział.

Zabrzmiało to trochę gorzko.

Zaczął się ubierać.

Nie bardzo nadawał się na ambasadora w tym ubraniu, ale nie było czasu na szukanie innych, poza tym w każdym stroju wyglądałby tak samo. Jak żołnierz. Dyplomata nie dorobi się takiej blizny nad okiem. Mycie i czysta koszula musiały wystarczyć.

Włócznia i miecz zostały w karecie, pod słomą. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie zostawić sztyletu w izbie, ale zmarszczył brwi i zawiesił go u paska.

– Nigdy nie wiadomo, czy nie wpadniesz na kogoś, kto potrzebuje golenia – wymamrotał.

Włożył czapkę na głowę i wyszedł.

Wartownik w pałacu wezwał oficera.

– Czy jej wysokość spodziewa się ciebie? – zapytał oficer.

– Nie mam pojęcia – odparł Uli zgodnie z prawdą. Oficer zgromił go wzrokiem.

– Kto cię tu przysłał.

– Jego ekscelencja burmistrz Bazylei w Szwajcarii – odrzekł Uli z powagą i tym razem oficer nie wątpił w jego słowa.

– Czy tam czczą burmistrzów? – Uniósł brew.

– Kiedy wyjeżdżałem, nie czcili – odparł Uli niewinnie.

– Wszystko jest możliwe. Przekłęci heretycy – warknął oficer. – Czy przypadkiem i ty nie jesteś heretykiem?

– Nigdy nie czciłem żadnego burmistrza – oznajmił Uli. – Ciebie też nie zamierzam czcić. Mógłbyś mnie

zaanonsować? Przebyłem długą drogę.

– Myślisz, że jej wysokość tak bez problemu spotka się z każdym, kto... Albo lepiej chodź ze mną. Zobaczymy, co don Antonio Carbajal ma do powiedzenia.

Pokonali przestronny dziedziniec i weszli do pałacu. Uli poczuł się nieco lepiej. Kiedy człowiek kroczył po miękkim kobiercu, miał szanse. Sierżant niemal zawsze stanowił poważniejszą przeszkodę niż kapitan.

Jednak don Antonio Carbajal nie był kapitanem, lecz wysokim, szczupłym, upiornie bladym mężczyzną w czarnym aksamicie z kołnierzem z bardzo delikatnej białej koronki.

– Bazylea? – zapytał. – Czego na Boga burmistrz Bazylei chce od jej wysokości?

– Nie mnie to oceniać, panie – odparł grzecznie Uli.

– W rzeczy samej. – Don Antonio pogłaskał siwiejący wąs. – Nagle dodał w szwajcarskim dialekcie. – Skąd mam wiedzieć, że jesteś *Eidgenosse*?

– Nie ma sposobu, by się o tym przekonać – odparł Uli w tym samym języku. – Bo jeśli potrafisz, panie, mówić tak płynnie i bez akcentu językiem moich ziomków, jak mógłbym udowodnić, że tak naprawdę nie jestem Portugalczykiem albo Turkiem w przebraniu?

Don Antonio uśmiechnął się do Ulego. Pochlebiły mu jego słowa.

– Zobaczymy, co da się zrobić – oświadczył. – Zapytam jej wysokość. Zaczekaj tutaj.

Zniknął, a Uli pozostał na miejscu. Bardzo

prawdopodobne, że ktoś go obserwował zza zasłony. Jej wysokość była dobrze strzeżona, i nic dziwnego. Była narodowości francuskiej, a między Hiszpanią a Francją trwała wojna.

Domyślał się prawdziwego powodu, dla którego dowódca wysłał go jako posłańca, zamiast któregoś z bardziej doświadczonych agentów. Było prawdopodobne, że Szwajcar nie będzie sympatyzował z żadną ze stron.

Tymczasem powrócił don Antonio.

– Szczęściarz z ciebie – powiedział. – Chodź za mną.

Droga prowadziła przez wiele pokojów i kończyła się w najbardziej luksusowym pomieszczeniu, jakie Uli kiedykolwiek widział.

W ogóle się na tym nie znał, ale nietrudno było zgadnąć, że dywany, obrazy i rzeźby są bezcenne.

W pomieszczeniu najbardziej rzucała się w oczy grupka trzech dam, z kolei najbardziej olśniewającą z tej trójki była dama w środku, drobna i okrągła, z twarzą w kształcie serca. Miała na sobie lśniący diadem i wysoki kołnierz z koronki, w porównaniu z którą kołnierz don Antonia wyglądał jak wykonany z kuchennej szmaty. Jej oczy były okrągłe, a jednak wydawały się wyniosłe. Miała też mały, zadarty nos, a jej uśmiech nie znaczył nic, jedynie ukazywał dwa rzędkie perłowych zębów. Był taką samą ozdobą jak suknia i makijaż.

Uli pomyślał, że gdyby nie była chrześcijańską księżniczką, świetnie nadawałaby się na pogańskie bóstwo.

Jej włosy miały kolor miedzi.

Nie był w stanie oszacować jej wieku, była tak mocno umalowana. Może jednak nie była bóstwem, ale daniem, bardzo wyrafinowanym i słodkim, daniem królewskim, jeśli król miał mocny żołądek.

Uklonił się najpiękniej jak potrafił, a dama zachichotała i zapytała:

– Dlaczego dobrzy mieszkańcy Bazylei okaleczyli cię, zanim cię tu przysłali?

I przejechała białym palcem po jeszcze bielszym czole, rysując na nim jego bliznę.

Uli uśmiechnął się radośnie.

– Doskonale wiedzieli, że mam się spotkać z najpiękniejszą księżniczką na świecie i doszli do wniosku, że zostawienie we mnie zbyt dużej ilości krwi byłoby niebezpieczne.

– Młody człowieku – zaczął don Antonio surowo, ale dama nakazała mu milczenie. Ze śmiechem oznajmiła:

– Jako że nie jesteś już niebezpieczny, chyba możemy darować sobie etykietę.

Dwie damy dworu wyszły z uśmiechem, don Antonio z niechęcią.

– Możesz usiąść – oznajmiła dama głośno. Uli instynktownie wyczuł, że to niezwykle, ale posłuchał, a ona wyszeptała: – Zbyt dobrze cię widzą, kiedy stoisz. Naprawdę jesteś z Bazylei?

– Naprawdę jestem Szwajcarem, pani – wyjaśnił Uli.
– Jednak nie z Bazylei.

– Tak myślałam. Kto cię wysłał?

– Generał Andre de Foix – szepnął Uli. – Mam list...

Już się nie uśmiechała.

– Podaj mi go, ale nie podnoś ręki.

Wzięła szybko list, otworzyła go i przeczytała.

– Cest de la folie toute pure – *mruknęła*, – Ja również doszedłem do wniosku, że to szaleństwo – mruknął Uli.

Ponownie wybuchnęła śmiechem.

– Nie powinno się mieć krewnych – westchnęła. – Zawsze proszą o niemożliwe. Ten list nosi datę – niech sprawdzę – no cóż, tak myślałam.

– Przed Noain – zauważył Uli. – I długo przed Fuentarrabią. Uznałem, że jest nieaktualny, ale dostarczenie go było moim obowiązkiem.

– Znasz treść listu?

Pokręcił głową.

– Mogę się tylko domyślać.

– Domyślanie się to niebezpieczna zabawa – oświadczyła Germanie de Foix. – Lepiej się chyba nie domyślać.

– I tak kiepsko mi idzie – skłamał radośnie.

– Ja wierzę we wszystko, co mi mówią. – Ponownie się uśmiechnęła. – Ale ciebie nie potrafię rozgryźć. Nie jesteś szlachcicem...

– Jestem Szwajcarem – oświadczył Uli. – Wszyscy wierzymy we własne szlachectwo.

– Oho! A powiadają, że to Hiszpanie są dumni. Nie będę cię wypytywała o twój status. Nawet nie zamierzam

się domyślać. To nie ma znaczenia. – Ukryła list za gorsetem. – Może zbytnio lekceważyliśmy Szwajcarię. I Szwajcarów.

– Czy wasza wysokość chciałaby przekazać coś... burmistrzowi Bazylei? – zapytał Uli, a potem przypomniał sobie, że podczas rozmowy z członkiem rodziny królewskiej zadawanie pytań jest niedopuszczalne. Jednak podczas tej rozmowy etykieta była łamana niemal bez przerwy.

Germanie de Fok wpatrywała się w niego, jakby miał dwie głowy, jednak szybko doszła do siebie.

– Nie bardzo rozumiem – powiedziała. – Często cieszą nas wizyty kurtuazyjne z dalekich krajów. Składamy sobie nawzajem życzenia pomyślności i to wszystko. Tyle że, naturalnie, otrzymujemy pisemną informację, list. A... – pochyliła się lekko – w tym wypadku nie było żadnego listu.

Popatrzył prosto w jej oczy, teraz lodowate i władcze.

– Rozumiem – odparł.

– Nie było żadnego listu – powtórzyła cicho.

Zaczynał myśleć o niej z coraz większym szacunkiem.

Była nie tylko oszałamiająco piękną kobietą, którą bawiło przyjęcie prostego człowieka o manierach znacznie różniących się od manier jej dworzan. Miała bystry umysł. Może nawet próbowała wykazać lojalność wobec nowego kraju... albo przynajmniej nie chciała narażać swojej pozycji. Albo jedno i drugie. W każdym

razie wyglądało na to, że generał popełnił błąd, być może poważny. Nie był zbyt dobrym generałem, jako polityk wydawał się jeszcze mniej skuteczny.

– Burmistrz Bazylei musi się zadowolić moimi najlepszymi życzeniami zdrowia – oznajmiła Germanie de Fok. – Nic więcej nie mogę dla niego zrobić.

– Rozumiem, wasza wysokość.

– Masz inteligentne oblicze – powiedziała ta zdumiewająca kobieta. – Brzydkie, ale charakterystyczne.

Zachichotał. Nic nie mógł na to poradzić.

– Rozumiem, wasza wysokość, że każdy człowiek, który kiedykolwiek był w twojej służbie, będzie marzył o tobie do końca życia. To nieuniknione i w żaden sposób nie zależy od statusu. Ja też będę o tobie śnił w przyszłości, jak don Iñigo de Loyola.

– Loyola? Loyola – gdzie ja słyszałam to nazwisko? – Popatrzyła na sufit. – Miała idealną linię szyi, w opisywaniu jej mogliby konkurować najlepsi poeci.

– Był chyba jednym z giermków waszej wysokości.

– Tak, teraz sobie przypominam! – Zaśmiała się perliście. – *Lepetit* Loyola. Tak. Miał zwyczaj czytać mi poezję autorstwa Montesina i Masnego. Wtedy mój hiszpański pozostawiał wiele do życzenia, a Loyola mówił z silnym baskijskim akcentem. *Le petit* Loyola! Jakże on się miewa?

– Został ciężko ranny na wojnie – wyjaśnił Uli. – Zawiozłem go z powrotem do zamku, w gorączce przez cały czas wspominał waszą wysokość.

– *Tiens, cest emouvant.* Ale walczył po hiszpańskiej stronie, prawda?

– W rzeczy samej, wasza wysokość. Bronił cytadeli w Pampelunie, kula armatnia trafiła go w nogę. Miałem zaszczyt odtransportować go z powrotem do Loyoli, bo...

– Bo?

– Bo, z działa, które go zraniło, wystrzelił mój pobratymiec – wyjaśnił Uli.

Przejrzała go natychmiast.

– Sprawiedliwości stało się zadość – mruknęła.

– Dokładnie takich samych słów użył mój... mój dowódca, pani. – Uli pokiwał głową.

Germanie de Foix westchnęła.

– Człowiek to nieprzewidywalna istota – oświadczyła z zadumą. – Czy mój biedny giermek wie, kto go zranił?

– Tak, pani.

– *Cepauvrepetit Loyola.* Nadal, po tych wszystkich latach, jest mi tak oddany? Niesłychanie wzruszające. Powinnam być na ciebie bardzo zła, panie Szwajcarze! Ale zapomniałam, że to nie ty go niemal zabiłeś, tylko twój pobratymiec. – Uśmiechnęła się. – Tak czy owak uważam, że powinieneś odpokutować nieczny czyn innego Szwajcara, prawda?

– Będzie tak, jak wasza wysokość rozkaże – odparł Uli.

– W rzeczy samej, więc rozkazuję. Może o tym nie wiesz, ale w tej chwili nie trwa wojna między Hiszpanią a Francją. Na hiszpańskiej ziemi nie stacjonują żadne

francuskie oddziały, istnieje nadzieja, że wkrótce dojdą do porozumienia.

Uli uśmiechnął się szeroko.

– Wobec tego cała moja misja wydaje się dość absurdalna. Wędruję przez pół Hiszpanii, a tymczasem...

– Tak bywa – przerwała księżniczka zwięźle. – Tak czy owak, twoja „misja”, jak raczysz ją nazywać, nie ma z tym nic wspólnego. Ciebie zajmuje jedynie burmistrz pięknego miasta Bazylei i bardzo to niefortunne, jeśli o tym zapominasz.

Sklonił się w milczeniu.

– Jednak skoro jest jak jest, nie musisz się śpieszyć z powrotem – ciągnęła sama.

– Rozumiem. – Ponownie się uklonił.

– Wobec tego chcę, żebyś udał się – jak to nazwałeś? – z misją w moim imieniu. Zrobisz to?

– Jeśli wasza wysokość rozkaże. Udam się dokądkolwiek, nawet do Turków albo Arabów.

Sam się nieco zdumiał. Na Boga, pomyślał, nie wierzę, że to powiedziałem. Cóż było w tej kobiecie? Jak ona to robiła?

Germanie de Foix jednak wcale nie była zaskoczona.

– Doskonale – oświadczyła. – Chcę, byś udał się z wizytą do mojego biednego giermka i wręczył mu to. – Zdjęła z palca pierścień i podała go Ulemu. – Powiedz, by nosił go przez wzgląd na pamięć o mnie i jako znak, że nigdy go nie zapomniałam.

Był to bardzo piękny rubin osadzony w złocie.

– A co do ciebie... Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

– Słońce ogrzewa ziemię – odparł Uli. – I ziemia jest mu za to bardzo wdzięczna.– Słońce musi teraz wrócić na orbitę – oznajmiła księżniczka ze śmiechem. – Może powinieneś urodzić się szlachcicem, mówisz jak dworzanin. Och, zapomniałam, że wszyscy Szwajcarzy to szlachcice. Podobno jednak nawet szlachetnie urodzeni potrzebują pieniędzy na podróże. Otwórz komódkę na lewo ode mnie, dobrze? Tak, tę. Jest tam sakiewka, za różnymi drobiazgami. Znalazłeś? Doskonale. Zatrzymaj ją sobie.

Wstała.

– Wasza wysokość mnie przytłacza – oznajmił. Raz jeszcze mówił całkiem szczerze.

– Naprawdę? – Nagle zaczęła się zachowywać jak zwykła kobieta. – To bardzo przyjemne uczucie, taka zabawa w Boga. Ale nie mam wątpliwości, że takie myśli to również grzech. – I po chwili znów zamieniła się w królową.

Wyciągnęła dłoń, a on ją ucałował, klęcząc na kolanie niczym żołnierz składający przysięgę wierności tuż przed udaniem się na bitwę.

Wyszedł jak we śnie.

Pachołek, który szedł przed nim, wskazał mu drogę do drzwi.

Pełniący wartę oficer zasalutował z szacunkiem, wartownik poszedł w jego ślady. Obaj uznali, że choć gość wyglądał niepozornie, przecież spędził w pałacu

ponad godzinę. Najwyraźniej miał coś w sobie.

Uli nawet tego nie zauważył. Na Frunsberga! Na burmistrza Bazylei! Nie trzeba było mieć gorączki, żeby oszaleć na punkcie tej damy. Człowiek upijał się czasem nie tylko winem. Pomyślał, że musi otrzeźwieć, bo lada chwila będzie biegał po mieście jak wioskowy wariat na swoje urodziny.

Jednak wciąż był lekko odurzony, gdy dotarł do *posady*.

Zapukał do drzwi Juana. Odpowiedziała mu cisza, więc ostrożnie je uchylił. Pokój był pusty.

Uli zmarszczył brwi. Nie podobało mu się, że rzekomy chłopiec samotnie płacze się po okolicy. Wrócił do siebie, ale po wejściu ujrzał, że musiała zajść jakaś pomyłka. W pokoju znajdowała się młoda dziewczyna.

– Przepraszam... – zaczął i urwał, po czym dodał po chwili: – O co chodzi, do diaska?

– Mówiłam ci, że nie chcę być przez całe życie chłopcem – odparła Juanita.

– Nie ma powodu, żebyś się tak ubierała, i to właśnie w Walencji. Co ty sobie wyobrażasz, niemądra... niemądry chłopaku? Przyjeżdżasz jako chłopak, wyjeżdżasz jako dziewczyna. Chcesz, żeby aresztowali nas oboje?

– Aresztowali? Niby za co? Bycie dziewczyną to nie zbrodnia.

– Posłuchaj, Juan...

– Mam na imię Juanita.

– Zaraz w ogóle nie będziesz miała żadnego imienia, jeśli nie przestaniesz się tak zachowywać.

Uniosła dumnie brodę.

– Wiem doskonale, że moja skromna suknia nie może się równać z eleganckim strojem damy, którą właśnie odwiedziłeś.

– A co to ma do rzeczy? – Do diabła i na wszystkich świętych, jak człowiek mógł się połapać, co się dzieje w głowie kobiety! – Juan! Przecież upudrowałeś sobie twarz i położyłeś maść na wargi! Co w ciebie wstąpiło? Wyglądasz jak tancerka!

Dziewczyna jeszcze wyżej zadarła brodę, a jej oczy zalśniły.

– Pewnie podobnymi komplementami obdarzyłeś damę w pałacu, prawda?

Patrzył na nią ze zdumieniem.

Dorosła. Prostota sukni podkreślała naturalne piękno jej młodości, tak jak nie zdołałyby tego uczynić sztywne tkaniny ani koronkowe kołnierze. Minęło tylko kilka miesięcy, a ona nie była już dzieckiem. Niezależnie od tego, co sobie wmawiał, wiedział, że już nigdy nie zdoła myśleć o niej jak o dziecku.

– Nie będę wysłuchiwał tych bzdur – oznajmił ponuro. – Będziesz miała mnóstwo czasu na bycie dziewczyną, kiedy znajdziesz się z powrotem w domu matki.

Patrzyła na niego uważnie.

– Czy jest bardzo piękna? – zapytała. – Czy będziesz

o niej śnił, jak don Iftigo?

Wybuchnął śmiechem, a ona zbladła ze wściekłości.

– Chyba nie sądzisz, że mam cokolwiek przeciwko temu, prawda? – wykrzyknęła. – Niby dlaczego miałabym mieć?

– No właśnie. – Nie przestawał się śmiać.

– Śnij sobie, ile chcesz – dodała pośpiesznie. – Mam nadzieję, że dostaniesz gorączki, jak don Iftigo. Jacy mężczyźni są próżni! Chyba naprawdę sądziłeś, że ma to dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Otóż nie ma.

– Jasne, że nie – przytaknął.

– Nie ma się z czego śmiać – warknęła. – Jesteś naprawdę okropny.

Wybuchnęła płaczem i ruszyła ku drzwiom.

– Na litość Boską, dzieciaku, co się z tobą dzieje? – W trzech krokach dotarł do drzwi, zanim ona się do nich zbliżyła. – Dzieciaku....

Kiedy dotknął jej ramienia, osunęła się, a on wyciągnął obie ręce, by uchronić ją przed zderzeniem z podłogą. Przez króciutką chwilę była w jego ramionach, widział jej młode usta, miękkie i kuszące. Nagle opuściła głowę, wydała z siebie żalospny jęk. Zesztywniała i zaczęła się wyrywać.

– Pierścień, ofiarowała ci pierścień!

Popatrzył na nią ze zdumieniem.

– Tak, ale...

– Kocha cię. Wiedziałam, że tak będzie. Od początku wiedziałam.

Przejechał dłonią przez włosy.

– Ty idiotko. Jak możesz wierzyć w takie bzdury? To wielka dama. Sama tak twierdziłaś, i nie bez racji. Ona...

– Ona cię kocha. Przecież jest także kobietą, prawda? A ty przyjąłeś jej pierścień.

– Przejrzysz wreszcie na oczy, mały głupku? Dała mi ten pierścień dla twojego Hiszpana, dla don Inigo de Loyoli. Mam go mu dostarczyć.

– Nie wierzę – zaszlochała i wybiegła z pokoju, potykając się o suknię, od której noszenia odwykła.

Uli usiadł ciężko na łóżku.

To wszystko było tak absurdalne, że nie mógł się nie roześmiać.

Chciał się śmiać, zapomnieć o tym. W końcu większość dziewcząt wkracza w okres dorastania, i zachowuje się głupio. Mimo tych myśli mruknął gniewnie.

Zaledwie przed godziną siedział w towarzystwie jednej z najbardziej czarujących kobiet na świecie, królowej, nie tylko Hiszpanii, ale i Krainy Wrózek, i chociaż uderzyło mu to do głowy niczym słodkie dojrzałe wino, niczym musujący trunek wyrabiany w Szampanii, nie był zbity z tropu.

Teraz jednak tak właśnie się poczuł.

Jakie to przykre. Była naprawdę nieszczęśliwa, jak zraniona mała istota. Żałował jej. I co jeszcze?

Westchnął ciężko.

To nie była litość. Nie wtedy, przy drzwiach, kiedy

dziewczyna się osunęła...

Otarł czoło.

Pora, by ta podróż dobiegła końca.

Ponuro wyglądał przez okno.

Po chwili usłyszał za sobą ciche kaszlniecie i odwrócił się.

Juan stał w drzwiach. Uli dostrzegł, że dziewczyna dokładnie wyszorowała twarz. Rzekomy chłopiec trzymał tobołek pod pachą, Uli domyślił się, że ma w nim suknię.

– Co się stało, Juan? – zapytał.

– Ja... Ja chciałem tylko powiedzieć... że jestem gotowy, jeśli chcesz udać się w drogę.

Uli wpatrywał się w „chłopca”, potem w tobołek, i znowoi w drobną twarz rozmówcy.

– Dobrze, braciszku – powiedział ze znużeniem.

Wstał.

– Jest coś jeszcze – szepnął Juan. – Przepraszam, że powiedziałem, że ci nie wierzę. Nigdy mi nie skłamałeś.

– W każdej chwili mogę zacząć.– Nigdy nie skłaniałeś. Skoro twierdzisz, że pierścień jest dla don Iniga, to tak jest faktycznie. Na pewno bardzo się ucieszy.

– Każdy by się ucieszył – zauważył Uli. – Ruszajmy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Kobiety, płuczące pranie w płytkich wodach rzeki Cardoner, zawsze miały o czym plotkować, ale teraz usta dosłownie im się nie zamykały.

Zimowe powietrze smagało ich twarze, ale to w najmniejszym stopniu nie zniechęcało kobiet.

Uhome del sach przeszedł zaledwie kilka minut wcześniej. Minął je niczym duch, zarośnięty i o paznokciach niczym szpony, z zamkniętymi oczyma, jak zawsze.

Tak wiele osób zastanawia się, gdzie idzie, kiedy znika – oświadczyła Concepcion Valdez z lekceważeniem.

– A to takie proste. Chodzi do jaskini tam, nieopodal starego mostu. Przesiaduje tam godzinami, nic nie robiąc.

– Skąd wiesz, że on nic nie robi, Concepcion? Może się modli.

– Na to jest mnóstwo czasu podczas niedzielnej Mszy świętej – zauważyła Concepcion rozsądnie. – Ja pracuję – ty też.

Pilar Gonzalez w milczeniu pokiwała głową, ale Rosa Bigorra zaprzeczyła energicznie.

– Różna bywa praca – powiedziała. – I różni ludzie.

– On nie pracuje – upierała się Concepcion. – Żebrze. Wykorzystuje pracę innych, ot co.

– Daj spokój, chyba nie żałujesz mu kromki chleba,

co? Nic więcej nie je przez cały dzień....

– Nieprawda – prychnęła Concepcion. – Widziałam, jak wymyka się z naręczem rozmaitych smakołyków, ciastem, mięsem i winem. Widziałam na własne oczy.

– Jędza – oświadczyła Rosa Bigorra.

– Co takiego?

– Jędza – powtórzyła Rosa. – On nigdy tego nie jadł. Zabierał do Świętej Łucji i karmił kaleki.

– Niby skąd to wiesz? – Concepcion Valdez prychnęła z pogardą. – Przecież tam nie mieszkasz, prawda?

– Nie, ale moja ciotka i owszem – odparła Rosa zwięźle. – Wiem to od niej. A ty dobrze wiesz, że ona tam mieszka. Jędza.

– Wstyd – Wtrąciła inna kobieta. – Wstyd się tak go czepiać. Przecież wszyscy widzą, że biedak niemal nic nie je. Sama skóra i kości.

– Przeraza mnie.

– Ale dzieci nie przeraza. Moim zdaniem to zawsze dobry znak. Uczył mojego małego Carlosa katechizmu, bardzo ładnie i z wielką cierpliwością. Uczył też Dolores Passos, Miguela Torresa i Francisco Pijara.

– Wiesz, co mówi senora Pascual?

Teraz wszystkie panie nadstawiły ucha. Ines Pascual była szanowaną damą i jej zdanie bardzo się liczyło w tym niewielkim miasteczku.

Rosa Bogoria rozejrzała się wokół z satysfakcją.

– Twierdzi, że to święty – poinformowała znajome. –

I tyle. Mówi, że to dzięki niemu nie mieliśmy w Manresie ani jednego chorego na zarazę, podczas gdy Barcelona jest ich pełna, a ludzie padają tam jak muchy.

– Niech święci mają nas w swojej opiece – oświadczyła Concepcion Valdez pośpiesznie. – Wcale nie chciałam tak mówić o tym biednym głupolu... – to znaczy o nim.

– Robi sporo dobrego. W Świętej Łucji go kochają, a dominikanie zawsze udzielą mu gościny, gdy do nich trafi. Dla większości włóczęgów tego nie robią.

– Señora Pascual mówi, że on pochodzi ze szlacheckiej rodziny – dodała Rosa Bigorra.

Wszyscy znowu na nią popatrzyli.

– Mówi, że to widać po jego twarzy i dłoniach, mimo że zapuścił brodę i paznokcie. „Mnie się nie oszuka”, powtarza.

– Tak czy owak, dzieciaki go lubią. To dobry znak, zawsze będę to powtarzała.

– Nazywają go *l'home del sach*, prawda?

– Tak, a on się uśmiecha, kiedy wyrzaskują to za nim. *Uhome sant*, tak powinni go nazywać, jakby mnie kto pytał.

– Parę dni temu znaleźli go nieprzytomnego przed kościołem Naszej Pani w Villadordis.

– Pusty żołądek, ot co. Ale niektórzy skąpią mu nawet okruszków.

– Ja tam nic nie mówiłam – burknęła Concepcion.

– A czy ktoś wymienia nazwiska? Nie wiem, czy

chodzi tylko o jedzenie. Powiadają, że często dziwnie się zachowuje, idzie z otwartymi oczyma i nikogo nie widzi. Mój brat Pedro znalazł go klęczącego, z rozpostartymi ramionami. Nasz święty w ogóle go nie zauważył, mimo że Pedro zaglądał mu w twarz i wydawał z siebie różne dźwięki.

– Jeśli rzeczywiście potrafi trzymać zarazę z dala od Manresy, to ja nic do niego nie mam – oświadczyła Concepcion. – To okropne, kiedy kręci się im w głowach, padają jak muchy, pokrywają się krostami, wymiotują czarną żółcią i...

– Na litość Boską! Cicho! Nie mogę tego słuchać!

L'home delsoch siedział na swoim zwyczajowym miejscu, przed małą jaskinią.

Płynęła tam rzeka Cardoner, szeroką zieloną wodą z tysiącem małych oczu z piany.

Siedział nieruchomo i odmawiał w myślach modlitwę. Nawet nie poruszał ustami.

Czasem przewidywał, że to go znów ogarnie, czasem przychodziło to nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia, niczym piorun z jasnego nieba.

Nigdy tego nie prowokował. Nie miało to żadnego sensu, przypominałoby zmuszenie słońca, by wstało o północy, a gwiazdy zabłyśły w południe.

Tu, w jaskini, znów znajdował się w łonie matki, a bycie małym dzieckiem uważał za słuszne i sprawiedliwe.

Był noworodkiem gdzie indziej, i tak jak bezradnego niemowlaka, musieli go karmić.

Powoli, bardzo powoli, zaczął dostrzegać nowy świat, w którym miał dorastać.

Czasy, gdy wydawało mu się to niemal nie do zniesienia, już minęły.

Minęły też czasy, gdy dopadały go grzechy przeszłości, a wraz z nimi przerażenie, że o czymś zapomniał podczas generalnej spowiedzi w Montserrat, i że wciąż znajduje się w szponach wroga.

Umartwiał się niemal śmiertelnie, omal nie zabił się przez ciągle rosnącą liczbę uderzeń żelaznym łańcuchem, gdy próbował pokonać wroga we własnym ciele, tej odwiecznej bestii.

Przypominało to pływanie w czarnych wodach podziemnej rzeki, bez światła i niemal bez nadziei. Wiele razy kusilo go, by zakończyć swoje życie.

Właśnie wtedy zobaczył to po raz pierwszy – była to najpiękniejsza rzecz w jego życiu, z tysiącem lśniącego oczu, wirowała energią. Czuł dziwną radość. I wzbierała w nim myśl, jak wiele piękna przegapił, i zadał sobie pytanie, hałaśliwe niczym woda rozbijana na kamieniu: „Jak mogę tak żyć – być może przez najbliższych czterdzieści lat?”.

Natychmiast rozpoznał wroga i wypalił: „Nędzniku, możesz obiecać mi choć jedną godzinę życia?”.

A lśniąca istota zbladła i zniknęła.

To jednak nie był koniec kłopotów.

Nadeszła pora, gdy nie miał ochoty ani na modlitwę, ani na Mszę Świętą. Przypominało to ciemność, która otuliła go niczym peleryna.

Księża, do których się udał, nie potrafili mu pomóc. Znow kusilo go, by rzucić się z wysokiego okna swojej celi w klasztorze dominikanów. W samą porę jednak przypomniał sobie, jak Chrystusa kusił szatan, aby z narożnika świątyni rzucił się w dół, i wykrzyknął wtedy: „Panie, nie zrobię nic, co mogłoby Cię obrazić!” i uczucie minęło – tylko po to jednak, by wrócić później.

I to odeszło w przeszłość – od tamtego czasu widział okiem otwartym dniem i nocą. Nie było to oko, widzące na jawie, i nie takie, które patrzyło we śnie. Chodziło o całkiem inny rodzaj wzroku, niemniej tylko i wyłącznie wzroku.

Ale tak, jak wymagało to nowego oka, wymagało również nowego języka do opisania. Żadne słowa nie były w stanie tego dokonać.

Widział, jak Bóg stworzył świat – ale słowami mógł jedynie powiedzieć, że powstała biała masa, a z niej promienie, i Bóg je zabrał, także masa stała się ciemniejsza, ostygła i stwardniała, niczym stygnący płynny metal.

Widział, że Chrystus jest obecny w Przenajświętszym Sakramencie, i było to jeszcze trudniejsze do opisania.

Widział człowieczeństwo Chrystusa-Głowy, a także Ciało, choć bez wyraźnie związanych z nim członków. Po tym nie było już kuszenia, chociaż lśniąca rzecz o wielu

oczach wciąż się ukazywała od czasu do czasu. Teraz jednak była słabsza, mógł ją odpędzić energicznym ruchem laski.

Tym razem jednak było całkiem inaczej.

Nie pojawiły się żadne obrazy.

Czyżby rzeka przemówiła?

Głosu jednak również nie było; przypominało to niemal odwrotność głosu, cały hałas zwolnił i zmienił się w milczenie.

Zamilkło mruczenie rzeki Cardoner, bzyk pszczół i odległe głosy kobiet.

Tamtego dnia w Montserrat nie widział wielkich czarnych skrzydeł archanioła, nawet tym nowym, trzecim okiem, ale czuł całym sercem, że tam są, jednocześnie krążą nad kościołem i go wypełniają.

Był tu także teraz. Nawet bardziej niż Ifiigo i bardziej niż rzeka.

Naprawdę tu był – Ifiigo i rzeka byli zaledwie cieniami, widmami, które poruszały się w zwolnionym tempie.

To on myślał, myślał w Ifiigo, który nigdy dotąd nie miał tak jasnego umysłu.

Tym razem nie było zmudnego dochodzenia po nitce do kłębka, żadnego znużenia i próżnej dumy, kiedy osiągnie się już konkluzję.

Nie przypominało to też wewnętrznego błysku, jak wtedy, kiedy człowiek ni stąd ni zowąd wpada na jakiś pomysł. W jednej chwili go nie ma, a w następnej już jest,

oczy lśnią, człowiek strzela palcami, mam, to to, i czuje dumę, jakby wszystko zawdzięczał sobie.

To było stałe światło.

Oświeślało wszystko, każdą długość, przeszłość, szerokość, terażniejszość, głębokość i przyszłość, to był klucz do drzwi, i same drzwi i pokój, do którego prowadziły, i osoba, która przebywała w tymże pokoju, i on sam był tą właśnie osobą, a jednocześnie kluczem.

Tak właśnie funkcjonował jego umysł, i tak funkcjonował umysł kobiety. Taki też był umysł dziecka, bez względu na wiek.

To, co czas i grzech robiły z człowiekiem, to, jak na niego wpływała obecność matki i ojca, pokolenie za pokoleniem, cudowne następstwo i generacja myśli, esencja duszy i klucze do ludzkiej muzyki, i to, jak one wpływały na muzykę innego wymiaru.

Ludzki umysł i cudowny sposób grania na nim, jego rozwijanie w różnych kierunkach, kształtowanie i formowanie w określony sposób.

Postępowanie dowódców w czasach wojny, sprawy wagi państwowej, sukcesy i porażki, jak i dlaczego nitki sukcesu oraz klęski króla, żebraka i półgłówka są splecione ze złotą nicią Boga i wyprostowane, by nie psuć linii geometrii Miłości.

Kiedy skrzydła cofnęły się, nie nastąpiła samotność. Nie pozostawał już w cieniu, wykiełkowało w nim nasiono rozumu i wiedział, że będzie rosło, i że tego od niego oczekiwano, więc powstał i pokuśtykał do

przydrożnego krzyża, i opadł przed nim na kolana, i podziękował.

Tam go znaleźli, pod krzyżem, kilka godzin później. Najpierw dwie staruszki w drodze do kościoła, potem młodzieniec nazwiskiem Ferrer, który uparł się zabrać *l'home delsach* do domu swego ojca na wsi. Na pobliskiej farmie pożyczył małą karekę z woźnicą i zaprzężonym osłem. Młody człowiek i woźnica przełożyli *l'home del sach* do środka. Po drodze do miasta napotkali kobiety, nadal zajęte praniem. Pilar oświadczyła, że trudno się dziwić, skoro ten mężczyzna ma pusty brzuch, a Rosa Bigorra dodała, że nigdy nic nie wiadomo z ludźmi, którzy zapewne są tacy, jak to opisała señora Pascual. Concepcion Valdez wyraziła nadzieję, że odzyska siły, bo straszne by było, gdyby zaraza dotarła do Manresy.

Ferrer, człowiek systematyczny, przed odjazdem zajrzał do jaskini. Wszystko co znalazł, przełożył do karety. Niewiele tego było: kij; książka *Naśladowanie Chrystusa*; notatnik niemal całkiem zapisany przejrzystym, precyzyjnym pismem; pióro i kałamarz; jeszcze jeden notatnik, zapisany w ponad połowie i zatytułowany *Ćwiczenia duchowe*. I tyle. Kiedy barcelońska Puerta Nueva w końcu rozwarła podwoje, Juanita ruszyła pędem przed siebie, a Uli, mimo długich nóg, z trudem dotrzymywał jej kroku.

Przez siedem koszmarnych dni poddawano ich kwarantannie w obozie pełnym namiotów, tuż przed bramą.

Zaraza w mieście wygasła, ale władarze Barcelony obawiali się, że nowoprzybyli przywloką ze sobą chorobę na nowo i koszmar zacznie się od początku.

Oczekujących odwiedzali i badali medycy w białych, przypominających mnisie, szatach z kapturami na głowach. W kapturach były tylko otwory na oczy i usta, a medycy wachali fiolki pełne octu i przypraw.

Na szczęście wśród przybyszów nie było nosicieli zarazy, inaczej chyba nie wyszliby z obozu.

Naturalnie Juanita zaczęła się niepokoić. Ze względu na charakter ich podróży matka nie mogła odpowiadać na listy dziewczyny, a krążyły plotki, że w ciągu dwóch miesięcy od zarazy zmarły tysiące ludzi.

Robił, co w jego mocy, by czymś zająć jej myśli, ale była w dziwacznym nastroju od czasów Walencji – wstydliva, ale zdenerwowana. W żaden sposób nie mógł jej rozgryźć. Było całkiem tak, jakby chciała wycofać się w siebie, ale z jakiegoś powodu nie mogła.

Teraz przynajmniej działanie sprawiło, że napięcie nieco zelżało.

Zostawili karete i muły przy bramie i pobiegli przez Calle de Corders na Plaza de Lana a potem na Calle Febres.

Dwukrotnie na tym krótkim dystansie Uli widział domy, na których drzwiach wymalowano duże czarne krzyże. Ona również musiała je zauważyć.

Nagle zatrzymała się przed małym domkiem, Uli dostrzegł, że się zachwiała. Przycisnęła dłoń do ust.

– Mama! – krzyknęła zduszonym głosem. – Mama...
Mama...

Uli podbiegł w samą porę, by ją złapać. Z dziewczyną na rękach wpatrywał się w czarny krzyż na drzwiach.

Blizna na jego czole zaczęła pulsować, zacisnął usta. Wysłuchaj modlitwy Boże, pomyślał. Jeśli w ogóle słuchasz, co my tutaj mówimy, to słuchaj teraz. Matki muszą umierać, jasna sprawa. Wszyscy musimy umrzeć. To dar od Ciebie jak i inny dar, dar obrażania Cię, jak powtarzają księża. Sprowadziłeś zarazę, prawda? A jeśli to nie Ty, to kto? A jeśli to ktoś inny, czemu go nie powstrzymałeś? Co ona Ci zrobiła, że to się dzieje? Kiedy ją tu przywiozłem, po tym wszystkim, przez co przeszła. Ale Ciebie to nie obchodzi. Nic Cię to nie obchodzi. Gdzieś tam w swoim wielkim, straszliwym majestacie jesteś szczęśliwy – a my nie.

Podszedł do nich konstabl, ale zatrzymał się w bezpiecznej odległości.

– Czy dziewczynka jest chora? – spytał.

– Nie. Zemdląła. To jej matka tam przebywa.

– Przebywała – sprostował konstabl ze znużeniem. – Zmarła dziesięć dni temu.

– Gdzie leży?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Trzeba ją było prędko chować, razem z innymi. Wiesz, jak to jest. Dziewczynka na pewno nie zachorowała?

– Na pewno. Mogę tam wejść?

– Oszalałeś? Dom nie jest czysty. Musi stać pusty przez trzy miesiące. Jesteś jej mężem?

– Nie.

– Bratem?

– Nie – odparł Uli.

– Nie wiesz, czy poza matką miała tu jakichś krewnych?

– Nie. A ty? To Juanita Perez.

– Miasto jest duże – oświadczył konstabl.

– Jest tu jakaś *posada*?

– Jest jedna na Plaza de Lana. „Catalan”. Pomogę ci ją tam zanieść.

– Nie – powiedział znowu Uli. Nikt inny nie mógł jej dotykać. Ruszył przed siebie z dziewczyną w ramionach.

Konstabl popatrzył za nimi. Często to widział. Niczym wędrujący krzyż, pomyślał.

Przeżegnał się i odszedł. Kościół Santa Maria del Mar, nieopodal portu w Barcelonie, był niemal pusty.

Tylko zgromadzona przy schodkach do ołtarza oraz na nich gromadka dzieci słuchała kazania starego księdza. Wśród dzieci siedział mężczyzna w prostym białym habicie, być może ich nauczyciel. Miał wysokie czoło i krótką, szpiczastą bródkę.

Z oddali obserwowały ich dwie pięknie ubrane damy, wymieniając szeptem uwagi.

– Takiego go właśnie widziałam po raz pierwszy, dwa tygodnie temu – powiedziała Isabel Roser. – Bardzo się ucieszyłam. Wiedziałam, że muszę go poznać – coś

mnie kusiło, żeby go zaczepić, ale naturalnie nie mogłam tego zrobić. Po powrocie do domu powiedziałam o tym mężowi. Wątpiłam, czy zechce mnie wysłuchać, ale jednak to zrobił, nawet pomógł mi go odnaleźć. Moja droga, jak wiele ci zawdzięczam – to ty sprowadziłaś go do Barcelony! Nigdy nie słyszałam, żeby jakikolwiek człowiek tak mówił, a teraz siedzi skromnie i słucha tego poczciwego starego padre Boftaza niczym dziecko. Jak bardzo ci zazdroszczę, że możesz go gościć u siebie. Ines Pascual pokręcił głową.

– Bardzo rzadko go widuję – odszepnęła. – Zrobił z małego pokoju w moim domu swoją celę, i to wszystko. Nie jada tam posiłków. Wychodzi i żebrze na ulicy o chleb, tak jak w Manresie.

– Przesadza.

– Kiedyś rzeczywiście przesadzał. Spędził kilka tygodni w domu mojego wuja Carlosa Ferrera w Manresie, leżąc plackiem, a jego życie było zagrożone. Udało nam się przywrócić go do zdrowia. Rozmawiałam z Carlosem, a on przekonał go do tego habitu zamiast worka, który nosił wcześniej. Wierz mi, nie było to łatwe. Tylko to od nas przyjął. Mam nadzieję, że nie zapaści włosów ani brody tak jak kiedyś.

– Bez ciebie na pewno by się tu nie zjawił – oświadczyła Isabel Roser z zapałem. – Mąż i ja nie wiemy nawet jak ci dziękować. Sama doskonale wiem, jak trudno go do czegokolwiek przekonać. Miał dziś odpłynąć, jak wiesz, na tej małej brygantynie, „Ferii”. Ledwie

skłoniliśmy go, żeby poczekał do przyszłego tygodnia na lepszy statek. Ta „Feria”! – nie zgodziłabym się nawet na to, by płynął nią mój piesek. To nie tylko kiepski statek, ale kapitan i załoga to byli kryminaliści albo ludzie, którym do nich niedaleko.

– Podobno płynie do Rzymu – oznajmiła Ines Pascual.

– Tak. Możesz to zrozumieć, moja droga. Wiem, że Rzym był i będzie świętym miastem, ale słyszy się tyle opowieści – niedawno brat Damaro mówił, że lepiej nie kręcić się po Bożej kuchni...

Zachichotały, ale w tej chwili stary ksiądz zakończył kazanie i dzieci zaczęły wstawać.

Panie również podniosły się z miejsc i ruszyły ku wyjściu.

Drobna sylwetka dziewczyny w jednym z ostatnich rzędów przykuła uwagę Isabel Roser. Ta mała płacze, pomyślała dama z typowym dla siebie współczuciem. Zaraz, zaraz – ja ją znam, prawda? Podeszła nieco bliżej. Naturalnie, że znała dziewczynę. To była córeczka Marii Perez, wysłana przez nią do... Burgos czy Pampeluny? Nieważne, na pewno do jednego z tych miast. Dziewczyna miała na imię Joaquina albo Juanita.

Zatrzymała się przy ławie i pochyliła nad dziewczyną.

– Jesteś córką Marii Perez, prawda?

– Doña Isabel. – Dziewczyna zerwała się na równe nogi.

– Spokojnie. A więc mnie nie zapomniałaś. Co się z tobą dzieje, dziecko? Czy coś się stało?

Usta dziewczyny zadrżały.

– Moja mama...

– Biedne jagniątko, tak mi przykro. – Nagle doinę Isabel uderzyła straszna myśl. – Chyba nie. Twoja biedna matka chyba nie zachorowała na...

– Tak, doña Isabel. Zmarła na zarazę, dwa tygodnie temu.

Nie ucieknę, pomyślała Isabel Roser dzielnie. Nie ucieknę, nawet jeśli to ma mnie zabić. Dwa tygodnie temu... Gdyby dziewczyna się zaraziła, już byłoby widać objawy. Mogę przestać odgrywać bohaterkę.

– Byłaś z nią, kiedy to się stało? – chciała wiedzieć.

Dziewczyna z rozpaczą pokręciła głową.

– Nie. Nie, doña Isabel. To jest właśnie najgorsze, nie było mnie przy niej. Zjawiłam się w mieście dopiero kilka dni temu.

– Więc nie wpuścili cię do domu. – Prawo było okrutne, ale konieczne. – Gdzie się zatrzymałaś?

– W *posadzie* na Plaza de Lana. Nazywa się „Catalan”.

– Co? Dziewczyna, samotnie w oberży? To niedopuszczalne. Byłam przyjaciółką twojej matki. Nie zniosę tego ani chwili dłużej. Pójdiesz ze mną.

– Ale doña Isabel...

– Ani słowa więcej, moje biedactwo. Idziemy. *Santisima Yirgen*, córeczka mojej przyjaciółki mieszka

samotnie w *posadzie*, gdzie przesiadują mężczyźni i piją alkohol.

Nad ramieniem zacnej damy Juanita dostrzegła Ulego, który siedział cicho w ostatniej ławie. Nawet nie wiedziała, że był w kościele. Pewnie wśliznął się tu za nią. Kiwał energicznie głową i wskazywał palcem na doñę Isabel; najwyraźniej wszystko słyszał i chciał, żeby dziewczyna przyjęła zaproszenie. Jasne, że tego chciał. Nie mogła przecież krążyć z nim po kraju jak jakaś Cyganka. Była mu ciężarem.

Jej oczy wypełniły się łzami.

– Jest pani bardzo dobra, doña Isabel – wymamrotała bezgłośnie.

– Nonsens, moje dziecko. Idziemy.

A jednak dziewczyna wciąż się wahała. Teraz jednak dzieci obiegły je niczym stadko małych główek. Młójące ręce i energiczne łokcie wypchnęły obie panie przez drzwi kościoła.

Nagły podmuch wiatru sprawił, że kobiety chwyciły za nakrycia głowy. Ich długie suknie wyduły się.

– I dobrze, że dziś nie odpłynął. – Ines Pascual musiała krzyczeć, by rozmówczyni w ogóle ją usłyszały. Wiatr dął coraz mocniej.

Isabel usiłowała wytłumaczyć jej sytuację Juanity, ale musiała poczekać, aż wiatr ucichnie.

Uli nie ruszył się z miejsca. Patrzył przed siebie nic nie widzącym wzrokiem.

Tak będzie lepiej, pomyślał ponuro. Kiedyś musiało

do tego dojść. Dobrze, że teraz.

Może nawet lepiej będzie w ogóle nie patrzeć w ich kierunku. W każdym wypadku nie zamierzał stąd wychodzić, dopóki nie znikną mu z oczu. Znów zaczęto by go wypytywać, tak jak ten konstabl. Jesteś jej mężem? Bratem?”

Jęknął.

Teraz musiał jechać do tego przeklętego zamczyska Loyolów, przekazać dawnemu jeńcowi pierścień – jeśli człowiek ten wciąż żył, naturalnie – a potem wrócić i poszukać kogoś, księcia, króla, biskupa, kto potrzebował pary sprawnych rąk w wojnie przeciwko komuś innemu. To jedyne przyzwoite zajęcie, pomyślał z zaciśniętymi zębami. I zamierzam to robić – nie dla Ciebie, Boże, ale mimo Ciebie.

Wtedy ujrzał mężczyznę, który powoli zmierzał ku wyjściu. Nieznajomy lekko utykał.

Zobaczył jego twarz, bladą, ze spiczastą brodą.

Nie wierzę, pomyślał. To niemożliwe. Po prostu nie wierzę.

Ale wyskoczył z ławy.

Mężczyzna go nie zauważył, chociaż przechodził tak blisko, że Uli mógł niemal go dotknąć. Opuścił kościół.

Uli poszedł za nim. Kręciło mu się w głowie. Widział, że mężczyzna dołączył do grupki kobiet. Wojak skrył się w cieniu drzwi i patrzył uważnie.

To był Inigo de Loyola. Bez najmniejszych wątpliwości to naprawdę był Inigo de Loyola.

Nie rozpoznał go w kościele, dopóki Inigo nie przeszedł obok, ale przecież tak ledwie dostrzegął cokolwiek poza biedną opuszczoną główką dziewczyny w ławie przed sobą.

To był Inigo de Loyola. Nawet nie musiałby kuleć, żeby UH go i tak rozpoznał. Bardzo się zmienił, nie chodziło jedynie o ubiór.

Juanita również z pewnością go rozpoznała, jednak czy on rozpoznał ją? Dotychczas nigdy nie widział jej jako dziewczyny.

Wpatrywał się w małą grupkę niczym jastrzęb.

Nie słyszał, co mówią, wiatr dał bardzo głośno. Zapadał zmierzch.

Dama, która zaczepiła Juanitę, teraz przedstawiała ją Inigo. Dziewczyna dygnęła przed nim. Uli widział twarz szlachcica, pozbawioną jakichkolwiek emocji. Kiedy dama odwróciła się do swojej towarzyszki, by jej coś wyjaśnić, palec Inigo powędrował do ust. Najwyraźniej szlachcic nie chciał zdradzić swojej tożsamości.

Nagle rozległ się krzyk. Przenikliwy i straszny. Wszyscy spojrzeli w kierunku, z którego dobiegał. Krzyczała kobieta, rozczochrana wiedźma, z szeroko otwartymi ustami biegała po placu.

– Zatonęła! – krzyczała. – Zatonęła ze wszystkimi na pokładzie.

– Kto? Co? – chciał wiedzieć jakiś łysy mężczyzna.

Teraz wszyscy się zbiegli. Plaza de Lana nigdy nie była pusta, a krzyk kobiet mógłby zbudzić umarłego.

– Co się stało, Rosito?– Zatonęła – odparła kobieta, wodząc wokół błędnym wzrokiem. – Zabrała ją pierwsza nawałnica. Poszła na dno jak kamień. Widziałam to, widziałam. Był na niej Antonio, puśćcie mnie, muszę to powiedzieć jego ojcu.

Nawet wiatr zdawał się wstrzymać oddech.

– O który statek ci chodzi? – krzyknął łysy. – Chyba nie o „Stellę Maris”?

– Nie, o „Ferię”. Puśćcie mnie...

Pobiegła przed siebie z krzykiem.

– Boże w niebiesiech! – krzyknęła Ines Pascual. – „Feria”. Przecież mogłeś na niej płynąć.

– Widać Bóg tego nie chciał. – Ifiigo ścisnął dłoń Isabel Roser.

– Isabel – zaszlochała Ines Pascual. – Ocaliłeś mu życie. Ty i twój drogi mąż ocaliliście mu życie...

Uli przyglądał się tej scenie bez emocji. Zbyt często to już widział. Jeden mężczyzna ocalał od śmierci, dziesięciu, dwudziestu, pięćdziesięciu poszło na dno. Albo pięćdziesięciu ocalało, jeden szedł na dno. A oni usiłowali zaprowadzić jakiś porządek i szukać sprawiedliwości z zamieszaniu i strachu, na które składało się życie.

A więc ten Loyola znowu ocalał. Najwyraźniej nie dawało się go ani zabić armatnią kulą, ani zatopić. Może miał dziewięć żyć, jak kot. Lub stary wojak.

Wiatr ucichł, ale na ziemię spadły pierwsze krople deszczu, wywołując zamieszanie wśród pań.

– Lepiej szybko chodźmy do domu – powiedziała Isabel Roser. – Mam dla ciebie miły pokoik, Juanito. Spodoba ci się, to całkiem niedaleko, w Calle de Cottoners. Chodźmy szybko, wszyscy.

Ines Pascual chętnie na to przystała, ale Iñigo pokręcił tylko głową i wymamrotał kilka słów usprawiedliwienia.

Isabel Roser wykonała ręką zrezygnowany gest, jakby chcąc podkreślić, że niczego innego się nie spodziewała. Gdy ona i Ines Pascual odprowadzały Juanitę, Iñigo uklonił się im uprzejmie. Po zniknięciu kobiet nadal stał nieruchomo, nie zwracając uwagi na padający deszcz. Potem odwrócił się i ponownie wszedł na schody wiodące do kościoła.

– Don Iñigo de Loyola – powiedział Uli.

Iñigo znieruchomiał, jakby ktoś uderzył go w żołądek.

Po raz pierwszy Uli z bardzo bliska mógł widzieć jego twarz.

Była tak odmieniona, iż wojak zdziwił się, że w ogóle zdołał go wcześniej rozpoznać. Wydawała się ulepiona z białego wosku. Oczy pod ciężkimi powiekami wydawały się olbrzymie, usta przypominały cienką, pozbawioną krwi kreskę; włosy zaczęły rzednąć na skroniach, siwiały, kości policzkowe wystawały z twarzy. Najbardziej jednak zmienił się wyraz tej twarzy i właśnie jego Uli nie mógł rozgryźć. Z pewnością wciąż była to twarz silna, nieugięta jak zawsze, mimo widniejącego na niej cierpienia. W

czym zatem zasadzała się ta zmiana? Na czym polegała?

– Nie rozpoznajesz mnie panie?

– Sierżant Ulric von der Flue – powiedział Inigo powoli.

– Zgadza się. Rozpoznałeś, panie, tę młodą damę, którą ci przedstawiono?

Na umęczonej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– To dobra dziewczyna – oświadczył Inigo. – Zawsze to wiedziałem. Człowiek jednak czasem nie mówi na głos tego, co myśli.

– Chyba rozumiem – mruknął UH.

– Jestem pielgrzymem – ciągnął Inigo. – Nie ma znaczenia kim byłem wcześniej i nikogo nie powinno to obchodzić.

– Rozumiem.

– Poza tym jestem ci wdzięczny – dodał Inigo. – Naprawdę bardzo wdzięczny.

– Wdzięczny? Mnie? A za co?

– Za to, że mnie postrzełeś – wyjaśnił Inigo i ruszył przed siebie.

– Proszę nie iść – powiedział Uli szybko. Niełatwo mu było myśleć logicznie, nie miał jednak innego wyjścia.

– Mam ci coś do przekazania, panie. Gdybym nie trafił na ciebie tutaj, musiałbym odbyć całą drogę do zamku w Loyoli.– Coś do przekazania?

– Tak, od wielkiej damy, która nie tak dawno była królową Hiszpanii. Od królowej Germaine. Przybywam z Walencji.

Wyraz twarzy Inigo nie zmienił się ani na jotę.

– Widziałeś się z tą damą? – spytał szlachcic uprzejmie. – Pozostaje w dobrym zdrowiu?

– W bardzo dobrym, śmiem twierdzić.

Czy ten człowiek zatracił wszystkie ludzkie cechy? Pytał o Germaine de Foix jak o jakąś krewną staruszkę.

– Dama ta nakazała mi odnaleźć cię i przekazać ci ten oto pierścień. – Uli zdjął ozdobę z palca i wyciągnął ją przed siebie. – Masz go nosić przez wzgląd na pamięć o tej damie i jako znak, że ona o tobie nie zapomniała.

Inigo wpatrywał się w czerwony klejnot. Deszcz nagle przestał padać, a słońce, które przedarło się przez chmury sprawiło, że rubin zaśnił niczym gwiazda.

– Człowiek, któremu dama ta wysłała pierścień, już nie istnieje – powiedział cicho. – Zabierz go, proszę.

Uli cofnął się w niemym przerażeniu.

– Ktoś go znajdzie – mruknął Inigo i upuścił pierścień. Skłonił się uprzejmie wojakowi i wszedł do kościoła.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Xeres to dobre wino.

Kiedy trzeci dzban smakuje równie dobrze jak pierwszy, oznacza to, że wino naprawdę jest smaczne.

W każdym razie w Catalan lepszego nie mieli.

I nie wprawiało człowieka w stan upojenia. Nie za bardzo.

Jeszcze nie jestem pijany, pomyślał Uli i upił następny łyk. Ale będę. Będę bardzo pijany, bo cóż innego można robić w świecie, który kompletnie oszalał. To świat, nie ja. We mnie nie ma nic szalonego. Nadal mogę myśleć. Całkiem trzeźwo. Ale ludzie zachowują się bez sensu.

Zaczął bawić się rubinem.

– To nie ja cię upuściłem – powiedział. – Ja cię podniosłem. Bo nie jestem szaleńcem. Jesteś wart najmarniej setkę dukatów. Rozsądny człowiek nie rzuca takich rzeczy na schody kościoła. Na Boga, ulice Barcelony nie są usiane pierścieniami. „Ktoś go znajdzie”, powiedział.

Znowu upił łyk.

Nie tylko podniósł pierścień i z nim odszedł. Najpierw włożył go na palec i czekał. Nie przed drzwiami kościoła, ale na ulicy, na placu, obok studni. Po mniej więcej pół godzinie don Inigo wyłonił się z kościoła i poszedł przed siebie. Uli ruszył za nim. Bardzo się

pilnował, całkiem niepotrzebnie, gdyż don Inigo ani razu nie odwrócił głowy. Poszedł na Calle de Corders, bardzo powoli, z małą czarną czapeczką w dłoni, i zebrał. Zebrał.

Ktoś dał mu parę miedziaków, a Inigo podziękował mu uprzejmie w imię Boże.

Niby czemu nie? Podziękował przecież człowiekowi, który go postrzelił, prawda?

Człowiek o umyśle generała dziękuje mi za to, że go postrzeliłem, pomyślał Uli. Nie chce przyjąć pierścienia wartego setki dukatów i zebrze o miedziaki. Może i jestem trochę pijany, ale tylko trochę. To jednak nie ja oszalałem. Na Frundsberga!

Problem w tym, że wiedział doskonale, iż ten człowiek także nie oszalał. Po prostu się zmienił. Był teraz kimś innym. Kiedy coś mówił, miało to głębokie znaczenie.

Co zaszło w tym człowieku?

I to, jak spoglądały na niego kobiety – jak na świętego. No cóż, na kobietach nietrudno zrobić wrażenie.

Pielgrzym, tak? Dokąd pielgrzymował? Po co?

I właściwie niby czemu to go obchodziło?

Opróżnił kielich.

– Dlaczego? – spytał na głos. Rozpiął kubrak. Przez wino zrobiło mu się gorąco. A może zresztą było gorąco. Postrzelić człowieka to jedno, ale postawić go na całkiem innej drodze, to drugie. Kto tego dokonał? Kto wykorzystał to pierwsze, by sprowadzić to drugie.

I jeszcze jak zareagował na imię damy, która parę

miesiący wcześniej tak wiele dla niego znaczyła. Jego królowa, jego pani. Juan był całkiem pewien, że Ifiigo bardzo ją kochał.

Jak to się robiło? Jak zapomnieć o czymś takim? Może powinien go o to zapytać. Może powinien zadać mu również wiele innych pytań.

Ale Inigo odchodził. Udawał się na pielgrzymkę.

Przynajmniej dziewczyna była bezpieczna. To już coś. Wypytywał na prawo i lewo o tę kobietę, Isabel Roser. Wszyscy mówili to samo – dziewczyna trafiła w dobre ręce.

I o to chodziło.

Dzban był już pusty. Pusty, pomyślał. Pusty. Pusty.

No cóż, on był wolny. Nie musiał jechać do zamku Loyolów, nigdzie nie musiał jechać. Nie miało sensu tropienie Andre de Fok tylko po to, by przekazać mu, że jego piękna kuzynka nic nie może dla niego zrobić, prawda?

Wolny. Cokolwiek to oznaczało.

Wiedział dobrze, co to oznacza. Złożenie przysięgi wierności jakiemuś wielkiemu panu, a może i nie tak wielkiemu, noszenie jego przeklętych liberii i uczestnictwo w jego przeklętej wojnie. Oznaczało to oglądanie nieszczęść innego kraju, płonących budynków, zarzynanych mężczyzn, gwałconych kobiet i osieroconych dzieci. Wolność oznaczała, że już nigdy nie zobaczy Juanity, z powodu Małgorzaty. I że nie może wrócić do domu, z powodu Małgorzaty i Kaspara Josta.

Wolność oznaczała, że był niewolnikiem w kajdanach.

A najdziwniejsze, że powinien być szczęśliwy. Był przecież silny i zdrowy, miał sporo złotych dukatów w kieszeni i rubinowy pierścień wart tyle, co ładna nieduża farma w dowolnym miejscu.

Powinien być bardzo szczęśliwy.

To dlaczego, na siedmiorogiego diabła, nie był?

A czy on był szczęśliwy? Ten błądy mężczyzna, który gardził rubinami i zebrał o miedziaki?

Jeśli był, to nie takim szczęściem, jakiego pragnąłby Długi Uli.

Ludzie byli różni. Ich szczęście też się różniło.

Jako dziecko Uli często słyszał historię swojego ciotecznego dziada, Nikolausa von der Flue, który był szczęśliwym małżonkiem z gromadą dzieci, a jednak opuścił rodzinę i został pustelnikiem w Ranft.

Tam spędził wiele lat, podobno ani nie pił, ani nie jadał, żył wyłącznie wiarą, pokorą i łaską Boga.

Postanowili go sprawdzić. Rada nakazała wartownikom otoczyć pustelnię, obserwowali dziadka dniem i nocą, całymi tygodniami, gotowi zareagować na najmniejszą podejrzaną rzecz. Najpierw przeszukali jego i jego celę. Kiedy w niedzielę szedł do wiejskiego kościółka, szli wraz z nim, przez cały czas mając go na oku.

I odkryli, że naprawdę nie jadł i naprawdę nie pił. Jedynym pokarmem, jaki przyjmował, było Ciało

Chrystusa.

Podobno miewał też wizje, a kiedy zmarł, wszyscy zgodnie twierdzili, że był świętym, chociaż Kościół nie skomentował tego ani słowem.

Nazywano go bratem Klausem. Brata Klause często stawiano Ulemu za przykład prawdziwego chrześcijanina, aż chłopak tak się zbuntował, że zaczął jadać podwójne porcje.

No cóż, może brat Klaus faktycznie był prawdziwym chrześcijaninem.

Może człowiek był dobry tylko wtedy, kiedy odcinał się od świata, chociaż jaki byłby to świat, gdyby wszyscy poszli za tym przykładem? No cóż, to już zupełnie inna historia.

Uli zachichotał. To raczej światu nie groziło. Najważniejsze to iść na dół i zażądać jeszcze jednego dzbana xeresu, a najlepiej trzech, i naprawdę się upić. Podniósł się, ale ciężko usiadł z powrotem. Głupi pomysł. Jak zjadanie podwójnych porcji.

Brat Klaus od tego wszystkiego się odciął.

Dinmut oznaczało w Szwajcarii pokorę. *Dinmut* – „odwaga, by służyć”. Coś w tym było. Odwaga, by oddać się całkowicie służbie.

Żołnierz był w stanie to zrozumieć.

Może pobożny stary dziadek też był swego rodzaju żołnierzem. Może wybrał sobie lepszego pana niż ksiąźęta i hrabiowie, którym służył jego cioteczny wnuk.

Z pewnością, nawet jeśli Bogu był on obojętny, Bóg

nie był obojętny jemu. Może szchwany lis sądził, że dzięki swojemu całkowitemu oddaniu zmusi Boga do tego, by przestał być obojętny. Rzucił się Bogu w ramiona. Wziął niebo szturmem.

Niezły pomysł. Czy można było przebić Boga w hojności?

Jak brzmiała ta modlitwa?

Uli zmarszcz)! brwi. Od wielu lat nie myślał o bracie Klausie. Bóg wie, czemu pomyślał o nim teraz. To jak było z tą modlitwą? Tak często cytowali ją w domu, jako jego ulubione powiedzenie. „Co mówiłeś, cioteczny dziadku?”.

Siedzieli wokół stołu, nad cynowymi talerzami, cynowymi kubkami, składając ręce. Na zewnątrz padał śnieg. Zanim zdążyli odmówić *Ojcze nasz*, ojciec intonował modlitwę ciotecznego dziadka: „Panie mój i Boże mój, zabierz mnie od siebie i weź mnie dla siebie”.

Tak, tak to szło. A potem: „Panie mój i Boże mój, zabierz mnie od wszystkiego, co stoi na mej drodze do Ciebie”.

A kończyło się: „Panie mój i Boże mój, podaruj mi wszystko, co zbliża mnie do Ciebie”.

Może faktycznie był tym, kogo nazywano świętym.

Dziwnie mieć świętego w rodzinie. Nie przynosiło to specjalnych korzyści. Kardynał, to co innego. Wuj czy cioteczny dziadek kardynał mogliby wiele zdziałać.

Ponownie zmarszczył brwi.

Żaden wuj kardynał nie zdołałby mu wytłumaczyć,

dlaczego ten świat jest całkiem obojętny Bogu. Żaden wuj kardynał nie mógłby nic zrobić w kwestii Małgorzaty i Kaspara Josta, ani tego, że już nigdy nie ujrzy małej Juanity, ani tego okropnego, idiotycznego bezsensu życia.

Brat Klaus. Mówili, że tym, którzy prosili go o pomoc, przydarzały się cuda. Ludzie wygadywali rozmaite idiotyzmy. Nawet jeśli coś z tego było prawdą, brat Klaus i tak nie uznawał nepotyzmu. Nie było powodu, by on go uznawał, skoro był ciotecznym wnukiem, który nigdy nie pałał szczególnym przywiązaniem do dziadka, a na dodatek zjadał podwójne porcje.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Kimkolwiek jesteś, trzymaj się z daleka ode mnie – wrzasnął Uli gniewnie.

Kiedy drzwi się jednak otworzyły, odwrócił się do nich z furią – i ujrzał Juana.

Juanitę przebraną za Juana, w stroju, który Uli kupił w Segowii. Rzekomy chłopiec wszedł i zamknął za sobą drzwi.

Uli wpatrywał się w niego.

– Na świętego dziadka – powiedział. – Cofam wszystko – dziadek był święty.

– Przyszedłem się z tobą zobaczyć.

– Czekaj chwilę. – Uli wstał i podszedł do kąta pokoju, gdzie znajdował się ciężki dzban z wodą. Był pełen aż do brzegu. Uli uniósł go i odwrócił, woda spłynęła po jego głowie i ciele. Odstawił dzban, otrząsnął

się jak pies, zmierzwił mokre włosy, kichnął i znowu spojrzał na gościa.

– Na pewno to ty? – spytał podejrzliwie.

Juan popatrzył na rząd dzbanów po winie na stole.

– Tak, to ja – odparł. – A ty?

– Nie. – Uli uśmiechnął się szeroko, po czym znowu zmarszczył brwi.

– Czy dama, u której mieszkasz, wie, że tu jesteś?

– Nie.

– Nie była zadowolona, że młoda dziewczyna przebywa w *posadzie*, i miała rację.

– Mieszkałem w większej liczbie takich miejsc, niż zdołałbym zliczyć.

– I tak ma rację. A kiedy wrócisz...

– Nie wrócę.

– Oho – mruknął. – Bunt, co? – Nagle zmrużył oczy.

– Byli dla ciebie niemili? Tylko mi powiedz...

– Nie, ani trochę. Doña Isabel jest słodka, podobnie jak jej przyjaciółka. Ale i tak nie wrócę. Wolałbym, żebyś mnie wysłuchał, zamiast mi przez cały czas przerywać. Don Imgo jest tutaj, w Barcelonie.

– Zaskakujesz mnie – powiedział.

– Nie musisz jechać do zamku Loyolów, żeby przekazać mu ten pierścień.

– Rozumiem.

– Ale musisz się pośpieszyć – dodał rzekomy chłopiec. – Jego statek odpływa za trzy godziny. I nie zdradź mu, że ci powiedziałem.

- Dlatego się zjawileś.
- Częściowo. Chciałem się też z tobą pożegnać.
- Miło z twojej strony – zauważył Uli. – Dokąd się wybierasz?
- Odpływam razem z nim – odparł chłopiec.
- Co... Co?
- On jeszcze o tym nie wie.
- Chwileczkę. – Uli westchnął. – Płyniesz. Dokąd? Dlaczego? O co w tym wszystkim chodzi?
- To święty i udaje się na pielgrzymkę – wyjaśnił mu Juan. – Ja mu będę towarzyszyć.
- Tyle już wiem. – Uli pokiwał głową. – On jednak nie jest tego świadom. Jak zamierzasz zapłacić za podróż? A poza tym, dokąd jedziesz? Pewnie do Rzymu.
- Pielgrzymi nie potrzebują pieniędzy – wyjaśnił Juan. – On też nie ma żadnych. Poza tym zostały mi jeszcze te dukaty od ciebie, a jeśli one nie wystarczą, zawsze mogę pracować.
- Czy przyszło ci do głowy, że on może nie chcieć cię za towarzysza?
- Nie chce – odparł Juan krótko. – Wiem, że nie. Ja jednak nie będę mu przeszkadzać. Pójdę tam, gdzie on. Nawet nie będzie mnie widział.
- Aha.
- Widziałem, jak się modlił – ciągnął Juan. – Było tak, jakbym nigdy nie widział innych modlących się ludzi. Widziałem też, jak zebrał. I słyszałem, jak mówi.
- Pewnie było tak, jakbyś nigdy wcześniej nie słyszał

mówiących ludzi – zauważył Uli ironicznie.

– Zgadza się. Doña Isabel twierdzi, że kiedy on przemawia, otwierają się niebiosy. Zawsze chcą, żeby został, gdziekolwiek jest, ale on nie chce. Słyszałem, jak się z nią żegna, a on powiedział... powiedział...

– Co powiedział?

Juan popatrzył na niego z powagą.

– Dotrzymasz tajemnicy? – zapytał.

– Powinienem cię przełożyć przez kolano! – ryknął Uli. – Gadaj wreszcie.

– Udaje się nie tylko do Rzymu – oświadczył niewzruszony chłopak. – Wybiera się do Ziemi Świętej.

– Czyżby?

– Tak. A ja z nim.

Uli aż podskoczył.

– Święty... nieważne. Czy ty wiesz, o czym gadasz? Zupełnie jak ta dziewczynka, którą spotkaliśmy w Avili – Teresa Jakaśtam.

– Teresa de Capeda – oświadczył Juan. – Tak, to ona podsunęła mi ten pomysł.

– Może też chcesz zostać męczennikiem? – zapytał z gniewem.

– Raczej nie. Ale nie mam też nic przeciwko temu. Tak czy owak, jadę tam.

– Nie jedziesz...

– Jadę. Nie zdołasz mnie powstrzymasz. Możesz sobie próbować ile wlezie. Jeśli zaprowadzisz mnie do domu doñi Isabel, znów ucieknę, i jeszcze raz, i jeszcze

raz. Jeśli nie wejdę na ten statek, wejdę na następny.

– Problem z tobą polega na tym, że nie dajesz mi dokończyć zdania – westchnął Uli. – Bardzo brzydki zwyczaj. Będę cię musiał z niego wyleczyć. W końcu jesteś moim młodszym bratem. Zamierzałem powiedzieć, że nie jedziesz sam. Udam się w tę podróż z tobą.

Brwi Juana podskoczyły. Nagle dziewczyna krzyknęła z radości i rzuciła się Ulemu w ramiona.

– Och, och, to aż zbyt cudownie. Zbyt dobrze...

– Wystarczy. – Uli pośpiesznie uwolnił się z jej uścisku i zaczął zapinać kubrak.

– Jestem taki szczęśliwy. – Oczy rzekomego chłopca wypełniły się łzami. – Chyba mama nie miałaby nic przeciwko temu...

– Nonsens – mruknął Uli. – Na pewno chce, żebyś była szczęśliwa. To, czy pochwalalaby tak głupkowaty plan, to jednak całkiem inna sprawa.

– Wcale nie jest głupkowaty – zaprotestował Juan. – Teraz kiedy i ty jedziesz, mama na pewno rozumie, że jestem bezpieczny, i że on także będzie bezpieczny. Jest taki dobry, nic nie robi dla siebie. A ty zostaniesz jego strażnikiem.

Uli uśmiechnął się szeroko.

– Świetny pomysł – oświadczył. – Byłem już strażnikiem papieża. Służyłem pod księciem, hrabią, rabusiem z herbem, i miastem. Teraz zostałem strażnikiem świętego żebraka. – Wziął do ręki płaszcz i tobolek. – Może to i dobrze, że sprzedałem karekę z

mułami. Zostawiłem włócznie i miecz w bezpiecznym miejscu. Nie mogę brać ze sobą broni na pielgrzymkę. Na co czekamy? Ty pierwszy.

Idąc za Juanem, pomyślał: bracie Klausie, jeśli to ty... nie, psiakrew. To na pewno ty. Przełknął ślinę.

– Dziękuję – wychrypiał, po czym wyszedł.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

„Ciudad Real” był porządnym statkiem – musiał być. Niedługo po wypłynięciu z portu napotkali nawałnicę, a następnego dnia sztorm.

Juan cierpiał na chorobę morską i krył się pod pokładem.

Człowiek, którego zwano „czarnym pielgrzymem” też chorował, ale tkwił na pokładzie i odmawiał Różaniec. Na widok Ulego i Juana na statku, jeszcze przed wypłynięciem, uprzejmie skinął im głową, i tyle.

Żadne z nich nie próbowało z nim rozmawiać.

Trzeciego dnia sztorm wciąż atakował z pełną mocą – Uli spotkał się z kapitanem, przysadzistym człowieczkiem o sumiastym wąsie. Kapitan ów okazał się zasepionym i niespokojnym człowiekiem. Sztorm go martwił. Miał żonę i czwórkę dzieci i twierdził, że chciałby się z nimi ponownie spotkać.

Kurczowo uchwycony liny Uli uśmiechnął się do niego.

– Bywałem w gorszych miejscach – zauważył.

– Żołnierz, co?

– Tak, chociaż to dla mnie nowa wojna: w drewnianej fortecy, która kołysze się z boku na bok.

– Miło widzieć tak pogodnego pasażera podczas sztormu – oznajmił kapitan ponuro i splunął.

– Proszę tego nie robić – zwrócił mu uwagę Uli. –

Wzmacniasz wroga, panie. I tak dosyć wokół nas mokrej kawalerii, z białymi pióropuszcami na hełmach.

Kapitan wskazał skuloną w kącie ciemną sylwetkę.

– Wiesz coś o nim, panie? – spytał.

– Tak.

– Wariat czy święty?

– To nie wariat.

– Miło wiedzieć. Pozwoliłem mu podróżować za darmo. Sam nie wiem czemu. Bardzo mnie zdenerwował.

– Dlaczego?

– Bo miał pieniądze. Mat mi powiedział. Miał kilka sztuk złota, zanim wszedł na pokład. Rozdał je żebrakom. Złoto! A potem przychodzi taki na pokład i błaga o darmowy przewóz. Byłem zły, kto by nie był? Od tego czasu zastanawiam się, czy to wariat, czy święty.

– To nie wariat – powtórzył Uli.

– Może to święty. No to dobrze, że mamy go na pokładzie. Powiadają, że święci nigdy nie toną.

Dwa dni później przybili do Gaety i ruszyli w drogę do Rzymu.

W wyniku niepisanej umowy Uli i Juan puścili Inigo przodem i zmierzali za nim w pewnej odległości. Kiedy odpoczywał, oni odpoczywali sto kroków za nim. Kiedy podejmował wędrówkę oni również.

Kilka razy tracili go z oczu, zwykle w porze posiłków. Kończył chleb i owoce tak szybko, że wyruszał w drogę, nim jeszcze spożyli zupę.

Na szczęście prędko go doganiali.

– Zdumiewające, jak dobrze sobie radzi – oświadczył Juan. – Jest taki kruchy, niemal nic nie je, a jego biedna noga...

– Radzi sobie świetnie – przerwał Uh szorstkim tonem. Nie chciał rozmawiać o nodze Iftigo. Nie chciał myśleć o postrzale w Pampelunie i jego dziwnych, niezrozumiałych konsekwencjach. Zdarzyła się cała seria niezrozumiałych rzeczy. Juan opowiedział mu o miłości rannego Hiszpana do królowej Germaine, a parę dni później Andre de Foix wysłał go do tej damy. Poznał sześciolletnią dziewczynkę, która zapragnęła udać się do Ziemi Świętej i została wyśmiana. Inna, szesnastoletnia dziewczyna, właśnie teraz zmierzała do Ziemi Świętej, a towarzyszył jej wysoki szwajcarski żołnierz, który powinien mieć więcej rozumu, a także ten postrzelony Hiszpan. Nie miało to żadnego sensu. A jednak...

Spędzili noc w wiejskiej gospodzie. Iftigo tam nie spał. Znaleźli go rankiem w stajniach oberżysty. Przywitał się uprzejmie i podjął wędrówkę o pustym żołądku, całkiem jak dzień wcześniej. Jeden posiłek dziennie, pomyślał Uh. Właściwie trudno to było nazwać posiłkiem. Długo na tym nie pociągnie.

Następną noc spędzili na farmie; było zbyt późno i zbyt ciemno, by udać się w dalszą wędrówkę.

Właściciel farmy, staruszek, był bardzo wystraszony obecnością sześciu wojaków, którzy zabili pół tuzina jego kurcząt i zmusili jego żonę, by je dla nich upiekła. Przywłaszczyli też sobie niedużą baryłkę wina i teraz

spożywali porządny posiłek.

Dzięki temu poczuli się bardzo towarzyscy i zaprosili trójkę nowoprzybyłych na wino.

Ínigo podziękował za zaproszenie i poszedł szukać miejsca do spania, jednak Uli i rzekomy Juan je przyjęli, by nie urazić mężczyzn.

Wino było lekkie, lecz nawet lekkie wino potrafi upić, jeśli sporo się go pije. Żołnierze zrobili się hałaśliwi i zaczęli śpiewać, takie pieśni, jakie zwykle śpiewają hałaśliwi żołnierze. Dokuczali Juanowi, że nie śmieszają go one tak, jak powinny śmieszyć młodego człowieka.

– Za kiepsko mówi po włosku – wyjaśnił Uli sucho. – Poza tym jest bardzo młody. Dajcie mu spokój.

Nie chcieli jednak dać mu spokoju. Może to przez swoje pijaństwo, a może właśnie dzięki trunkowi widzieli lepiej. W każdym razie znowu zaczęli dokuczać Juanowi, że zachowuje się jak dziewczyna, a potem jeden z nich zasugerował, że to pewnie dziewczyna w przebraniu.

– No pewnie – wtrącił Uli pośpiesznie. – To ukochana żona sułtana. Jako że ty nim nie jesteś, lepiej zostaw ją w spokoju. Idź spać, Juan, jesteś zmęczony. Ja się jeszcze napiję z tą gromadką wesołych chłopaków.

Jednak podejrzliwy żołnierz był również bardzo uparty.

– Wszystko jedno, chcę wiedzieć – oznajmił. – Podejdz tu, mały, niech ci się lepiej przyjrzę. No podejdz, słyszysz?

– Mówiłem ci, żebyś dał mu spokój. – UH

zmarszczył brwi.

– Mówiłeś, i co? – szydził żołnierz. – Mamy prawo wiedzieć, z kim pijemy, prawda? Twierdzę, że ten chłopak to dziewczyna, a jeśli tak jest naprawdę, zabawimy się.

Wstał i chwiejnym krokiem ruszył ku Juanowi, który zbladł jak kreda.

UU także wstał i położył ciężką rękę na ramieniu żołnierza.

– Trzymaj się od niego z dala, przyjacielu – powiedział. – Ostrzegam cię po raz ostatni.

Mężczyzna parsknął śmiechem, popchnął Ulego i złapał Juana za ramię.

– A teraz obejrzymy cię z bliska, bardzo dokładnie – oświadczył powoli.

Uli zatoczył się do tyłu. Poczul cudze ręce na ramionach.

– Nie powinieneś być tego robić – mruknął. – Takie zachowanie bardzo mnie denerwuje.

Pochylił się nagle i szarpnął, a mężczyzna, który go trzymał, przeleciał nad jego głową i wpadł na żołnierza trzymającego Juana. Wszyscy runęli na ziemię.

Uli instynktownie szybko się odsunął, a ciężki dzban trafił go w bark. Lewą rękę żołnierza przeszyła fala bólu. Trzech wojaków skoczyło na niego z dzikim rykiem. Jednego posłał na ziemię ciosem pięści, oderwał rękę drugiego od gardła i nagle ujrzał, że zbliża się podłoga.

Przeleciał przez nią i zaczął tonąć. Nagle zorientował

się, że wcale nie tonie, lecz leci ku gwiazdom, mija je, a także księżyc i różne inne dziwne formy, aż w końcu dotarł do Puerta Nueva w Barcelonie. Brama była zamknięta, a święty Piotr zauważył surowo, że nie otworzy *

jej tylko dlatego, że Uli miał świętego w rodzinie. Święty Piotr miał wysokie czoło i szpiczastą bródkę. Mimo to Uli od razu wiedział z kim ma do czynienia. Ofiarował mu pierścień z pięknym rubinem, by wejść, ale Piotr odrzucił dar z pogardą.

– Pokaż co potrafisz – powiedział. – Jesteś artylerzystą, prawda? Postaraj się zastrzelić tego diabła.

Działo było piękne, duże i lśniące. Uli zakasał rękawy i zaczął ładować armatę, ale rubin urósł do takich rozmiarów, że nie mieścił się w lufie, a do tego przestał być rubinem. To był sam diabeł, a Uli usiłował go wygiąć i wepchnąć do działa. Diabeł wybuchnął śmiechem, bo miał łaskotki. Wyciągnął długi czerwony język i polizał twarz Ulego.

– Przestań, Świnio – rozkazał mu Uli i usiadł.

Wpatrywał się w twarz Juana. Rzekomy chłopiec trzymał w rękach zwilżony zimną wodą ręcznik.

– A zatem to jest jezior diabła. – Uli roześmiał się cicho.

– Nic ci nie jest? – spytał go Juan z niepokojem.

Uli dotknął czoła i się skrzywił. Miał na nim guz, wielki niczym jajko.

– Nic – odparł. – Co się stało, do diaska? Gdzie oni

są? – Rozejrzał się wokół z przerażeniem. On i Juan byli sami.

– To on ich przegonił – wyjaśnił Juan. – Przyszedł akurat wtedy, gdy cię powalili.

– Powalili? No cóż, chyba faktycznie. Ależ jestem głupcem. Kompletnie zapomniałem o tym trzecim. Na pewno przyłożył mi dzbanem. W tym kraju robią ciężkie dzbany. Ale co zaszło, u diabła?

Juan nalał świeżej wody na ręcznik i położył go na czole Ulego.

– Możesz sam potrzymać? O tak. A teraz bądź cicho, to wszystko ci opowiem.

Uli przymknął oczy.

– Gdzie żołnierze? – spytał po chwili.– Siedź cicho i tylko słuchaj. Leżałeś tu na podłodze, a ten... ten człowiek usiłował zedrzeć ze mnie kubrak. I wtedy wszedł on i krzyknął na nich.

– Wiem. – Uli pokiwał głową. – Święty Piotr.

Juan popatrzył na niego niespokojnie, ale Uli uśmiechał się szeroko, więc uspokojona dziewczyna ciągnęła.

– Nigdy nie słyszałem, żeby ktokolwiek tak krzyczał. To było niczym... niczym trąba. I to on – on, który przecież nigdy nie podnosi głosu! Wszyscy znieruchomieli i patrzyli na niego, a on wciąż krzyczał, gromił ich po hiszpańsku. Wątpię, by zrozumieli choćby jedno z słowo z tego, co mówił, a jednak zrozumieli – bardzo kiepsko to opowiadam...

– Mów dalej. Rozumiem, o co ci chodzi.

– Był bardzo blady, a jego oczy płonęły. Potem wskazał palcem drzwi, a oni wymknęli się przez nie jak zbite psy. Jeden po drugim, cała szóstka. Ot tak.

Uli pokiwał głową.

– Kto był generałem, na zawsze nim pozostanie – szepnął.

– Co?

– Nieważne. Nie wrócili?

– Nie. A potem popatrzył na mnie, położył ręce na mojej głowie i uśmiechnął się. Ukucnął, popatrzył na ciebie i powiedział: „Zwilż mu czoło wodą”. I wyszedł.

Uli znowu pokiwał głową.

– Znakomity ze mnie strażnik – oświadczył. – Nic dziwnego, że święty Piotr nie chciał otworzyć bramy do Barcelony.

– Co ty wygadujesz?

– Nieważne. Nic ci nie jest? To dobrze. To teraz idź się przespać.

Cztery dni później dotarli do Rzymu.

Była Niedziela Palmowa.

Nigdy nie dowiedzieli się, jak Ifiigo zdołał załatwić sobie audiencję u nowego papieża. Dokonał tego jednak i dostał formalne pozwolenie na pielgrzymkę, a także papieskie błogosławieństwo.

Uli nie chciał podejść ani do katedry Świętego Piotra, ani do Watykanu, mimo błagań Juana.

– Bywałem tu już wystarczająco często i

wystarczająco długo.

– Zły z ciebie chrześcijanin.

– Owszem – przytaknął. – Ale przynajmniej zdaję sobie z tego sprawę i nie udaję dobrego chrześcijanina. Zresztą to wcale nie o to chodzi.

– No to o co?

– Idź sam, braciszku. Odmów za mnie modlitwę. Pewnie nie pomoże, ale z całą pewnością nie zaszkodzi.

Juan westchnął i poszedł sam.

Miasto pełne było pielgrzymów, wysłanników i delegacji do nowego papieża. Podobno był dobrym człowiekiem. No cóż, nadeszła pora, by u steru barki świętego Piotra stanął ktoś dobry. Niezależnie jednak od tego, jak był mądry i dobry, jakie to miało znaczenie, skoro Boga niewiele to obchodziło.

Czasami – tylko czasami – wydawało się jednak, że to Go obchodzi. Może jednak ktoś, ktoś taki jak brat Klaus mógł uprząć cienką, cieniutką nić pomiędzy niebem a ziemią.

A może i to było iluzją, nawet jeśli ta myśl bezustannie kołatała mu po głowie.

To wszystko jednak nie miało nic wspólnego z odmową pójścia do katedry Świętego Piotra. Tam byli szwajcarzy, szwajcarska gwardia, do której niegdyś należał, strażnicy Ojca Świętego. Część z nich mogła go znać i wysłać w pewne miejsce w górach list z informacją, że widziano go żywego.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Natychmiast po Wielkanocy wyruszyli do Wenecji.

Podróż okazała się niesłychanie trudna. Zaraza nękała całe Wiochy, wszędzie trwały kwarantanny. Minęli Tivoli, Orneto, Spoleto, Tolentino, Maceratę i Loretto – wędrowali wzdłuż długiego wybrzeża Adriatyku, minęli Anconę i Sinigaglię, Fano i Pesaro, Rimini, Rawennę i Comacchio. Nie zdołali wejść niemal do żadnego z tych miast.

Gdy dotarli do kanałów Wenecji, policja weszła na łódź, by sprawdzić pasażerów. Uli miał wielkie kłopoty z odciągnięciem ich uwagi od Juana, udało mu się to dopiero wtedy, gdy udał, że przez swoją niezręczność wpada do kanału. Musieli go wyciągać, krztuszącego się i przeklinającego, i uczynili to z wielkim rozbawieniem.

Ínigo z kolei nie zadali ani jednego pytania. Wyglądało na to, że w ogóle go nie zauważają, on również nie zwracał na nich najmniejszej uwagi.

Najjaśniejsza Republika była u szczytu potęgi, która mogła się równać jedynie z potęgą starożytnej Kartaginy.

Wenecja stanowiła centrum światowego handlu. Jej statki pływały po całym Morzu Śródziemnym. Nawet sam wielki sułtan dobrze się zastanowił i zamiast ją zaatakować, wolał wysłać swą potężną armię na Węgry, jak też zawalczyć na morzu z rycerzami z Rodos, którzy byli naprawdę płotkami w porównaniu do sił Świętego

Marka. Emisariusze sułtana kupowali mnóstwo pięknych towarów w weneckich sklepach i składach. Wenecjanie jednak nie dali się zwieść. Wiedzieli, że sulejman zaatakuje ich przy pierwszej oznace słabości, wiedzieli też jednak, że nie dowierzał jeszcze potężnej swej floty. Wystarczyła na Rodos, była jednak zbyt słaba na Wenecję. Nawet z Rodos miał kłopot. Rycerze odpierali jeden atak po drugim, nieraz sułtan był gotów przerwać oblężenie. Wielki władca rycerzy słał list za listem, posłał za posłem do papieża, który nie miał wojsk, do cesarza, którego to wcale nie interesowało. Do króla Francji, któremu ani się śniło pomagać rycerzom w walce z potęgą, która mogła mu się lada dzień przydać w starciu z cesarzem.

Do obrońców wystrzelono osiemdziesiąt pięć tysięcy dziewięciocalowych kul armatnich. Podłożono dziesiątki min.

Rodos odpierało atak za pomocą greckiego ognia – płonącej nafty. Rycerze walczyli o każdy centymetr fortyfikacji, najbardziej zaufane psy wojny sulejmana, pasza Ajas i pasza Ferhad, wyszli na żółtodziobów. Pomoc jednak nadal nie nadchodziła.

Po więcej niż pięciu miesiącach, gdy prochu zostało na zaledwie dwanaście godzin, kiedy zabrakło ludzi, by bronili murów, wielki mistrz przyjął wielokrotnie powtarzane żądanie sułtana i skapitulował.

Sulejman darował życie obrońcom, co było bardzo niezwykłym zachowaniem jak na Turków, i jak na

samego sułtana.

Jego janczarzy wmaszerowali do fortecy nie wznosząc tradycyjnych okrzyków radości, nie wyjąc „*Allah akbar*”, tylko w ciszy, spokojnie, niemal oszołomieni faktem, że ponurzy rycerze jednak złożyli broń.

A stary, siwobrody mistrz, Philippe Viliers de L’Isle Adam, wyprostowany i wymizerowany, stanął przed młodym sułtanem i powiedział z niechętnym podziwem:

– Wart jesteś pochwał, panie, gdyż podbiłeś Rodos – a okazałeś miłosierdzie.

Uli znał tę historię. Wszystko to wydarzyło się zaledwie w zeszłym roku. W Rzymie usłyszał również o reakcji cesarza na wieść o kapitulacji: „Nic na świecie nie zostało utracone tak godnie jak Rodos”.

W Rzymie zasłyszał też, że w ostatnich miesiącach oblężenia wenecka flota kotwiczyła koło Krety, wykonując jednoznaczne rozkazy nieingerowania w konflikt – chyba że Turcy zagroziliby Cyprowi. W Rzymie zgromadzono dwa tysiące ochotników, gotowych wyruszyć na pomoc Rodos, lecz nie było jak ich przetransportować...

Dwa tysiące chrześcijan, pomyślał ponuro. Niewiele, ale lepsze to niż nic, choć z pomocy nic nie wyszło. Za co odpowiedzialność spadała na chrześcijańskich książąt.

Tymczasem doża wenecki zafundował świetnie prosperującemu miastu największą atrakcję roku – święto zaślubin doży z morzem, symbol siły i bogactwa

Najjaśniejszej Republiki.

W złocistej szacie, w złotym diademie, pod złotym baldachimem doża wypłynął w swej galerze, wyściełanej bezcennymi dywanami i pełnej złotych zasłon, i wrzucił złoty pierścień do morza.

– Bierze sobie niesłychanie niewierną żonę – mruknął Uli. – Nic dziwnego, że rok w rok musi odnawiać małżeńskie więzy.

Jednak pielgrzymów dobrze podejmowano w mieście, które żyło z cudzoziemców i handlu zagranicznego. Dostali pokój, łożę i jedzenie za darmo.

Ínigo jednak wcale tego nie chciał. Zachowywał się jak wcześniej, zebrał o chleb i sypiał w portykach, bramach i pod plandekami bud na targu. Kiedyś baskijski szlachcic rozpoznał w nim ziomka i zaprosił do swojego domu. Ínigo przyjął zaproszenie. Następnego dnia gospodarz zabrał go do doży.

Mniej więcej po godzinie Ínigo odszukał Ulego i poinformował, że dostał wolne miejsce na statku „Nerona”, płynącym na Cypr.

– Myślałem, że oduczy! się mówić – poinformował Uli Juana.

Juan pokręcił głową.

– To nie on się oduczył pewnych rzeczy, tylko ty o pewnych sprawach zapomniałeś. Ja doskonale pamiętam jak głośno i jak skutecznie przemawiał do tamtych sześciu żołnierzy na farmie.

– Ja tego nie pamiętam, bo go nie słyszałem. – Uli

uśmiechnął się przepaszająco. – Ale masz rację. Sprawdźmy, czy i nam uda się dostać na statek. Na pewno nie za darmo, tego możesz być pewien.

Nie mylił się. Musiał sprzedać pierścień z rubinem, za który bardzo szanowny zakład pana Bontempelli – jubilera i bankiera – zapłacił mu znaczną sumę w wysokości stu trzydziestu dukatów, co wystarczyłoby na znacznie więcej niż podróż w obie strony. Za tę naliczono im po dwadzieścia sześć dukatów na głowę, a Uli patrzył z satysfakcją na najpiękniejszy statek pasażerski, jaki widział w życiu, uzbrojony w dziewiętnaście dział, na wypadek gdyby natrafiano na algierskich piratów z ich niesławnym dowódcą Hajredinem.

Pasażerom nakazano, by zaopatrzyli się we wszystkie niezbędne do podróży rzeczy. Wyłoniono radę, która podjęła się zakupu sucharów, szynki, sera, skrzyń jaj, żywego ptactwa domowego, cebuli, suszonych owoców, soli, i naturalnie, kilku baryłek wina. Nakazano też zakupić szkło, talerze, poduszki, leki, proch strzelniczy i perfumy.

Wszyscy dobrze wiedzieli, że Iftigo nie ma pieniędzy, ale mężczyzna o nazwisku Fuessli, ludwisarz z Zurychu, zapytał go z rozbawionym błyskiem w oku, co dorzuci do rzeczy, które zabierali na pokład.

– Niewyczerpany zapas wiary w Boga – odparł Iftigo niewzruszony, a Uli zachichotał dyskretnie.

– Należało się Fuessliemu – powiedział później do Juana.

W końcu jednak zaraza dopadła i Wenecję.

Trzymali się z dala od uHc i od wszystkich miejsc, w których gromadzili się ludzie, ale Iftigo i tak dostał gorączki. Obawiali się najgorszego. Wezwany lekarz, w znajomym białym habicie z kapturem i rękawicach oznajmił ku ich wielkiej uldze, że to nie zaraza, a następnie z jego ust popłynął strumień skomplikowanych łacińskich słów.

– Czy to niebezpieczne? – spytał Juan z niepokojem.
Medyk potwierdził.

– Za cztery dni wypływamy – powiedział Uli. – Da sobie radę?

Medyk bardzo w to wątpił.

W dniu odjazdu pojawił się ponownie, by dać pacjentowi lekarstwo, a wtedy Uli znowu go zapytał, czyjego zdaniem Iftigo jest zdolny do podróży.

– Nie – odparł medyk niezwykle stanowczym tonem.
– Jeśli wyruszy, pochowacie go na morzu.

Po jego wyjściu Iñigo popatrzył na Ulego i Juana.

– Mój niewyczerpany zapas jest już na pokładzie – zauważył. – Nie mogę go tam zostawić.

Musieli go podtrzymywać w drodze na statek, ale dał sobie radę. Przez następne trzy dni cierpiał na chorobę morską. Potem widzieli, jak siedzi na pokładzie z różańcem w dłoni, i od tamtego momentu nic mu już nie dolegało.

Miesiąc po opuszczeniu Wenecji dopłynęli do Famagusty, gdzie zmuszeni byli przesiąść się na inny

statek, a Uli zapłacił po dwadzieścia dukatów za Juana i siebie. Tyle kosztowała podróż w obie strony do Jaffy.

– Znowu udało mu się załatwić sobie przejazd za darmo – oświadczył Uli po spotkaniu z nowym kapitanem. – Bóg jeden wie, jak on to robi.

– Zgadza się – przytaknął Juan z powagą.

Uli podejrzliwie zerknął na rzekomego chłopaka.

– Zgadza się, co? Chodzi ci o to, że Bóg wie. No to teraz, braciszku, powiem ci, co ja wiem: zaczynasz wykazywać się podobnym poczuciem humoru jak on. Nie sądziłem, że to możliwe. On mówi coś z kamienną miną, ludzie biorą to dosłownie, ale nie do końca rozumieją, ale nagle ich oświeca – jeśli w ogóle.

Juan uśmiechnął się do niego.

– Nie ma nic złego w poczuciu humoru, prawda? Jeśli uda się je zdobyć. Ale masz rację co do niego. On właśnie taki jest. I wiesz co?

– Co?

– Myślę, że Jezus też miał podobne poczucie humoru.

– Nie bądź niemądry.

– Nie jestem.

– Nigdy nie słyszałem czegoś równie niemądrego. A właściwie czemu tak myślisz?

– Pamiętasz opowieść o Zacheuszu?

– Nie. Kto to był?

– Lichwiarz, a może poborca podatkowy czy ktoś w tym rodzaju. Bardzo się wzbogacił...

– Niewiele się zmieniło od tamtych czasów, prawda?

– Kiedy usłyszał, że Jezus mija jego miasto, zapragnął go zobaczyć, ale nie chciał zostać zauważony.

– Dobra polityka – jeśli możliwa do przeprowadzenia.

– Może zresztą zrobił to tylko dlatego, że był niewysoki. W każdym razie wspiął się na drzewo. Kiedy Jezus przejeżdżał, powiedział: „Zejdź, Zacheuszu”. Jestem pewien, że zrobił to z kamienną twarzą.

– Tak, teraz sobie chyba przypominam. Stary Zacheusz zszedł z drzewa, i na tym się nie skończyło. Rozdał połowę swojego majątku biednym. Kosztowne drzewo, śmiem twierdzić.

– Nie tak kosztowne jak to w raju.-Juanie, Juanie, jeśli nie będziesz miał się na baczności, nasz przyjaciel pielgrzym zrobi z ciebie zakonnicę.

– Mogło być gorzej – zauważył Juan. – Ale nie godzi się o tym mówić.

– Sądzę, że za moimi plecami odbywacie długie dyskusje.

– On nie ma nic przeciwko rozmowom – odparł Juan powoli – jeśli tylko dotyczą Boga. Myślę, że lubi to niemal równie mocno jak liczenie, chociaż nie aż tak, jak rozmowę z Bogiem.

– Zawsze dobrze się dogadywaliście – mruknął Uli. – Nawet wtedy, gdy dbałeś o niego w drodze do zamku Loyolów.

Przez chwilę Juan milczał.

– Nigdy nie widziałem podobnej przemiany –

odezwał się w końcu cicho.

– Dziwne, prawda? – Uli zachichotał. – A wszystko dlatego, że trafiłem go kulą armatnią. Nic dla mnie nie znaczył, ja nie znaczyłem nic dla niego. Chciałem tylko pokazać tym idiotom artylerzystom, jak należy strzelać, a on oberwał. Co za zbieg okoliczności! I nie mów tylko, że wszystko zostało zaplanowane przez Boga albo że Bóg poprowadził ten pocisk za mnie. Wiem, że tak nie było. Wiem, że sam to zrobiłem.

– Bóg nie poprowadził kuli ani nie wspiął się na drzewo – odparł Juan. – Za to nadał temu znaczenie.

Jakoś dopasował to do swoich planów. W Hiszpanii mówimy, że pisze prosto koślawymi literami. Nie chodzi o nasze czyny, tylko o to, co za nimi stoi. To jak... jak jedwabnik.

– Jedwabnik?

– Tak. Przędzie nić...

– Zabawne. Kiedyś wydawało mi się... Nieważne, mów dalej.

– Przędzie i przędzie, a potem przychodzi człowiek, zbiera uprzedzoną nić i tworzy z niej piękną jedwabną chustę.

– Tyle że jedwabnikowi nic z tego – zauważył Uli z przekąsem. – O ile mi wiadomo, jedwabniki nie używają chustek.

– Nie, ale zobacz, że sytuacja się zmienia, jeśli jedwabnik jest człowiekiem, a człowiek Bogiem. Co więcej – jaka szkoda, że nie potrafię tego wyrazić, czuję

to już od tak dawna – to znaczy, że nawet jeśli nie przyniesie to jakichś szczególnych korzyści danemu jedwabnikowi, być może skorzystają na tym inni, a taki jedwabnik-człowiek będzie o tym wiedział.

– Być może – zgodził się Uli bez przekonania. – A być może wcale nie przypadnie mu to do gustu.

– Tak. Tak. Albo będzie twierdził, że to wszystko jego dzieło.

– A czego się spodziewasz po jedwabniku?

– Jedwabiu – odrzekł Juan i uśmiechnął się jak dziewczyna.

Uli uważnie wpatrywał się w rozmówcę.

– Skoro tyle wiesz – zaczął, a jego głos zabrzmiał nieco chrypliwie – może mi powiesz, dlaczego akurat przechodziłem, kiedy z pewnego domu wybiegła młoda dama, wzywając pomocy w imię Najświętszej Panienki. Dlaczego przechodziłem również następnego dnia, a ona udała się ze mną w drogę. Dlaczego mniszki z klasztoru franciszkanek nie otworzyły wrót, gdy stukałem, by zostawić dziewczynę pod ich opieką. Dlaczego razem zwiedziliśmy pół Hiszpanii i... wiele innych rzeczy. – Nagle oprzytomniał. – Przepraszam, nie powinienem był zadawać tych wszystkich pytań. Wydajesz się mocno przestraszony...

– Wcale nie. – Juan jeszcze bardziej niż zwykle przypomniał dziewczynę.

To było na Cyprze. W pogańskich czasach wierzono, że to siedziba bogini miłości, narodzonej z morskiej piany

na wybrzeżu wyspy. Był ciepły, słoneczny dzień, wiatr zdawał się całować drzewa nazwane na cześć wyspy bogini.

Uli wciąż wpatrywał się w drobną twarz Juanity.

– Dlaczego – zaczął bez tchu – dlaczego się poznaliśmy i...

– A, tu jesteś panie – rozległ się tubalny głos pana Fuessliego, ludwisarza. – Kapitan powiedział, że mamy natychmiast zjawić się na pokładzie. Wiatr nam sprzyja, zaraz wyruszamy.

Uli odetchnął głęboko.

– Doskonale – oświadczył. – Już idziemy. Chodź, Juan.

– Jakoś nie mieliśmy okazji porozmawiać ze sobą – powiedział Fuessli życzliwie. – Chyba jesteśmy ziomkami, nie myślę się? Pochodzę z Zurychu.

– Ja nie – odparł Uli.

Fuessli popatrzył na niego zaskoczony.

– Płynie z nami jeszcze dwóch Szwajcarów – oświadczył. – Kiedy wejdziemy na pokład, wypijmy kilka kielichów wina i powspominajmy stare dobre czasy.

– O ile się nie mylę, to pielgrzymka – zauważył Uli.

Poczciwy ludwisarz poczuł się urażony.

– Nie ma powodów do obrazy – powiedział. – Przecież nie złożyłeś ślubów milczenia, panie. Słyszałem, jak rozmawiasz z tym chłopcem.

– Młodzieniec ten jest pod moją opieką.

Fuessli otworzył usta, by powiedzieć coś kąśliwego,

ale zmienił zdanie i szybko odszedł.

– Czy nie byłeś nieco niemiły dla tego człowieczka?
– spytał Juan niewinnie.

– Może i tak. Nie lubię ciekawskich.

– Ale on tylko chciał być miły...

Uli parsknął śmiechem. Nie był to śmiech wesoły. Po chwili dodał:

– Może jesteśmy jedwabnikami, ale nie chcę, by z tymi ludźmi łączyły mnie jakiegokolwiek nici.

– Co masz przeciwko nim? Przecież pochodzą z twojego kraju, prawda?

– Owszem, i to właśnie jest powód. Żadnych pytań, mój mały.

– Jesteś taki sam jak don Iñigo – zauważył rzekomy chłopiec.

– Co? Ja? Nonsens. Dlaczego?

– Bo i on unika spotkań z kimkolwiek, kto mógłby go rozpoznać. Może w swoim kraju też jesteś szlachcicem, albo nawet księciem.

Śmiech Ulego nadal daleki był od wesołości.

– Powiedziałem kiedyś pewnej damie, że wszyscy Szwajcarzy to szlachcice, ale tak naprawdę prosty z nas lud, Juan. Może popełniłem zbrodnię i nie chcę, by mnie rozpoznano.

– Niemożliwe – oświadczył Juan stanowczo.

– Na twoim miejscu nie byłbym taki pewien. Poza tym, może to i dobrze, że Fuessli wyciągnął ze mnie te odpowiedzi.

– Dlaczego? Nie spodobały mu się.

– Udzielanie ich i mnie nie sprawiło przyjemności.

Ale w samą porę przypomniały mi o czymś, o czym zapomniałem. A nie wolno mi zapominać.

Juanita pomyślała, że mężczyźni są dziwni.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Ziemia Święta powitała pielgrzymów wystrzałem armatnim z jednej z dwóch wież strzegących dróg Jaffy. W tym samym momencie na maszt powędrowała czerwona flaga z białym półksiężycem.

Kapitan musiał uspokajać zaniepokojonych pasażerów.

– Nie strzelają do nas. To takie powitanie. Ale nie są zbyt przyjaźni. Nikomu nie wolno opuszczać pokładu, dopóki nie zorganizuję bezpiecznej eskorty.

– I tak powinno być. – Uli pokiwał głową.

– Co masz na myśli? – spytał Juan.

– Zaczęło się od wystrzału z armaty, prawda? Ale chciałbym, żebyśmy już zeszli z tego statku. Śmierdzi jak potępieniec.

– Śmierdzi – przyznał Juan. – Ale nie jak potępieniec.

Przez kilka dni życzenie Ulego się nie spełniało. Kapitan Francisco samotnie udał się do Ramy i Jerozolimy, podejrzewano nawet, że został zamordowany.

Raz turecki oficer z grupką żołnierzy uzbrojonych w łuki i hakownice wszedł na pokład sprawdzić pasażerów. Zadowolił się jednak wrzeszczeniem na nich po turecku, którego to języka nie znał żaden z podróżnych, oraz pluciem z pogardą. Tak naprawdę i on, i jego ludzie sprawdzili wyłącznie rzeczy pasażerów, większość owych rzeczy zniknęła w tureckich kieszeniach. Jeden z

pielgrzymów, Holender, głośno zaprotestował. Kiedy oprzytomniał po konsekwencjach tego protestu, miał lewą rękę na temblaku, a jego towarzysz, biegły w sztuce Hipokratesa, poinformował go, że ma szczęście, iż nie skończył z pękniętą czaszką.

W końcu kapitan powrócił z dwoma franciszkanami, jeden z nich przemówił do pasażerów. Właściwie to wygłosił krótkie kazanie po włosku, a potem powtórzył je po francusku i niemiecku. Na sam koniec przypomniał im, że będą potrzebowali pokory Pana, by przejść przez to, co mogło ich czekać.

Jednak widok dwóch franciszkanów podniósł pasażerów na duchu. Odśpiewano *Te Deum* i *Salve Regina* na widok Ziemi Świętej, ale kiedy na modlitwy odpowiedział wystrzał z tureckiej armaty, przynajmniej część pasażerów poczuła się przygnębiona.

Teraz jednak wszyscy zaśpiewali *Pange lingua* świętego Tomasza z Akwinu i tysiącletnie psalmy świętego Ambrożego.

Turcy zareagowali ponownie. Pielgrzymi zostali zbici w gromadkę, skrzyczani, opluci i wypchnięci przed oblicza rozmaitych dygnitarzy, z których każdy spoczywał na pięknym dywanie i każdego trzeba było ułagodzić dukatami.

Spisano nazwiska pasażerów a także imiona ich ojców. Ostrzeżono ich, by nie wkładali na siebie nic białego; biel była dozwolona tylko dla prawdziwych wyznawców, do których nie należało chrześcijańskie

ścierwo. Ostrzeżono ich, że broń znaleziona w ich bagażach oznacza śmierć, podobnie jak jakikolwiek chrześcijański atak na prawdziwego wyznawcę.

Franciszkanie dorzucili do tego dalsze ostrzeżenie: „Nie patrzcie na kobiety. Tutejsi mężczyźni są szaleńczo zazdrośni”.

Następnie przekazano ich eskorcie. Tureccy żołnierze spoglądali na nich z pogardą z grzbietów wielbłądów, gdy pielgrzymi usiłowali wspiąć się na własne wierzchowce – maleńkie i wręcz niewiarygodnie brudne osiołki.

Jeźdźcy szli piechotą, bawiąc się we własną grę – polegała ona na tym, że zniecka atakowali osła zaostrzonym patykiem, na co ten podskakiwał albo stawał na tylnych nogach. Pobożny niewierny, który spadał z osła, był źródłem wielkiej radości. Gra zdawała się nie mieć końca, chyba że pielgrzym był na tyle rozsądny, żeby wykupić się z niej za pomocą większej liczby dukatów.

Uli powoli zaczynał gotować się ze złości, Juan z wielkim trudem powstrzymywał towarzysza, by ten nie robił czegoś nieroztropnego.

Iñigo zdawał się za to być całkiem obojętny.

Uli był ciekawy, jak Iñigo zdoła wykręcić się od rozmaitych obowiązkowych opłat. W końcu ludzie, którzy zabrali go na statek, byli lepszymi bądź gorszymi chrześcijanami; powodowała nimi jeśli nie wiara, to pewien zabobonny strach. Cóż jednak mogło powodować muzułmaninem?

Ínigo spoglądał spokojnie na delegata emira Ramy. Spojrzał ponad głowę wielkiego skryby, który bez powodzenia usiłował poznać jego imię – i nie poproszono go o jakąkolwiek zapłatę. Po tym spojrzeniu pozwolili mu przejechać, całkiem jakby doszli do wniosku, że był złudzeniem optycznym.

Nie wsiadł na osiołka, którego mu zaproponowali. Szedł piechotą. Kiedy jeden z Turków celowo go popchnął, Ínigo nawet nie podniósł wzroku, lecz dalej szedł przed siebie, z na wpeł przymkniętymi oczyma i dłońmi złożonymi w modlitwie.

Ten człowiek to nieprzenikniona forteca, pomyślał Uli i pokręcił głową. Zapewne przebywał gdzieś daleko, zatopiony w myślach.

Miał rację. Ínigo przebywał daleko, ale w czasie, nie w miejscu. Cofnął się o piętnaście wieków.

Cofnął się jeszcze bardziej, gdy dołączyła do nich karawana Żydów, którzy przyjechali z Egiptu.

Spędzili jedną noc w Ramie i drugą w połowie drogi między tym walącym się miastem a Jerozolimą.

Dochodziła dziesiąta rano, kiedy franciszkanie poinformowali ich, że lada moment ujrzą miasto. Ze spragnionych gardel dobył się chrypliwy śpiew.

Nagle Juan złapał Ulego za ramię.

Zza wzgórza wyłonił się krzyż i rósł powoli. Potem ukazał się dźwigający go człowiek. Drewniany krzyż miał nie więcej niż dwa czy dwa i pół metra. Mężczyzna był franciszkaninem, za nim szło więcej zakonników, by

powitać pielgrzymów w Świętym Mieście.

Uli ścisnął dłoń Juana i skinął głową. I jego dziwnie wzruszył widok krzyża, który nagle ukazał się nad wzgórzem. Po raz pierwszy Uli poczuł, że znalazł się na świętej ziemi.

Nie był sam. Śpiewy ucichły.

W głębokiej ciszy przeszli ostatnie trzy kilometry do Świętego Miasta. Zapomnieli jednak o cierpieniu, głodzie, pragnieniu i upokorzeniach. Śpiewali w sercach.

Przy bramie do Jaffy zatrzymano ich, a tureccy urzędnicy przeszukali im bagaże.

Potem dwójkami weszli do miasta.

Procesja zatrzymała się przed kościołem Grobu Świętego, wybudowanym przez świętą Helenę po znalezieniu Prawdziwego Krzyża, gdzie leżał ukryty pod gruzami i piachem z trzech wieków. Turcy zażądali za wejście opłaty siedmiu dukatów.

Ale cóż to było? Czym były te niewielkie utrapienia i złośliwości w takiej chwili?

Z lewej i prawej strony otoczyli ich uzbrojeni saraceni; dzieci rzucały w nich kamieniami i błotem; z każdego rogu ulicy dobiegały wyzwiska, podobnie jak z każdego domu.

Niewiernych nie witano tu przyjaźnie.

Nieważne.

Pozwolono im odwiedzić Wieczernik, gdzie Chrystus spożył ostatnią wieczerzę razem z apostołami, pomieszczenie, gdzie odprawiono pierwszą Mszę Świętą.

Franciszkanie uklękli przed pielgrzymami i obmyli im stopy na cześć pewnego nieśmiertelnego wydarzenia sprzed półtora tysiąca lat.

Potem podróżni udali się do domu Kajfasza. Widzieli miejsce, gdzie stała Maryja, czekając na proces swojego Syna.

Stali w miejscu, gdzie Maria Magdalena po raz pierwszy ujrzała zmartwychwstałego Chrystusa.

Szli, pogrążeni w modlitwie, przez Via Dolorosa na Kalwarię. Na Kalwarii uklękli. To było tu. Właśnie tu. W tym miejscu Chrystus umarł za nich. Mogli dotknąć Go własnymi rękoma, własnymi ustami.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Fra Angelo de Ferrara wysłuchał raportu Fra Onufrio. Nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego. Trzech pielgrzymów dopadła gorączka. Jeden być może już nie żył. Dwóch zostało zaatakowanych kamieniami przez Saracenów, już się nimi zajęto. Dwaj inni zmarli wczoraj; oto ich nazwiska, rzeczy i adresy rodzin w Lizbonie i Utrechcie. Najgorsze informacje napłynęły na końcu: w mieście zjawiono się pięciuset janczarów, krążyły pogłoski, że wkrótce zjawi się mufti, poseł samego szejka ul Islama.

Fra Angelo westchnął głęboko. Widział związek między tymi dwiema sprawami. Mufti przywiezie ze sobą nakaz eksmisji albo przynajmniej ponownie zredukuje działalność franciszkanów na tym terenie. Nowy sułtan był jeszcze bardziej gorliwym muzułmaninem niż poprzedni. Każdego dnia mógł cofnąć przywileje nadane przez Saladyna samemu świętemu Franciszkowi, i nikt nie będzie już strzegł świętych miejsc.

– Coś jeszcze. Fra Onufrio?

– Znowu jest tu ten mały hiszpański pielgrzym – ten, który kuleje. Mówiłem, że jesteś zajęty, bracie, ale oświadczył, że poczeka. Czeka już trzy godziny.

– To pewnie wizyta grzecznościowa. Trzeba mi było powiedzieć o nim wcześniej. Niech wejdzie.

Kulawy hiszpański pielgrzym wszedł. To jednak nie była wizyta grzecznościowa, gdyż poprosił o przyjęcie do

zakonu.

Fra Angelo natychmiast go polubił, ale musiał odmówić. Zakonu nie było na to stać.

Pielgrzym bardzo go prosił. Potrzebował jedynie celi i spowiednika.

Fra Angelo zauważył, że liczba zakonników nie może przekraczać dwudziestu czterech braci. Inni pielgrzymi również próbowali tu zostać, ale tylko ponieśli śmierć z rak saracenów albo zostali sprzedani jako niewolnicy.

Pielgrzym odparł, że wszystko mu jedno, co się z nim stanie, jak długo może służyć Bogu w kraju, w którym zmarł Chrystus.

– Wiem, co czujesz – odparł Fra Angelo łagodnie. – Wierz mi, dobrze to rozumiem. Myślisz, że z radością ci odmawiam? Wracaj do reszty.

Pielgrzym odparł cicho, że już podjął decyzję i że zostanie.

– Muszę ci tego zabronić – powiedział Fra Angelo jeszcze łagodniej. – Ojciec Święty dał mi pozwolenie na ekskomunikę wszystkich, którzy sprzeciwiają się memu autorytetowi. Pokażę ci jego Ust.

Twarz pielgrzyma zamieniła się w maskę.

– Twoje słowo mi wystarczy – odparł grobowym głosem. – Będę posłuszny.

Uniósł wzrok i ujrzał w smutnej twarzy starego franciszkanina odbicie cierpienia i upokorzenia Chrystusa.

Ukląkł, ucałował dłoń starca i wyszedł.

Poruszał się jak we śnie. Dziś, właśnie dzisiaj, będzie

musiał opuścić Jerozolimę, może na zawsze.

Każdy dzień, każdy widok ujrany w tych dniach musiał pozostać wyryty w jego sercu, by nie został utracony ani zapomniany.

Karawana pielgrzymów miała wyruszyć za dwie godziny. Musieli poczynić przygotowania, spakować rzeczy, spłacić rachunki. On jednak nie. Miał dwie godziny na to, by znaleźć się jak najbliżej swojego Pana.

Poczuł przemożne pragnienie, by raz jeszcze powędrować na Górę Oliwną, pocałować skałę, z której Chrystus wstąpił do niebios.

Co by się stało, gdyby to zrobił? Mogli go aresztować. Chrystusa aresztowali. Mogli go ubiczować. Ubiczowali Chrystusa. Mogli go zabić – zabili Chrystusa. Postanowił iść.

Zatrzymali go strażnicy. Podarował im swój nożyk, którym ostrzył pióra. Przepuścili go, więc wspiał się na wzgórze.

Znalazł się na skale, z której Pan opuścił ziemię. Właśnie stąd niewidzialna nić rozciągała się aż do nieba, tak jak niewidzialna nić prowadziła z nieba do ziemi, do stajenki w Betlejem.

Tam się modlił, a w modlitwie zatracił poczucie czasu.

Pielgrzymi zebrali się przed odpłynięciem statku, franciszkanie dokładnie ich policzyli. Turcy tylko czekali na jakieś potknięcie, żeby zakwestionować resztki praw chrześcijan w miejscu narodzin Chrystusa. Brakowało

jednego pielgrzyma.

– Pójdę i go poszukam – postanowił Uli, zaniepokojony nieobecnością Ifiigo, którą zauważył jeszcze przed franciszkanami. – Juan, zostaniesz tutaj. Pod żadnym pozorem nie ruszaj się stąd do mojego powrotu.

Dołączył do franciszkanów, którzy krążyli po okolicy.

– Co za głupota – narzekał jeden z braci. – Co za różnica, tych kilka minut? Grozi mu niebezpieczeństwo – nam wszystkim zresztą też.

Nie było go w kościele Grobu Świętego ani na Kalwarii. Na Górze Oliwnej? Być może.

Pobiegli.

Jeden z franciszkanów oraz turecki strażnik zaczęli się spierać.

– Był tu, wrócił i znowu poszedł – wyjaśnił franciszkanin pośpiesznie.

Uli pokręcił głową, lecz już po chwili ujrzał, jak Inigo schodzi z góry, a tuż za nim braciszek zakonny, który wymachiwał ciężkim kijem. Uli podbiegł do nich, wyrwał kij z ręki mnicha, złamał na pół i powiedział ze złowróżbną łagodnością:

– Musiałem obiecać, że nie będę używał przemocy wobec żadnego muzułmanina. Ty nie jesteś muzułmaninem, prawda, przyjacielu?

Turecki strażnik uśmiechnął się szeroko. Było jasne, że wszyscy chrześcijanie są idiotami. Jeden z tych głupków podarował mu nożyk tylko po to, by wspiąć się

na niewielką górkę. Potem musiał wrócić. Następnie znów zapragnął wejść na górę, by raz jeszcze się rozejrzeć. Za to oddał mu nożyczki. Teraz miał problemy z własnymi ziomkami. Allah zaćmił im umysły, byli niczym małe dzieci, które bawiły się i biegały w kółko bez żadnego celu.

Iñigo nie odezwał się ani słowem. Nawet nie zauważył incydentu z kijem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

– No właśnie – Isabel Roser z aprobatą skinęła głową.
– Teraz wyglądasz jak trzeba – śliczna dziewczyna, dobrze wychowana señorita – a nie na wpół dziki młodziak, podróżujący po całym świecie jak Cygan.

Juanita nerwowo skubała fałdy szerokiej sukni w kolorze miodu.

– Dziwnie się czuję, doba Isabel – powiedział drżącym głosem. – Czuję się jak... jak oszust.

Isabel Roser parsknęła śmiechem.

– Oszustem byłeś do tej pory, moja mała. Wierz mi, to nie mogłoby już długo potrwać. Za bardzo się zaokrągliłaś. Nie musisz się rumienić, dziecko. Tak właśnie powinno być, człowiek, który pewnego dnia cię poślubi, na pewno się z tego ucieszy.

Uśmiechnęła się, widząc zmieszanie dziewczyny.

– Chyba nawet się domyślam, kto to może być – dodała.

– Proszę, doña Isabel...

Dama ujęła rękę dziewczyny.

– Kochasz go, moje dziecko? – zapytała łagodnie. – To najważniejsze. Takie pytanie zadałaby ci twoja biedna matka, gdyby żyła. Kochasz go?

– Tak, doña Isabel, kocham go. Ale...

– Tak?

– Nie jestem pewna, czy on mnie kocha.

Doña Isabel roześmiała się.

– Musiałby być strasznym głupcem, gdyby cię nie kochał. Widziałam, jak na ciebie patrzy. Kocha cię, o to się nie martw. Musimy jednak jakoś zadbać o twój posag. Zajął się już domkiem twojej matki. Na szczęście nikt nie odważył się wejść do środka, to przez ten krzyż na drzwiach. A kiedy kwarantanna dobiegła końca, dopilnowałam, by władze nakazały go strzec.

– Jesteś, pani, taka dobra dla mnie, dla wszystkich.

–Nonsens. Szkoda, że nie było w nim więcej cennych rzeczy. Zdaje się, że twój ukochany również nie należy do bogaczy. Ubóstwo nie jest wadą, czasem bywa nawet niezbędne do osiągnięcia świętości. Jednak młoda para powinna mieć dość pieniędzy, by jakoś sobie poradzić. Zobaczymy, co się da z tym zrobić. Są też listy i dokumenty, kazałam je spakować. Przejrzyj je w wolnej chwili. Włożyłam je do małej walizeczki z czerwonej skóry, jest w twoim pokoju. Czy oddasz mi przysługę, moje dziecko? Wróciliście już cztery dni temu, cała wasza trójka, a ja widziałam go tylko dwa razy, przez kilka minut. Wiesz, jaki jest – upiera się, by chodzić i żebrać o jedzenie, wiedzie żywot mnicha, a teraz studiuje łacinę...

– Nie wiedziałam. Sądziłam, że zna wszystko.

– Tak, to dziwne, chociaż może wcale nie bardzo. Kiedy przybył do Manresy, było tak, jakby narodził się po raz drugi, nic nie mógł zrobić dla siebie. Musieli go karmić, dbać o niego, opiekować się nim. To było jego niemowlęctwo. Potem odbył tę pielgrzymkę – jak

dziecko, które zaczyna samodzielnie chodzić, zbierał doświadczenia we wrogim świecie pełnym Turków i Saracenów. A teraz idzie do szkoły. Nie śmieję się, moje dziecko. Dziwnie obserwować, jak olbrzym osiąga swój całkowity wzrost.

A on będzie olbrzymem, zobaczysz. Czy widziałaś kiedyś rzeźbiarza przy pracy? Najpierw odrywa wielkie kawały fl z niekształtnej bryły gliny i formuje je w rękach, aż pod wpływem jego dotyku zdają się ożywać. Właśnie tak samo ludzie tacy jak on traktują historię. Formują ją na swoje podobieństwo, jak Bóg ukształtował człowieka na swoje podobieństwo. Uważam, że to i powstanie człowieka to dwa największe cuda pod słońcem.

– Teraz ma tyle imion. – Juanita uśmiechnęła się do rozmówczynie. – Ty, pani, nazywasz go olbrzymem. Uli... To znaczy...

– Wiem, kto to.

– Uli nazywa go generałem. A ja moim świętym.

– Pewnie jest tym wszystkim. I przez to wszystko j człowiek jest bardzo samotny i ma niewiele czasu dla j tych, którzy pragną być jego przyjaciółmi. Nie powiedział ! mi nic o waszej podróży. Powinnam być na ciebie bardzo I zła, moje dziecko, za to, że uciekłaś ode mnie w podróż po świecie, w dodatku w tak nieodpowiednim stroju. Ale byłaś w jego towarzystwie, więc nic nie powiem. Bo nic złego nie może się stać tam, gdzie jest on.

– To prawda – poświadczyła Juanita gorliwie. – Sprawdzało się to raz za razem.

– No to ty powiedz mi o podróży. Wszystko, wszystko, co pamiętasz – nawet jeśli miałyby to trwać godzinami.

I rzeczywiście trwało to godzinami.

Isabel Roser słuchała z zamkniętymi oczyma, a jej smukłe białe dłonie, lśniące od pierścieni, spoczywały na podołku. Dwukrotnie Juanita myślała, że jej rozmówczyni zasnęła, ale za każdym razem, gdy milkła, słyszała:

– Mów dalej. Chcę wiedzieć wszystko.

Juanita powiedziała jej o koszmarnej podróży powrotnej do Jaffy, gdzie wielu pielgrzymów zmarło z powodu choroby, wyczerpania i okropnego jedzenia.

O tym, jak podróż na Cypr zajęła dwanaście dni zamiast pięciu, bo w statku zrobiła się dziura, a wiatr całkiem zamarł.

Ku swojemu przerażeniu odkryli, że kapitan „Negrony” nie czekał na nich, chociaż przysięgał, że poczeka, ale odpłynął z powrotem do Wenecji.

O tym, jak próbowali znaleźć miejsce na pokładzie innego statku, chociaż zostało im zaledwie parę groszy.

Był tam duży, solidny wenecki statek, który należał do braci Contarinich. Mogliby na nim popłynąć, jednak chciwi właściciele nalegali, by zapłacić im wszystko, co mieli, a w dodatku nie zamierzali wziąć Inigo.

Na próżno inni pielgrzymi tłumaczyli braciom Contarinim, że odmawiają świętemu. Jeden z braci odparł hardo:

– Jeśli to święty, niech się przespaceruje po

wodzie, jak święty Jakub z Composteli.

Drugi brat wybuchnął śmiechem.

I tak duży, solidny wenecki statek odpłynął bez nich. Wkrótce znaleźli miejsce na niewielkiej łódce należącej do kapitana Bigarelliego. Kapitan zabrał Iñigo za darmo. Kiedy w końcu dotarli do pierwszego portu, Limissy, | usłyszeli, że wielki wenecki statek poszedł na dno podczas sztormu.

Isabel Roser przeżegnała się pośpiesznie.

– „Feria” – wymamrotała. – Tak samo było z „Ferią”.

– Uli też to powiedział – Juanita pokiwała głową.

– Kiedy bracia Contarini odmówili mojemu świętemu, Uli powiedział: „To pierwszy raz, kiedy ktoś mu się oparł. No i dobrze. Już myślałem, że może zrobić z ludźmi wszystko”. Ale i tak się wściekał. Potem, kiedy I dotarła do nas wieść o zatonięciu „Leone”, dodał: „Bezpieczniej płynąć z nim w łupinie orzecha niż bez niego j w Arce Noego. Wiesz co? Ten człowiek to prawdziwy | szczęściarz, ot co”. Ale wcale tak nie myślał. Dobrze go znam – tak sędzę.

– Mów dalej.

Dopłynęli do Rodos, znowu natknęli się na sztorm i całymi tygodniami nie mogli opuścić Krety. Na Boże Narodzenie w Cefalonii było bardzo zimno, udało im się wejść na pokład idiotycznie małej łodzi w Parenzo. Potem przybyli do Wenecji i na piechotę udali się do Genewy. Potem Iñigo dwukrotnie został aresztowany, raz przez Hiszpanów, a drugi raz przez Francuzów – pielgrzymi

nawet nie wiedzieli, że jest wojna – i Inigo zdołał uciec, bo był tak obojętny na pogróżki hiszpańskiego kapitana, że uznano go za niespełna rozumu.

Potem Juanita opowiadała o ostatniej podróży z Genewy do Barcelony i o tym, jak Uli oznajmił kapitanowi: „Masz szczęście, że wzięłeś naszego przyjaciela za darmo. Stawiam dwadzieścia do jednego, że bezpiecznie przybędziemy na miejsce”.

Isabel Roser roześmiała się i wykrzyknęła:

– Co za piękna historia. – Otarła oczy. – Zapiszę to. Ludzie będą chcieli o tym wiedzieć, gdy nas już zabraknie. Jednak to straszne, że chrześcijanin nie może odwiedzić świętych miejsc, nie będąc obrabowany, obrażony i upokorzony.

– Sama nie wiem – odparła Juanita powoli. – Może właśnie to powinno nas spotykać, kiedy idziemy w Jego ślady.

Isabel Roser popatrzyła na nią przenikliwie.

– Czy on tak powiedział?

– Tak. Kiedy pewnego dnia mówił o Koronie Cierniowej.

– Zastanawiam się, czy ktokolwiek może udać się na taką pielgrzymkę i powrócić niezmienny. – Starsza z kobiet pokiwała głową. – Wiem, że się zmienił. Ale ty zdaje się też, a także twój szwajcarski przyjaciel. O wilku mowa! – Roześmiała się głośno. – Właśnie idzie. Widzę, że podchodzi do drzwi od ulicy. Ma przy sobie włócznię, tobołek i bardzo długi miecz. – Czy on sądzi, że mój dom

to forteca?

Skinęła głową służącemu, który obwieścił przybycie Ulego i podeszła do gościa, gdy wszech.

– Witaj, wojowniku – powiedziała z przyjacielskim uśmiechem. – Cieszę się, że zostawiłeś swoją straszliwą broń za drzwiami. Nie miej mi za złe, muszę zająć się domem. Tymczasem ta młoda dama dotrzyma ci towarzystwa. Naturalnie, nie powinnam zostawiać jej z tobą sam na sam, bez guwernantki. Mówiono mi jednak, że w twoim kraju obowiązują inne obyczaje, więc uczynię wyjątek – ten jeden jedyny raz.

Znowu z gracją skinęła głową i odeszła.

Uśmiech na ustach dziewczyny zamarł. Uśmiechała się, bo pomysł przyzwoitki w obecności Ulego wydawał się absurdalny, skoro podróżowała z nim po całym świecie przez wiele miesięcy. Uśmiech jednak zamarł, gdyż nagle poczuła, że te kilometry i miesiące rozplynęły się w nicość i że jest z nim sam na sam po raz pierwszy.

Co było absurdalne, rzecz jasna.

Nie mogła spojrzeć mu prosto w oczy. Jej serce biło tak głośno, że obawiała się, czy Uli tego nie słyszy.

– Dziecko, nienawidzę tej chwili – powiedział cicho.

Szeroko otworzyła oczy. Zaskoczenie przeszło w rozdzierający niepokój. Uli był trupio blady, jego wargi i ręce drżały.

– Jesteś chory – powiedziała dziewczyna bez tchu. – Jesteś...

– Nienawidzę tej chwili – powtórzył. – To jedna z

dwóch najgorszych chwil w moim życiu. Co gorsza, obie mają ze sobą wiele wspólnego.

Cała krew odpłynęła z jej twarzy.

– Co masz na myśli? – wyszeptała dziewczyna. – Dlaczego tak na mnie patrzysz? Co ja zrobiłam?

– Ty? Nic, niech Bóg ma cię w swojej opiece. Chodzi o mnie. Zawsze sądziłem, że dobry ze mnie żołnierz, jednak się myliłem. Dobry żołnierz ma odwagę. A ja jestem najgorszym tchórzem na świecie.

– Nie mów tak! – krzyknęła.

On jednak ciągnął nieustępliwie:

– Jestem takim tchórzem, że chciałem się wymknąć bez jednego słowa. Spakowałem rzeczy. Ale nie mogłem odejść, nie przechodząc obok domu, w którym mieszkasz. Tego też nie mogłem znieść. Musiałem tu wstąpić.

– Odchodzisz?

Pokiwał głową.

– Ale... dlaczego? Dokąd?

– Sam nie wiem dokąd. To nie ma znaczenia. Dlaczego? Bo cię kocham, to jasne.

Jej twarz się rozpromieniła.

– Niemądry człowieku, nie wiedziałeś, że ja...

– Nie mów tego – przerwał jej chrypliwie. – Nie mów tego. Nie wolno ci.

– Ale dlaczego, dlaczego... Co w tym złego?

– Wszystko. Zaraz ci wyjaśnię. Bóg wie, jak bardzo tego nie chcę. Ale masz prawo wiedzieć.

Juanita usiadła. Patrzyła na niego szeroko rozwartymi

oczyma. Raz jeszcze była dzieckiem, przerażonym dzieckiem.

– W młodości służyłem w gwardii papieskiej – zaczął Uli. – Chyba ci o tym wspomniałem. Nie trwało to jednak długo. Nie potrafiłem trzymać języka za zębami. Wychowali mnie porządni chrześcijanie. Ojciec Święty był następcą świętego Piotra. To jednak, co widziałem, nie było święte. Mówiłem o tym. Początkowo kapitan mnie wyśmiewał, potem się rozzłościł. Kazano mi odejść. Powróciłem do domu. Poznałem dziewczynę, Małgorzatę. Była dosyć ładna, pokochałem ją. Miałem dziewiętnaście lat, ona siedemnaście. Oświadczyłem, że pragnę się z nią ożenić. Roześmiała się i oznajmiła: „Nie masz domu, w którym moglibyśmy zamieszkać”. No to wybudowałem dom. Wzięliśmy ślub.

Juanita milczała. Jej dłonie były lodowate.

– Wybuchła wojna – ciągnął Uli – z Francuzami. Musiałem iść. Było to zaledwie kilka miesięcy po naszym ślubie. Małgorzata płakała, jak wiele żon w tamtych czasach. Nie chciałem jej opuszczać, ale nie było innego wyjścia. Nie miałem chromej nogi, jak Kaspar Jost. Kaspar Jost był chłopakiem, który pragnął poślubić Małgorzatę. Nie był zły, naprawdę ją kochał. No ale ona poślubiła mnie. – Odetchnął głęboko. – Wojna potoczyła się źle. Przegraliśmy jedną bitwę, potem następną. W drugiej dorobiłem się tego... – Wskazał na długą bliznę biegnącą przez jego czoło. Był teraz bardzo blady, więc blizna odcinała się czerwoną kreską, niczym świeża rana.

– To mnie na jakiś czas wyeliminowało z walki, a Francuzi zapakowali mnie na wózek i zabrali ze sobą. Zostałem więźniem. Najpierw myśleli, że umrę. Szkoda, że wtedy nie umarłem.

– Nie – wyszeptała. Nie. Nie.

– To by mi zaoszczędziło sporo problemów – mruknął ze smutnym uśmiechem. – Nie mówiąc już o innych. Po czterech miesiącach wydobrzałem, ale nadal byłem więźniem. Może wszystko potoczyłoby się jak trzeba, gdybym nie próbował uciec. Bardzo chciałem wrócić do domu. Złapali mnie i wsadzili do więzienia. Potem o mnie zapomnieli. To się czasem zdarza. Wojna dobiegła końca. Szwajcarska armia znacznie wcześniej powróciła do domu. Ja wciąż gniałem w tym przeklętym więzieniu. Potem najwyraźniej coś się komuś pomieszało. Wzięto mnie za kogoś innego. Spędziłem dwa lata w tej francuskiej dziurze; w kajdanach. Nagle powiedziano mi, że to wszystko pomyłka, i już byłem wolny. Nie miałem pieniędzy, ubrań, niczego. Zebrałem, ale możesz mi wierzyć, nie czułem się dzięki temu święty. Powróciłem do domu. Po drodze spotkałem kilku znajomych, oni jednak mnie nie rozpoznali. Byłem chudy jak szkielet, no i doszła jeszcze ta blizna. Potem dotarłem do swojej wioski. Był zmierzch. Pierwszą osobą, którą dostrzegłem, był Kaspar Jost. Zawołałem go po imieniu, a on gapił się na mnie. Najpierw mnie nie rozpoznał. Potem jednak ujrzał kim jestem, przeżegnał się i wymamrotał modlitwę. Sądził, że ma do czynienia z duchem.

Uli parsknął niewesołym śmiechem.

– Musiałem nim potrząsnąć, żeby uwierzył, że jestem człowiekiem. Wtedy się załamał. Płakał, klął i wył. Nic z tego nie rozumiałem. W końcu powiedział mi o co chodzi. Już dużo wcześniej uznano mnie za zmarłego. Dwóch ludzi poświadczyło, że widziało jak padam na ziemię. Pewnie była to prawda. Mówili, że Francuzi rozplatali mi głowę mieczem, i to także była prawda. Oficjalnie zostałem uznany za trupa. Małgorzata odczekała rok, jak dobra wdowa, a potem wyszła za Kaspara Josta.

– O Boże...

– Chciałem go zabić, ale nie mogłem. Przecież to nie była jego wina, prawda? Ani wina Małgorzaty. Niczyja. Po prostu tak się złożyło. A ten biedny Kaspar wył: „Co robić, co robić? Co się z nami stanie? Co się stanie z moim synem?”. To przesądziło sprawę. Mieli syna, trzymiesięcznego. To był syn Kaspara, no i Małgorzaty. „Idź do domu, do żony”, powiedziałem Kasparowi. Patrzył na mnie jak na wariata. „Co z tobą?”, zapytał. „Zapomnij o mnie”, odparłem. Ja nie żyję.” Kazałem mu uciekać do domu jak najszybciej, zanim zmienię zdanie. Pobiegł. Zostałem sam na drodze. Widziałem dach mojego domu, tego, co kiedyś było moim domem. Odwróciłem się, wszedłem do lasu i czekałem. Kiedy zapadła ciemność, wślizgnąłem się do wioski i podszedłem pod mój... pod dom. Zajrzałem przez okno. Zobaczyłem ich wszystkich. Małgorzata karmiła dziecko piersią. Wydawała się szczęśliwa. Kaspar siedział w kącie i gapił

się na nią. Nie zabawiłem tam długo, ktoś mógł przechodzić i mnie zobaczyć. Wróciłem do lasu, tam spałem. A może raczej usiłowałem spać. Rankiem odszedłem. Zebrałem, aż znalazłem się tak daleko, że mogłem być pewien, iż nie wpadnę na nikogo, kto mnie zna. Pewien farmer dał mi pracę, najpierw lekką, aż odzyskałem siły. Po pół roku mogłem pracować ciężiej, więc pracowałem dla niego. Po pewnym czasie odszedłem i dołączyłem do Bawarczyków. To trudni ludzie, ale przynajmniej znalazłem się z dala od Szwajcarii. Służyłem księciu Landshut. Służyłem cesarzowi, walczyłem pod starym Frundsbergiem, dotarłem nawet na Węgry, gdzie zmagaliśmy się z Turkami. Jednak po tym dniu, kiedy Kaspar Jost poinformował mnie, że umarłem, nie mogłem uwierzyć, że Bóg interesuje się tym światem. Małgorzata, Kaspar, ja – żadne z nas nie zrobiło nic złego. Nikt nie był winny. A jednak to się stało. Postanowiłem godnie walczyć i godnie żyć. Nie dlatego, że chciałem zadowolić Boga, i tak było Mu wszystko jedno, ale dlatego, że taka była moja wola. Pewnego dnia zaciągnąłem się na służbę pod ekscelencją Charlesem de Gramot, biskupem Couserans. On i jego oddziały połączyły się z generałem Andre de Foix, by odbić Nawarrę. Znasz resztę.

Nic nie mówiła. Jej zalana łzami twarz była równie blada jak twarz Ulego.

– A może nie znasz – dodał chrypliwie. – W Pampelunie przygarnąłem pewnego młodzika. Trochę

mnie niepokoił, ale nie bardzo. Czasem wyglądał jak dziewczyna i wtedy niepokoił mnie znacznie bardziej. Potem uświadomiłem sobie, że nie chcę się go pozbywać. Potem zrozumiałem, że nie wyobrażam sobie życia bez niego.

W Barcelonie – tutaj – gdy doña Isabel zajęła się tobą, pomyślałem, że już po wszystkim, chciałem się upić i zapomnieć. Nie mogłem jednak zapomnieć, upić też się nie mogłem. Wtedy pomyślałem o bracie mojego dziadka. Wspominałem ci o nim parę razy, to pustelnik, brat Klaus. Myślałem o nim, pomyślałem też o don Ifiigo i zmianie, jaka w nim zaszła. Chyba stał się szczęśliwy, tak jak szczęśliwy był brat Klaus, żyjąc wyłącznie dla Boga. Pamiętałem też modlitwę, którą odmawialiśmy jako dzieci; była to modlitwa brata Klause: „Panie mój i Boże mój, zabierz mnie od siebie i weź mnie dla siebie”. I: „Panie mój i Boże mój, zabierz mnie od wszystkiego, co stoi na mej drodze do Ciebie”. I: „Panie mój i Boże mój, podaruj mi wszystko, co zbliży mnie do Ciebie”. A potem ty weszłaś i powiedziałaś, że udajesz się na pielgrzymkę z don Ifiigo. Poczułem, że brat Klaus wysłuchał mych modlitw i pozwolił mi być z tobą trochę dłużej. Może tak, może nie. Tak czy owak, byłem szczęśliwy.

– Ja też – szepnęła Juanita.

– Pokochałem cię, ale jak ostatni głupiec nie chciałem przyznać tego przed sobą. Jednak wiedziałem to przez cały czas, i wiedziałem również, że nie potrwa to długo. Prędzej czy później będę musiał odejść. Myślałem: jutro.

Nie dzisiaj. A teraz... – Westchnął ciężko. – Byliśmy w tych świętych miejscach. Naprawdę są święte. Zadni muzułmanie, żaden brud, robactwo i inne bzdury nie są w stanie tego zmienić. Byliśmy w świętych miejscach i mieliśmy przewodnika. Miałem go chronić, a tymczasem to on nas strzegł. Jeden z franciszkanów powiedział mi, że pragnął zostać. To było jego największe marzenie. Ojciec gwardian się nie zgodził. Dlatego odszedł. Nadal jest żołnierzem, świętym żołnierzem. A żołnierz, także ten święty, musi słuchać rozkazów. Dlatego tu jestem. Teraz będziesz bezpieczna. Doña Isabel się tobą zajmie.

Umilkł na chwilę, jakby chciał się przygotować na najważniejsze.

– Chciałem, żebyś wiedziała, że cię kocham – powiedział dziwnie dźwięcznym głosem. – Nigdy nie kochałem nikogo tak mocno jak ciebie, i nigdy nie pokocham. Błagam, nic nie mów. Niech cię Bóg błogosławi, Juanie, mój braciszku, moja dziewczynko, moja miłości, ja...

Odwrócił się nagle i wypadł z pomieszczenia, nim zdążyła otworzyć usta.

Chciała wstać, pobiec za nim. Nie mogła. Miała nogi jak z ołowiu.

Chciała krzyknąć, ale nie była w stanie dobyć z siebie głosu.

Siedziała nieruchoma, niema, przygarbiona drobna sylwetka z rękoma na podołku.

Nie mogła płakać. Nawet nie mogła się modlić.

KSIEGA TRZECIA

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Kawaler Frias, człowiek kościelnego Trybunału Inkwizycji, uścisnął dłonie padre Francisco de Mendozy i padre Pablo Hernandeza.

– Rozprawa, która interesuje cię, panie, odbędzie się lada moment. Właśnie prowadzą więźnia z pałacu.

– Z pałacu? – Padre Hernandez szeroko otworzył oczy. – Od kiedy to więźniowie Świętego Oficjum są trzymani w pałacu? Nie macie już więzień w Salamance?

– Żadnych bezpiecznych – zaśmiał się kawaler Frias. – Wy tłumacz to poczciwemu ojczulkowi, Mendoza, dobrze? Ja muszę iść.

Odszedł niczym wielki czarny kruk w kierunku sali sądowej.

– W tej sprawie wszystko jest nieco niezwykłe – uśmiechnął się Mendoza. – Szczerze mówiąc, poważnie się zastanawiam, co zrobią.

– A co w tym niezwykłego – burknął Hernandez. – Znowu jakiś dziki klecha bez wykształcenia ani urzędu podburza ludzi. Jeśli to pierwszy raz, pouczcie go i puście. Jeśli już to robił, niech trochę posiedzi w więzieniu.

A jeśli to nauczanie to herezja i przez nią ludzie odchodzą od prawdziwej wiary...

– Spokojnie, podżegaczu – przerwał mu Mendoza. – Jajo chce być mądrzejsze od kury. Ale nie robi tego po raz

pierwszy. Już go wcześniej aresztowano, w Alcali, za to samo. Nauczał i katechizował razem z innymi, razem było ich czterech, ubrani w podobne szaty. Szare Szaty, tak ich nazywano.

– No właśnie – mruknął Hernandez. – Ci ludzie są jak zaraza.

– Podobnie niektórzy duchowni niepodlegający regule zakonnej mówili o dominikanach, kiedy powstał ten zakon.

Hernandez poczerwieniał.

– Chyba nie robisz tych porównań na serio? – wykrztusił. – W końcu święty Dominik był świętym, a kler w tamtym czasie...

– ...był często rozwiązy i bardzo potrzebował reformy. To prawda. A jak sytuacja wygląda dzisiaj? Myślisz, że ten cały Luter odniósłby taki sukces, gdyby tyłu z nas nie zbłądziło?

– To nie powód, by pozwalać na szerzenie herezji na ulicach chrześcijańskiego miasta – powiedział Hernandez.

– Naturalnie, że nie. Jednak czy Ifiigo naucza herezji? W Alcalá tego nie robił. Przesłuchano go...

– Kto stał na czele?

– Figueroa.

– Jest dość bystry.

– Zgadza się. Stwierdził tylko, że nie wypada, by cała czwórka chodziła w takich samych strojach, jak członkowie jednego zakonu. Skazano ich na przefarbowanie strojów na różne kolory, bo byli zbyt

biedni, by kupić sobie świeckie ubrania.

– Figueroa zadowolili się czymś takim?

– Tak. Jednak więzień nie. Domagał się informacji, czy sąd uznał jego nauki za heretyckie. Figueroi się to nie spodobało, ale musiał odpowiedzieć. Warknął zatem: „Gdyby sąd doszedł do takiego wniosku, spłonąłbyś na stosie”. A więzień odpowiedział lodowatym tonem: „Ty również, gdybyś głosił herezje”.

– Bezczelny.

– Tak. Ale mówił prawdę. Na tym polega problem z tym człowiekiem. Teraz też będzie sprawiał kłopoty, zobaczysz. Nalegał na wydanie oświadczenia, że w tym, czego naucza, nie ma nic złego. A arcybiskup Fonseca przyjął go po procesie i podobno był dla niego bardzo miły. Podarował mu także prezent.

– Czyżby dlatego przebywał teraz w pałacu? – spytał Hernandez ironicznie.

– Niezupełnie. Przebywał w zwykłym więzieniu, ale wybuchł tam bunt, uciekli najgorsi kryminaliści. Otworzyli wszystkie cele, zerwali kajdany więźniom. Inigo jednak został na miejscu.

– Jak święty Paweł w Dziejach Apostolskich?

– Tak – odparł Mendoza spokojnie. – Jak święty Paweł. Odwiedziłem go przed tym buntem, spytałem, czy ciężko znosi pobyt w kajdanach, a on odparł: „nie ma tak wielu słupów i kajdan w Salamance, ale w imię miłości do Boga powinienem pragnąć ich jeszcze bardziej”. O dziwo, dostałem list od uczonego medyka z Alcali, Jorge de

Naverosa. Odwiedził Inigo w więzieniu. Wiesz, co napisał? „Widziałem Pawła w niewoli.”

– Niezwykły człowiek. – Hernandez nerwowo bawił się palcami. Nie chciał za nic okazać, że jest wzruszony. – Dlaczego nie może być zwykłym przyzwoitym chrześcijaninem, jak wszyscy inni? Dlaczego musi robić z siebie kaznodzieję, skoro jest osobą świecką?

Mendoza uśmiechnął się do rozmówcy.

– Może przyda nam się paru nadzwyczajnych ludzi – zasugerował. – A co do tego, że wszyscy inni są przyzwoitymi chrześcijanami...

– Dobrze, dobrze, rozumiem. Nie są. Nie jesteśmy. Ale co by się stało, gdybyśmy pozwolili tym wszystkim dziwnym ludziom robić, co im się dziwnie podoba. Była pewna kobieta z Piedrahity, która nazywała siebie „oblubienicą Chrystusa”, prorokowała rozmaite bzdury na prawo i lewo i mówiła wszystkim, że Najświętsza Maryja Panna zawsze idzie u jej boku, i zawsze kłaniała się uprzejmie, żeby przepuścić Dziewicę, gdy wchodziła do jakiegoś pomieszczenia. Albo ten okropny Medrano i jego bezwstydną praktyki, „sekta światła”. Ludzie spotykali się nago o północy, tańczyli i wygłaszali bluźnierstwa. A iluminaci i ich szalone pomysły...

– Nigdy nie twierdziłem, że Święte Oficjum nie ma racji – przerwał mu Mendoza spokojnie. – Musi się rozprawiać z takimi ludźmi, i to robi. Każdy przypadek jednak należy rozpatrzyć indywidualnie, dlatego też wątpię, czy znajdą coś na tego człowieka. Kiedy znaleźli

go, modlącego się w celi, z otwartymi drzwiami po buncie więźniów, postanowili przenieść do pałacu. A oto doktor Santisindro. Rozprawa się zaczyna.

Czterej sędziowie, doktor Santisindro, doktor Paravinhas, doktor Frias i kawaler o tym samym nazwisku rozpoczęli rozprawę. Wszyscy czytali księgę oskarżonego, *Ćwiczenia duchowne*, ale trudno było stwierdzić, czy wyciągnęli z niej jakieś pożyteczne wnioski.

Kawaler Frias rozpoczął przesłuchanie i poprosił więźnia o jego opinię na temat prawa kanonicznego.

Więzień odparł, że nie studiował tego prawa, ale odpowie na pytanie, jako że jest do tego zmuszony.

Doktor Paravinhas poprosił go wobec tego, by wyjaśnił, jak rozumie tajemnicę Trójcy Świętej i Eucharystii.

Odpowiedzi więźnia były bez zarzutu.

Doktor Santisindro uznał, że kolej na niego. Jego uczeni koledzy zbytnio ułatwiali sprawę oskarżonemu.

– Twierdzisz, że nie jesteś wykształcony, a jednak nauczasz. Możesz nam wytłumaczyć znaczenie pierwszego przykazania?

Krucha sylwetka nagle zdała się potężniejsza. Szpiczasta broda uniosła się dumnie. Z przymkniętymi oczyma, Ifngo zaczął mówić o niezwykłym objawieniu pierwszych słów: „Ja jestem Pan, Bóg twój”. Wytłumaczył, że „Ja” oznacza, że ten Bóg jest Bogiem osobowym, i wyjaśnił, że słowo „jestem” oznacza, że Bóg jest

samoistnym bytem i podstawą istnienia innych bytów, a także do uznania „Tego, który Jest” za pierwotne imię Boga, co wyjaśniałoby słowa Chrystusa, który przemówił do Żydów: „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Zanim Abraham stał się ja jestem”. Potem wyjawiał, że Bóg zażądał uznania swojej najwyższej władzy nad ludzkością, a także Boskiej czci, bo w tych słowach Bóg postanowił przedstawić się swojemu stworzeniu, człowiekowi: Ja jestem Pan, Bóg twój, który cię wywiódł z ziemi egipskiej, z domu niewoli”.

Wygłosił wstrząsające kazanie na temat słów: „Nie będziesz miał cudzych bogów przede Mną!”.

Mówił też o znaczeniu słów: „Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu tego, co jest na niebie wysoko, ani tego, co jest na ziemi nisko, ani tego, co jest w wodach pod ziemią!” oraz o ich bliskim i bezpośrednim związku z surowym ostrzeżeniem: „Nie będziesz oddawał im pokłonu i nie będziesz im służył”.

To przykazanie nakazywało czcić jednego prawdziwego Boga wiarą, nadzieją, miłością i religią, nakazywało unikać fałszywych religii, wątpliwości, niewiary i zaparcia się którejkolwiek zasady wiary. Była to wyraźna przestroga przed karygodną nieznamościami doktryny Kościoła i ostrzeżenie, by nie narażać się na niebezpieczeństwo poprzez dawanie posłuchu niewierzącym lub niewiernym, poprzez czytanie książek z błędnymi naukami, poprzez dopuszczanie się grzechu zwątpienia i pychy. Przede wszystkim jednak znajdowało

się w tym przykazaniu ostrzeżenie, by żadnej istocie nie oddawać czci należnej jednemu, jedynemu Bogu, by nie paktować z szatanem i jego demonami, by nie wierzyć w żadne przesady.

Dwa lub trzy razy doktor Santisindro usiłował się wtrącić, raz nawet sędzia przewodniczący rozprawie, kanclerz biskupi Frias, próbował coś powiedzieć, na nic się to jednak nie zdało.

Uwolnili potok słów oskarżonego, tak jak uwolnili z kajdan jego ręce i nogi, i teraz nie byli w stanie go powstrzymać.

Zażądali pełnego wytłumaczenia pierwszego przykazania i dostali pełne wytłumaczenie.

Ínigo mówił o grzechach świętokradztwa, symonii, o grzechu darzenia Boską czią aniołów lub świętych, relikwii, krucyfiksów albo świętych obrazów.

Mówił o konieczności akceptowania wszystkiego, co nakazał Bóg, o obowiązku wiedzy, o grzechu zaniedbania.

Człowiek, który potrzebował trzech dni, by zgłębić swoje sumienie przed spowiedzią generalną w Montserrat teraz przemawiał przez bite dwie godziny na temat pierwszego przykazania.

Doktor Paravinhas spoglądał błagalnie na sędziego przewodniczącego. Minał już czas popołudniowej stawy, a wyglądało na to, że oskarżony prędko nie skończy.

Kanclerz Biskupi Frias patrzył znacząco na doktora Santisindro i leciutko wzruszył ramionami. Było mu szkoda biednego Paravinha, ale Santisindro nalegał na

pełne wyjaśnienie, więc je dostał.

Tymczasem Inigo rozpoczął trzecią godzinę przemowy.

Nie tylko heretycy na północy, ale katolicy wszędzie, nawet tu w Hiszpanii, nawet w Salamance, popełniali grzech przeciwko pierwszemu przykazaniu. Cytował to, co usłyszał. Opisywał, co widział.

Kanclerz biskupi postanowił interweniować. Uniósł obie ręce i udało mu się sprawić, że Inigo na moment zamilkł.

– To wystarczy – powiedział szybko biskup.

Doktor Paravinhas westchnął ciężko.

– Też tak uważam – wymamrotał.

– Jeszcze tylko kilka pytań – wtrącił Frias. – Określiłeś różnicę między grzechem śmiertelnym a grzechem powszednim w *Ćwiczeniach duchownych*. Jednak tylko teolog powinien robić takie rozróżnienia.

Inigo patrzył na niego spokojnie.

– Oceńcie, co z tego, co mówię, jest prawdą, a co nie. Jeśli mówię nieprawdę, potępcie to.

Kanclerz biskupi otarł dłonią spocone czoło.

– Sąd odracza rozprawę – oświadczył z rezygnacją.

Kilka dni później sąd zebrał się ponownie, ogłoszono wyrok. Nie znaleziono żadnych uchybień ani w życiu, ani w naukach oskarżonego, dlatego też wolno mu było dalej nauczać katechizmu i mówić o sprawach Bożych. Nie wolno mu jednak samemu określać różnicy między grzechem powszednim a śmiertelnym, jeśli wcześniej nie

będzie tego studiował jeszcze przez cztery lata.

Więzień wyszedł na wolność.

Sędziowie podchodzili do niego, jeden po drugim, by mu pogratulować.

– Moim obowiązkiem jest was słuchać – powiedział Inigo. – Nie zgadzam się jednak z wyrokiem. Nie skazaliście mnie, ale zamknęliście mi usta i powstrzymaliście przed pomocą bliźnim, tak jak umiem.

Tłumaczyli to, a on słuchał uprzejmie i ze zwieszoną głową. Potem powiedział powoli:

– Dopóki pozostaję w jurysdykcji Salamanki, będę postępował tak, jak mi nakazaliście.

Padre Francisco de Mendoza natychmiast zrozumiał te słowa. Usiłował skłonić Inigo do pozostania, jak wielu innych. Historia procesu wyszła poza Salamankę.

Jednak zaledwie dwa tygodnie później, Inigo wyruszył do Barcelony i Paryża, piechotą, prowadząc za sobą małego osiołka, którego grzbiet wyładowany był książkami.

– Co za szkoda – powiedział Mendoza do Hernandeza.

– Pewnie tak – przytaknął Hernandez niechętnie. – Ale są też inni.

– Jest wiele innych osiołków, które dźwigają książki. – Mendoza pokiwał głową. – Ale niewielu ludzi, którzy wygłaszają kazania przed Inkwizycją. Wiesz, co myślę?

– Przeceniasz moje możliwości.

– Myślę, że on ma coś, czego całkowicie brakuje

biednemu Savonaroli: poczucie humoru.

– No i co z tego?

– Drogi Hernandezie, ten człowiek to święty. To najpiękniejsza rzecz, jaką można powiedzieć o zwykłej istocie ludzkiej. Jednak święty z poczuciem humoru, to dla mnie ukoronowanie chwały; trafia prosto do mego serca. Nie wiem, o co ci chodzi – mruknął Hernandez.

Nie wiesz, co tracisz. – Mendoza uśmiechnął się do niego.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

– Dowodziłem w czternastu wojnach – oświadczył Jerzy Frundsberg. – A może w piętnastu? Nigdy jednak nie widziałem takiego chlewu.

– To rzeczywiście godne ubolewania – wymamrotał książę Bourbon spoglądając na swoje smukłe blade dłonie. – Cóż jednak można począć, drogi generale? Od dawna im już nie płacono. To tak, jakby odmówić tygrysowi jego racji mięsa i dziwić się, że warczy. Zrobiłem, co mogłem, generale, nawet kazałem przetopić mój złoty talerz i inne rzeczy, bardzo mi drogie. Ale nie mogę zapłacić dwudziestu tysiącom mężczyzn z własnej kieszeni.

– Chlew – powtórzył Frundsberg. – Złoty talerz! Ja zainwestowałem w tę wyprawę ostatni grosz. Proszę na mnie spojrzeć! Jestem żebrakiem bez grosza, a to wszystko dla jego wysokości cesarza. Proszę na mnie spojrzeć!

Książę popatrzył na rozgniewanego Niemca ze źle ukrywaną pogardą. Widział przed sobą wielką głowę, z której wyrastały sztywne siwawe włosy, przypominające szczotkę, krępą szyję, szerokie ramiona, krzepką, pozbawioną gracji figurę, krótkie, grube paluchy, plamy po winie na kubraku i rękawach.

Tak czy inaczej, ten nieokrzesany byk był dawnym mistrzem wojny, najlepszym żołnierzem swoich czasów,

sławnym na całą Europę. Nie trzeba było koloryzować opowieści o nim, prawda wystarczała sama za siebie.

– Problem z tą wojną polega na tym – ciągnął Frundsberg – że wszyscy oszukują wszystkich. Cesarz mówi do mnie: „Frundsberg, idź na Włochy i podbij dla mnie Rzym. Liczę na ciebie”. W porządku. Idę. Ale on nie przysłał mi żadnych pieniędzy. Zamiast tego układa się z papieżem, z kolończykami, z Ugo Moncadą, Bóg wie z kim jeszcze. Moim ludziom to się nie podoba. Naturalnie, skoro nie mam czym im płacić, rabują. Mają co, ale ja nie mogę im na to pozwolić, dopóki nie mam dokładniejszych informacji. No to narzekają. Cesarz to cesarz, ale nie powinien mnie oszukiwać.

Zauważył, że książę zerka na dwóch strażników przy wejściu do namiotu.

– Nie kłopotz się nimi, panie – powiedział. – Potrafię dobrać sobie ludzi. – Wstał i paradoksalnie wydał się mniejszy. Miał krótkie, kłocowate nogi. Podszedł do wejścia do namiotu. – To Ilsank – dodał. – Bawarczyk. Służył już pode mną w wojnie przeciwko Francuzom. A to Uli von der Flue. Szwajcar. Z tą dwójką pokonam dowolne pół tuzina ludzi, co? Czy mam rację? Poza tym wiedzą, że podsłuchiwanie jest dla głupców. Hej, Ilsank, do czego służą usta?

– Do jedzenia i picia, generale – odparł Bawarczyk z uśmiechem.

– Zgadza się. Nie do gadania. Teraz ty, Długi Uli: do czego są uszy?

– Nie wiem, generale – odparł Uli z powagą. – Nie mam ich.

Frundsberg wybuchnął śmiechem.

– Widzisz, książę? Znam swoje dzieci. A one wiedzą, że ja nie oszukuję, nawet jeśli robi to nasz cesarz.

Co za dziecinada, pomyślał książę. Jednak ci infantylni mężczyźni byli silni. Przekonali się o tym mieszkańcy Wenecji i Mediolanu... Dwadzieścia tysięcy ludzi – i żadnych wrogów, z którymi mogli by walczyć. Jeśli to potrwa jeszcze kilka tygodni, zaczną się masowe dezercje. Nawet teraz codziennie wybuchały walki między ludźmi. Hiszpanie i Włosi walczyli z Niemcami. Niemal wszyscy Niemcy Frundsberga byli luteranami. Podbój Rzymu miał dla nich wyjątkowe znaczenie. Przynajmniej dla części z nich. Zastanawiał się, jakie stanowisko zajmuje sam Frundsberg.

– Może masz wątpliwości, czy chrześcijanie powinni walczyć przeciwko Ojcu Świętemu, generale? – spytał cicho. – Może masz skrupuły?

Frundsberg wpatrywał się w niego.

– Skrupuły? Ja? Papież to wróg mojego cesarza. Najgorszy wróg. Sprzymierzył się z Franciszkiem Pierwszym, z Wenecjanami, z Mediolanem – ze Świętą Ligą. Mój ojciec święty to cesarz. Papież zawiśnie na stryczku, nim umrę – nawet jeśli będę miał go powiesić własnymi rękami!

Raz jeszcze książę spojrzał na obu strażników. Stali nieruchomo niczym posągi, a ich twarze nie wyrażały

zupełnie niczego.

– Moja rodzina nie działa w imieniu Medyceuszy, nawet jeśli jeden z nich zasiada na Tronie Piotrowym – powiedział cicho.

Frundsberg uśmiechnął się od ucha do ucha. Ci Włosi wszystko traktowali jak sprawy rodzinne: ktoś kogoś otruł albo załatwił go za pomocą wynajętego zbira w masce na twarzy. Jednak w wypadku księcia Bourbona chodziło o coś jeszcze. Opuścił Jasnego Pana, króla Franciszka Pierwszego, przeszedł na stronę cesarza i był częściowo odpowiedzialny za porażkę starego Franciszka w Pawii. Franciszek nie chciał mu oddać swojego miecza; oddał go Lannoyowi i od tej pory traktował księcia z najwyższą pogardą.

Frundsberg nalał sobie kielich wina. Pomyślał, że ludzie nienawidzą zdrajców. To jednak nic w porównaniu z nienawiścią, jaką zdrajca darzy człowieka, którego zdradził. Nic nie rozwścieczy króla Francji bardziej niż upadek Rzymu. Dlatego właśnie księżę pragnął, by Rzym upadł. Było to jasne jak ruchy na szachownicy.

Jeśli prawdą było, że święty człowiek w Rzymie wciąż uważał, że sprawę da się załatwić polubownie, i jeśli prawdą było, że właśnie dlatego zwolnił część najemników...

Jego myśli przerywano. Przed namiotem jakiś nerwowy głos domagał się natychmiastowego widzenia.

– To kapitan Hauser – powiedział Frundsberg. – Wpuście go, dzieci.

Oficer wszedł, blady i zdenerwowany. Brakowało mu tchu.

– Nonsens – odparł Frundsberg pogodnie. – Moi ludzie nigdy się nie buntują. Opanuj się, Hauser. Wyglądasz jak stara baba, która przypaliła pieczeń. Proszę wybaczyć, książę, muszę iść ukarać chłopców. Jutro dostanę ostateczne raporty. Pomaszerujemy do Florencji i tam zainkasujemy gotówkę, a potem wyruszymy wieszając papieża.

Wytoczył się przed namiot.

Książę powoli ruszył za nim. Słyszał z dala tłumiony hałas, hałas tysięcy ludzi wrzeszczących na siebie, zgromadzonych w kilkunastu miejscach na terenie obozowiska. Jego twarz się wykrzywiła. Zawołał swoich ludzi, wspiął się na konia i odjechał do własnego namiotu.

Ilsank uśmiechnął się na ten widok.

– Jego wysokość nie znajduje przyjemności w takich sprawach. Niech staruszek sam się tym zajmie.

Uli milczał.

– O co chodzi? – zapytał go Bawarczyk. – Brzuch cię rozbolał?

– Nie podoba mi się to – mruknął Uli.

– A komu się podoba? Ale stary postawi na swoim, jak zawsze.

– Nie o to mi chodziło.

– No to o co, u diaska?

– Jedyne apostoł, który kiedykolwiek zawisnął, to Judasz Iskariota – wyjaśnił Uli. – I sam się powiesił.

Ilsank nieco powoli myślał, ale w końcu zrozumiał.

– Dużo ludzi tak teraz gada o papieżu, przecież wiesz.

– Wiem. Ale to złe.

– Sam nie wiem. – Bawarczyk zsunął lekko hełm i podrapał się po głowie. – Są papieże i papieże, prawda? Kilku z nich zbyt wiele dobrego nie zrobiło. Może Bóg chce, żeby za to zapłacili. Może Bóg chce, żeby stary powiesił tego... Jak mu tam?

– Klemensa – odparł Uli. – Bóg nie chce, by zawisł.

– A skąd niby to wiesz? – spytał zdumiony Bawarczyk. – Masz wizje czy co?

– Nie. Ale myślę. Piotr był pierwszym papieżem, prawda?

– Tak, ale był też świętym.

– Został nim – poprawił go Uli. – Wcześniej jednak zrobił coś bardzo złego; trzykrotnie zdradził podczas jednej nocy. Wyparł się znajomości z Chrystusem.

– Chyba coś takiego pamiętam – mruknął Ilsank. – Co to jednak ma wspólnego z...?

– Pomyśl, cymbale. Przecież to nie kardynałowie wybrali Piotra, tylko sam Chrystus. Mimo że nie był idealny. Czemu zatem oczekujemy, że każdy papież będzie ideałem? I co zrobił Chrystus, gdy Piotr popełnił tę zdradę? Powiesił go? Czy też przekazał mu namiestnictwo?

– Może coś w tym jest – mruknął Bawarczyk.

– Przystałem do starego, bo to wielki generał i już pod nim służyłem – powiedział Uli. – Nie wiedziałem

jednak, co knuje. Zadrzeć z Wenecjanami, zaatakować Mediolańczyków – to mi pasuje. Ale nie wiesz się papieża. Po prostu nie.

– Może to niezbyt zdrowe – zgodził się jego rozmówca. – Ale stary zawsze stawia na swoim.

– Jeśli tak, to ja nie chcę brać w tym udziału – odparł Uli. – Jednak nie sądzę, by tym razem mu wyszło, i nie podoba mi się to.

– Na Frundsberga – warknął Ilsank. – Skąd człowiek ma wiedzieć, w co wierzyć? Papież mówi jedno, Luter drugie, książęta się kłócą, uczeni też, wszyscy nam coś wmawiają? Luteranie mówią, że nie wolno wierzyć papieżowi, bo łamie obietnice, myśli tylko o własnych luksusach i powinienem ufać Lutrowi, bo jest uczciwy i mówi po niemiecku. Ale widziałem już wieśniaków, którzy uwierzyli Lutrowi w jego obietnicę. Widziałem, jak jeden z ich wodzów przeczytał im co napisał Luter, a to, co napisał, było przeciwko wieśniakom i za księciem. Najpierw ich pociągnął za sobą, a potem porzucił. I to też było napisane po niemiecku. Może wszyscy tacy się stają, gdy wejdą na szczyt. Ja tam robię, co do mnie należy, dopóki mi płacą. I tyle.

– Też tak kiedyś myślałem – powiedział Uli z pełnym gorczy uśmiechem. – Ale teraz to się nie sprawdza.

– Nie? Dlaczego nie?

– Bo czasem coś, co robisz, prowadzi do czegoś całkiem innego, czego nigdy nie pragnąłeś, ani nawet ci się nie śniło. Ale to się dzieje, i to przez ciebie.

Ilsank pokręcił masywną głową.

– Nic nie rozumiem – powiedział. – O co ci chodzi?

– Strzelasz do kogoś, ranisz, a on się zmienia i zostaje świętym – wyjaśnił mu Uli. – Słyszysz, jak sześciolatka bełkocze o Ziemi Świętej, wyśmiewasz ją, parę miesięcy później sam tam zmierzasz. Ratujesz dziewczynę przed złoczyńcami – nie dlatego, że coś od niej chcesz, ale że jesteś zły – i nagle rozumiesz, że życie bez niej nie ma sensu.

– Ładna była? – spytał Bawarczyk ciekawie. Potem znowu pokręcił głową. – Co się z tobą dzieje?

– Coś się stało – mruknął Uli. – Nie słyszę hałasu.

– Zapanował nad nimi – odparł Ilsank. – Wiedziałem, że tak będzie. Zawsze stawia na swoim. Mówiłem ci przecież.

Uli zmrużył oczy.

– Idzie tu jakaś grupa mężczyzn – powiedział. – Generała nie widzę. Znam jednak jednego z nich, to doktor Becker.

– Kogoś niosą – dodał Ilsank. – Na Frundsberga, to sam generał. Zamordowali go, przekłete świnie!

– To faktycznie on – przyznał Uli. Jego głos drżał. – Ale żyje. Widziałem, jak rusza lewą ręką.

Kilka minut później szóstka ludzi minęła ich i wniosła Frundsberga do namiotu. Oddychał z trudem.

Kątem oka Uli widział, że twarz generała jest popielata. Kącik jego ust dziwnie opadł, prawa ręka zwisała bezwładnie. Doktor Becker wykrzykiwał jakieś

polecenia.

Obaj strażnicy pozostali na miejscu. Żaden z nich nie wyrzekł ani słowa. Po z gruba ciosanej twarzy Ilsanka spływały łzy, Uli wydawał się przestraszony.

Po pewnym czasie przyszli wysocy rangą oficerowie, a wraz z nim cała gromada medyków. Nie zabawili długo. Sprowadzono spory wóz, na nim umieszczono generała. Nadal żył, ale najwyraźniej nikogo nie poznawał. Zamknięto namiot, a strażnicy zostali odesłani do swoich jednostek.

Tam dowiedzieli się, co zaszło.

Rzeczywiście wybuchł bunt. Frundsberg najpierw zareagował jowialnie, potem się rozzłościł, aż w końcu wpadł w taką furję, że najbliżej stojący ludzie się odsunęli. Jednak ci za nimi napierali i Frundsberg ujrzał wymierzone w siebie włócznie – włócznie swoich własnych ludzi, swoich chłopców, swoich dzieci. To było dla niego stanowczo za wiele. Usiłował raz jeszcze na nich ryknąć, ale nie udało mu się wydobyć z siebie ani słowa i upadł. To był udar.

– Czego nie osiągnął siłą osobowości, wrzaskami i straszeniem, osiągnął upadkiem. Przerazenie żołnierze rozpierzchli się i w ponurym milczeniu powrócili do namiotów.

– Myślisz, że wydobrzeje? – spytał Ilsank.

Uli pokręcił głową.

– Nigdy już nie będzie taki jak przedtem. No i nie powiesi papieża.

Kilka godzin później książę Bourbon ogłosił alarm i zarządził przygotowanie do wymarszu. Wkrótce obóz obiegnęła informacja, że wszyscy wyruszają do Florencji.

Luteranie, czyli większość najemników Frundsberga, wpadła we wściekłość. Chcieli iść na Rzym. Powiedziano im, że Florentyńczycy mają znacznie za dużo pieniędzy jak na swoje potrzeby, i to na pewien czas poprawiło żołnierzom humor.

– Zamierzam uwolnić się od tej armii jak najprędzej – powiedział Uli Ilsankowi.

– Wcale ci się nie dziwię – mruknął Bawarczyk. – Frundsberg to Frundsberg. Nie zaciągnąłem się, żeby walczyć pod tym bladawcem, nawet jeśli to książę. Ale przynajmniej zabierzemy trochę pieniędzy Florentyńczykom.

Nie zabrali. Książę dostał informację, że siły Florentyńczyków wzmocniły wojska księcia Urbino i weneckie oddziały, i nikt nawet nie zamierza z nim negocjować. Nie mógł sobie pozwolić na obleżenie miasta. Doskonale wiedział, że oddziały maszerują wyłącznie dlatego, że liczą na rabunek. Od dawna im nie płacono, ich obuwie rozpadało się na kawałki, wyglądali jak strachy na wróble i byli w paskudnych nastrojach. Trzeba było coś zrobić, i to szybko, żeby ich uspokoić. Przyszły raporty z Rzymu. Papież Klemens stwierdził zaledwie parę dni wcześniej, że pokój właściwie jest pewien i nie ma się czym martwić. Zwolnił praktycznie wszystkie dodatkowe wojska, miał zaledwie sześć tysięcy

żołnierzy oraz swoją gwardię szwajcarów, czyli sto osiemdziesiąt dziewięć osób.

Rzym podawał się najeźdźcy na srebrnym talerzu.

Może na wieść o jego zdobyciu król Francji dostanie ataku, jak stary Frundsberg.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

– A jednak Rzym – zauważył Ilsank.

Uli pokiwał głową.

– Słyszałem, jak Niemcy wiwatują.

– Przecież ksiązę to katolik, prawda? – spytał Bawarczyk. – Nic nie rozumiem, a ty?

– Nie. Ale nie chciałbym być w jego skórze. I najchętniej bym się stąd zabierał.

– Wczoraj rozwłóczono i poćwiartowano piętnastu dezertersów – mruknął Ilsank.

– Wiem, ale nie o to chodzi. Dostać włócznią w brzuch to też nic zabawnego. Zanim mnie poćwiartują, muszą mnie najpierw złapać. Złapali tę piętnastkę, bo wszyscy poruszali się razem. Warto było ich ścigać. Jeśli wymknę się samotnie, nocą, i ukryję w jednej z tych farm na wzgórzach...

– Wszystko sobie przemyślałeś, co? – Ilsank popatrzył na niego niespokojnie.

– Tak. Ale nie zrobię tego. Nigdy nie byłem nikim szczególnym, ale przynajmniej byłem dobrym żołnierzem, a dobry żołnierz dotrzymuje słowa. Zaciągnąłem się i służę. Ale nie będę zabijał. Będę się bronił, ale nie będę zabijał.

– Nie wiem, co w ciebie wstąpiło – westchnął Ilsank.

– Może to wszystko dlatego, że kiedyś byłem w Ziemi Świętej – powiedział Uli powoli. – Czegoś się tam

nauczyłem. Weźmy taką Jerozolimę. Jest brudna, pełna muzułmanów, którzy plują na człowieka, wyśmiewają go i nie może się przeżegnać na ulicy, żeby ktoś nie cisnął w niego kamieniem. Ale mimo to jest to święte miejsce. Znam te wszystkie rzymskie opowieści. Sam za młodu służyłem w gwardii papieskiej. To miasto pełne kurtyzan i intryg, jest tam dużo złych księży, chociaż nie gorszych niż w innych miejscach. Ale to jednak święte miasta. Tam zmarł święty Piotr, święty Paweł i męczennicy w cyrku. Myślałeś kiedyś o tym, Ilsank? Zginęli w cyrku. Jednak Rzym to nie tylko cyrk. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Bawarczyk patrzył na niego z otwartymi ustami.

– Na Frundsberga, co ty mówisz? Skończysz jako mnich!

Uli zaśmiał się chrypliwie.

– To dopiero będzie – mruknął.

Tego wieczoru wcześniej rozbili obozowisko. Maszerowali tak szybko, że tylko nieliczni z tych, którzy zawsze ciągną za wojskiem, jak właściciele wozów z mułami, byli w stanie ich dogonić.

Zwykle osoby te zmuszano, by trzymały się w pewnej odległości od obozowiska, i trzeba było zgłaszać dowódcy wyjście po dodatkowe posiłki, wino lub wizytę u „przyjaciółki”, a wtedy sierżant albo kapitan dawał pozwolenie lub nie. Jednak dyscyplina przestała istnieć. Ten marsz nie był marszem regularnych wojsk, ale wędrówką spragnionych łupu maruderów.

Oficerowie popatrzyli na siebie, ale nic nie

powiedzieli.

W wozach i tak były niewielkie ilości trunków, więc należało raczej pozwolić mężczyznom się wyżyć niż ich rozwścieczać.

Uli słyszał bełkotliwie glosy pijaków i szorstki śmiech kobiet. Nie wszystkie z nich były „upadłymi” kobietami. Pamiętał kilka, które lepiej i sprawniej dbały o rany niż medycy, inne zaś walczyły niczym tygrysice, gdy wróg wdarł się do obozowiska – takie jak Matka Walburga z Landshut i Żelazna Klara. Starych wiedźm jednak też nie brakowało, kazały podpisywać się młodziakom na skrawku papieru, gdy żołnierzom brakowało pieniędzy na alkohol, a potem fałszowały rachunki i odbierały wojakom połowę pensji w dniu wypłaty. Były też młodsze kobiety, już zbyt zniszczone jak na gust mieszczan, lecz zawsze gotowe wymienić świeże łupy na swoje usługi. Wszystkie posługiwały się językiem, od którego wędły uszy.

Jedna z kobiet zawołała Ulego, gdy szedł do namiotu.
– Dziękuję, ale nie jestem spragniony – powiedział, po czym odwrócił się, spojrział na nią i znieruchomiał.

Ruszył w jej kierunku, bardzo powoli i nieco niepewnie, niczym pijany.

Być może kobieta pomyślała, że jest pijany, gdyż wybuchnęła śmiechem i otworzyła umalowane na czerwono usta, żeby zażartować. Żart jednak utknął jej gardle, a jej oczy stały się wielkie i szkliste.

Odstawiła kielich, który miała napełnić dla jednego

ze swoich klientów. Dookoła małego stołu chwiało się trzech żołnierzy z cynowymi dzbanami – sami Hiszpanie.

Teraz kobieta drżała.

– *Por favor, compañeros* – idźcie. Idźcie stąd, szybko – powiedział Uli.

Odwrócili się. Ujrzeni kamienną twarz z długą blizną, potężny miecz, niemal długości człowieka. Odeszli bez protestów.

Uli długo czekał, nim zdołał ponownie przemówić.

– Nie jesteś zdziwiona, Małgorzato.

– Nie.

– Wiedziałaś, że żyję.

– Tak. Kaspar mi powiedział.

Uli pokiwał głową.

– Tak myślałem, że nie zdoła trzymać języka za zębami. Gdzie on jest?

– Nie żyje.

– A dziecko? Twój syn?

– Nie żyje – powtórzyła kobieta głucho. – Obu pogrzebała lawina, dwa lata temu. Sprzedałam dom. To był porządny dom... Nie! Nie dotykaj mnie. Jestem... jestem chora.

Jeszcze zanim cokolwiek powiedział, dostrzegł czerwone plamy, pod jej makijażem, znamionujące francuską chorobę.

– Małgorzato – odezwał się... – Małgorzato...

– Nie ma co płakać – mruknęła. – Jest jak jest. Nikt nic na to nie poradzi. Ale dom naprawdę był porządny.

Kaspar też dobrze mnie traktował. Nie wiem, co się stało z pieniędzmi. Po prostu się rozeszły. Zresztą to nie ma znaczenia. Za tydzień od dziś wszyscy będziemy bogaci.

– Małgorzato, ja...

– Nie wolno ci mnie dotykać. Nie ty.

Odetchnął głęboko.

– Posłuchaj, Małgorzato. Myślałem, że tamtego dnia zrobiłem to, co należało zrobić. Miałaś małego synka i...

– Przestań. Co się stało, to się nie odstanie. Jest jak jest. Kto wie, co jest dobre, a co złe? Nie wiedzą tego nawet wielcy tego świata, książęta i kardynałowie. Nikt nie wie.

– Nie możesz tak żyć. Ja...

– Wszystko w porządku. Dam sobie radę. Poza tym za tydzień od dziś będziemy bogaci.

– Nie mów tak, Małgorzato. Masz, weź. W tej chwili więcej nie mam, ale zdobędę. Jedź do domu. Dam ci wszystko, czego potrzebujesz, ale jedź do domu. I to natychmiast.

Zważyła na dłoni niewielką sakiewkę, po czym upuściła ją na blat. Monety zabrzęczały, a Małgorzata zaśmiała się nerwowo.

– Nigdy nie byłeś skąpy, to ci trzeba przyznać. Ale czym jest to w porównaniu z tym, co dadzą mi w Rzymie.

– Włożyła sakiewkę do dużej skórzanej torby.

– Małgorzato, błagam, nie mów tak. To głupie gadanie. Wojna jest zła, a wojna z Rzymem najgorsza. Nikogo nie uszczęśliwią wojenne łupy.

– Uszczęśliwią... – westchnęła kobieta.

Uli był głęboko poruszony.

– Wracaj do domu, Małgorzato – wyszeptał. – Obiecuję, że dam ci wszystko, czego potrzebujesz. To, co dostałaś, wystarczy, póki nie wrócę i nie przywiozę więcej. Zajmę się tobą. Zrobię wszystko, uwierz mi, proszę. Małgorzato, zbudowałem ci już dom, zbuduję drugi...

Na chwilę w jej oczach pojawiło się rozmarzenie.

– Pójdziemy do grobu brata Klausa – dodał chrypliwie. – Może on pomoże ci pozbyć się tego... tego... wyzdrowieć.

– Myślisz, że to możliwe? – Teraz jej głos był wysoki, dziecinny.

– Nie wiem. Spróbujemy. Weź się w garść, Małgorzato. Spakuj swoje rzeczy, natychmiast, i wracaj do domu.

– Przemyślę to – powiedziała.

– Słyszę trąbkę, muszę iść. Nie zajmuj się przemyśleniami, tylko rób, co ci powiedziałem. Natychmiast.

– Przemyślę to – powtórzyła. – Ożeniłeś się ponownie?

Przełknął ślinę...

– Jasne, że nie. Jakbym mógł.

Popatrzyła na niego z zadumą.

– Pewnie bywało ci ciężko. Skąd masz tę bliznę? Nieważne. Lepiej już idź, zaraz tu ściagną wartownicy.

– Pojedziesz do domu, prawda? – poprosił ją raz jeszcze.

– Może i tak. Dobranoc, żołnierzu.

Wpatrywał się w nią uważnie.

– Niech Bóg ma cię w swojej opiece, Małgorzato – westchnął.

Kiedy odszedł, rozplakała się.

Uli nie mógł w nocy spać, jego myśli kłębiły się w głowie niczym wściekłe psy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Podczas marszu widział ją jeszcze dwa razy i za każdym razem udało mu się z nią trochę porozmawiać.

Nadal nie było za późno, by powróciła do domu. Pieniądzy by jej wystarczyło, a on zamierzał dostać jej więcej, a do tego wybudować dom.

Czasem zdawała się go słuchać, czasem tylko zbywała śmiechem. Przywykła do swego życia i na nic się nie uskarżała. Tylko raz faktycznie się przejęła, gdy Uli powtórzył jej słowa Frundsberga, tuż przed śmiercią generała: że zamierzał powiesić papieża. Słyszała, jak niemieccy najemnicy mówią podobne rzeczy i to ją przerażało.

– To przyniesie pecha – oświadczyła.

– Udział w tej wojnie przynosi pecha – mruknął UH.

– Przecież ty bierzesz w niej udział.

– I bardzo tego żałuję. Jeśli bym zdezerterował, poćwiartowaliby mnie, ale tobie nic nie grozi. Uciekaj stąd, póki możesz, Małgorzato. Wracaj do domu, nalegam.

– Nie chcę, żeby powiesili papieża – powiedziała. – Widziałam jego portret, wyglądał tak miło – poczciwy staruszek. Zaczęła opowiadać o obrazie, a Uli uświadomił sobie, że Małgorzata opisuje portret papieża Adriana VI, a nie obecnego Namiestnika Chrystusa. Nie odezwał się jednak ani słowem. Klemens VII również był miłym

staruszką, chociaż zupełnie nie sprawdzał się jako mąż stanu i wykazywał zbyt daleko posunięty optymizm.

Nie chciała, żeby powieszono tego poczciwego staruszka, ale była przekonana, że wszyscy wzbogacą się w Rzymie i nie zamierzała odpuścić takiej okazji.

– Nawet kolumny domów robią tam z cennego kamienia.

Zawsze była materialistką, ale teraz jej pazerność przekraczała wszelkie granice.

Patrzył na nią niespokojnie.

– Małgorzato, wysłuchaj mnie...

– Idź już, Uli. Nadchodzą klienci. Muszę zadbać o swoje interesy.

Tuzin spragnionych Włochów otoczył niewielki stolik, Uli wycofał się chyłkiem.

Kilka godzin później znowu maszerowali.

Teraz Rzymianie wiedzieli naturalnie, że zbliża się cesarska armia. Cesarska armia, złożona z niemal dwudziestu tysięcy żołnierzy, gnanych myślą, że lada chwila zdobędą najcenniejsze trofeum. Rzymianie wiedzieli, jednak niemal do ostatniej chwili Klemens VII był przekonany, że nic nie zagraża pokojowi. Już dawno temu przyjął cesarskie warunki. Zapłacił olbrzymią sumę, której domagał się cesarski wysłannik, zwolnił wielką część żołnierzy. Kiedy doszły go słuchy, że armia cesarza mimo wszystko zbliża się do miasta, poczęto czynić pośpieszne przygotowania.

Zamknięto bramy, poproszono obywateli, by

dołączyli do wojska, wzmocniono mury.

Obywatele jednak reagowali bardzo wolno i sporadycznie, prace były spowolnione przez brak pieniędzy, gdyż wszystkie trafiły do wysłanników tego samego cesarza, którego armia teraz podchodziła pod miasto.

Jeden z najbogatszych Rzymian, Domenico Massimo, ofiarował papieżowi sto dukatów, na wysoki procent.

Jedynym, co poprawiało humory nielicznych obrońców był fakt, że napastnicy praktycznie nie dysponowali żadną artylerią.

Jednak rankiem szóstego maja cesarska armia zyskała nieoczekiwaną pomoc w postaci mgły. Mgła ta powstała z groźnych, bagiennych otchłani pontyńskich mokradeł i zakryła wszystko do samych murów miasta i poza nimi. Rzym nie był duży, nie mógł się równać z Londynem ani Paryżem. Wystarczyło jakieś szesnaście tysięcy kroków, żeby go obejść.

Atak rozpoczął się w Ponte Molle, w Trastevere, w Porta Torriane, Porta delle Fornaci i Porta Santo Spirito.

Oba pierwsze ataki zostały odparte.

Książę Bourbon widział odwrót Niemców i Hiszpanów, chociaż działa obrońców strzelały w mgłę, a Rzymianie nie wiedzieli nawet, do czego celują i czy w cokolwiek trafili.

Uli ujrzał, jak książę unosi się na siodle, wykrzykuje komendę i rusza galopem przed siebie. Podążyło za nim kilku ludzi.

Jesteśmy tylko duchami, pomyślał Uli, patrząc na cienie wokół siebie, na duchy, na duchowe robactwo, skubiące upadłego człowieka. Otrząsnął się z tych myśli. Rzym jeszcze nie upadł, ale wkrótce miało to nastąpić. Nie wiedział, dlaczego.

Księżę zeskoczył z konia i teraz wchodził na drabinę, już się po niej wspinał.

W następnej chwili upadł na ziemię, postrzelony w samo serce.

Uli widział twarz Usanka. Bawarczyk miał szeroko otwarte usta, coś krzyczał, ale w hałasie nie dało się go usłyszeć.

Już po chwili obaj znaleźli się przy drabinie, Ilsank wciąż krzyczał: -Jemu też się dostało, jemu też się dostało!

Zamiast jednak uciekać, usiłował wejść na drabinę i upadł, postrzelony w pierś, całkiem jak dowódca.

Wiść o śmierci księcia w niespełna kwadrans obiegła wojsko.

Żołnierze byli przerażeni. Wiedzieli jednak, że nie ma dla nich odwrotu. Dowódcy powiedzieli im, że na tyłach są siły wroga, nawet gdyby ich nie było, odwrót przez zniszczone przez nich wsie nie wchodził w rachubę. Mogli jedynie posuwać się naprzód, co też czynili. Wspięli się na drabiny, zabijając wszystkich, którzy stali im na drodze. Nagle okazało się, że wały obronne są puste, a miasto należy do najeźdźców.

Zaszokowało ich to do tego stopnia, że wpadli w ślepa, niszczycielską furję.

Uli został przygnieciony do ściany; odepchnął miecz obrońcy i zaczął na oślep biec przed siebie.

Wokół słyszał dzikie krzyki kobiet.

Znał Rzym. Tu, gdzie żołnierze szlachtowali grubasa błagającego o litość, on i jego koledzy ze straży popijali z kielichów wino Świętego Jana przed powrotem do Watykanu. Tam, gdzie zabito dwie kobiety, które miały odwagę się bronić, prowadziła droga do małego kościółka, gdzie Uli chodził na niedzielne Msze Święte. To złe, pomyślał tępo. Boże, to naprawdę złe.

Widział już podobne sceny, wiele razy. Nigdy mu się to nie podobało. Była to ta obrzydliwa strona żołnierki. Coś się jednak musiało z nim stać, gdyż teraz nie był w stanie znieść tego widoku.

Usiłował powstrzymać hiszpańskiego żołnierza przed zabiciem staruszki ze złotą broszą i ujrzał, że Hiszpan zamierza się na niego. Uli odskoczył i wzniósł potężny miecz, po czym powalił przeciwnika płaską stroną ostrza.

Dwóch niemieckich najemników, biorąc go za obrońcę miasta, podbiegło z obnażonymi mieczami. Chociaż Uli usiłował wytłumaczyć im, co zaszło, ogarnęła ich taka • żądza krwi, że nie zwracali na niego najmniejszej uwagi. Musiał pośpiesznie się bronić i zaszlachtował jednego z nich akurat w chwili, kiedy cały oddział nadciągnął od bramy Santo Spirito.

Uciekł do labiryntu kolumn w *palazzo* i tam ujrzał czterech Niemców, którzy popychali kardynała czubkami swoich włóczni. Starzec potknął się i upadł, a oni zaczęli

zdzierać z niego szaty.

To jest złe, pomyślał Uli ponownie i ruszył w ich kierunku, wznosząc miecz.

– Tak nie można! – wykrzyknął ile sił w płucach.

Mężczyźni ustąpili po paru ciosach miecza. Chcieli dobrze się zabawić i rabować, nie walczyć; zrobili już swoje, nie było sensu ryzykować życia w potyczce z jednym szaleńcem. Niestety, stary kardynał już nie żył.

Uli rozejrzał się wokół. Miał przekrwione białka.

– To jest złe – powtórzył.

Nieopodal leżał Watykan, katedra Świętego Piotra... Walczyli na schodach kościoła. Widział mundury gwardii papieskiej, żółć, czerwień i błękit Medyceuszy, gdyż mgła nieco się już podniosła.

Nie mają szansy, pomyślał, ani cienia szansy. Stu osiemdziesięciu dziewięciu żołnierzy i oficerów.

Ruszył przed siebie, otoczony przez oszalałych Niemców, wykrzykujących obsceniczności i swoją nienawiść.

– Dziś zrobimy Lutra papieżem! – ryknął głęboki głos.

Uli przedarł się przez tłum, spocony i drżący z wściekłości, której źródło nie do końca rozumiał.

Muzułmanie, pomyślał, to wszystko muzulmanie.

Być może było to wspomnienie adresu, który dzień wcześniej podał książę Bourbon swoim oddziałom, gdy mówił im, że miasto należy do nich i może w nim zapanować prawo Mahometa – każdy ma prawo rabować i

zabijać. A może to wspomnienie sięgało dawniejszych czasów, kiedy pewni pielgrzymi udali się do Ziemi Świętej. To jednak działo się tak strasznie dawno temu, w innym życiu.

Jego kubrak był całkiem podarty, krew ciekła z ramienia Ulego. Nie pamiętał, skąd się wzięła ta rana.

Dotarł do schodów, gdzie trzech strażnicy walczyli włóczniami z szóstką napastników.— Muzułmanie! — wrzasnął. — Precz z muzułmanami!

Wyciągnął miecz, pokonał trzy stopnie, odwrócił się i zaatakował napastników, ramię w ramię ze strażnikami, którzy byli zbyt zajęci walką, by przejąć się tą nieoczekiwaną pomocą na wpół nagiego szaleńca z mieczem długim jak człowiek.

Znów był w gwardii, znów był ze swoimi dawnymi przyjaciółmi. Krzyknął do nich coś w szwajcarskim dialekcie, a jeden z nich uśmiechnął się do niego z wysiłkiem, gdy wchodzili po schodach, walcząc z całych sił, by dołączyć do ostatniego, wąskiego szeregu oddziału, który powoli wycofywał się ku głównej bramie katedry Świętego Piotra.

To koniec, pomyślał Uli z dziwną radością. To koniec, ale przynajmniej przyzwoity.

Rozłupał niemiecki hełm, uchylił się przed włócznią włoskiego żołnierza i patrzył, jak ten upada, przeszyty włócznią Szwajcara.

— Świetna robota — powiedział z uznaniem.

Mgła zniknęła, widział wszystko z niezwykłą

jasnością. Może tak się działo przed śmiercią. Teraz wślizgnęli się przez bramę do długiego, pogrążonego w półmroku kościoła. Tu także trwały walki.

Poślizgnął się w kałuży tkwi i ujrzał mężczyznę, szwajcarskiego strażnika, który nią wymiotował.

Uli się nie przewrócił. Odzyskał równowagę akurat w samą porę, by odparować cios miecza długiego niemal tak jak jego własny miecz, po czym zaatakował i ujrzał, jak napastnik, wielki Niemiec z sumiastym wąsem upada. W tej największej świątyni chrześcijaństwa wszędzie walczyły rozmaite grupki. Obrona nie mogła potrwać długo; napastnicy napływali wszystkimi bramami.

Gdzieś dzwonił donośny dzwon, słyhać było dźwięki trąbki. Może jednak nastąpił dzień sądu, dzień, w którym siły piekielne przystąpiły do ostatniej bitwy w ostatnim przerażającym paroksyzmie zła.

Uli poczuł przeszywający ból w ramieniu. Nie mógł ruszać lewą ręką. I cóż z tego? Wkrótce i tak będzie martwy. Widział, jak pada stary Sturzenegger, znał go bardzo dobrze, a z nim trzech innych jasnowłosych chłopców, w takim samym wieku, w jakim był on, gdy służył w tej gwardii.

Cofali się coraz bardziej w głąb budynku, ku grobowcowi Księcia Apostołów, pierwszego papieża, samego świętego Piotra. Nad jego głową trwała bitwa, a właściwie nie bitwa, ale rzeźnia – sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu strażników walczyło z nieprzyjacielem co najmniej dziesięciokrotnie liczniejszym. Właściwie

lepszym miejscem na śmierć była tylko sama Kalwaria. Jednak ciężki miecz był zbyt ciężki do jednej ręki – Uli rzucił go w twarz jęczącego Hiszpana i wziął sobie miecz człowieka, którego powalił.

Ktoś odepchnął go od ciżby tłoczącej się wokół grobowca. Uli utkwiał w ludzkiej rzece, która porwała go do rogu nawy i wypchnęła przez małe drzwi. Słońce nagle zaśnięło i ponownie usłyszał niskie tony dzwonu. A może dzwoniło mu w uszach?

Masa mężczyzn była tak gęsta, że nic nie widział. Został porwany naprzód, w dół schodów, po kamieniach brukowych. Na drodze wyrósł most, zaśnięły włócznie i miecze, lecz strach uciekających był silniejszy niż furia napastników. Potem była fosa i nadal opuszczony most zwodzony, a za nim masywna konstrukcja zamku Sant Angelo. Po moście przedarli się do mrocznych, chłodnych trzewi fortecy. Za plecami słyszeli niezrozumiałe ryki, pełne furii, lęku, triumfu i paniki. Uli zdążył tylko poczuć, jak przytłacza go ogromny ciężar, zupełnie jakby popychała go dłoń rozmiarów budynku. Usłyszał jeszcze tylko męski okrzyk: „Podnoszą most!” oraz wrzaski maruderów. Potem zrobiło mu się ciemno przed oczyma.

Nie upadł. Nie mógł. Nieprzytomny, utrzymywał się w pozycji stojącej dzięki masie mężczyzn, którzy napływali wraz z nim. Dopiero dużo później udało się ich podzielić – odniesiono rannych, głębiej do fortecy, i zajęło się nimi pięciu medyków.

Ulim również, chociaż nie miał pojęcia.

Parę razy odzyskiwał przytomność, ale szybko znów ją tracił.

Przebudził się szóstego dnia i dostał trochę cienkiej zupy. Człowiek, który go karmił, był szwajcarskim gwardzistą, z ręką na temblaku. Oświadczył, że zwie się Walter Erb i pochodzi z Solothurn.

Dużo mówił, ale Uli prawie nic nie rozumiał.

Nie mógł poruszać lewą ręką. Była zabandażowana, podobnie jak jego bark i szyja.

Następnego dnia poczuł się odrobinę lepiej.

Pomyślał, że jeśli to czyściec, to dobrze mieć przy sobie kompana z Solothurn.

Najwyraźniej wypowiedział tę myśl na głos, gdyż Erb zaśmiał się i oświadczył, że znajdują się w Castel Sant Angelo i nic im nie jest, tyle że zostało niewiele dojedzenia.

Później Uli zebrał siły i zadał kilka pytań. Erb okazał się skarbnicą wiedzy.

Castel Sant'Angelo był jedynym miejscem w Rzymie, które jeszcze się broniło i miało szansę wytrwać. Rzym niemal obrócono w perzynę.

Ze stu osiemdziesięciu dziewięciu gwardzistów uciekło jedynie czterdziestu dwóch, pod dowództwem porucznika Herkulesa Goeldliego. Inni zginęli, głównie w katedrze Świętego Piotra.

– Ojciec Święty? – spytał Uli.

Również był w zamku, bezpieczny. Modlił się w swojej kaplicy, narzucili fioletową pelerynę na jego białe

szaty i zaprowadzili go do Sant'Angelo tajnym przejściem, w samą porę, tuż przed tym, nim Niemcy wpadli do Watykanu.

– Mamy tu niezłą gromadkę – dodał Erb. – Jedenastu kardynałów, francuskiego ambasadora, angielskiego ambasadora, a wszyscy żywią się cienką zupą, jak ty czyja.

Mówił niemal wesoło, ale Uli widział jego zaciśnięte usta i zaczerwienione powieki.

– A na zewnątrz? – spytał.

– Piekło – odparł Erb lakonicznie.

Uli skinął głową. Zamknął oczy.

Po jeszcze jednym tygodniu niespokojnego snu, cienkiej zupy i okazjonalnych odwiedzin któregoś z medyków, odkrył, że jest w stanie wstać na kilka minut.

! Po następnych paru dniach mógł się nawet przespacerować po zatechłych, ponurych korytarzach fortecy.

I Raz dostrzegł papieża, strapionego staruszka z długą siwą brodą, modlącego się przed krzyżem.

Uli przeżegnał się i umknął.

Słyszał, co się dzieje na zewnątrz. Nie chciał tego słuchać, ale nie miał wyjścia.

Książę Orański, służący w cesarskiej armii, obawiał się, że najemnicy ukradną mu konie, więc trzymał je w Kaplicy Sykstyńskiej.

Zakonnice, a także żony i córki szlachty wystawiono na aukcje i sprzedano kupcowi, który ofiarowywał

najwięcej.

Każdy kościół w mieście sprofanowano i okradziono.

Dziewięćdziesięcioletni biskup Terraciny miał zapłacić trzydzieści tysięcy dukatów za życie i wolność. Nie miał żadnej własności, więc i jego wystawiono na aukcji.

Ulice usłane były trupami, nikomu nie chciało się ich sprzątać. Lada chwila groziło to wybuchem zarazy. Dniem i nocą trwały rozboje, gwałty, rabunki, morderstwa i profanacje.

Grobowce papieży w katedrze Świętego Piotra otwarto i obrabowano, a kości świętych walały się po posadzce.

Uli z trudem dowlókł się do grupki szwajcarskich gwardzistów siedzących razem w ponurym milczeniu.

Wielu było rannych.

Jednak wartownicy stali na czatach, a włócznie, miecze i arkebuzy były w gotowości.

Opowiedziano mu o śmierci kapitana gwardzistów, Kaspara Reista, który został ranny w głowę podczas ataku na Porta delle Fornali i zanieiony do domu. Hiszpanie go znaleźli i zamordowali, mimo że żona kapitana rzuciła się na niego, by ochronić go własnym ciałem. Cios mordercy pozbawił ją trzech palców.

– Jestem jednym z was – powiedział Uli chrypliwie.

Miał wrażenie, że rozmawia z ostatnimi porządnymi żołnierzami na ziemi i był dumny z tego, że powitali go życzliwie.

– Szkoda, że nie zdjęli tej biedaczki – mruknął jeden z nich.

– Jakiej biedaczki?

– Przyszła dwa dni temu z koszykiem świeżych warzyw i zaczęła krzyczeć, że chce je podarować biednemu papieżowi, który nie ma co jeść. Powtarzała, że strasznie jej go żal, bo papież ma taką miłą twarz. Pewnie nieco szwankowała na umyśle, biedactwo.

Uli zmrużył oczy.

– Powtórz to – szepnął. – Co mówiła o papieżu?

Gwardzista posłusznie powtórzył.

– Powiesili ją – dodał. – Hiszpanie. Tuż przed tym stanowiskiem obserwacyjnym.

Uli dotarł do okna w trzech krokach.

– Małgorzata...

Zemdlał.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Paweł III, Namiestnik Chrystusa na ziemi, Sługa Boży, z zainteresowaniem czytał niezwykle *dossier*.

Od czasu do czasu wyglądał przez okno na tętniący życiem, lecz spokojny Rzym.

Nic nie kojarzyło się z tymi okropnymi dniami, nie tak dawno temu, kiedy jego nieszczęsny poprzednik tkwił oblężony w Castel Sant'Angelo. Wtedy, podobnie jak w czasach Alaryka i Genseryka, Rzym znalazł się w rękach barbarzyńców, a jego populacja skurczyła się do mniej niż trzydziestu tysięcy mieszkańców. Wielu ludzi małej wiary uwierzyło wtedy, że to koniec chrześcijaństwa, koniec Kościoła.

Bramy piekielnie otwały się szeroko, ale nie na długo.

Cesarz, słusznie przerażony tym, co się wyprawia w jego imieniu, zaczął negocjacje, i Klemens VII został puszczony na wolność. Życie powoli wracało do Wiecznego Miasta, kościoły ponownie zostały konsekrowane. Barka Świętego Piotra przerwała i ten sztorm, jak wiele innych wcześniej.

Ale co też zostawiono mu w spadku...

Uśmiechnął się pod nosem i pogłaskał brodę. Gdy wybierano go na papieża, nie sądzono, że długo się ostanie na tronie w wieku sześćdziesięciu siedmiu lat i po poważnej chorobie. Miał zamiar udowodnić im, że bardzo

się mylili. Czekало go tyle pracy. Nie mógł sobie pozwolić na śmierć, jeszcze długo nie. Nie miał grama zbytecznego tłuszczu, jego ciemne, przenikliwie oczy były głęboko osadzone, nos o dużych nozdrzach mocny i nieco zakrzywiony nad patriarchalną siwą brodą. W tej twarzy majestat i spryt dziwnie przenikały się ze sobą, podobnie jak pierwiastek duchowy i materialny. Obecny papież był kardynałem Alessandro Farnese za panowania Aleksandra VI, Juliusza II, Leona X, Adriana VI i Klemensa VII. Widział korupcję i degenerację oszustwa Borgiów, Kolonów, Orsinich. Powstanie Lutra, Kalwina, Zwingliego.

I choć był stary, zamierzał stworzyć nową erę.

Musiał pogodzić dwóch najpotężniejszych chrześcijańskich monarchów, cesarza Karola V i króla Francji, Franciszka I. Udało mu się to, choć obie koronowane głowy zachowywał się wyjątkowo paskudnie i w pewnej chwili o mały włos nie rzuciły się na siebie.

W porę zorientował się w kwestii tureckiego zagrożenia i powołał przeciwko Turkom nową Świętą Ligę, złożoną z cesarza, króla Francji i Wenecjan.

Zaledwie kilka tygodni wcześniej wizytował nowe fortyfikacje Civita Vecchia. W końcu Turcy znajdowali się całkiem blisko, w Dalmacji.

Pozostawał jeszcze doktor Ortłz, ambasador nadzwyczajny Karola V w sprawie rozvodu króla Anglii, Henryka VIII, z Katarzyną Aragońską. Na wieść o śmierci Klemensa VII Henryk oznajmił: „Wszystko mi jedno,

kogo wybiorą na papieża. Liczy się dla mnie tyle, co byle który ksiądz w moim królestwie”.

Papież Paweł odpowiedział na to nominacją kardynalską biskupa Jana Fishera, który w tamtym czasie przebywał w Tower.

Henryk VIII zagroził, że wyśle głowę biskupa do Rzymu, „żeby można było do niej dopasować kardynalski kapelusz”.

A teraz, do tego labiryntu politycznych rozgrywek, ścierających się ideologii, walczących ze sobą koronowanych głów, odchodzących od Kościoła, arogancji, zagrażających Turków i pływających się w rozrywkach, chciwych księży, dochodziło to *dossier*, *dossier* człowieka, w którym papież wyczuł całkiem nową siłę.

Baskijski szlachcic, Ifiigo de Loyola, przerwał pełną sukcesów karierę wojskową, by zostać pustelnikiem i udać się z pielgrzymką do Ziemi Świętej. Po powrocie zaczął głosić Ewangelię i nauczać katechizmu, został aresztowany przez Inkwizycję w Alcali i Salamance i wyszedł z obu procesów bez skazy.

Następnie udał się do Paryża, gdzie studiował w Sainte Barbe, wśród młodzieży, a na życie zarabiał żebrząc.

Zaprzyjaźnił się z gromadką studentów, znacznie młodszych od siebie i rozmaitych narodowości – Francisem Xavierem z Nawarry, Pierrem Favrem z Savoy, Hiszpanami Salmeronem, Laynezem i Bobadillą,

Portugalczykiem Rodriguezem. Wszystkie te przyjaźnie bazowały na jednym wspólnym doświadczeniu, chociaż młodzieńców tych różnił charakter, a także społeczne pochodzenie. Świecki Iñigo de Loyola napisał książeczkę-podręcznik, zatytułowany *Ćwiczenia duchowne*. Udało mu się jakoś przekonać przyjaciół, by ćwiczyli razem z nim, każdy osobno. Rekolekcje trwały trzydzieści dni.

A ludzie po nich zdawali się odmienieni.

Najwyraźniej było coś magicznego w tej cienkiej książeczce – a może komentarzach nauczyciela? A może za jednym i drugim kryła się łaska?

Połączyły ich wspólne ideały. Dzięki nim zapomnieli o swoich poprzednich ambicjach, pomysłach, nadziejach. Jeden po drugim przechodzili transformację i zaczęli żyć tak samo jak ich nauczyciel: wyłącznie dla większej chwały Pana.

Studiowali, by przygotować się do kapłaństwa, zarówno nauczyciel i jego uczniowie – jeden z nich został księdzem szybciej niż nauczyciel, który później rozpoczął te nauki.

W święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny cała siódemka poszła o świcie do opuszczonej kapliczki na wzgórzu Montmartre, kaplicy męczeństwa świętego Dionizego.

Favre, jedyny ksiądz wśród nich, odprawił Mszę Świętą. Wszyscy przyjęli Komunię Świętą. Jeden po drugim składali przysięgę, dzięki której cała siódemka

miała stanowić jedność, gdyż od tego czasu łączyło ich jedno wspólne pragnienie: ślub, by „danego dnia” wyrzec się całej własności poza odzieniem i pieniędzmi na podstawowe utrzymanie. Postanowili jechać do Rzymu i prosić papieża o pozwolenie na pielgrzymkę do Jerozolimy; pozostać w Jerozolimie, i służyć Bogu ku Jego chwale oraz pomagać bliźnim. Gdyby nie udało się odbyć podróży w ciągu roku albo pozostać w Jerozolimie, postanowili oddać się do dyspozycji papieża i wypełniać jego polecenia, słuchać tego, co im nakaze.

Taki był ich ślub.

Siedmiu adeptów paryskich studiów, siedmiu idealistów. Dla wielu ludzi mogłaby to być miła historyjka o niewielkim znaczeniu.

Jednak w tej siódemce było coś, co poruszył starca, który miał niejedną okazję przyglądać się ludziom i oceniać ich umiejętności.

Na pierwszy plan wysuwała się osobowość twórcy tego planu i jego czyny. Po ślubach pojechał do Hiszpanii, by uporządkować sprawy hiszpańskich członków tej dziwnej małej kongregacji. Uporządkował także sprawy własne, udał się do Azpeitii, gdzie odmówił noclegu w domu swych przodków; wolał zatrzymać się w schronisku dla ubogich.

Po męczącej podróży spotkał się ze swoimi uczniami w Wenecji i wspólnie podróżowali przez wiele niebezpiecznych obszarów. Liczba wyznawców rosła: dołączyło do nich trzech Francuzów, Le Jay, Codure i

Broet. Ich cały bagaż składał się z Biblii, brewiarza i osobistych notatek. Kiedy zostali zatrzymani przez francuskich żołnierzy, Hiszpanie zamienili się w głuchoniemych, Francuzi wzięli na siebie cały ciężar mówienia. Przy spotkaniu z hiszpańskimi oddziałami było odwrotnie.

W tamtym roku z Wenecji nie odpływał żaden statek z pielgrzymami, więc zadowolili się opieką na ofiarami trądu i francuskiej ospy w szpitalu dla nieuleczalnie chorych.

Pół roku z okładem później Iñigo de Loyola został księdzem.

Następna część *dossier* była imponująca.

Ojciec Iñigo, czy też raczej ojciec Ignacy, na cześć jego umiłowanego świętego Ignacego z Antiochii, nie od razu odprawił Mszę Świętą. Nie odprawił jej przez ponad rok. Oświadczył, że potrzebuje czasu, by się przygotować.

Papież pomyślał o własnych święceniach, nie tak dawno temu. Pomyślał również o niezliczonych ludziach, których sam wyświęcił. Odprawienie pierwszej Mszy Świętej, przeżycie tego niezwykłego doświadczenia – ani on, ani wielu jego znajomych nie było w stanie poczekać dłużej niż tydzień. Znał tylko jednego człowieka, który posunął się jeszcze dalej – świętego Franciszka z Asyżu, który nigdy nie został wyświęcony, gdyż czuł się tego niegodny.

Papież zapamiętał, jak silną wolę ma ten Ignacy.

W *dossier* znalazł jeszcze wiele ważnych informacji.

Od tej chwili jednak sam wiedział co się dalej działo. Niektórzy uczniowie Ignacego przybyli do Rzymu, a on ich przyjął. Zaprosił na kolację, gdzie nad stołem odbyli małą teologiczną debatę. Chciał sprawdzić, jak pracują ich umysły, i dopiął swego.

Wspominał tamtą kolację z prawdziwą przyjemnością.

Debata była olśniewająca. Entuzjazm i zapał tych młodzieńców był wsparty nie tylko solidną wiedzą, ale także umiejętnościami dialektycznymi i walecznością, jakich nie widział od lat, jeśli w ogóle się kiedykolwiek z nimi zetknął. Niektórzy z obecnych przy debacie starszych teologów, uczonych i erudytów, usiłowało się wtrącić, ale uniemożliwiono im to w bardzo uprzejmy sposób. Porażka była możliwa jedynie między samymi młodymi ludźmi, cios ostateczny był przyjmowany z godnością. Tylko brylant mógł oszlifować brylant. Wszyscy goście byli silnymi indywidualnościami: ojciec Favre był świątobliwym mężem z oczyma mistyka; młody Xavier przypominał ognistego rumaka; Bobadilla tryskał poczuciem humoru, był znakomitym kompanem; a Laynez, chyba najbystrzejszy z nich wszystkim, miał umysł niczym sztylet. Wszyscy zdawali się nosić niewidzialne uniformy, niczym oficerowie z tego samego pułku, pod tym samym przywództwem, stworzeni na podobieństwo swojego wodza.

Ciągle ich zapraszał, przynajmniej raz na dwa tygodnie. Jego pierwsze wrażenie nie uległo zmianie,

wręcz się pogłębiło.

Powiedział im łagodnie, że mają jego pozwolenie na wyjazd do Ziemi Świętej, wątpliwie jednak, by tam dotarli. Po powrocie do tematu zadał im pytanie retoryczne:

– Dlaczego tak bardzo pragniecie udać się do Jerozolimy? Jeśli chcecie zerwać owoce w Kościele Bożym, Włochy nadają się równie dobrze jak Jerozolima.

Nie mieli szans dotrzeć do świętych miejsc, gdy wojna z Turkami wydawała się coraz bardziej prawdopodobna. Wiedział, że natychmiast go zrozumieli.

Nie trzeba im było powtarzać dwa razy; nie tylko bardzo szybko myśleli, ale równie chętnie spełniali to, czego od nich oczekiwano.

Miał na to dowód. Za pierwszym razem, gdy zjawili się na kolacji, debata okazała się takim sukcesem, że papież wręczył im sakiewkę ze złotem, a prałaci poszli w jego ślady. Goście poprosili, by zdeponować pieniądze w banku, jako opłatę za morską podróż. Gdy zarzucili ten plan, oddali pieniądze. Papież znał dokładną sumę: dwieście dziesięć dukatów oddanych w całości przez ludzi, którzy zarabiali na życie żebraniem.

To także warte było odnotowania.

Podobnie jak raport o ich działaniach w samym Rzymie.

Zima była surowa. Ludzie umierali setkami, z zimna i głodu. Wielu zamarzało na ulicach.

Ci pielgrzymi bez pielgrzymki, pełni energii

mężczyźni postanowili rozwiązać ten problem. Ich rozklekotany stary dom nieopodal Torre Melangolo stał się szpitalem i hotelem dla najbiedniejszych z biednych. Ofiarowali im własne posłania, zebrali dla nich, nieśli pociechę. Czasem mieli pod swoim dachem trzystu, czterystu nieszczęśników, a każdy był traktowany z takim szacunkiem i miłością jak sam Pan. Poza tym bracia dbali też o potrzeby innych i uratowali ponad dwa tysiące głodujących. Wszystko to była robota dziesięciu ludzi.

A zatem ich dowódca musiał być też doskonałym organizatorem.

Ludzie ci wiedli proste życie. Kiedy jednak zostali oszczerczo zaatakowani przez nawiedzonego zakonnika, który z pewnością nie działał w pojedynkę, ojciec Ignacy nie spoczął, póki jego „sprawa” nie trafiła do sądu, i ci sami ludzie, którzy sądzili go wcześniej w Alcali i innych miejscach, obecnie zeznawali na jego korzyść. Wyrok był symptomatyczny: zakonnicy zostali oczyszczeni z zarzutów, a ich oskarżyciel, mnich Augustyn, opuścił Włochy i został luteraninem.

Obraz był jasny.

Teraz jednak ludzie ci postanowili stworzyć nowy zakon – jakby zakonów nie było w bród.

Co więcej, poczynili niezwykłą, nieznaną dotąd sugestię. Zakon bez chóru! Zakon, który obstawał nie tylko przy trzech zwyczajowych ślubach: ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, ale także przy czwartym, a mianowicie absolutnej i kompletnej gotowości do bycia

do dyspozycji papieża.

Najbardziej niepokojącą jednak była nazwa tego zakonu – jeśli faktycznie miał być to zakon. Najpierw nazwali się iniguistami, od imienia ich dowódcy, gdy był jeszcze osobą świecką. Z biegiem czasu jednak, gdy pytano ich, kim są, zaczęli się przedstawiać jako Towarzystwo Jezusowe.

Na samo brzmienie najświętszego imienia Zbawiciela, każdy ksiądz łącznie z papieżem musiał obnażyć głowę. To dobrze, że Ojciec Święty nie mógł wymienić nazwy jednego ze swoich zakonów bez zdejmowania nakrycia głowy!

W rzeczy samej: Towarzystwo Jezusowe.

Papież z trzaskiem zamknął *dossier*. Jego długie, smukłe dłonie cały czas jednak bawiły się dokumentem. Jeśli ten mężczyzna, którego część papież widział w uczniach, posiadał sekret przemieniania mężczyzn w doświadczonych, nieulekłych, niebywale skutecznych wojowników Kościoła Walczącego, to warto było skierować go do szczególnych zadań! Wraz z naśladowcami mógł reformować klasztory, odbudowywać wiarę, wznosić mury i zasieki przed zalewem herezji, zanieść kaganek do Nowego Świata. Wyliczać można by bez końca.

Papież potrząsnął dzwonkiem. Zdjął obszytą gronostajami czapkę i położył ją na biurku, przy *dossier*.

Do pokoju wszedł sekretarz.

– Chcę mówić z ojcem Ignacym z Towarzystwa

Jezusowego – oświadczył papież.

Sekretarz machinalnie ściągnął czapkę i ponownie wcisnął ją na głowę. Sprawiał wrażenie nieco zdeorientowanego.

– Wasza świętobliwość powiedział... ojciec Ignacy... Obawiam się, że nie do końca pojąłem znaczenie słów waszej świętobliwości.

– Ojciec Ignacy z Towarzystwa Jezusowego – powtórzył papież. Sekretarz znowu zdjął i włożył czapkę.

– Musimy się przyzwyczaić do tej nazwy – dodał papież spokojnie. – Znajdziesz go w domu przy Torre Melangolo.

Sekretarz, nadal zmieszany, ukłonił się nisko i wyszedł.

Papież włożył czapkę. Pod białą, poważną brodą błąkał się uśmiech, którego nikt nie zauważył.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Wysoki, chudy sierżant z gwardii papieskiej zasalutował sztywno, gdy mijał go ojciec Ignacy, prowadzony przez *maestro di camera*. Nawet nie mrugnął okiem, chociaż w jego głowie kotłowało się mnóstwo myśli.

To on, pomyślał. Matko Boska, to on. Nie podniósł wzroku. Nie widział mnie. Chociaż z nim to nigdy nie wiadomo. Nadzieja, tak często tłumiona, znów ożyła. I znów ją stłumił, z wielkim bólem.

Trzy kwadranse później ojciec Ignacy wyszedł po spotkaniu. Ponownie przemaszerował obok sierżanta, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Zmienił się, ale niewiele, tyle że włosy wypadły mu tak bardzo, iż wydawał się niemal łysy. Za to utykanie było wręcz niezauważalne.

Przez dwie męczące godziny sierżant Ulric von der Flue musiał trwać na posterunku. Potem został zmieniony. Dziesięć minut później dowiedział się, że don Iñigo de Loyola zwie się obecnie ojcem Ignacym i mieszka w dużym, starym budynku nieopodal Torre Melangolo. Jeszcze dziesięć minut i Uli miał już pozwolenie na wizytę u księdza. Wyruszył niezwłocznie.

Odnalazł dom, a jego serce biło radośnie.

Jeden z ojców rozdawał zupę tuzinowi małych obszarpańców. Inny włókł się z ciężką wiązką drewna na opał; trzeci i czwarty szli schodami, dźwigając ciężkie

worki na plecach. Niemal przewrócili Ulego.

Ten pozorny chaos nie zwiódł starego wojaka.

Księża doskonale wiedzieli, co należy robić, chociaż ich wesołość sprawiała, że wszystko wydawało się zabawą.

Może nie zawsze byli tacy radośni. Może audiencja u papieża okazała się niesłychanym sukcesem.

Piąty ksiądz uprzejmie spytał Ulego, czego ten sobie życzy, zapytał go o nazwisko i zniknął za rogiem. Powrócił niemal natychmiast.

– Udasz się ze mną.

Ojciec Ignacy przebywał w pokoju na parterze. Na widok Ulego wstał zza biurka.

– Zawsze witam cię z radością, nieważne, czy jako sierżanta, czy jako pielgrzyma – odezwał się.

Drzwi zamknęły się cicho za Ulim. Stał bez ruchu, drżąc lekko.

– Don Ínigo... Ojczy Ignacy... Ja.

– Usiądź, proszę – przerwał mu ojciec Ignacy łagodnie. – Czym mogę ci służyć? Jestem ci ogromnie wdzięczny. Już ci to kiedyś mówiłem. W Barcelonie.

– W Barcelonie – powtórzył Uli. – Tam się wszystko zaczęło. Tam zostawiłem te dziewczynę, Juanitę. Musiałem.

Ignacy pokiwał głową. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy.

– Musiałem, bo byłem żonaty – wykrztusił Uli.

Potem zaczął opowiadać swoją historię, z początku

urywanie, potem coraz szybciej.

Ojciec Ignacy mu nie przerywał.

Śmierć Frundsberga. Marsz na Rzym. Odnalezienie Małgorzaty i to, że nie od razu zorientował się, że nie jest całkiem zdrowa na umyśle. Atak na Rzym, ponowne przyłączenie się do gwardii papieskiej. Śmierć Małgorzaty.

– Zmarła, pragnąc uczynić dobro – powiedział ojciec Ignacy.

Uli zapatrzył się na niego.

– Nigdy nie pomyślałem o tym w ten sposób – oświadczył zdławionym głosem.

Ojciec Ignacy uśmiechnął się do niego.

– Mów – polecił gościowi. – To nie wszystko, prawda?

– Nie, ojcze. Kiedy zapanował pokój, jak najszybciej udałem się do Barcelony, żeby poszukać Juanity. Jednak doña Isabel Roser wyprowadziła się ze swojego domu, nikt nie wiedział, gdzie jej szukać. Nikt nie wiedział również, co się stało z Juanitą.

Uli odetchnął głęboko.

– Kiedyś sądziłem, że nasz los jest Bogu obojętny – powiedział z wahaniem. – Ze zupełnie o to nie dba. Potem zdarzyły się pewne rzeczy, które udowodniły mi, że się mylę. Ze coś istnieje, coś, co przypomina nić, pewien wzór. Była chwila, w Barcelonie, tuż zanim udaliśmy się na pielgrzymkę, że niemal to zobaczyłem. Miałem pomoc. Potem zwątpiłem ponownie...

– Drogi Boga nie zawsze są zrozumiałe dla ludzi – wtrącił cicho ojciec Ignacy. – Musimy się modlić, tak jakby wszystko zależało wyłącznie od Boga. Musimy pracować tak, jakby wszystko zależało wyłącznie od naszych wysiłków. A teraz, co do twojego problemu...

W holu ojciec Laynez spytał ojca Xaviera, czy może już odejść.

– Jeszcze nie. Ktoś u niego jest. Sierżant ze szwajcarskiej gwardii. Siedzi tam już od dłuższej chwili.

– Jeśli to nudziarz, ojciec będzie wiedział, jak się go pozbyć – zauważył ojciec Laynez.

– Nie jestem pewien. Jest zbyt uprzejmy, żeby potraktować kogoś obcesowo.

– A kto tu mówi o obcesowości? – spytał Laynez. – Nie pamiętasz, jak się niedawno pozbył tego męczącego hrabiego Fuggio? Po prostu zaczął mu opowiadać o mękach piekielnych. Biedaczysko usiłował zmienić temat na jakiś bardziej przyjemny, ale ojciec ciągle powracał do mąk piekielnych i po dziesięciu minutach hrabia Fuggio uciekł. Co się z tobą dzieje? Wyglądasz, jakbyś w ogóle nie spał.

– Chciałbym, żeby to o to chodziło – westchnął Francis Xavier. – Czuję się załamany. Śniłem, że dźwigam na plecach Indianina. Był tak ciężki, że nie mogłem sobie poradzić.

– Na litość Boską, czemu śniesz o Indianach? –

Layne z pokręcił głową.

Drzwi się otworzyły, wyszedł z nich wysoki sierżant. Promieniejąc radością minął obu ojców i zniknął na końcu korytarza.

– Najwyraźniej ten nie rozmawiał z ojcem o mękach piekielnych – zauważył Francis Xavier ponuro.

Uli biegł już ulicami. Kilka razy musiał się zatrzymać, żeby złapać oddech.

W końcu dotarł do domu na Piazza Fosa.

Sługa, przerażony widokiem podekscytowanego gwardzisty, zaprowadził go do ogrodu, gdzie siedziały dwie damy.

Podniosły wzrok.

– *Santisima* – wykrzyknęła doña Isabel. – Przecież wciąż ci to powtarzałam. Wiedziałam, że pewnego dnia...
– Umilkła.

e Ojciec Ignacy wysłuchał skarg ojca Layneza na brak personelu w szkole dla chłopców i doradził ojcu Salmeronowi w sprawie listów do napisania.

Nie spożył popołudniowego posiłku w towarzystwie ojców, gdyż nagle zaatakował go gwałtowny ból w boku. Nie było potrzeby wzywać medyka. Znał ten ból. Był jego stary przyjacielem. Wyczerpany zmęczony Ignacy przez chwilę odpoczywał. Kiedy ojciec Favre spytał go niespokojnie, jak się miewa, usłyszał:

– Tak, jak pragnie tego Bóg.

Za pewien czas poczuł się nieco lepiej i usiadł przy swoim biurku.

Ułożenie spraw zakonu nadal wymagało mnóstwa pracy. Audiencja u papieża poszła dobrze, ale nie mógł się oszukiwać, że wszystko jest już załatwione.

Wiedział, że może liczyć na kardynała Gaspara Contariniego i na Tomasza Badię, Mistrza Świętego Pałacu, za to inne strony, zwłaszcza kardynał Ghinucci, mogły stwarzać problemy.

Papież był łaskawy, ale sprawy w Rzymie uważano za załatwione dopiero wtedy, gdy podpisano i przypieczętowano dokumenty.

To nie on wymyślił, żeby siedziba zakonu znajdowała się w Rzymie.

Jednak Jezus zmienił jego plany w drodze do Rzymu, w La Storta, kiedy przytrafiło mu się to po raz wtóry, w chwili, gdy wszedł do małej kapliczki wraz ze swymi towarzyszami. Przepęłniła go wielka pewność, że w Rzymie odniesie sukces.

Pewnego dnia historia zrozumie znaczenie tej chwili.

Najpierw sądził, że zostanie ukrzyżowany w Rzymie. Nawet teraz nie było do końca pewien, czy nie ziści się to w taki lub inny sposób.

Jednakże ważniejsza niż męczeńska śmierć była sama praca.

Widział, choć niewyraźnie, wielką strategię w przyszłych latach, z zamkami, fortecami Pana zbudowanymi we wszystkich krajach świata, widział małe, wyszkolone społeczności niosące Ewangelię, nauczające w szkołach i uniwersytetach, instruujące,

doradzające – a wszystko to miała wzmocnić i nadzorować siedziba główna.

Po kolei. Trzeba było ułożyć statut zakonu.

Ziemia Święta?

Ziemia Święta była wszędzie, gdzie należało pracować na chwałę Pana Boga.

I on zaczął tę pracę.